

Anna Kendall



JASNY
I STRASZLIWY
MIECZ

ANNA KENDALL

JASNY
I STRASZLIWY
MIECZ

Przełożył
Michał Jakuszewski

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału

A BRIGHT AND TERRIBLE S WORD

Copyright e Anna Kendall 2012

All rights reserved Copyright e for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2015

All rights reserved

Redaktor: *Robert Cichowlas*

Ilustracja na okładce: *Madej Szajkoutski*

Opracowanie graficzne okładki: *Tobiasz Zysk*

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-167-8

Zysk I S-ka Wydawnictwo s.j.

ul. Wielka 10, 51-774 Poznań Dział handlowy, tel./faks 51 855 06 90

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Mapka

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

EPILOG

BLURB



1

Obserwowałem pająka skradającego się po swej sieci ku maleńkiej myszce. Żadnego z tych stworzeń nie powinno tu być, nie tak wczesną wiosną i nie wewnątrz chaty. Nawet górskiej chaty, takiej jak ta, przytulnej, ale rzadko sprzątananej i wypełnionej smrodem odchodów świni, którą dzieci wprowadzały do środka podczas zimnych nocy. W chacie było brudno, ale również ciepło. Wykluły się pająki, narodziły myszki i w ciągu jednej nocy mała walka o byt zaczęła się na nowo w ciemnym kącie obok komina, gdzie leżałem na brudnym sienniku, nadal osłabiony po chorobie.

Spędziłem tu już z górą miesiąc, zależny od dobrej woli wieśniaków, którzy zgodzili się mnie przyjąć. Choć może „dobra wola” nie jest tu najlepszym określeniem. Bez pomocy rodziny Johna Małego (nie miał innego nazwiska) z pewnością bym umarł. A z jej pomocą...

— Jednoręki! — krzyknęła Bets, najstarsza z dziewcząt, zeskakując z drabiny prowadzącej na stryszek. Wszyscy oni ciągle krzyczeli. Dziewczynka podbiegła ku mnie.

— Zaniknij jadaczkę! — powiedziała pani Johnowa, wychodząc z sypialni, drugiego pomieszczenia w chacie. — Obudzisz go!

— On nie śpi! — wrzasnęła Bets, skacząc na mnie. Zabolało, mimo że ważyła bardzo niewiele. Najmniejsze poruszenie ciałem nadal sprawiało mi ból.

— Złaż z niego! — darła się pani Johnowa, łapiąc córkę za kark, jakby Bets była jedną z jej chudych kur. — Idź po drwa!

— To robota dla Neda! — zawołała Bets tonem oburzonej ofiary niesprawiedliwości. Nie zauważyła pajęczyny.

— Zrób to! — ryknęła pani Johnowa i popchnęła córkę ku drzwiom. Do mnie jak zwykle nie powiedziała nic.

Kilka cali od mojej twarzy, w ciemnym kącie, pajak dopadł ofiarę. Myszka miała niespełna dwa cale długości, choć dorosła już wystarczająco, by opuścić matczyne gniazdo w ścianie i dać się złapać w mocne, lepkie nici zwisające tuż nad podłogą. Pajak był wielki jak połowa mojego kciuka. Gdy pani Johnowa zapaliła pęk sitowia i wetknęła go w uchwyt na ścianie, włochate ciało pajaka zaśniło ciemnoczerwono.

— Jestem głodny! — rozdarł się Ned, schodząc z drabiny. Troje pozostałych dzieci poszło w jego ślady. W sypialni wrzeszczało niemowlę.

— To przynieś wody na owsiankę! — wrzasnęła pani Johnowa. — Bo inaczej nie będzie jedzenia! John! Wstawaj! Ruszaj się!

Robbie zatrzymał się nad siennikiem.

— Jeszcze jesteś chory, Jednoręki? Umrzesz?

— Zostaw chłopaka! — krzyknęła pani Johnowa. — Wody! I to już!

— To robota dla Bets!

Pani Johnowa dała obu chłopcom po klapsie i wypchnęła ich przez drzwi, nie przestając krzyczeć w stronę sypialni:

— Wstawaj! Wstawaj, ty leniwy nicponiu!

Niemowlę się darło. Dwoje mniejszych dzieci zdołało zleźć z wielkim wysiłkiem z drabiny, choć Jemima spadła z trzech ostatnich szczebli, a teraz leżała na klepisku i wrzeszczała.

Czerwony pajak zwisał na czterech nogach z pajęczyny, a czterema pozostałymi złapał wyrywającą się myszkę. Zacisnął kły na jej skórze.

John Mały przywłókł się z sypialni, łypiąc spode łba na żonę.

— Nie możesz pozwolić człowiekowi odpocząć, kobieto! — ryknął, po czym wsadził rękę do na wpół zawiązanych spodni i podrapał się po wstydliwych częściach.

Nie miałem pojęcia, dlaczego ci ludzie uratowali mi życie. John Mały znalazł mnie nieprzytomnego w śniegu na szlaku wiodącym z zachodnich gór do Reginokracji. Miałem dreszcze i bredziłem w gorączce. Nie mógł mnie podnieść, bo miał tylko cztery stopy wzrostu, przyprowadził więc żonę oraz dwóch najstarszych synów — dziewięciu-i dziesięcioletniego. We czwórkę zaciągnęli mnie do chaty, zwalili na siennik przy kominku i zostawili tam na miesiąc. Był to niepojęty akt dobroci w stosunku do nieznanego, bo nawet jeśli nie był to sezon na dżumę, mogłem tu przynieść wiele innych chorób, które również by ich zabiły. Równie niepojęty był fakt, że po przywleczeniu mnie do chaty mąż i żona ignorowali mnie niemal całkowicie. Nigdy się do mnie nie odzywali. Dzieci przynosiły mi jedzenie, kiedy sobie przypomniały. John i pani Johnowa traktowali mnie jak część siennika, znacznie mniej interesującą niż świnia. Nie myłem się od miesiąca. Nie byłem jednak pod tym względem wyjątkiem i nie śmierdziałem gorzej niż pozostali.

Myszka podjęła ostatnią, desperacką próbę uwolnienia się, ale pająk trzymał ją mocno. Sieć zadrżała i jej najniżej położone nici się rozerwały.

— Na dworze jest ciepło! — zawołała Bets, wracając do chaty z naręczem drewna. Wysypała na klepisko szczapy, które potoczyły się ze stukotem po ziemi. — Wiosna!

— A pole nawet niezorane! — naskoczyła na męża pani Johnowa. — Nie zdążysz z siewem na czas!

— Daj mi spokój, kobieto!

— Przyszła wiosna! — ryknął Ned, wpadając do środka z wiadrem wody. Wiadro przeciekało i na klepisku został mokry ślad. Pani Johnowa postawiła je na palenisku i nalała wody do kociołka.

Myszka znieruchomiła. Jej walka dodatkowo rozerwała pajęczynę i teraz tylko jedna nić łączyła pająka z siecią. Zaczął natychmiast tkać nowe,

by związać nimi ofiarę.

— Przynieś dREW do ognia, dziewczyno! — wrzasnęła na Bets pani Johnowa. — Jesteś głupia, czy co? Jemima, przestań się drzeć albo dam ci powód do płaczu!

Jemima jej nie posłuchała. Niemowlę w sypialni nie przestawało zawodzić. Świnia stanęła w otwartych drzwiach i troje starszych dzieci przegoniło ją z wrzaskiem.

Usiadłem, po raz pierwszy od miesiąca. Musiałem się długo wysilać i potem dopadły mnie zawroty głowy. W tej pozycji mogłem jednak dosięgnąć pajęczyny. Wysunąłem powoli jeden palec, aż wreszcie zetknął się ze środkiem sieci. Pajęczy jedwab był lepki, ale mocny. Mój dotyk go nie rozerwał, nawet gdy popchnąłem palcem połączone ze sobą nici.

Rodzina siedziała albo stała — mieli za mało krzeseł — wokół drewnianego stołu, siorbiąc owsiankę i pokrzykując na siebie. Niemniej mój niespodziewany ruch przyciągnął ich uwagę. Pani Johnowa spojrzała prosto na mnie. Nigdy dotąd nie zwracała się do mnie bezpośrednio, gdy więc to zrobiła, byłem bliski szoku.

— Krzyczysz przez sen, Jednoręki.

Znieruchomiałem. To był mój stary problem, który tak bardzo mi zaszkodził w życiu.

— Popatrz, pajęczyna! — zawołał Robbie.

Pani Johnowa i ja gapiliśmy się na siebie nawzajem.

— Jest w niej pająk! — rozdarła się Bets.

— Ciągłe powtarzasz to samo imię — dodała pani Johnowa.

— Łapmy go! — wrzasnął Ned. Obaj chłopcy odbiegli od stołu i pognali do ściany, przełaząc po mnie.

— Patrz, on złapał myszkę!

— Zabij go!

Robbie uderzył łokciem w pajęczynę. Rozerwała się. Ned, przeskakując boleśnie po moich nogach, złapał za patyk i uderzył nim w pajaka i w myszkę jednocześnie.

Wstrzymałem oddech. Wieśniacy, w przeciwieństwie do mieszkańców pałacu, żyli wystarczająco blisko śmierci, by zachować dawne wierzenia. Jeśli wypowiedziałem przez sen słowa takie, jak „hisaf „ albo „Wrzosowisko Duszorośli”...

— Kto to jest Katharine? — zapytała pani Johnowa.

— Załatwiłem go! — wrzasnął Ned. Z pajęczyny zostały tylko strzępy.

„Katharine”, nie „Maggie”. Nie wypowiedziałem imienia wypełniającego moje myśli, gdy leżałem na sienniku przez długie tygodnie, lecz to, o którym co noc starałem się zapomnieć. Imię matki. Imię siostry. Imię, które kiedyś prześladowało mnie w przerażających snach, ale teraz już przestało to robić. Tak samo jak ja już nie przechodziłem do krainy Umarłych. Cokolwiek tam się działo, moje zadanie polegało na trzymaniu się od niej z daleka. Matka Chilton i jej uczennica, Alysse, oznajmiły mi to bardzo jasno. Miałem się nie mieszać do wojny, którą prowadziły z Wrzosowiskiem Duszorośli, a wrócić do domu, do Maggie i mojego nienarodzonego dziecka.

Niczego nie pragnąłem bardziej. Maggie, z jej jasnymi lokami opadającymi na czoło, cierpką kompetencją i miłością do mnie, niezasłużoną i przez bardzo długi czas nieodwzajemnioną. Pragnąłem wrócić do Maggie, która mieszkała z siostrą w Tanwell i czekała na narodziny naszego syna.

Straciłem już tak wiele czasu! Wędrówka zimą przez góry okazała się znacznie trudniejsza, niż się spodziewałem, zwłaszcza że miałem tylko jedną rękę. Raz po raz byłem zmuszony szukać schronienia w jakimś odosobnionym gospodarstwie albo w taniej gospodzie, podczas gdy na

dworze szalała śnieżycą. Umarłbym, gdyby nie pieniądze od Matki Chilton, dzięki którym mogłem zapłacić za azyl. W końcu jednak, u samej podstawy skalistych gór zachodnich, niedługo przed nadejściem wiosny, zachorowałem i znalazłem się w niecywilizowanym gospodarstwie Johna Małego.

Maggie z pewnością dzieliło od rozwiązania już tylko kilka miesięcy. Było lato, gdy kochaliśmy się na stoku, pośród zapachu kwiatów i głośnego brzęczenia pszczoł.

Nie odpowiedziałem pani Johnowej, gdy zapytała o „Katharine”, a po chwili jej uwaga ponownie skierowała się na Neda i Robbiego, przerzucających się nad stołem martwą myszką.

— Zabierzcie stąd to łajno! Jesteście chorzy, czy co? — wrzasnęła. — Obaj macie nie po kolei w głowie! Jazda stąd! Jazda!

Chłopcy z krzykiem uciekli na dwór. Poranny chaos utrzymywał się. Przez otwarte drzwi do środka wpadał blask słońca oraz uderzająca do głowy woń świeżego, ciepłego powietrza. Rzeczywiście nadeszła wiosna. Muszę do końca wyzdrowieć, odzyskać siły potrzebne do podróży i wrócić do Maggie. O ile nadal będzie mnie chciała, po wszystkim, co uczyniłem.

— Patrzcie! — zawołała Bets. — Jednoręki wstaje!

— Nie...

Przebiegła przez izbę, skoczyła na mnie i obaliła mnie na ziemię.

Nie dałem za wygraną. Codziennie kazałem sobie wstać i trochę pochodzić, by wzmocnić zwiotczałe mięśnie. Kiedy tylko mogłem, szedłem do lasu, by zbierać ptasie jaja, wykopywać korzonki, szukać ostatnich jesiennych orzechów — wszystko, co mogło mi pomóc w odwdzięczeniu się pani Johnowej za jej szorstką dobroć. Miałem jeszcze pieniądze, zaszyte w tajnej kieszeni płaszcza, ale nie proponowałem im zapłaty, bo z pewnością zabraliby mi wszystko. Pani Johnowa bez komentarza przyjęła

moją pomoc w prowadzeniu domu, ale gdy pewnego dnia Robbie spróbował mnie przewrócić, a ja odtrąciłem go na bok kompletną ręką, utrzymując się na nogach, uśmiechnęła się.

Tak dobrze było wreszcie wyrwać się z brudnej chaty! Ze wszystkich gałęzi drzew dobiegał śpiew ptaków. Krokusy i hiacynty kwitły w blasku słońca, a konwalie w cieniu. Pewnego dnia wykąpałem się w leśnym stawie, tęskniąc za mocnym, żółtym mydłem Joan Campford. Wyprałem ubranie najlepiej, jak potrafiłem, a potem wyjąłem z buta nożyk i zgoliłem splątaną brodę oraz ściałem włosy. Następnie położyłem się nago w ciepłych promieniach słońca, podczas gdy moje łachy schły. Zasnąłem, zmęczony wysiłkiem, od którego odwykłem.

Nadeszły sny.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Śniło mi się przejście na drugą stronę. Ale sen nie zabrał mnie do krainy Umarłych, której poprzysiągłem już nigdy nie odwiedzać, lecz do bałaganiarskiej chaty Johna Małego. Pani Johnowa siedziała przy stole, łupiąc orzechy, które jej przyniosłem, i wkładając je do ust małej Jemimie. Niemowlę spało w rozklekotanej kołysce. Choć raz w chacie panowała cisza.

I nagle we śnie, choć nie w chacie, pojawiło się coś innego. Cień... nie, nawet nie to. Szary szept, coś pośredniego między zapachem a dźwiękiem... niewyraźnego, lecz nieprzyjemnego. Być może pani Johnowa również to

poczuła, bo w moim śnie znieruchomiała. Jej ręka, w której trzymała rozłupany czarny orzech, zawisała w powietrzu, a oczy wpatrzyły się we mnie, mimo że nie byłem obecny w chacie.

Minęła długa chwila.

Potem obudziłem się nad leśnym stawem. Słońce skryło się za chmurą i drżałem z zimna.

Włożyłem nadal wilgotne ubranie. Sen był bardzo spokojny w porównaniu z tymi, które nawiedzały mnie ongiś, czemu więc mnie zaniepokoił? Ten nieprzyjemny szept w moim umyśle... nie, nawet nie szept, tylko niewyraźne poruszenie czegoś... Właściwie czego? Słaby zwierzęcy zapach, niemalże niesłyszalny dźwięk. Takie drobiazgi nie były powodem do strachu. Nie dla mnie, Rogera Kilbourne'a. Kiedyś doprowadziłem do stoczenia bitwy, śmierci lorda dzikusów i spalenia królowej. A także zabiłem siostrę, która prześladowała mnie w snach.

Gdy wróciłem, było późne popołudnie, a na chatę padły już długie, pochyłe cienie. Robbie, Ned i Bets wrzeszczeli na dachu, zajęci jakąś zabawą, grożącą im upadkiem i połamaniem kości. Matt, za mały, by wdrapać się na górę, został na ziemi i wrzeszczał wniebogłosy, oburzony tą podłą niesprawiedliwością.

Wewnątrz było równie głośno. John Mały gdzieś sobie poszedł i dotąd nie wrócił, ale Jemima płakała i szarpała matkę za spódnice, a niemowlę się darło. Pośród tego harmidru pani Johnowa była jedyną oazą spokoju. Spoglądała na mnie nad brudnym blatem, nie poruszając ani jednym mięśniem twarzy. Jej oczy zaszyły błoną strachu.

— Musisz odejść.

— Co? — zapytałem bez sensu.

— Musisz odejść.

— Ale...

— Nie powiedziałaś, kim jesteś. Teraz musisz odejść.

Kim jesteś. To mogło znaczyć cokolwiek. Hisafem. Mordercą. Byłem błaznem pałacowym.

— Skąd wiesz? — zapytałem tylko, choć mogłem powiedzieć wiele różnych rzeczy — Idź już — zażądała. — Muszę myśleć o dzieciach.

— Nie... nie zagrażam twoim dzieciom.

— Idź.

Była nieubłagana. Wręczyła mi zawiniątko: mój bukłak, dwa noże Toma Jenkinsa oraz coś, co pachniało jak żywność owinięta w liście. Cały czas wpatrywała się we mnie i znalazłem w jej oczach nie tylko determinację, lecz również strach. To właśnie on sprawił, że podjąłem decyzję. Ci ludzie, choć byli brudni i nieokrzesani, uratowali mi życie. Nie mogłem przynieść im strachu, nawet jeśli byłem przekonany, że nie mają do niego powodu. Wziąłem paczkę i ruszyłem ku drzwiom.

Zatrzymałem się w nich, by spróbować po raz ostatni. Musiałem poznać prawdę.

— Czy... czy zasnąłś dziś po południu? Czy coś ci się śniło?

— Idź już.

Wyszedłem. Siedząca na dachu Bets zachichotała i rzuciła we mnie kamykiem. Robbie i Ned uznali to za świetny pomysł i wzięli się za szukanie w strzesze kolejnych kamyków. Nie znaleźli ich, zaczęli więc wyrywać słomę. Jej deszcz towarzyszył mi, gdy opuściłem chatę i postawiłem nogę na ścieżce wiodącej do doliny.

2

Prawdę mówiąc, nie żałowałem, że od nich odchodzę. Miałem wrażenie, że jestem już wystarczająco silny na podróż albo przynajmniej wkrótce będę. Sprzyjała mi młodość. Za dwa miesiące miałem skończyć osiemnaście lat. A pogoda się poprawiła. Kiedy się zmęczone, będę mógł rozpaść ognisko i zatrzymać się na noc, pomyślałem.

Wyczerpanie nadeszło szybciej, niż się spodziewałem, nim jeszcze wąska ścieżka odchodząca od chaty połączyła się z prawdziwym traktem. Siedziałem przy ognisku, jedząc twardy chleb oraz jeszcze twardsze korzonki, które dała mi pani Johnowa, i myślałem o jej strachu. Wieśniakom brakowało ogłady potrzebnej, by zapomnieć o starych zwyczajach, często więc wierzyli w sztuki duszy i w hisafów. To jednak jeszcze nie znaczyło, że potrafią ich rozpoznać. O ile wiedziałem, umiały to zrobić tylko kobiety obdarzone talentem do sztuk duszy. Niektóre, jak księżniczka Stephanie, nawet nie wiedziały, że mają taki niewycwiczony talent. Inne go nie miały, ale pragnęły go zdobyć, jak królowa Caroline. Jeszcze inne uczyniły ze swego talentu broń do walki z Wrzosowiskiem Duszorośli, jak Matka Chilton. Sieć stworzona przez te kobiety obejmowała całą Reginokrację, Ziemię Niczyją, a nawet samo Wrzosowisko Duszorośli. Pani Johnowa z pewnością była jedną z tych kobiet, choć jej talent był słaby i niewycwiczony. Rozpoznała we mnie hisafa.

Ale dopiero wtedy, gdy przyśniło mi się przechodzenie na drugą stronę. Właśnie za pośrednictwem snów moja siostra Katharine, teraz już więcej niż umarła, terroryzowała małą Stephanie i mnie. Zdołała nawet w ten

sposób zamordować służki księżniczki. Ale mojej siostry już nie było. A ja nigdy więcej nie przejdę na drugą stronę.

Zasypałem ognisko i wygnałem ze swych myśli panią Johnową. Dla mnie walka z Wrzosowiskiem Duszorośli już się skończyła. Szedłem do Maggie. Raz po raz wyobrażałem sobie chwilę przybycia do Tanwell. Powiem, że ją kocham i że tylko przez własną głupotę nie zrozumiałem tego przedtem. Być może się rozpłaczę, a ja ją przytulę, ucałuję jej jasne loki i położę dłoń na wydatnym brzuchu, w którym nosi mojego syna. A potem...

Zasnąłem z uśmiechem, ciesząc się, że oddycham świeżym nocnym powietrzem zamiast tkwić w cuchnącej chacie. Wędrowałem do Maggie.

Ta wędrówka okazała się jednak trudniejsza, niż się spodziewałem. Nie odzyskałem jeszcze w pełni sił. Następnego dnia nie miałem nic do jedzenia poza wczesnowiosennymi poziomkami. W pierwszym domu, który znalazłem, czystszy i bogatszy niż chata Johna Małego, kupiłem trochę jedzenia i zapłaciłem za nocleg w stodole. Przez kilka następnych dni postępowałem podobnie, czując, że moje ciało odzyskuje siły.

Potem jednak pogoda się zmieniła. Przed świtem obudził mnie zimny deszcz. Nie mogąc dłużej spać, ruszyłem w drogę, drżący i naburmuszony. Gdy wzeszło słońce, ukryte za szarymi chmurami, dotarłem, zmęczony i przemoknięty, do pierwszej osady w Reginokracji, jaką ujrzałem od późnej jesieni. Wioska leżała między małą rzeczką a pasmem stromych wzgórz. Droga prowadząca na wschód przeszła nagle ze zrytego koleinami szlaku w bity trakt. Pojawiły się chaty, podobne do tych, jakie widywało się w bogatych miasteczkach targowych, z otoczonymi płotem ogródkami, zadbanymi zagrodami dla owiec oraz wyszorowanymi do czysta drzwiami frontowymi. Nad rzeką był młyn. Przy głównym trakcie stała gospoda „Pod Niebieskim Koniem”.

Ale na drodze pełno było krzyczących ludzi.

Gapiałem się na nich, zbity z tropu. Z jednej z chat wypadł młody mężczyzna, z drugiej zaś stara kobieta. Młodzieniec przemknął przez ulewę i załomotał do drzwi innego domu, ale staruszka stała pośrodku drogi, zbyt oszołomiona, żeby się ruszyć. Podszedłem bliżej i dotknąłem jej ramienia. Krzyknęła i odskoczyła ode mnie. Dwoje innych wieśniaków, którzy wypadli na ulicę, podbiegło do mnie. Mężczyzna mnie złapał.

— Czy to on? Czy to on? — pytał, potrząsając mną brutalnie, jak terier szczurem.

— Nie, ty głupku, on ma tylko jedną rękę! — zaprzeczył ktoś stojący za moimi plecami.

Mężczyzna puścił mnie i pobiegł do innej chaty. Gdy tylko otworzył drzwi, usłyszałem dobiegające ze środka krzyki.

Stara kobieta stała nieruchomo na deszczu. Jej twarz była mokrą maską żałoby. Mocniej uścisnąłem jej ramię.

— Schowaj się przed deszczem, pani.

Patrzyła na mnie, ale wiedziałem, że widzi tylko jakieś okropieństwo. Kolana nagle się pod nią ugięły. Podtrzymałem ją. Ludzie wciąż przebiegali obok, ale nikt się nie zatrzymał, żeby nam pomóc. Kobieta osunęła się na mnie, jej bezwładny ciężar spoczął na mojej zdrowej ręce. Nie mogłem jej tak zostawić na błotnistej drodze, pociągnąłem ją więc ku najbliższej chacie, nie wiedząc, co innego mógłbym zrobić.

Drzwi prowadziły bezpośrednio do kuchni. Była w niej kamienna posadzka i ustawiony na kozłach stół, a ze starych krokwi zwisały pęki ziół. Tłoczyło się tam mnóstwo wieśniaków, zgromadzonych wokół czegoś, co stało na kominku. Nie widziałem, co to jest. Jakaś kobieta w średnim wieku zauważyła nas i przepchnęła się ku nam przez tłum jęczących ludzi.

— Mamo! Dziękuję, chłopcze, czy ona... — Kobieta się rozpłakała, ale przejęła matkę ode mnie i zaprowadziła ją na siedzenie. Potem znowu spojrzała na mnie. — To szok... my... jest ich tak wiele!

Tak wiele czego?

— Co tu się wydarzyło, pani? — zapytałem tonem tak łagodnym, jak tylko mogłem. — Właśnie przybyłem tu zachodnim traktem, szukając gospody...

Skinęła głową z roztargnioną miną, a potem nagle skupiła uwagę na mnie.

— Zachodnim traktem? Widziałeś tam kogoś?

— Nie.

Niewielu podróżnych wędrowało podczas deszczu, a jeszcze mniej było takich, którzy przybywali od strony gór na zachodzie.

— Jesteś pewien? Nie widziałeś wysokiego mężczyzny o czarnej brodzie i zielonych oczach?

Zielone oczy. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi chłód.

— Nikogo nie widziałem. Czy... czy ktoś taki tu był?

— Tak. Wszystkie biedne niemowlęta... och!

Uniosła pięść do ust i rozpłakała się.

Przepchnąłem się przez tłum, który zaczynał się robić wojowniczy.

— ...znajdźmy go i...

— ...nie mógł uciec daleko...

— ...zawołaj Jacka, Harry'ego i Willa...

Mężczyźni zaczęli się oddalać, by zorganizować łowy. Kilku zerknęło na mnie podejrzliwie, ale zaraz odwrócili wzrok, gdy tylko zauważyli, że nie mam jednej ręki. Kobiety nie przestawały płakać, a szepty, które wypowiadały w przerwach między łkaniem, były niemal niezrozumiałe. Dosłyszałem jednak słowo „czary”.

Przepchnąłem się na czoło tłumowi.

Przy palenisku siedziała młoda kobieta. W rękach trzymała niemowlę w powijakach, a jej twarz utraciła z żalu wszelki wyraz. W pierwszej chwili pomyślałem, że dziecko nie żyje. Było zupełnie nieruchome, a jego oczy wpatrywały się w pustkę. Potem jednak zauważyłem, że maleństwo oddycha. Matka potrząsnęła nim nagle.

— Obudź się! — zawołała. — Obudź się, Neddie! Och, obudź się!

Potrząsnęła niemowlęciem jeszcze mocniej, aż jakaś starsza kobieta podeszła bliżej, by ją powstrzymać.

— Daj spokój, Mary. To nic nie da, moja droga...

Dziewczyna zrezygnowała, łkając histerycznie. Starsza kobieta przejęła dziecko z jej rąk. Inna kobieta usiadła obok zrozpaczonej matki, ale ta odepchnęła pocieszycielkę na bok, pogrążona w szalonym żalu.

Jest ich tak wiele. Takie były słowa tamtej kobiety. Zwróciłem się do najbliższej osoby, drobnej kobiety o wojowniczym wyglądem. Spod jej wyblakłego czepka wysuwały się rude loki.

— Czy... czy w wiosce jest więcej dzieci w takim stanie?

— Aha, pięć. Wszystkie w pierwszym roku życia. — Przyjrzała mi się uważnie. — Wiesz coś na ten temat, chłopcze?

— Nie — odpowiedziałem, starając się wyglądać na głupka. — Może to... dzuma?

To z pewnością nie mogła być prawda: nie ta pora roku, inne objawy i niewłaściwe ofiary. Ruda kobieta szybko przestała się mną interesować. Niesłusznie.

Byłem tu jedyną osobą, która rozumiała, co mamy przed oczyma. Nie, to nieprawda. W ogóle tego nie rozumiałem. Ale widziałem to już przedtem: pozbawione wyrazu spojrzenia, niemożność ocknięcia się, oddech bez aktywności. Widywałem to przez całe życie, ale nie tutaj, nie w

Reginokracji, na Ziemi Niczyjej ani w zachodnich górach zamieszkanym przez dzikusów. W krainie Umarłych.

Siedmioro niemowląt żyło, ale nie żyło. Pięcioro w wiosce i jeszcze dwoje w okolicznych gospodarstwach. Wieczorem miejscowi mężczyźni wrócili po nieudanym pościgu, by poszukać pocieszenia „Pod Niebieskim Koniem”. Przestało padać, ale na dworze było mokro i chłodno, oberżysta rozpałił więc ogień, by buzował jasno na kominku. Być może zresztą chodziło o coś głębszego niż zwykła ochrona przed zimnem.

Wybrałem jeden z małych, czystych i wygodnych pokojów na górze, zapłaciłem za luksus pierwszej gorącej kąpieli od miesięcy, odsypiałem zmęczenie przez całe popołudnie, a potem zjadłem sutą kolację. Teraz siedziałem za jednym z długich, ustawionych na kozłach stołów w głównej sali, mając przed sobą kufel ale. Wieśniacy schodzili się do gospody jeden po drugim.

— ...i tak nie dam rady jej pocieszyć, więc pomyślałem sobie, że przynajmniej przyjdę wysłuchać wieści...

— ...stan małej Bess się nie zmienia i...

— ...nie chciała, żebym się jej kręcił pod nogami, bo...

Szukali różnych usprawiedliwień tego, że opuścili pogrążone w żałobie chaty, ale nie trwało to długo. Ci mężczyźni spędzili cały dzień na wędrowaniu po podmokłych polach i lasach w poszukiwaniu czegoś, czego nie rozumieli. Nie znaleźli nic. Zwrócili się do mnie. Spojrzenia mieli twarde, a miny nerwowe.

— Mówisz, że nikogo nie widziałeś na zachodnim trakcie, chłopcze?

— Nikogo.

— Jak się nazywasz?

— George Tarkington.

— Skąd przychodzisz?

— Z gospodarstwa wujka, wysoko między wzgórzami.

— A co cię sprowadza do Rivertown?

To pytanie zadał mężczyzna o najgroźniejszym wyglądzie, mający na plecach strzelbę. Czy kowale z Reginokracji poznali w ostatnich miesiącach sztukę produkcji strzelb i kul, czy też zdobył tę broń w jakiejś lokalnej potyczce, do której doszło, zanim najeźdźcy stąd odeszli? Nie było mnie tu od jesieni i bardzo wielu rzeczy nie wiedziałem. Wieśniak przyglądał mi się podejrzliwie.

Ja jednak wprawilem się już w kłamstwach i w udawaniu niewiniątka.

— Wędruję do Fairford. Mój...

— Gdzie leży to „Fairford”?

— Nieopodal stolicy. Wujek umarł i zostawił mi gospodarstwo. Sprzedałem je Samuelowi Brownowi, a teraz idę do drugiego wujka, brata matki. On przyjmie mnie na ucznia aptekarskiego.

— Jesteś już zbyt dorosły na ucznia.

— Wiem — odparłem z pokorą. — Ale co innego mógłbym robić?

Uniosłem kikut lewej ręki i napięcie panujące przy stole osłabło.

— Sprzedałeś gospodarstwo, żeby mieć pieniądze na podróż? — zapytał inny mężczyzna o łagodniejszej minie.

— Tak.

— Jeśli będziesz je wydawał na gorące kąpiele, nie zostanie ci wiele na opłatę cechową.

— To prawda — zgodziłem się. — To był tylko ten jeden raz. Okropnie zmarzłem od deszczu.

Zmarzłak, jednoręki i za głupi, żeby zachować pieniądze ze sprzedaży gospodarstwa. Przestali się mną interesować. Siedziałem spokojnie, popijałem ale i słuchałem uważnie, starając się dowiedzieć jak najwięcej.

Siedmioro niemowląt zniknęło nocą z kołyszek. Drzwi do chat były zaryglowane od wewnątrz, a zamków nikt nie naruszył. Nie otworzono też siłą okien. Ale w najskromniejszej i najnędniej z chat, gdzie rodzice spali na stryszku, a czworo dzieci na siennikach przy ciepłym palenisku, mały chłopiec obudził się na chwilę. Usłyszał coś albo może zobaczył czy poczuł jakieś poruszenie przy kołysce. Mógł to jednak być tylko wytwór wyobraźni, sen albo nawet kłamstwo. Chłopczyk miał dopiero pięć lat i często opowiadał niestworzone rzeczy. Tak czy inaczej, rozmawiali mężczyźni, trzymając w rękach kufle i spoglądając ukradkiem na siebie nawzajem, jak nieznajomy mógłby się włamać do chat, nie korzystając z okien ani drzwi?

Kradzież niemowląt wykryto z pierwszym brzaskiem, gdy wieśniaczki wstały, by rozpaścić ogień i zagrzać wodę na owsiankę. Żony krzyczały, przerażone dzieci płakały, mężczyźni wypadali z sypialń, schodzili ze stryszków albo opuszczali przybudówki. Potem siedmioro dzieci odkryto na błoniach. Leżały w kręgu, opatulone w przemoczone deszczem koce. Nie spędziły tam wiele czasu i żadne się nie przeziębilo. Jednakże ich stan...

— Umarły, ale nie umarły — stwierdził z przygnębieniem jeden z mężczyzn. Ręka mu drżała, gdy unosił do ust kufel ale.

— Może jeszcze wyjdą z transu i wszystko będzie dobrze — próbował go pocieszać drugi, bardzo młody.

— Nie mogą jeść, Will! — sprzeciwił się trzeci. — Jeśli dziecko nic nie je...

— Chłopcze, czy podczas swych podróży widziałeś coś takiego albo słyszałeś o tym? — zapytał najstarszy z obecnych, z pewnością raczej dziadek niż ojciec.

Tak.

— Nie.

— Zostaje nam tylko czekać — upierał się Will. — Dzieci mogą wrócić do siebie. Jeśli nie...

— Jeśli nie, to co! — krzyknął inny mężczyzna. W cichej gospodzie jego głos wywołał wstrząsające wrażenie. — Wszyscy wiecie, co się stało! Ten zielonooki nieznajomy, który był tu z nami wczoraj, z czarował je wszystkie! A myśleliśmy, że jesteśmy tacy sprytni, bo pozwalamy, żeby stawiał nam ale! Jack, przechwalałeś się swym pięknym, niedawno narodzonym synem. Wiesz, że tak było! Trunek rozwiązał nam języki i ten skurczybyk dowiedział się wszystkiego. Od nas!

Cisnął nagle kuflem, który odbił się z brzękiem od kamiennego obramowania kominka i potoczył po podłodze. Mężczyzna skrył twarz w dłoniach.

— Nie wierzę w czarownice — sprzeciwił się Will niepewnym głosem.

— Zatem jesteś głupi — skwitował Jack. — Ale czarownicami są tylko kobiety. Zawsze. I one nie wprowadzają niemowląt w trans.

— Jeden czarownik dopiero co to zrobił! — zawołał mężczyzna, który cisnął kuflem. — Czy nie potraficie uwierzyć własnym oczom?

Jack wstał, zaciskając pięści. Drugi mężczyzna zrobił to samo, tak szybko, że ciężki stół się zatrzęsł. Ciszę, która nagle zapadła, przerwał głos najstarszego z mężczyzn.

— Uspokójcie się obaj. To nam w niczym nie pomoże. Will ma rację. Musimy poczekać, przekonać się, czy dzieci wrócą do zdrowia. Tymczasem nie możemy wdawać się w bójki. Nie możemy też zamordować dzieci, bo coś się z nimi stało.

Przeszył ostrym spojrzeniem mężczyznę, którego do tej pory nie zauważyłem. Był on chudy, miał twarz łasicy i nerwowo obracał w palcach amulet. Chudzielec opuścił wzrok.

Potem mówiono już niewiele. Mężczyźni pili w milczeniu. Również bez słowa opuścili gospodę jeden po drugim. Wymacałem na oślepie drogę na górę — nie dostałem świecy — do maleńkiej sypialni, zasunąłem rygiel i położyłem się po ciemku na wąskim łóżku.

Ktoś — a może kilka osób — wszedł do chat, nie korzystając z drzwi ani z okien.

Porwane dzieci znaleziono na wiejskich błoniach, ułożone w krąg.

Były w „transie” — tak powiedział Jack — i w związku z tym „umarły, ale nie umarły”.

Wciąż było mi zimno. Otuliłem się szczelnie płaszczem i podciągnąłem kolana pod pierś, lecz mimo to nie przestawałem drzeć. W przeciwieństwie do pogrążonych w transie niemowląt czułem chłód, ale to nie był powrót zimowej choroby. Nie miałem pojęcia, dlaczego zabrano te dzieci, ale wiedziałem, kto to zrobił i w jaki sposób tego dokonał. Do moich kości wnikał dreszcz.

Ośnieżona górską łąką; wicher ciska mi śnieg prosto w twarz, spowalniając moje próby ucieczki. Pośród śniegu materializuje się jakaś postać. Potem druga. I trzecia. Trzej mężczyźni, którzy towarzyszyli mojej szalonej siostrze. Hisafowie, ściskający noże w rękach. Tom Jenkins wypuszcza z rąk małą księżniczkę Stephanie i skacze przede mną. Hisaf znika. Przeszedł z powrotem na drugą stronę. Wyjęci spod prawa hisafowie raz po raz przekraczają granicę między krainą żywych i Umarłych, próbując zająć korzystną pozycję, aż wreszcie jeden z nich pojawia się tuż obok Toma i wbija mu nóż w bok.

Ja im to umożliwiłem. Zakłóciłem spokój krainy Umarłych, osłabiłem barierę dzielącą ich od żywych i teraz hisafowie byli w stanie przechodzić na drugą stronę nie tylko w transie, lecz również ciałem. Ja także to potrafiłem, ale przysiągłem, że nigdy więcej tego nie zrobię.

Hisafowie sprzymierzeni z Wrzosowiskiem Duszorośli ukradli te niemowlęta i... co właściwie zrobili? Tylko Umarli zapadali w spokojny trans, by siedzieć w kręgach, i to ich niszczyło Wrzosowisko Duszorośli. Nie żywych. Nie potrafiłem pojąć, co się wydarzyło w Rivertown. Wiedziałem tylko, że to mnie przeraża.

Co, jeśli mój syn...

Ale nie. Matka Chilton powiedziała, żebym wracał do domu. Nie pozwoliłaby na to, gdybym mógł w ten sposób zagrozić Maggie bądź dziecku. Nie miałem żadnych znaczników, co oznaczało, że ani kobiety z sieci, ani hisafowie — walczący po jednej albo po drugiej stronie — nie wiedzieli, gdzie jestem. Zapewne sądzili, że zginąłem w walce z siostrą. Byliśmy tam tylko we dwoje i nikt poza nią nie mógłby wiedzieć, że tak się nie stało. A Katharine już nigdy nic nikomu nie powie.

Co więcej, Maggie była pilnie strzeżona przez kobiety z sieci, nawet jeśli nigdy się o tym nie dowie. Z pewnością ukrywały się w Tanwell: nieprzyciągająca uwagi pomoc kuchenna, starzejąca się położna, biały królik pod żywoplotem, jastrząb krążący nad wioską. Zrobią użytek ze swych niezwykłych zdolności, by chronić mojego syna. Matka Chilton powiedziała, że jest ich ostatnią nadzieją.

Ja jednak nakazałem sobie zapomnieć o tych złowieszczych słowach i uczepiłem się całej reszty. Mój syn był dobrze strzeżony. Żaden hisaf nie wiedział, gdzie przebywam. Żadna z kobiet z Rivertown nie domyśliła się, kim jestem, w przeciwieństwie do żony Johna Małego. Ale pani Johnowa była prawdziwą wieśniaczką, żyjącą bliżej starych zwyczajów, a do tego miałem pecha. Żaden hisaf nie przyjdzie tu po mnie, nie zmaterializuje się cichą, ciemną nocą w zimnej sypialni, by wbić mi nóż między żebra. To, co wydarzyło się w wiosce, budziło przerażenie, ale — choć raz! — nie było moją winą. Nie miałem też obowiązku wszystkiego naprawić.

Ty idioto — wyszeptała rozsądniejsza część mojego umysłu — *nawet cała armia kobiet z sieci i wiernych hisafów nie zdołała tego naprawić.*

To jednak przywołało kolejną myśl i pod jej wpływem usiadłem raptownie w łóżku. Kobiety z sieci wkrótce się tu zjawią. Cokolwiek wydarzyło się w Rivertown, musiało być częścią wojny z Duszoroślą. Przybędą tu kobiety z sieci, a być może nawet hisafowie. Dlaczego nie uświadomiłem sobie tego wcześniej? Mogą mnie rozpoznać. Z pewnością mnie rozpoznają. Utracę anonimowość, na którą liczyłem.

Wstałem z przekleństwem i odsunąłem rygiel, a potem wyszedłem ostrożnie na ciemne schody. Gospodę zamknięto na noc. Drzwi skrzypnęły, gdy je otwierałem, ale nikt się nie pojawił. Wymknąłem się na zewnątrz. Nie mogłem zamknąć drzwi za sobą, ale miałem nadzieję, że rankiem oberżysta pomyśli, że chciałem jak najszybciej wyruszyć w drogę i dlatego wyszedłem przed świtem.

Przestało padać. Nadszedł wiatr, pędzący po niebie strzępy chmur. W świetle księżycy w kwadrze, przedzierającym się niekiedy przez luki między nimi, ruszyłem przez wiejskie błonia, na których leżało siedmioro niemowląt, które umarły, ale nie umarły. Czy Will miał rację, twierdząc, że drobne ciała zmarnieją, ponieważ dzieci nie mogą jeść? A może niemowlęta nadal będą oddychały, niezmiennie jak Umarli w owej krainie po drugiej stronie grobu? Niezmiennie na zawsze, spokojne, różowe bobasy, spoczywające w swych kołyskach, nieczułe i ślepe na świat...

Całym moim ciałem targnął głęboki dreszcz, niemający nic wspólnego z zimną nocą. Z wiosennych liści drzew nadal skapywały krople wody, choć powietrze było słodkie i świeże, jakby groza nie tknęła tego miejsca. Opuściłem Rivertown i ruszyłem traktem wiodącym na wschód.

3

Już na długo przed świtem zmęczenie nie pozwoliło mi iść dalej. Zszedłem z traktu i zagłębiłem się w lesie na stromym stoku wzgórza. Poszycie gdzieniegdzie było gęste i splątane. Wczołgałem się w kępę krzaków, mając nadzieję, że nie spotkam tam nic większego ode mnie, i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, był już późny ranek, a z zachmurzonego nieba znowu siąpiła mżawka. To dobrze.

Co się wydarzyło w Rivertown? Czy niemowlęta wyszły z transu, czy zjawiły się kobiety z sieci, czy... Spekulacje nic mi nie dadzą. Moim zadaniem było wrócić do Maggie. Wciąż miałem przed sobą daleką podróż. Wyczółgałem się spod krzaków.

I zobaczyłem psa, który siedział tam, czekając na mnie.

Na długą chwilę ogarnęły mnie zawroty głowy, zrodzone ze strachu. Świetnie wiedziałem, że to nie jest zwyczajny pies, nawet jeśli takiego przypomina. Rzeczywiście wyglądał zupełnie normalnie. Był szary i masywny, merdał krótkim ogonem, a w zielonych oczach miał przyjazne błyski. Nawet pachniał mokrym psem. Jego woń przypominała mi spacer po polach, po których następowały miłe wieczory przy kominku.

Niemniej widziałem już takie psy. Widziałem, jak Cień zmasakrował czterech żołnierzy dzikusów, rozszarpując im gardła. Widziałem, jak Owe skoczył na ludzi zagrażających mnie oraz Tomowi Jenkinsowi i rozszarpał ich na strzępy. Widziałem, jak stado takich psów pojawiło się w blasku ognia na Wrzosowisku Duszorośli i uratowało mnie przed ludźmi z Hygryll, nie pozwalając im wbić mi noża w serce. Widziałem też, jak taki pies pojawił się znikąd wewnątrz namiotu, by obalić na ziemię Tareka, syna

Soleka, syna Taryna, nim zastrzelili go żołnierze dzikusów. Takie psy polowały dla mnie. Były moimi strażnikami, zbawcami, moim ratunkiem. A po dwóch tygodniach każdy znikał bez śladu. Przybywały z krainy Umarłych, a kiedy minął wyznaczony im czas po stronie żywych, odchodziły.

Ktoś przysłał do mnie tego psa. Ktoś wiedział, gdzie jestem.

Zwierzę podbiegło do mnie i polizało mnie po twarzy. Odepchnąłem je, wstałem i spojrzałem z góry na zwrócony ku mnie radosny pysk.

— Czym jesteś, piesku?

Pies zamerdał mocniej ogonem.

— Kto cię do mnie przysłał?

Polizał mnie po dłoni.

Nie skierowały go tu kobiety z sieci. Przypomniałem sobie pełne smutku słowa Matki Chilton: „Ani Fia, ani psy nie były naszą robotą”. I słowa ojca o torturach, którym poddano mnie w Almsbury: „Nie mogliśmy wysłać do ciebie psów wystarczająco szybko”. Tego psa przysłał do mnie hisaf, ale nie był to mój ojciec, niech go szlag trafi za niedotrzymaną obietnicę pomocy. Ale który hisaf? I jak to zrobił? Wszystkie obiekty mogły się przedostawać na drugą stronę tylko wtedy, gdy przeniósł je hisaf, ale psy zawsze przybywały same.

Nie rozumiałem tego. Nie chciałem też tego psa, który zdradzał moje położenie tak jasno, że równie dobrze mógłbym krzyczeć do każdego napotkanego podróżnego: „To ja, Roger Kilbourne! Chodźcie po mnie!”.

— Idź sobie — powiedziałem zwierzęciu.

Ku mojemu zaskoczeniu, posłuchało mnie. Ale po chwili wróciło i położyło u moich stóp patyk, żebym go rzucił.

Przeszyło mnie bolesne wspomnienie o tym, jak Tom Jenkins, jedyny przyjaciel, jakiego w życiu miałem, nie licząc Maggie, uczył Cienia dawać

łapę. Ktoś gdzieś nauczył tego psa aportować patyki. Kto? Po co?

— Idź sobie! Niedobry pies! A kysz!

Opuścił uszy i spojrzał na mnie z wyrzutem, ale nie ruszył się z miejsca.

Nie da się zmusić dużego psa, żeby sobie poszedł, jeśli nie ma ochoty tego zrobić, chyba żeby użyć kamienia albo noża, a na to nie mogłem się odważyć. Widziałem, czego potrafią dokonać te psy, kiedy się rozgniewają. Poza tym, nigdy w życiu nie skrzywdziłem zwierzęcia. Jediną bronią, jaka mi pozostała, było lekceważenie. Podniosłem plecak i ruszyłem ku błotnistemu traktowi, udając, że pies nie istnieje. Jeśli będę go ignorował wystarczająco długo, może da za wygraną i sobie pójdzie, myślałem.

Nie zrobił tego. Szliśmy razem przez resztę dnia, często zatrzymując się na odpoczynek, a niekiedy również po to, by się schować, gdy mijaliśmy na trakcie wóz albo samotnego jeźdźca. Wędrowców nie było wielu. Nikt z mieszkańców Rivertown mnie nie ścigał. Pies miał znacznie więcej energii ode mnie. Truchtał traktem bez chwili wytchnienia. Gdy tylko się zatrzymałem, przynosił mi patyki, których ostentacyjnie nie zauważałem. Gonił trzy wiewiórki, ale nie złapał żadnej. Chłęptał wodę z przydrożnych rowów. Drapał się tam, gdzie gryzły go pchły. Spoglądał na mnie pełen nadziei, machając ogonem. Ignorowałem go.

O zmierzchu zatrzymałem się i rozbiłem obóz. Byłem zmęczony, ale cieszyłem się, że siły mi wracają. Pies zniknął na chwilę, a kiedy wrócił, przyniósł mi królika. Położył zdobycz u moich stóp, merdając szaleńczo ogonem. W jego zielonych ślepiach lśniła głupia nadzieja.

— Dziękuję — powiedziałem, nim zdążyłem się za stanowić.

Na dźwięk mojego głosu omal nie wywrócił się na lewą stronę ze szczęścia.

Byłem skazany na tego psa. Nawet gdyby udało mi się przegnać zwierzę, ten, kto je przysłał, wiedział już, gdzie jestem. Nie ulegało też

wątpliwości, że sam pies nie chce wyrządzić mi krzywdy. Obdarłem królika ze skóry, upiekłem go nad ogniskiem i podzieliłem się nim ze zwierzakiem.

— Musisz mieć jakieś imię, psie.

Popatrzył na mnie z namysłem. Przeszyło mnie kolejne wspomnienie: Maggie sugerująca imiona dla pierwszego psa. Odrzuciłem wszystkie jej propozycje. Czy teraz zastanawiała się nad imieniem dla naszego dziecka?

— Nazwę cię Łowcą — oznajmiłem. To było pospolite, nieszkodliwe imię, a jeśli nawet znaczyło więcej, niżby się zdawało, tylko ja o tym wiedziałem.

Łowca pożarł swoją porcję królika, a kiedy położyłem się spać, zwinął się obok mnie. Jego obecność i ciepło dodawały mi otuchy.

Nadszedł sen — ten sam, który nawiedził mnie w bałaganiarskiej chacie Johna Małego, lecz zarazem inny. Raz jeszcze przyśniło mi się przejście na drugą stronę:

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Przejście we śnie nie zaprowadziło mnie do krainy Umarłych, lecz na trakt, który przed chwilą opuściłem, biegnący przez pola uprawne, gęste lasy i małe, z rzadka rozrzucone wioski. Stałem sam pośrodku opustoszałej drogi, aż wreszcie wyczułem niedostrzegalną obecność, cień szeptu, niejasny, ale nie tak niejasny jak przedtem. Woń, którą mogłem niemalże, ale nie do końca, zidentyfikować, dźwięk, który prawie słyszałem...

Potem się obudziłem. Łowca leżał koło mnie, a jego przednie łapy drżały, jakby w psim śnie biegł za jaskrawymi obrazami wypełniającymi jego niepojęty mózg.



Wędrowaliśmy razem przez wiele dni. Pogoda się poprawiła i zrobiło się ciepło. Tutaj, w Reginokracji, na znacznie mniejszej wysokości niż w górach, które zostawiłem za sobą, było już wczesne lato. Bydło łąziło ospale po polach porośniętych słodką koniczyną. W złotym blasku późnego popołudnia przystawało nad stawami gospodarstw rolnych, przyglądając się swym odbiciom w gładkiej tafli. Jęczmień, chmiel i kapusta rosły na zadbanych polach, przy których kwitły jaskry i stokrotki. Przechodziliśmy z Łowcą przez drewniane mostki przerzucone nad leniwymi strumykami pełnymi lilii wodnych, a nad wodą na dole śmigały niebiesko-zielone ważki. W powietrzu zawsze unosiły się rozmaite dźwięki: śpiew ptaków, kumkanie żab, porykiwanie bydła, a o zmierzchu głębokie uhuuu sowy.

Osady leżały coraz bliżej siebie, na trakcie coraz częściej spotykało się wędrowców. Raz pozwoliłem sobie nawet na luksus spędzenia nocy w gospodzie. Tak oto pewnego popołudnia dotarliśmy do Stonegreen podczas wiosennego jarmarku.

Nie poznałem wioski, dopóki nie znalazłem się w niej. A wtedy żółć podeszła mi do gardła. Byłem już tutaj. Trzy i pół roku temu z Hartahem. Mój brutalny wujek zmuszał mnie do pracy, żerując na żałobie kobiet, które straciły kogoś bliskiego. Tu właśnie spotkałem Cat Starling, piękną, słabą na umyśle dziewczynę, którą potem spalono jako czarownicę. Tu właśnie

Hartah stworzył — albo udoskonalił — plany doprowadzenia do katastrofy statku, które na zawsze zmieniły moje życie.

Ogromny, omszały gład, któremu wioska zawdzięczała swą nazwę, pozostał niezmienny. Nie zmieniły się też malowane wozy, karawana wędrownych żonglerów, połykaczy ognia oraz handlarzy oferujących na sprzedaż cynowe naczynia, biżuterię z barwionego szkła albo ręczne zwierciadła w zdobnych pozłacanych ramach — przedmioty, jakie wieśniacy mogli nabyć tylko dwa razy do roku. To był wiosenny jarmark, urządzany w dzień końca siewów. Potem będzie drugi, na zakończenie żniw. Na polu na końcu miasta ustawiono stragany. Wozy, wytarte namioty i sprzedawane towary wyglądały tak samo, ale poza tym wszystko się zmieniło.

Pole spowijała cisza, gęsta i ciężka niczym wełna. Na jarmark przysła zaledwie garstka wieśniaków. Oprócz hałaśliwej grupy siedzącej w piwnym namiocie — ci ludzie nie wyglądali na miejscowych — widziałem tylko małe, poważne grupki stojące między namiotami i rozmawiające cicho ze sobą. Nawet nieliczne dzieci były dziwnie spokojne. Gapiły się na namioty, ale nie domagały się wpuszczenia do środka.

Podszedł do nas jakiś mężczyzna. Poczułem nagły ucisk w żołądku. Poznawałem go. To był Kah, Połykacz Ognia, niski, żyłasty człowiek noszący dziwaczne turkusowe portki oraz miękkie, damskie pantofelki. Jego twarz i nagą pierś pokrywały barwne spirale. Wędrował po jarmarkach już w czasach, gdy Hartah prowadził swój stragan.

— Przepraszam, czy jesteś tutejszy? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem z ulgą. Nie poznał mnie. Miałem teraz brodę, brakowało mi jednej ręki i postarzałem się o kilka lat. Niewiele łączyło mnie z Rogerem Kilbourne'em, lęklwym i pełnym urazy siostrzeńcem Hartaha.

— Jesteś tu obcy?

— Tak.

— W takim razie nie wiesz, co się stało.

— Nie... a co?

— O to właśnie cię pytam — odparł Kah. Jego jaskrawo pomalowana twarz zmarszczyła się pod wpływem frustracji. — Ludzie nie przychodzą na jarmark! Co będziemy jedli, jeśli nic od nas nie kupią?

— Czy tu... była zaraza?

— Zaraza? Nie! Nic w tym rodzaju, nic, co można by zrozumieć. Miejscowi chyba zgłupieli. Ciągłe mówią tylko o swoich dzieciach, jakby wszystkie umarły, ale sądząc z tego, co słyszałem, wcale tak nie jest!

Łypnął na mnie ze złością, jakbym to ja był odpowiedzialny za te dzieci, żywe albo umarłe.

— A co właściwie... — Trudno mi było wykrztusić z siebie słowa. — ...stało się z tymi dziećmi?

— Nie wiem — odparł z niesmakiem Kah. — Nie umarły, nie są chore i nie porwano ich. Po prostu ucichły. Co jest złego w spokojnym dziecku? To błogosławieństwo, jeśli mnie o to pytasz. Bachory robią stanowczo za dużo cholernego hałasu.

Ucichły. Jak niemowlę w tej chacie w Rivertown? Jak wszystkie tamtejsze dzieci w pierwszym roku życia?

— Ile dzieci... — zdołałem z siebie wykrztusić.

— Nie wiem i guzik mnie to obchodzi. — Nagle na jego twarzy pojawiła się nadzieja. — Może chciałbyś obejrzeć pokaz połykania ognia? Całkiem niedawno występowałem przed księżniczką i jej utytułowanymi dworzanami... — Przyjrzał się mojemu podartemu strojowi i nadzieja zniknęła. — Nie. Pewnie byś nie chciał.

— Czy te niemowlęta...

Ale on już odwrócił się i odszedł.

A więc to wydarzyło się również tutaj. Ale co właściwie się wydarzyło? Niemowlęta zapadły w spokojny trans Umarłych, ale tutaj, w krainie żywych.

Nagle poczułem, że muszę to wiedzieć. Czy dzieci pogrążyły się w bezmyślnym transie, zmarniały, a potem umarły z głodu? Jeśli tak, to z pewnością była jedynie nowa, straszliwa choroba, na którą młode mózgi były szczególnie wrażliwe. Ale jeśli niemowlęta nie zmarniały, jeśli wciąż były zdrowe i tłuste, jak Umarli po drugiej stronie, to nie mogła być śmiertelna choroba.

Pobiegłem za Kahem tak szybko, że Łowca aż szczechnął ze zdziwienia, a potem popędził za mną wielkimi susami.

— Kah! Jak długo te dzieci...

Odwrócił się i wlepił we mnie spojrzenie.

— Skąd wiesz, jak mam na imię?

— Sam... sam mi powiedziałeś!

— Nieprawda. Czy cię skądś znam? — Przyjrzał się uważniej mojej twarzy. Serce łomotało mi głucho w piersiach. — Wyglądasz znajomo, chłopcze...

— Nie sędzę. Po prostu usłyszałem twoje imię w gospodzie. Od chłopaków ze stajni, którzy chcieli obejrzyć twój występ.

— Aha. — Omiótł spojrzeniem opustoszały jarmark. — A gdzie są te chłopaki?

— Nie mam pojęcia. Może mógłbyś mi powiedzieć, czy te dzieci...

— Zaraza na dzieci! — warknął i się oddalił.

Nie ścigałem go. Nie zostanę w Stonegreen. Jeśli Kah omal mnie nie rozpoznał, innym może się to udać. Ruszyłem w stronę rzeki. Łowca

podążał tuż za mną. Gdy tylko oddaliłem się od jarmarku, skręciłem na pola, zmierzając w stronę traktu.

Ktoś za mną szedł.

Z początku nie byłem tego pewien. Postać trzymała się tak daleko z tyłu, że nie mogłem nic o niej powiedzieć. Mężczyzna? Kobieta? Wydawało się, że coś niesie. Wieśniak dźwigający do domu towary nabyte na jarmarku? Dziewczyna z kocem w ręce, wymykająca się rodzicom, by spotkać się w lesie z chłopakiem? A może ktoś w Stonegreen mnie poznał? W Reginokracji nie brakowało ludzi, którzy mieli powody, by życzyć mi źle. Lojaliści wierni królowej Caroline. Bliscy żołnierzy, którzy zginęli przeze mnie w walce. Ci, którzy pragnęli spalić każdego podejrzanego o czary.

Pokonywałem kolejne mile, a postać nie zniknęła ani nie zbliżała się do mnie. Byłem już pewien, że mnie śledzi.

— Łowca, przyjrzyj się mu — poleciłem psu.

Zamerdał tylko ogonem, polizał mnie po ręce i wsadził nos w króliczą norę pod żywopłotem.

Mimo to czułem się z nim bezpieczniej. Widziałem, czego potrafią dokonać takie psy jak on. Niemniej towarzyszył mi już z górą tydzień i wiedziałem, że nie zostanie ze mną długo. A co stanie się potem? Czy przyślą mi kolejnego psa? Kto to zrobi?

Postać zniknęła.

To mnie zaskoczyło. Uniosłem dłoń, by osłonić oczy przed blaskiem słońca, opadającego już ku zachodniemu końcowi traktu. Czy nieznajoma osoba skręciła w las, by podążać jakąś inną trasą do gospodarstwa albo chaty drwala bądź też rozbić obóz pośród drzew?

Zaniepokojony tym, zszedłem z traktu, by rozbić własny obóz. Zagłębiłem się jakieś pół mili między drzewa, posuwając się naprzód ostrożnie, by nie zostawić śladu. Nastał już późny wieczór, ale było jeszcze

wystarczająco jasno, bym zdołał odkryć źródło świeżej, czystej wody wypływającej ze stoku. Nie chciałem ryzykować rozpalenia ogniska, by nie przyciągać uwagi: noc była ciepła, a ja miałem w plecaku chleb i suszone wiśnie. Zjadłem kolację, siedząc wsparty plecami o stary dąb. Łowca leżał zwinięty obok. Wszedł księżyc w pełni, okrągły i żółty jak jeden z pysznych serów Maggie.

Maggie... Co teraz robiła? Spała w domu siostry w Tanwell? Siedziała przy kominku, szyjąc ubranka dla naszego dziecka? A może gapiała się na ten sam księżyc, smucąc się spustoszeniami, jakie spowodowałem w jej życiu: dziecko bez ojca, matka bez męża. Czy nienawidziła mnie za to, że ją porzuciłem? Maggie, wszystko ci wynagrodzę, wszystko...

— Witaj, Rogerze Kilbourne — odezwał się ktoś za moimi plecami i cały mój świat się rozpadł.

Zerwałem się i zwróciłem w stronę intruza. Był drobny, kilka lat starszy ode mnie, znacznie niższy i jeszcze chudszy. Nosił proste, brązowe ubranie i stare buty, a na grzbiecie dźwigał wielki plecak. W padającym na jego twarz blasku księżyca jasno lśniła blizna: długa i na wpół zagojona. Biegła od linii włosów aż po podbródek, przecinając usta po lewej stronie tak, że obie wargi były obrzękłe i wykrzywione. W rękach trzymał strzelbę, wymierzoną w moje serce.

A Łowca tylko gapił się na niego z ciekawością.

— Kim jesteś? — zapytałem, starając się zapanować nad strachem. — Czego chcesz?

— Z pewnością nie pragnę cię skrzywdzić. Ta straszliwa broń jest tylko po to, żebyś ty nie skrzywdził mnie. Nie bardzo umiem się bić.

Te ostatnie słowa wypowiedział z goryczą, widziałem jednak, że rzeczywiście nie poradziłby sobie za dobrze w walce. W barach był wąski jak dziewczyna, a dłonie, w których trzymał strzelbę, były delikatne i drobnokościste. Zapewne zdołałbym go pokonać, nawet jedną ręką. W ciemnych oczach gapiących się na mnie nad lufą strzelby nie było jednak nic delikatnego ani lęklivego. Gorzała w nich pasja.

Łowca podrapał się z roztargnieniem.

Milczałem, poirytowany na psa. Czy nie był tu po to, żeby mnie bronić? Jak dotąd, spisywał się beznadziejnie. Niemniej nauczyłem się już, że jeśli będę uparcie milczał, druga osoba zazwyczaj odezwie się pierwsza. Tylko nieliczni potrafią znieść przeciągającą się, pełną napięcia ciszę.

Nieznajomy młodzieniec nie zaliczał się do takich osób.

— Powiedziałem, że nie chcę cię skrzywdzić, i to jest prawda — zapewnił piskliwym ze strachu głosem, wydobywającym się z jego ust jak mięso na kiełbasę z maszynki. — Musisz mi uwierzyć. Odłożę strzelbę, gdy tylko dasz słowo, że mnie nie zaatakujesz. Ani ty, ani twój pies.

Mój pies znalazł na grzbiecie kolejną interesującą pchłę.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? — zapytałem.

— To część historii, którą ci opowiem, gdy tylko dasz słowo, że mnie nie skrzywdzisz.

Strzelba zaczęła się lekko chwiać. Ręce mu słabły, czy to od ciężaru, czy ze strachu.

— A jak ty się nazywasz?

— Leo Tollers. Jak widzisz, jestem z tobą szczery.

— To może być wymyślone nazwisko.

— Ale nie jest.

— Zatem Leo...

— Odpowiedz! Dajesz mi słowo czy nie?

— Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego miałbyś uwierzyć w moje słowo?

— Dlatego, że wiem o tobie bardzo wiele, Rogerze Kilbourne. Mam też informacje, które chciałbyś usłyszeć.

— Ale jeśli...

— Próbujesz mnie zmęczyć! — przerwał mi ostrzejszym tonem. — Nie, nie wstawaj i nie próbuj się na mnie rzucić. Wystrzelę! Mówię ci!

Gdyby nie te oczy, mógłbym sprawdzić jego słowa. Jeden skok wystarczyłby, by zabrać strzelbę, kołyszącą się coraz silniej w jego niepewnych dłoniach. Powstrzymał mnie wyraz oczu młodzieńca. Błyszczała w nich straszliwa desperacja. Nauczyłem się już, że zdesperowani ludzie często są zdolni do wszystkiego.

Usiadłem powoli i skrzyżowałem nogi. Łowca, który wreszcie sobie uświadomił, że coś się dzieje, uniósł pysk, spoglądając na mnie pytająco. Nie wiedziałem, jakie „informacje” miał dla mnie Leo Tollers, nie ufałem mu jednak. Nie chciałem też, by ktokolwiek z mieszkańców Reginokracji mnie śledził. Szedłem do Maggie i nie mogłem zaprowadzić nikogo do niej i do naszego nienarodzonego syna. Ze wszystkiego, co powiedziała mi Matka Chilton, w to jedno wierzyłem najmocniej.

Mogłem uciec przed Leo Tollersem tylko w jeden sposób. Choć Matka Chilton ostrzegała mnie, bym tego nie robił, ojciec — przekleństwo na jego niewierne kości — zapewnił, że to nie wywoła żadnych szkód. W krainie Umarłych nic już nie mogło mi zagrozić. Moja szalona siostra zniknęła. Wszystko będzie lepsze niż narażenie Maggie na niebezpieczeństwo albo rezygnacja z powrotu do niej.

Choć Leo nadal mierzył we mnie ze strzelby, ugryzłem się mocno w język i nakazałem sobie przejść na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Nagle znalazłem się po drugiej stronie grobu. Nie byłem tu już od miesięcy, od początku zimy, ale w krainie Umarłych nic się nie zmieniło. Szare niebo bez słońca, nieruchome drzewa i ten sam stok, który przed chwilą opuściłem. Tu również zastałem jeden z kręgów Umarłych.

Było ich czternaścioro. Siedzieli nieruchomo, zwrócenii twarzami do środka kręgu, odziani w te same stroje, w których dokonali żywota. Ich

głowy otaczała gęsta, ciemnoszara mgła, całkowicie zasłaniająca twarz. Wiedziałem, że gdybym jej dotknął, poczułbym, że wibruje jak pszczele ul. Pośrodku kręgu znajdował się kolejny obłok ciemnoszarej mgły, brzęczący i wirujący. Na razie obracał się powoli, a brzęczenie było ledwie słyszalne, ale wiedziałem, czym naprawdę jest i co w końcu uczyni. To byli obserwatorzy z Wrzosowiska Duszorośli, przygotowujący się do tego, by unicestwić tych Umarłych i wchłonąć moc, którą nagromadzili podczas długiego oczekiwania na wieczność. Tak właśnie toczono wojnę między Wrzosowiskiem Duszorośli a tymi, którzy próbowali bronić bariery oddzielającej życie od śmierci. Wyłącznie z powodu owej wojny — i moich dawnych uczynków — bariera tak bardzo osłabła.

Ale ta wojna już mnie nie obchodziła. Moje potrzeby były prostsze. Dzięki owej erozji przebywałem tu teraz nie tylko duszą, lecz również ciałem. Jedynie hisaf mógłby tego dokonać. Zamierzałem wędrować w stronę Tanwell po tej stronie grobu przez być może pół dnia, a potem wrócić do krainy żywych. Leo Tollers nie będzie miał szans mnie wytropić. Z pewnością stał teraz po drugiej stronie, oszołomiony i przerażony, gapiąc się na miejsce, w którym przed chwilą siedziałem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Czy wypalił ze strzelby? Miałem nadzieję, że nie trafił Łowcy.

Zacząłem się wspinać na stok małego wzgórza, licząc na to, że znajdę gdzieś lukę między drzewami, która pomoże mi określić swe położenie. W krainie Umarłych teren rozciąga się albo kurczy, stosownie do potrzeby. Tam, gdzie Umarli są liczni, mila w krainie żywych może odpowiadać dziesięciu po drugiej stronie. Staw potrafi się zmienić w wielkie jezioro, a zagajnik w potężną puszczy. I przeciwnie — na górskim szczycie, na pustyni albo w dzikim wąwozie, gdzie umarło niewiele, dziesięć mil nieraz zamienia się w jedną. Postawiłem pewnie stopę na stoku.

I nagle się odwróciłem, zauważywszy jakiś błysk w nieruchomym powietrzu albo ruch na granicy pola widzenia. Leo Tollers zmaterializował się obok mnie, nadal trzymając w ręce strzelbę.

Był hisafem.

Z pewnością rozdziawiłem usta z wrażenia, ponieważ na naznaczonej blizną twarzy pojawił się uśmiech, rozciągający wargi po tej stronie, po której mogły się poruszać.

— Zamknij paszczę, Roger.

— Jesteś...

— Tym, co i ty, tak. Nie uciekniesz przede mną, przechodząc na drugą stronę. Nadal czekam na zapewnienie, że mnie nie skrzywdzisz.

Nagle wydało mi się to śmieszne. Dwaj żywi mężczyźni w krainie Umarłych. Obaj dysponowaliśmy talentami daleko wykraczającymi poza możliwości zwyczajnych ludzi i wiedzieliśmy, że Umarli kontynuują egzystencję, choć w postaci, która nie pociągała żadnego z nas — a od chwili wybuchu wojny nawet ona przestała być pewna — a mimo to kłóciliśmy się o obrażenia, jakie mogła spowodować cudzoziemska broń. Gdyby Leo Tollers zamierzał mnie zastrzelić, już by to zrobił. Nie byłem w stanie przed nim uciec, musiałem więc tolerować jego obecność, choć nadal nie rozumiałem, dlaczego miałby wierzyć w moje zapewnienia.

— Obiecuję, że cię nie skrzywdzę — rzekłem.

— W porządku. — Opuścił lufę strzelby, ale nie zawiesił jej na plecach. Nagle zauważyłem, co tam ma. To była lutnia. Z pewnością właśnie ją trzymał w rękach, gdy zauważyłem go po raz pierwszy. — Nie podoba mi się tu — stwierdził, rozglądając się wkoło. — Nigdy mi się nie podobało. Wracajmy.

— Zgoda.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Ja pierwszy pojawiłem się w krainie żywych. Łowca zwinął się na moim płaszczu i zasnął. Ładny z niego obrońca! Przez chwilę nie byłem pewien, czy Leo rzeczywiście przejdzie za mną, ale wkrótce się pojawił. Był błydy i wyglądał niezdrowo.

— Nie znoszę tego.

Nie odpowiedziałem. Pewnie, że tego nie znosił. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by jakikolwiek hisaf mógł lubić przechodzenie na drugą stronę grobu. Leo jednak sprawiał wrażenie znacznie bardziej wstrząśniętego, niż kiedykolwiek mi się to zdarzyło. Spływał po nim pot, wolną ręką trzymał się za zapadnięty brzuch, w drugiej nie przestając ścisnąć strzelby. Sprawiał wrażenie powstrzymującego mdłości. Przyglądałem się temu, poddając go ocenie: z natury wrażliwy i bojaźliwy mężczyzna, który musiał wyęźać wolę, by wykonać związane ze mną zadanie. Na czymkolwiek mogło ono polegać.

W końcu udało mu się odzyskać panowanie nad sobą.

— Czego ode mnie chcesz? — zaryzykowałem pytanie.

— Przekazać ci wiadomość. Ale najpierw... czy masz wodę?

Wręczyłem mu bukłak z koziej skóry, wypełniony przy źródle bijącym zaledwie kilka stóp za jego plecami. Najwyraźniej nie przywykł do podróżowania; nikt nie wyrusza w drogę bez bukłaka. Napił się do syta, aż woda skapywała z jego ust po naznaczonej blizną stronie. Potem otarł wargi grzbietem dłoni.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. A teraz, kto cię przysłał?

— Należę do Bractwa hisafów walczących z Wrzosowiskiem Duszorośli. Podejrzewam, że już o tym wiesz.

Nie wyglądał na wojownika.

— Jak się dowiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

— Oni to wiedzieli.

— Skąd?

— Nie mam pojęcia.

— Czy powiedzieli ci, po co masz mnie śledzić?

— Żeby ci przekazać wiadomość od ojca.

To było jak fizyczny cios. Gdy Leo mi się przyglądał, na jego pokancerowanej twarzy znowu pojawił się wykrzywiony, połowiczny uśmiezek.

— Od ojca? — zapytałem. — Z...

— Tak. Nadal jest uwięziony w Galtryf. Ja też tam byłem, ale uciekłem. Rawley nie mógł tego zrobić.

Rawley. Po raz pierwszy usłyszałem imię swego ojca. Rawley i Katharine, matka Rogera i drugiej Katharine, mojej przyrodniej siostry, którą zabiłem. Rawley, który porzucił moją matkę, a również mnie. Dwukrotnie.

— Roger? — odezwał się Leo, — Nie chcę żadnych wiadomości od ojca — oznajmiłem tonem brutalniejszym, niż było to moim zamiarem.

— Fatalnie się składa, bo przysłał ci to.

Leo wydobył z kieszeni małą paczuszkę, owiniętą w szorstką tkaninę, taką samą jak ta, z której uszyto jego bluzę. Wyciągnął rękę. Nie przyjąłem pakunku.

— Jeśli tobie udało się uciec z Galtryf, czemu mój ojciec nie może tego zrobić? Hisafowie potrafią teraz przechodzić na drugą stronę cieleśnie... — Przed chwilą obaj to uczyniliśmy. — ...jak więc kamienne mury mogą go powstrzymać? Albo kogokolwiek z waszego Bractwa?

— Mury nie mogą. Odkąd cielesne przechodzenie stało się możliwe, a sądzę, że wiesz, jak wiele miałeś wspólnego z tą zmianą, Rogerze Kilbourne, wielu z nas uciekło, w tym również ja. Rawleya jednak powstrzymano groźbą, że jeśli opuści Galtryf, skrzywdzą twoją matkę.

— Moją matkę! Ona nie żyje!

Miałem ochotę go uderzyć tylko za to, że o niej wspomniał. Ostatnio widziałem ją w krainie Umarłych, pośrodku jednego z tych przeklętych kręgów.

— Kto jak kto, ale ty z pewnością wiesz, co można uczynić Umarłym, prawda? Sam zrobiłeś to wielu. Wyjęci spod prawa hisafowie zagrozili, że przeniosą twoją matkę do krainy żywych, gdzie spędzi dwa tygodnie, nim obróci się w nicość i utraci szansę na wieczność. Tak samo jak armia Niebieskich, którą sprowadziłeś z powrotem, jak lady Cecilia...

— Przestań!

Posłuchał mnie, ale uniósł strzelbę, zaniepokojony moim gniewnym tonem. Łowca obudził się i spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Pies nie miał nic przeciwko Leo, co sugerowało, że mężczyzna mówi prawdę, zapewniając, że nie życzy mi źle. Mimo to moja niechęć do niego się nasiliła. Wtem jednak jego gorejące, ciemne oczy złagodniały. Pojawił się w nich wyraz współczucia.

— Wybacz, Roger — rzekł z łagodnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał. — Ja też straciłem matkę i to całkiem niedawno. A zaraz potem zrobili mi to — dodał, dotykając paskudnej blizny na twarzy.

Dawał mi szansę zmiany tematu, odejścia od bolesnej dla mnie kwestii.

— Jak to się stało? — zapytałem.

— Szczuli borsuka. Ale zamiast psa użyli mnie.

Takie zabawy urządzano na najdzikszych jarmarkach, na które zabierał mnie Hartah. Borsuka umieszczano na umieszczonym w zagłębieniu placyku, na który potem opuszczano psa, żeby z nim walczył. Zawierano zakłady. Dorosły borsuk, trzydzieści pięć funtów gniewu i przerażenia, o ostrych zębach i potężnych pazurach, często wygrywał, zabijając przeciwnika. Leo był większy od psa, ale znacznie gorzej wyposażony do walki, nawet jeśli dano mu nóż. Przyjrzałem się jego twarzy. Mam zbyt bujną wyobraźnię; ujrzałem całą scenę z jej grozą i okrucieństwem. W połączeniu ze współczuciem, które mi przedtem okazał, sprawiło to, że go pożałowałem.

— Przykro mi, że musiałeś znieść coś takiego — rzekłem zażenowany.

Wzruszył ramionami.

— W Galtryf Rawley był dla mnie dobry. Dlatego obiecałem, że ci to przekażę.

Znowu podsunął mi paczuszkę i tym razem ją przyjąłem. Rozwiązałem sznurek, a potem zdjąłem tkaninę.

To był miniaturowy portret mojej matki. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem. Miała lawendową suknię, a we włosach wstążki tego samego koloru. Brązowe oczy i włosy, tak samo jak u mojej przyrodniej siostry, choć oczy siostry były ciemniejsze. Moja siostra...

— Roger? — odezwał się Leo z delikatnością w głosie.

— Nie chcę tego. Proszę, weź go z powrotem. Dobrze pamiętam matkę i bez portretu. Po co ojciec mi go wysłał? Nic już nas ze sobą nie łączy!

— Dlaczego tak go nienawidzisz?

— Obiecał mnie uratować, ale tego nie zrobił!

Na twarzy Leo pojawiły się bruzdy.

— Nie mógł tego zrobić, bo dostał się do niewoli. Z pewnością powinieneś wziąć to pod uwagę.

Tak. Nie. Rzecz jasna, człowiek, który siedział w więzieniu, nie mógł uratować kogoś, kto przebywał na wolności... ale polegałem na jego obietnicy, trzymałem się jej podczas długich tygodni, gdy wieziono mnie za góry, do królestwa dzikusów, i musiałem uczyć Młodego Wodza tego, czego nie można się nauczyć. Za cały strach i bezradność, jakie wtedy przeżyłem, obwiniałem ojca, który nalegał, bym ja, siedemnastoletni chłopak, podjął się tej beznadziejnej misji. Na jej koniec Tom Jenkins, mój jedyny przyjaciel, zginął w walce. Nie ufałem ojcu, który porzucił matkę i mnie. Nie wierzyłem już też w jego zapewnienia, że chodziło mu tylko o nasze bezpieczeństwo. Był poszukiwaczem przygód, a my ofiarami tej jego pasji. Nie potrafiłem mu wybaczyć i nie ufałem mu. W pamięci wciąż czułem cios, który zadał mi w pałacowym lochu.

— Ta miniatura to znacznik, prawda? Żeby wasze „Bractwo” zawsze wiedziało, gdzie jestem.

— Nie wiem — odparł Leo z zaskoczoną miną.

— Myślałem, że jesteś członkiem tego Bractwa.

— Jestem. Ale to jeszcze nie znaczy, że wszystko mi mówią.

Potrafiłem w to uwierzyć. Leo Tollers — chudy, lękliwy i szczerze owinięty płaszczem, choć letnia noc wcale nie była taka zimna — sprawiał wrażenie kogoś całkowicie nieudolnego, komu nikt nie powierzałby ważnych informacji. Zapewne nie wiedział, czy miniatura jest znacznikiem, ale najprawdopodobniej nim była. Spojrzałem raz jeszcze na podobiznę matki, owinałem miniaturę w tkaninę i oddałem ją Leo.

— Co mam z nią zrobić? — zapytał. Współczucie w jego głosie ustąpiło miejsca zrzędlivości.

— Nie mam pojęcia.

Łowca ciągle przenosił spojrzenie z jednego na drugiego z nas, zdziwiony ostrym tonem naszych głosów. Nagle mina Leo znowu się zmieniła.

— Czy mogę tu spać dziś w nocy? Obok ciebie i twojego psa?

— Pewnie tak.

Równie dobrze mogliśmy rozstać się rano.

— Boję się zostać sam.

— W porządku.

Krępowwała mnie jego bojaźliwość i skłonność do samoponizowania się. Poprzednio moimi towarzyszami wędrówki byli Tom Jenkins, zuchwały i pewny siebie, oraz Jee, umiejętnością przetrwania dorównujący głazowi.

— Dokąd idziesz, Roger?

— Na wschód.

To przynajmniej było oczywiste.

— Ale dokąd?

— Śpij, Leo.

— Czy mogę pójść z tobą?

— Nie.

Obrzucił mnie przygnębionym spojrzeniem. Jego pokancerowana twarz wyglądała groteskowo w blasku księżyca.

— Nie mam dokąd pójść.

— Słyszę to z przykrością, ale nie możesz iść ze mną.

— Czy chcesz poszukać pracy w jakimś gospodarstwie?

Nie odpowiedziałem. Położyłem się na ziemi i otuliłem szczelniej płaszczem. Mimo to napięcie przeszło mnie z gwałtownością błyskawicy. Pytania Leo sugerowały, że Bractwo hisafów nie wiedziało o Maggie i o moim synu. Czy to była prawda?

Kobiety z sieci wiedziały. „Jest naszą ostatnią nadzieją”. Moja siostra również wiedziała. „To twoje dziecko jest wybrańcem! Twój syn!” Ale ona odeszła na zawsze, a kobiety z sieci i hisafowie spierali się ze sobą o strategię walki z Wrzosowiskiem Duszorośli. Nie rozumiałem istoty tego konfliktu. Byłem przekonany, że Bractwo nie wie, dokąd zmierzam, i nie słyszało o moim nienarodzonym synu, czekałem jednak w mroku, aż Leo powie coś, co zaprzeczyłoby temu przekonaniu. A gdyby to zrobił? Co bym wówczas uczynił?

— Może masz innych krewnych, którzy cię przyjmą? — zapytał z pokorą w głosie. — Wujka albo brata?

— Nie mam.

— Ja też nie. Być może dwóch okaleczonych młodzieńców razem znajdzie robotę łatwiej niż każdy z nich z osobna? Moglibyśmy zaproponować, że będziemy pracować za dwóch w zamian za płacę jednego.

Umilkł, czekając, aż się zgodzę. Nie zrobiłem tego. Minuty ciągnęły się nieprzyjemnie. Byłem przekonany, że w końcu da za wygraną i zaśnie, ale on mnie zaskoczył.

— Chciałbyś usłyszeć, jak śpiewam i gram na lutni?

Nie mogłem odmówić, nie po tym, jak odrzuciłem jego znacznie poważniejszą prośbę, nie zgadzając się, by mi towarzyszył.

— Dobra — burknąłem nieuprzejmie. Z serią głośnych westchnień wyciągnął lutnię z torby z impregnowanej tkaniny, a potem brzęknął kilka razy w struny, by nastroić instrument. Kiedy zaczął śpiewać, usiadłem i wytrzeszczyłem oczy ze zdziwienia.

Głos miał zdumiewająco czysty i klarowny, męski, ale słodki jak u dziewczęcia. Smętna piosenka o utraconej miłości była całkiem zwyczajna,

ale śpiew Leo brzmiał niezwykle. Na dworze słyszałem wielu muzyków. Żaden z nich nie mógł się z nim równać.

Nawet gdy zbiegniesz na wzgórze,

Nie umkniesz przede mną, miła.

Twe serce, najdroższa, jest moje, Choćbyś kształt jego zmieniła.

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

Uczyń, co zechcesz i możesz,

Zastosuj sztuczki ci znane.

Ja zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

Leo uniósł wzrok i w blasku księżycy przesączającym się między gałęziami dębu spojrział mi prosto w oczy. *Nigdy nie przestanę podążać za tobą...* Nie mogłem oderwać spojrzenia od jego nieruchomych oczu i znowu dostrzegłem płonący w nich ogień, taki sam jak wtedy, gdy po raz pierwszy skierował na mnie strzelbę. *Zawsze będę dla ciebie jak ogar, co ściga łanię...*

Wtem Leo parsknął śmiechem.

— To tylko piosenka, Roger. Prawda?

Odłożył lutnię, położył się na ziemi i zapadł w sen.

Ale ja długo nie mogłem zasnąć.

Wędrowaliśmy razem jeszcze przez jeden dzień. Narzuciłem mordercze tempo, wykorzystując w pełni świeżo odzyskane siły. Chciałem maksymalnie zmęczyć Leo, by zasnął głęboko. Nim zachorowałem, wzmocniły mnie miesiące wędrówki przez góry, a nie ulegało wątpliwości, że Leo w ogóle nie przywykł do ruchu. Urodził się na muzyka albo uczonego. Dlaczego Bractwo jemu kazało mnie śledzić? Musiał istnieć jakiś powód. Musiałem go poznać.

— Przed nami... jest wioska — wydyszał mój towarzysz. — Czy moglibyśmy... zatrzymać się... na ale?

— Nie mam pieniędzy — skłamałem.

— Ja mam.

— W takim razie ty możesz się zatrzymać. Ja pójdę dalej.

Łypnął na mnie spode łba. W jego ciemnych oczach znowu błysnęły gorące uczucia, zawsze czające się pod powierzchnią. Przyśpieszyłem kroku. Dotrzymywał mi go z trudem i w ten sposób minęliśmy maleńką osadę. Kłopoty z zapadającymi w trans dziećmi najwyraźniej tu nie dotarły.

Za wioską rozpościerały się pola, które następnie ustąpiły miejsca porośniętym koniczyną pastwiskom, gdzie pasły się owce, a później pofałdowanym wzgórzom, usianym wielkimi zagajnikami. Trakt, z pewnością mało tu uczęszczany, przeszedł w zwykłą ścieżkę. Długie popołudnie było ciepłe i wonne. Nigdzie w Reginokracji nie mogłoby być piękniej. Dzikie wiśnie oraz śliwy obsypało różowe i białe kwiecie. Słowiki wróciły z zimowisk. Na koniec, gdy nadszedł zachód słońca o delikatnych, różowozłoty odzieniach, zszedłem z drogi, by rozbić obóz nad głośno

szumiącym strumieniem o brzegach porośniętych sitowiem. Rosły tam też wierzby płaczące. Ich gałęzie zanurzały się w wodzie, a przesączające się przez listowie światło nabierało zielonego odcienia. Postawiłem moją paczkę pod potężną wierzbą, a Leo osunął się z jękiem na ziemię.

— Łowca, szukaj! — rozkazałem. Pies oddalił się biegiem. — Leo, zbierz trochę gałązek na ognisko.

— Nie dam rady. Nie jestem w stanie się ruszyć.

Prychnąłem pogardliwie i oddaliłem się od wierzby.

Kiedy wróciłem z gałązkami, przekonałem się, że Leo wyjął lutnię i brzdąka na niej cicho. Całe jego ciało ociekało zmęczeniem.

— Myślisz, że dasz radę się zdobyć na obdarcie królika ze skóry, gdyby Łowca go przyniósł? — zapytałem z sarkazmem.

— Ty to zrób, Roger. Ja rozpalę ognisko.

— Tylko się nie przemęcz.

Skierował na mnie gorejące oczy.

— Nic nie poradzę na to, że nie jestem silny.

— To prawda. Ale w takim razie czemu się zgodziłeś przynieść mi tę miniaturę?

— Już ci mówiłem. Twój ojciec dobrze mnie traktował w Galtryf.

Rozpaliłem ognisko, podczas gdy Leo odpoczywał.

— A więc poznałeś mojego ojca w Galtryf — odezwałem się wreszcie.

— Już o tym mówiłem.

Leo odłożył lutnię i wyciągnął się na ziemi.

— A co to jest „Galtryf”?

— To stary zamek, wykorzystywany przez Bractwo jako kwatera główna.

— Jak się tam znalazłeś?

— Pojmano mnie podczas wojny, którą toczyliśmy przeciwko Wrzosowisku Duszorośli.

Dotarliśmy do informacji, którą chciałem usłyszeć. Łowca wrócił z królikiem. Wziąłem go z jego pyska, wyjąłem nóż i zacząłem ostentacyjnie obdzierać zwierzę ze skóry, oszczędzając Leo tego zadania. Chciałem, by poczuł się moim dłużnikiem.

— A na czym polegało twoje zadanie podczas tej wojny?

— Byłem przynętą — odpowiedział po długiej chwili.

— Przynętą?

— Nie masz pojęcia, jak się prowadzi wojnę, prawda?

— Opowiedz mi.

— Nie opowiem ci zbyt wiele, bo sam mało wiem. Nim odnalazło mnie Bractwo, mieszkałem we dworze lorda Jaspera Vincenta, na północno-zachodnim pograniczu Reginokracji, w górach nieopodal granicy z krajem królowej Isabelle. Byłem tam muzykiem. A także kuchcikiem i złotą rączką. Robiłem wszystko, co uważano za leżące w zasięgu wątych sił takiego słabeusza jak ja.

Jego głos był pełen goryczy.

Potrafiłem sobie wyobrazić odległy dwór na pustkowiach. Paziowie i młodzi lordowie, dzicy jak okoliczny krajobraz, z pewnością nie traktowali wyrozumiale chłopaka takiego jak Leo.

— Czy to tam urządzono tę walkę z borsukiem?

— Tak. Moja pani, lady Judith, brała ślub z bogatym gburem z reginokracji Jej Miłości królowej Isabelle. Ucztowano i pito przez trzy dni. Trzeciej nocy te miłe, wesołe chłopaki...

Palce młodzieńca dotknęły blizny, jakby bez udziału jego woli.

— Leo, czy starsi szlachcice nie dostrzegali twojego talentu? Nie cenili go?

— Ta zgraja nie potrafiłaby rozpoznać talentu do niczego poza walką i chodzeniem na dziwki. Poza jedną lady Judith. Wydano ją wbrew jej woli za tego... tego głąba... miała takie słodkie serce i piękne...

Jego głos przybrał niższą tonację. Przepajały go uczucia. Wiedziałem, co słyszę. Sam kiedyś czułem to samo. Leo Tollers, ośmieszana i kopana ofiara okrutnych figli, zakochał się w szlachetnie urodzonej dziewczynie, której nigdy nie mógłby zdobyć.

— Dlaczego nie przeszedłeś na drugą stronę, żeby uciec przed borsukiem? — zapytałem.

— Zrobiłem to. Ale wtedy wyłom w barierze między krainą żywych a krainą Umarłych nie był na tyle szeroki, żeby można było pokonać ją fizycznie. Moje ciało zostało po drugiej stronie i zostałem okaleczony. Co więcej... nie znoszę tego robić. Jak możesz przechodzić tak beztrąsko? Droga przez grób... Zadrzał.

— Czy to nie czyni cię osobliwym kandydatem do tego Bractwa hisafów?

— Ocalili mi życie — odparł ostrym tonem. — Jeden z nich akurat przebywał we dworze lorda Jaspera. Powstrzymał zabawę młodych paniątek i uratował mnie, a po tygodniu wrócił z zapasowym wierzchowcem i zabrał mnie stamtąd.

— A jak trafiłeś do Galtryf ?

— Nie chcę o tym mówić.

Pochylił się nad lutnią, brzdąkając i strojąc instrument. Wyciągnąłem rękę i położyłem dłoń na szyjce.

— Wiem, że nie chcesz, Leo, ale muszę się tego dowiedzieć. Nie pojmuję tej wojny, a skoro Bractwo mnie znalazło, jestem zmuszony ją zrozumieć. Dlaczego wysłano cię do mnie? Nie chcę mieć nic wspólnego z

tym konfliktem. Kobiety z sieci powiedziały, że nie powinienem się do niego mieszać.

Leo zaklął tak szpetnie, że aż się zdumiałem.

— „Kobiety z sieci”! Te stare wiedźmy! O mało nie przegraliśmy wojny przez to ich gadanie o sieci życia i śmierci i przez ich tchórzliwe opory przed zabijaniem czegokolwiek!

Te słowa zabrzmiały dziwnie, jako że Leo nie sprawiał wrażenia zbyt odważnego. Być może jednak nie uważał się za tchórze. Mężczyźni rzadko się przyznawali do braku odwagi. Zignorowałem jego gniew na kobiety z sieci i wróciłem do swego pytania.

— Co próbuje osiągnąć Bractwo? I dlaczego jesteś ze mną?

Z pewnością nie miał być moim obrońcą. Gapił się na mnie długo w słabnącym świetle pod wierzba.

— Bractwo chce zabić wszystkich hisafów, którzy czynią możliwymi obrzydliwości, do jakich dochodzi na Wrzosowisku Duszorośli. Myślę, że o nich wiesz. Byłeś tam.

Byłem. Dwa razy. Ledwie zdołałem uciec żywy.

— Ilu hisafów opowiedziało się po stronie Wrzosowiska Duszorośli?

— Nie wiem.

— A ilu Bractwo zdołało zabić?

— Nie wiem.

— Czego ode mnie chcą?

— Chcieli tylko dowiedzieć się, gdzie jesteś.

— Po co?

— Nie wiem.

— Przyniosłeś mi ten znacznik, żeby można mnie było zlokalizować w każdej chwili, ale nie wiesz po co?

Ogarnęła go złość.

— Już ci mówiłem, że jestem tu tylko dlatego, że twój ojciec był dla mnie dobry! Ta wojna wcale nie obchodzi mnie bardziej niż ciebie! Ale muszę żyć i jeść, tak samo jak inne zwierzęta!

Złapał za lutnię i zaczął wygrywać na niej ostre, gniewne tony. Zrozumiałem, że dziś nie powie mi już nic więcej, i oddaliłem się od wierzby, by zgromadzić więcej drewna.

Szukając spadłych gałęzi, zastanawiałem się nad opowieścią Leo. Niektóre jej fragmenty nie trzymały się kupy. Gdyby rzeczywiście zaprzyjaźnił się z moim ojcem w Galtryf, to czy nie wiedziałby więcej, niż utrzymywał? A jeśli Bractwo raz już go uratowało, we dworze lorda Jaspera, to czy nie dbałoby o to, by mógł „żyć i jeść, tak samo jak inne zwierzęta”, zamiast kazać mu zanieść do mnie znacznik? Do tego zadania nadawał się wyjątkowo kiepsko. Nie czułem się usatysfakcjonowany tym, co mi powiedział, a jego bezradność nie skłaniała mnie do wystarczająco wielkiej litości, postanowiłem więc uwolnić się od niego. Natychmiast. Dziś w nocy.

Nie było księżycy, ale gwiazdy świeciły jasno: Płacząca Kobieta, Kot, Koło Wozu, Gwiazda Południa. Leo, zmęczony szybkim tempem, jakie utrzymywaliśmy przez cały dzień, zasnął głęboko. Jego zapadnięta pierś unosiła się i opadała, a z wąskiego nosa nad zmasakrowanymi ustami wydobywało się ciche świstanie. Łowca również spał, zwinięty ciasno jak kawałek sznura. Wiedziałem jednak, że pies się obudzi, gdy tylko nadepnę na gałązkę, a może nawet, kiedy wstanę. Dlatego odszedłem w jedyny sposób, jaki mi pozostał. Dźgnąłem się w udo nożykiem do golenia i zapragnąłem przejść na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Stałem w krainie Umarłych. Okolica wyglądała tak samo jak ta, którą opuściłem, pomijając rzadką mgiełkę, a i ta najwyraźniej stawała się rzadsza w miarę, jak zbliżałem się do drogi — czy raczej do miejsca, gdzie by się znajdowała, gdyby po tej stronie były drogi. Miałem zamiar przez kilka godzin iść prosto przed siebie. Jeśli Leo się obudzi, nie będzie wiedział, w którą stronę się oddaliłem, nawet jeśli zdobędzie się na to, by przejść za mną na drugą stronę. A kiedy wreszcie wrócę do krainy żywych, będę za daleko, by Łowca mógł mnie wywęszyć.

Gdy tylko wyszedłem z lasu na szerokie pole, zobaczyłem Umarłych. Siedzieli pojedynczo i dwójkami w miejscach, gdzie zakończyli życie, luźno rozrzucony po okolicy. Gapili się w pustkę, a ich spokojne twarze nic nie wyrażały. Nie było wśród nich starych kobiet, a z reguły tylko je udawało mi się wyrwać z transu. Zresztą i tak nie mogłyby mi powiedzieć nic, co chciałbym usłyszeć. Wlokłem się przed siebie.

W krainie Umarłych panuje wieczna cisza. Z reguły mi to nie przeszkadza; najczęściej w ogóle nie zwracam na to uwagi. Teraz jednak milczenie przygniatało mnie swym ciężarem, równie przygnębiającym jak niebo barwy ołowiu i słabe, niezmiennie światło. Zacząłem nucić, a potem śpiewać. Z moich ust popłynęły niepokojące słowa piosenki Leo.

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

No cóż, ja zdołałem zgubić swoje ogary. Oba. Za tydzień będę z Maggie. Wezmę ją w ramiona, poczuję na policzku dotyk jej jasnych loków,

przetrzynam zasłużone wyrzuty za to, że ją porzuciłem — zapewne powtórzą się wiele razy — a potem zaczniemy wspólne życie z naszym synem. Maggie, która zawsze kochała mnie bardziej, niż na to zasługiwałem, i...

Na granicy mojego pola widzenia coś zamigotało.

Zatrzymałem się i wpatrzyłem w jasną mgłę. Na ziemi, w umiarkowanej odległości, pojawił się jakiś przedmiot. Potem zniknął i pojawił się znowu. Był nieduży, nie większy od bochna chleba. Serce zabiło mi mocno w piersi.

Czy powinienem wrócić do krainy żywych? Mogłem jeszcze się nie oddalić poza zasięg wężu Łowcy.

Podszedłem ostrożnie do obiektu. Znowu zniknął. Gdy dotarłem na miejsce, nie znalazłem nic.

Ale przed chwilą coś tu było. W tej kranie nigdy nie pojawiało się nic poza...

— Uaaaaaaa!

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, gdy obiekt wrócił. Tym razem nie mogło być wątpliwości, z czym mam do czynienia. To było niemowlę, o buzi czerwonej od płaczu. Wlepiało we mnie niebieskie oczy, moje nozdrza atakował smród brudnej pieluszki, a oburzone krzyki przeszywały uszy. Potem znowu zniknęło. Wszystko zrozumiałem.

To był niedawno narodzony hisaf, niezdolny jeszcze zapanować nad przechodzeniem przez barierę grobu. Kiedy ja byłem w jego wieku, podobne przejścia zapewne przytrafiały mi się głównie w snach. Wówczas hisafowie nie potrafili jeszcze przejść cieleśnie do krainy Umarłych. Z pewnością zdarzały się chwile, gdy jako niemowlę leżałem pogrążony we śnie, niespokojny z powodu gorączki wywołanej jakąś dziecięcą chorobą, dręczony bólem głowy, brzucha albo gardła. Tego tylko potrzeba — bólu

oraz swego rodzaju popłynięcia z prądem paradoksalnie będącego również aktem woli. Niemowlęta nie panują nad swoją wolą. Nie przypomniałem sobie, bym przeszedł na drugą stronę, nim skończyłem sześć lat.

To dziecko z pewnością było znacznie młodsze i nie spało. Nie spało i dręczył je dziecięcy ból wywołany głodem, chorobą brzucha albo strachem. Możliwości hisafów rosły wraz z poszerzaniem się wyłomu między krainą żywych a krainą Umarłych.

Co widziała jego matka, kiedy się nim opiekowała? Czy zdawała sobie sprawę, dokąd przechodzi jej dziecko? Czy potrafiła to zaakceptować? Wyobraziłem sobie straszliwy konflikt między macierzyńską miłością a strachem przed czarami. Ale nie, ojciec tego dziecka musiał również być hisafem. Matka niemowlęcia, podobnie jak moja, z pewnością wiedziała, kim się stanie jej syn.

Wyciągnąłem zdrową rękę do dziecka, które krzyknęło głośniej, a potem zniknęło i już się nie pojawiło. Najwyraźniej jego matka się obudziła, podeszła do kołyski, której nie widziałem, i zajęła się synkiem. Po tej stronie dostrzegałem niewielu Umarłych, rodzice małego hisafa z pewnością więc mieszkali w odludnej okolicy. Być może chcieli w ten sposób chronić chłopca, podobnie jak moja matka ongiś chroniła mnie.

Nagle zapragnąłem ujrzeć ją znowu — żywą, jak wtedy, gdy miałem sześć lat, nie taką, jaka była teraz — tak mocno, że oczy zaszkły mi łzami. Tęsknota za matką, niestosowna w moim wieku, szybko przeszła w tęsknotę za Maggie. Już niedługo.

Po kolejnej mili czy dwóch Umarli stali się liczniejsi. Po drugiej stronie z pewnością była tu wioska. Potem, przy wartkim potoku u podstawy wzgórza, natrafiłem na coś, co już kiedyś widziałem i miałem nadzieję, że już nigdy więcej tego nie ujrzę.

Wielki krąg Umarłych — trzydziestu, może trzydziestu pięciu — zwróconych twarzami ku środkowi. Mieli na sobie ubrania z wielu różnych epok, odpowiednie do rozmaitych pór roku: barwioną wełnę, płócienne koszule, ciężkie, prosto uszyte futra, staromodne fortugały, zbroje z brązu, wystrzępione koszule nocne. Starzy mężczyźni, małe dziewczynki, młode kobiety, dorastający chłopcy, żołnierze — głowy wszystkich spowijała gęsta, ciemna mgła zasłaniająca twarze. Pośrodku kręgu znajdował się wir jeszcze ciemniejszej mgły. Obracał się coraz szybciej, aż wreszcie zaczął brzęczeć. Po chwili ów dźwięk stał się tak donośny, że zakryłem uszy dłońmi. W tym samym momencie zerwałem się do biegu.

— Nie! Nie! — krzychałem, ale oczywiście nie było tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć. Zresztą te słowa były głupie. Nie byłem w stanie powstrzymać grozy, która miała się wydarzyć! Wir ciągle przyśpieszał, aż wreszcie rozległ się ogłuszający huk, jakby w ziemię uderzył piorun. Wszyscy Umarli zniknęli razem z wirem.

Po prostu zniknęli.

Osunąłem się na ziemię. Lekka mgła unosząca się nad ziemią również się rozwiała. Sięgałem wzrokiem na odległość wielu mil, widziałem góry i doliny krainy Umarłych. Tam, gdzie przed chwilą był krąg czekających na wieczność, nie dostrzegałem jednak nic. Trawa nawet się nie przypaliła. Mogłoby się zdawać, że nigdy nikogo tu nie było. Ludzie z Wrzosowiska Duszorośli, obecni w wirze na sposób, którego nie rozumiałem, wessali moc Umarłych. Unicestwili zarówno ich ciała, jak i dusze. Ci, którzy siedzieli w kręgu, przestali istnieć, na zawsze utracili szansę na wieczność.

Ja również cisnąłem swą szaloną przyrodnią siostrę do takiego kręgu, ograbiając ją z wieczności. Ale to było co innego. Wrzosowisko Duszorośli wykorzystywało ją do zabijania niewinnych i robiłoby to nadal. Próbowwała

wytropić mojego nienarodzonego syna. Natomiast ci, którzy zniknęli w kręgu, byli niewinni. Spokojni, bezmyślni Umarli niezagrażający nikomu.

Nie wiem, jak długo siedziałem na ziemi, gapiąc się bezmyślnie przed siebie, jak sami Umarli. W końcu jednak wziąłem się w garść i wstałem. Za moimi plecami ktoś jęknął.

Odwrociłem się tak szybko, że omal nie straciłem równowagi.

— Kto tam?

Kolejny jęk, tym razem bliższy. Poszedłem w tamtą stronę i znalazłem leżącego za krzakiem mężczyznę. Nie wiedziałem, czy śpi, czy jest ciężko chory, ale jedno było pewne: nie umarł. Wyciągnąłem wielki nóż. Jeśli przybył tu żywy, musiał być hisafem. Ale po której stronie walczył? Jęknął głęboko i otworzył oczy. Były jaskrawozielone.

„Wysoki mężczyzna o czarnej brodzie i zielonych oczach... zaczarował nasze dzieci w Stonegreen...”

Brodacz spojrzał na mnie i sięgnął po broń, ale ledwie mógł się ruszyć. Klęknąłem obok niego, szybko znalazłem i skonfiskowałem dwa noże, a potem przyłożyłem mu własny nóż do gardła.

— Kim jesteś?

Łypnął na mnie z nienawiścią i spróbował coś powiedzieć, ale zdołał wydobyć z siebie tylko ochrypy, niezrozumiały szept.

Do mojego umysłu nieproszone napłynęły słowa Matki Chilton: „Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?”. Mówiła o kobietach z sieci, które zamieniły się w ptaki, by mnie uratować, i omal nie umarły z wysiłku towarzyszącego transformacji. Ale hisafowie nie potrafili się zamieniać w zwierzęta. Za jaki uczynek płacił ten mężczyzna? Wiedziałem, że do utworzenia wiru okradającego Umarłych nie potrzeba hisafa.

— Co tu uczyniłeś? — zapytałem. — Powiedz albo cię zabiję.

Uśmiechnął się. To był słaby uśmieszek — usta między czarną brodą i nastroszonymi wąsami rozciągnęły się tylko odrobinę — niemniej jednak pozostawał uśmiechem. W jego zielonych oczach lśniła pogarda. Zrozumiałem, że nie wierzy, bym był zdolny do morderstwa.

Miał rację.

Zabiłem Hartaha, ale zrobiłem to pod wpływem chwili, pełen strachu i niespodziewanej żałoby po śmierci ciotki Jo. Zamordowałem też siostrę, ale ona była winna śmierci dwóch bliskich mi osób, a także stanowiła zagrożenie dla mnie i dla mojego syna. Wbicie noża w gardło nieznanego wykraczało poza moje możliwości. Brakowało mi twardości albo odwagi. Nawet nie potrafiłem odgadnąć czego.

— Co kosztowało cię tak wiele sił? — zapytałem więc gwałtownie, ale bezcelowo.

Znowu ten pogardliwy uśmieszek.

— Co zrobiłeś tym dzieciom w Stonegreen?

Tym razem odwrócił ode mnie głowę. Musiał włożyć w to wszystkie siły i zamknął oczy z wyczerpania.

Związałem mu ręce i nogi resztką sznura Toma Jenkinsa. Jego większą część ukradły okropne bachory Johna Małego, by wykorzystać go do swoich zabaw. Szkoda, że ich nie wprowadzono w spokojny trans!

Hisaf nie odzyskał sił, kiedy go krępowałem. Gdy się zastanawiałem, co z nim zrobić, usłyszałem kolejny dźwięk. Coś wpadło w zarośla nad strumieniem — coś poruszającego się szybko w miejscu, gdzie nie powinno być żadnego ruchu. Słyszałem już kiedyś taki dźwięk, chwilę po tym, jak cisnąłem siostrę w wir. Wtedy nie wiedziałem, co to było, ale uznałem, że to kolejni hisafowie, zmierzający jej na ratunek. Nie zamierzałem czekać, by przekonać się o tym na własne oczy. Uniosłem obiema rękami

bezwładne ciało związanego hisafa, ugryzłem się w język tak mocno, że usta wypełniła mi krew, i przeszedłem na drugą stronę.

Znaleźliśmy się wewnątrz jakiegoś budynku. Słabe światło, jeszcze słabsze niż w krainie Umarłych, sączyło się do środka przez dwa bardzo brudne okna. Gdy moje oczy przywykły do półmroku, zorientowałem się, że jestem w młynie, z pewnością zbudowanym nad wartkim potokiem, który zauważyłem po drugiej stronie. Wielki kamień młyński się nie obracał; w młynie nikogo nie było. Szerokie wrota, przez które do środka mogły wjeżdżać wozy z ziarnem, zamknięto. Na zewnątrz rozbrzmiewały jednak krzyki i wrzaski, wystarczająco głośne, by przebijać się przez szum strumienia.

— Dzieci!

— ...zaczarowane...

— Pomóżcie mi! Niech ktoś pomoże mojemu dziecku! Och, błagam, pomóżcie!

A więc to wydarzyło się również tutaj. Czarnobrody hisaf ukradł dzieci, tak samo jak w Stonegreen, pozostawiając je w stanie zawieszenia między życiem a śmiercią. W tej chwili mógłbym niemal go zabić, ale przecież wieśniacy zrobią to za mnie. Mieli do tego prawo. Jeśli jednak złapią nas razem, mnie również uśmiercą.

Wyplułem wypełniającą mi usta krew i zwróciłem się ku dwóm brudnym oknom wychodzącym na potok. Otworzyłem jedno z nich i wygramoliłem się na wąską ziemną półkę między ścianą młyna a strumieniem. Niebo przybierało już czerwoną barwę letniego świtu. Nie mogłem oddalić się niezauważony od młyna, chyba żebym zszedł do potoku, przykucnął między brzegami i brodził nim, aż znajdę się pod osłoną lasu, odległego o jakieś ćwierć mili w górę nurtu.

Lodowata, spływająca z gór woda sięgała mi do pasa. Dyszałem z zimna, unosząc plecak nad wodą, i przeklinałem za każdym razem, gdy rozbijająca się o kamienie woda bryzgała mi w twarz. Trzymając się bliższego brzegu, dotarłem wreszcie do lasu. Przez cały czas ścigały mnie krzyki i zawrodożenie wieśniaków. Ich żal stał się przesywającym serce dźwiękiem.

Miałem nadzieję, że znaleźli związanego hisafa, nim odzyskał siły i zdołał przejść na drugą stronę.

Drżałem z zimna w mokrym ubraniu. Minie co najmniej godzina, nim słońce zacznie grzać wystarczająco ciepło, bym mógł wyschnąć, a nie odważyłem się rozpalić ogniska. Najlepsze, co mogłem zrobić, to ściągnąć przemoczoną bluzę, spodnie i bieliznę, wylać wodę z butów, a potem owinąć się nago w suchy płaszcz wyjęty z plecaka. Nie byłem tak daleko od wioski i od Leo Tollersa, jak bym chciał, ale zimno nie pozwalało mi iść dalej.

Okazało się jednak, że nie miało to znaczenia. Coś przedarło się z trzaskiem przez chaszczce na wschód ode mnie. Po paru chwilach podbiegł do mnie Łowca. Polizał mnie po ręce, tańcząc i podskakując jak szalony. Wkrótce po nim pojawił się Leo.

— Roger, ty kretynie, nie możesz tu odpoczywać. Nie słyszysz wieśniaków? Jeśli nas tu znajdą...

Spojrzałem na niego, opatulony w płaszcz.

— Skąd wiesz, że w wiosce coś się wydarzyło? — zapytałem powoli.

— Przechodziłem tamtędy! Wstawaj, szybko!

— Nie przyszedłeś z tamtej strony.

— Przyszedłem. Zatoczyłem krąg, żeby się stamtąd wymknąć. Wstawaj!

Jego strach wyglądał realistycznie. Być może rzeczywiście okrążył wioskę, by do mnie dotrzeć, gdy Łowca wreszcie zdołał wywęszyć mój

ślad. Niewykluczone też, że ten strach rzeczywiście był tym, na co wyglądał: przerażającą perspektywą przejścia na drugą stronę, by umknąć przed tłumem rozwścieczonych wieśniaków szukających ludzi, którzy wprowadzili w trans ich dzieci. Mimo że śpiew z pewnością był ostatnim, na co miałyby w tej chwili ochotę Leo, słyszałem w umyśle słowa jego piosenki:

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie...

Ogar. Przyjrzałem się uważnie Łowcy, podczas gdy Leo grzebał gorączkowo w plecaku, szukając czegoś, co mógłbym na siebie włożyć. Zwierzę wyglądało tak samo jak wszystkie, które wysłano mi na ratunek w ostatnich miesiącach: szara sierść, wielki pysk, krótki ogon i zielone oczy lśniące psim oddaniem. Niemniej żadne dwie żywe istoty nie mogą wyglądać identycznie. Zapamiętałem małą białą plamkę na lewej tylnej łapie Łowcy, zadrapanie na zadzie w miejscu, gdzie zaplątał się w ciernisty krzew, palec zachodzący na drugi na jednej z łap. To nie był Łowca.

I zawsze będę dla ciebie

Jak ogar, co ściga łanię.

6

Oddaliliśmy się od wioski tak szybko, jak tylko byłem w stanie iść. Wyczerpanie nie pozwalało mi mówić, a nawet myśleć. Istniał tylko szlak, zakurzony i zbyt jasny dla moich zmęczonych oczu. Gdy zatrzymaliśmy się późnym rankiem, zasnąłem tak szybko, że nawet nie pamiętałem, kiedy się położyłem.

Nadeszły sny. Nie o przechodzeniu na drugą stronę, ale o... nawet nie byłem pewien, o czym. Niewyraźne sylwetki, tajemnicze zwierzęce wonie, szarość, która nie była mgłą, ale nie była też niczym innym. Sen był tak niepokojący, że się obudziłem.

— Dzień dobry, zaspany chłopcze — rzekł drwiącym tonem Leo. — No wiesz, zostawiłeś całą robotę dla mnie.

Usiadłem. Serce wciąż waliło mi mocno pod wpływem tego, co mi się śniło. Nadszedł już zmierzch, ale było jeszcze ciepło, a Leo rozpałił ognisko. Miła woń pieczystego przegnała zapachy z mojego snu. Łowca, który nie był Łowcą, upolował dwa króliki. Leo zebrał nawet trochę poziomek. Byłem tym zdumiony do chwili, gdy sobie uświadomiłem, że jest tu ich pełno. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Ognisko płonęło na małej polanie, otoczonej brzoza i dębami.

— Dziękuję, Leo — odparłem. — Jesteś pewien, że nie przemęczyłeś się tak ciężką pracą?

Roześmiał się i po raz pierwszy niemal poczułem do niego sympatię.

— Nie poparz sobie palców. Masz kawałek królika, Łowca. Zasłużyłeś na to.

Czy naprawdę nie wiedział, że to nie jest Łowca? Łapczywie pochłaniałem posiłek, ale nie myślałem o nim. Kiedy skończyliśmy i oblizywaliśmy palce, a pies gryzł królicze kości, zacząłem mówić: — Powiedziałaś, że przechodziłeś przez osadę i dlatego wiedziałeś, co tam się wydarzyło.

— Tak — potwierdził i wyjął lutnię.

— Nie graj teraz, Leo. Chcę z tobą porozmawiać.

Zignorował moje słowa i zaczął brzdąkać cicho.

— Możesz mnie pytać, Roger, ale już ci mówiłem, że wiem bardzo niewiele.

— Sądzę, że więcej, niż twierdzisz.

— Mylisz się. Dokładnie tyle.

Zaczął grać skoczną melodię, którą znałem z dworu. Królowa Caroline tańczyła do niej ze swymi damami.

— Wiesz przynajmniej tyle, ile usłyszałeś w wiosce. Co tam się wydarzyło?

— To samo co w Stonegreen. Byłeś tam, Roger. Niemowlęta zniknęły z kołysek, a gdy znaleziono je rano, były spokojne i bezmyślne jak Umarli.

— Gdzie je znaleziono? W jakim miejscu?

— Nie wiem. Może gdzieś przy potoku, w którym brodziłeś.

— Wysłuchaj mnie, Leo. Kiedy wróciłem z krainy Umarłych, znalazłem się wewnątrz wioskowego młyna, zbudowanego przy tym samym strumieniu. Po tej stronie znajdował się krąg pogrążonych w transie dzieci, a po tamtej widziałem krąg Umarłych. I ci Umarli po prostu zniknęli. Wessało ich coś w rodzaju szarego wiru. Czy...

— Co się stało? — Leo uniósł wzrok ze zdumieniem, które szybko przerodziło się w strach. — Umarłych coś wessało? To niemożliwe.

— Możliwe. Widziałem to. Więcej niż jeden raz.

— Nie wierzę w to. Umarli nigdzie nie odchodzą. Oni nie żyją!

Uwierzyłem mu. Całe jego ciało zeszywniało z szoku i strachu. Leo nie znosił przechodzenia na drugą stronę. Zapewne nigdy nie widział wiru ani nawet mgły, która go tworzyła. Nic nie wiedział i rozmowa z nim niewiele więcej mi dała.

— W porządku — rzekłem. — Zapomnijmy, że o tym wspominałem.

— Z chęcią. To wszystko chyba ci się przyśniło, Roger. Coś ci się śniło, na chwilę przed przebudzeniem. Wymieniłeś imię jakiejś dziewczyny.

Przeszył mnie niepokój.

— Jakie imię?

— Maggie. Kim ona jest?

Zdołałem się skrzywić i wzruszyć ramionami.

— Dziewczyną, z którą kiedyś spałem. Jedyną, szczerze mówiąc. Była pomocą kuchenną.

Skinął głową bez większego zainteresowania.

— Ja nigdy nie miałem dziewczyny.

— Och.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Był przeciwieństwem Toma Jenkinsa, który przechwalał się swymi licznymi sukcesami.

— Która by mnie zechciała? — ciągnął z goryczą w głosie. — Spójrz na mnie. Mały, słaby i z blizną. Nawet moja lady Judith była dla mnie dobra tylko z litości.

Uderzył mocno w struny lutni i sięgnął po jej opakowanie.

— Leo...

— Zamknij się, Roger. Idę spać. Ty posprzątaj.

Owinął się płaszczem i położył przy ognisku, zwrócony do mnie plecami.

Zapadał już zmrok. Zakopałem resztki królika — pies nie zostawił zbyt wiele — by nie zwabiły drapieżników do naszego obozu. Zebrałem pod dębami jeszcze trochę drewna na opał. O wodę było trudniej. Nie znalazłem w okolicy żadnego źródła ani strumienia. Zapewne właśnie dlatego Leo nie wypełnił bukłaka. Wcześniej, gdy wędrowaliśmy razem, nie zrobił tego, ponieważ woda była ciężka i nie chciało mu się jej nosić. Jak sam powiedział, był „mały i słaby”, opuścił jednak słowo „leniwy”. To czyniło jeszcze dziwniejszym fakt, że przylepił się do mnie jak żywica.

Z tym już koniec. Wczoraj mi się nie udało, ale dzisiaj spróbuję znowu. Porzucę Leo Tollersa i psa, który nie był Łowcą, gdy tylko zwierzę zaśnie i nie będzie mogło obudzić młodzieńca szczekaniem.

Na razie jednak pies nie miał zamiaru spać. Nie spuszczał ze mnie zielonych oczu, gdy siedziałem przy ognisku, i od czasu do czasu lizał mnie po ręce. Na granatowym niebie pojawiły się gwiazdy, ale dzisiejszej nocy ich piękno nie porywało mnie zbyt. Absorbowały mnie niespokojne myśli.

Co ukradzione, wprowadzone w trans niemowlęta miały wspólnego z kręgami Umarłych? Na czym polegała łącząca je więź? I dlaczego pochłaniające Umarłych wiry nie powodowały zaburzeń po drugiej stronie? Przed trzema laty zakłóciłem równowagę owej spokojnej krainy. Przeniosłem na tę stronę najpierw słabego na umyśle marynarza, potem lady Cecilie, a wreszcie ponad stu żołnierzy. Moja ingerencja spowodowała burzę, trzęsienia ziemi oraz spustoszenie krajobrazu po drugiej stronie grobu. Na koniec zaś przywołała tę jasną i straszliwą rzecz, która przeszła niebo. Ujrzałem ją tylko przelotnie. Później jedna z kobiet z sieci, Alysse, nazwała ów monstrialny blask „mieczem”. Mówiąc o nim, pobladła ze strachu. Dlaczego utrata tak wielu Umarłych nie spowodowała podobnych zaburzeń w krajobrazie?

Miałem nadzieję, że na zawsze zostawię za sobą te trudne problemy. Pragnąłem odnaleźć Maggie, by zacząć nowe życie z nią i z naszym synem. Nie chciałem tych pytań, nie pragnąłem już...

WrrrrrrffffiF!

Pies warknął nagle, zerwał się z miejsca i popędził między drzewa, szczekając jak szalony. Leo obudził się i usiadł. Blizna na jego twarzy lśniła słabo w blasku gwiazd.

— Co jest? Co się stało?

— Nie mam pojęcia! Pies wpadł w szal!

Wyciągnąłem nóż.

— Zostań tu! — warknął Leo tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem. Nie posłuchałem go. Pobiegł między drzewa, ale byłem szybszy i dotarłem na miejsce przed nim. Pośród drzew było ciemno i w pierwszej chwili nic nie widziałem. Potem to dostrzegłem i zakrzyknąłem głośno.

Pies pochwycił królika i zacisnął straszliwe zęby na jego karku. Schwytane zwierzę wydało z siebie wysoki, nieludzki krzyk i na moich oczach zmieniło się w kobietę. Napastnik nie wypuszczał z uścisku jej szyi. Krew trysnęła wysoko w powietrze. Pies potrząsnął jej ciałem jak szmatą, a potem je puścił.

— Nie zbliżaj się! — zawołał Leo.

Uklęknąłem przy niej i odwróciłem ją twarzą ku górze. Nie żyła. Pies zmasakrował jej lico, ale ją poznałem. Alysse, kobieta z sieci, która była uczennicą Matki Chilton. Przybyła do mnie i do Toma Jenkinsa, kiedy dzikusy prowadziły nas za góry. Powiedziała mi, że Wrzosowisko Duszorośli niszczy sieć łączącą życie i śmierć w jedną całość. Robiła mi wymówki za rozdzieranie tej sieci, a gdy już skończyła mnie karcić oraz ostrzegać, zmieniła się w białego królika i umknęła w blasku księżyca.

Kolejne życie utracone z mojego powodu i jeszcze jedna frustrująca tajemnica. Co chciała mi powiedzieć Alysse? Nigdy już się tego nie dowiem.

Wyprostowałem się i spojrzałem na Leo. Do gardła podeszła mi żółć.

— Wiedziałaś.

— Co miałem wiedzieć? O czym ty gadasz, Roger?

Spojrzał na krwawą miazgę, która została z twarzy Alysse, i nagle umknął za drzewo. Usłyszałem odgłos wymiotów.

Myliłem się, prawda? Skąd Leo mógłby wiedzieć, kim jest Alysse, i jak miałby odgadnąć, że pies ją zaatakuje? Niemniej krzyknął: „Zostań tu!” tonem przypominającym władczy, a potem popędził za zwierzęciem, bez śladu typowej dla siebie bierności. Spodziewałbym się raczej, że skuli się za ogniskiem ze strzelbą w rękach i strachem na twarzy. Ale z drugiej strony teraz wymiotował na sam widok krwi. To raczej nie była reakcja kogoś, kto spodziewał się morderstwa. Nie miałem powodów, by sądzić, że Leo „wiedział” coś o ataku.

Ale pies wiedział. Bezbłędnie dopadł królika, którym była Alysse, nie okazując radości, z którą polował, by zdobyć dla nas jedzenie. To był wściekły atak z obnażonymi kłami. Tak samo zachowywały się inne psy, gdy mnie broniły: w chacie w Almsbury albo na skale obok Hygryll na Wrzosowisku Duszorośli. Tyle że Alysse nie była dla mnie zagrożeniem. Dlaczego ją zabił?

Siedział teraz i spoglądał na mnie. Na pysku miał krew. Stłumiłem strach, przykucnąłem obok zwierzęcia i zajrzałem w jego zielone oczy. Nie ujrzałem w nich nic oprócz psa. Zadowolony, że zwracam na niego uwagę, spróbował polizać mnie w rękę, ale cofnąłem ją, jak od ognia.

— Nie!

Podrapał się ze zdziwioną miną.

Delikatnie zakryłem twarz Alysse zapasową szmatką z plecaka. Byłem pewien, że zginęła dlatego, bo próbowała mi coś przekazać. Kobiety z sieci wiedziały, gdzie jestem. Ale one nie były zagrożeniem dla Bractwa hisafów walczących z Wrzosowiskiem Duszorośli. Obie grupy miały inne poglądy na temat tego, jak toczyć tę walkę, i dlatego nie współpracowały ze sobą. Mój ojciec i Matka Chilton powiedzieli mi to samo. Ale ich członkowie nie zabijali się nawzajem.

„Nie mogliśmy wysłać do ciebie psów wystarczająco szybko”. Tak powiedział mi kiedyś ojciec. Bractwo panowało nad psami. Nie miałem pojęcia, jak to robią ani w jaki sposób udało im się odnaleźć psy w krainie Umarłych, gdzie nie było żadnych zwierząt, ale tylko hisaf mógł coś sprowadzić z drugiej strony. To znaczyło, że psami z pewnością posługują się hisafowie, choć żaden z nich nigdy nie towarzyszył im w przejściu na drugą stronę. Jak to było możliwe?

Nic z tego nie miało sensu. Jasne było natomiast jedno: ten pies nie był przyjacielem kobiet z sieci, a co za tym idzie, nie był też moim, bez względu na to, jak się zachowywał. Jeśli Bractwo mogło przysyłać psy z drugiej strony, być może niewierni hisafowie, współpracujący z Wrzosowiskiem Duszorośli, również to potrafili. A jeśli ten pies mnie nie zabił, to może niewierni hisafowie pragnęli, bym pozostał przy życiu.

Wiedzieli, gdzie jestem.

A to znaczyło, że nie mogę, nie wolno mi zaprowadzić ich do Maggie i naszego nienarodzonego dziecka.

Zalała mnie fala bólu, tak silnego, że nic nie widziałem. Pragnąłem jedynie wrócić do Maggie, a teraz zrozumiałem, że to niemożliwe.

Leo wyszedł zza drzewa, ocierając usta rękawem. Skulił się na widok Alysse, mimo że zakryłem jej głowę.

— Dlaczego Łowca to zrobił? — zapytał.

— Nie mam pojęcia.

— Znasz tę kobietę?

— Kiedyś ją znałem — odparłem.

— Była królikiem... a potem stała się kobietą. To na pewno czarownica!

— Była... — Spojrzałem na niego. — Czy w Galtryf nigdy nie rozmawialiście o kobietach z sieci?

— O kim?

— Hisafowie z Bractwa nic ci o nich nie powiedzieli?

— Nie wiem, o czym mówisz.

Wyprostowałem się. W tej pozycji byłem wyższy od niego prawie o głowę. Cofnął się o krok.

— Uwięziono cię w Galtryf, razem z moim ojcem, i nigdy nie rozmawialiście o kobietach władających sztukami duszy? Zwerbowano cię do Bractwa i nigdy ci nie wytłumaczono, kto walczy po której stronie w tej wojnie? Już ci nie wierzę, Leo.

— Nic nie poradzę na to, w co wierzysz albo nie wierzysz.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Obaj wyciągnęliśmy noże.

— Alysse chciała mnie ostrzec przed tobą, prawda?

— *Hryffl grut!* — zawołał Leo i pies rzucił się na mnie. Ale mnie już tu nie było. Przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Znalazłem się na skraju pola w krainie Umarłych, nie w lesie, który opuściłem, choć po prawej miałem gęste skupisko drzew. Obok siedziała Alysse.

Zdażyła już zapaść w bezmyślny trans Umarłych. Jej twarz nie była zmasakrowana i zakrwawiona, ale pogodna. Jasna skóra była gładka i nieuszkodzona. Jakąś częścią umysłu cieszyłem się z tego, że po raz ostatni widzę ją taką, nie jako zmasakrowanego trupa, jakim była po drugiej stronie. Nie mogłem tu zostać. Za chwilę zjawi się Leo. A może się nie zjawi? Był tu słabszy ode mnie, podobnie jak tam, a do tego nie znosił przechodzenia przez barierę grobu. Być może wcale za mną nie podąży. Jeśli tak się stanie, będę miał szansę ucieczki.

— Dziękuję — wyszeptałem do nieruchomej postaci siedzącej w nieruchomym krajobrazie. Potem pobiegłem do lasu, by poszukać schronienia między drzewami.

Przedzierałem się z chrzęstem przez chaszczce i potykałem o korzenie. Zagajnik nie był zbyt wielki, a po jego drugiej stronie znajdowało się długie wzgórze, usiane głązami, porośnięte polnymi kwiatami oraz pełne Umarłych. Zbiegłem do wąskiej rzeczki u jego podstawy, przeszedłem ją w bród i skryłem się w sosnowo-brzozowym lesie na drugim brzegu.

Był on rzadszy od tego, który porastał szczyt wzgórza. Między wysoko sterczącymi konarami było sporo miejsca, a ziemię pokrywał gęsty dywan sosnowych igieł. Łatwiej tu było się poruszać. Przeszedłem szybko prawie milę, a potem usiadłem, by odpocząć.

Leo za mną nie przeszedł. Pies również nie. Zwierzę pojawiło się wkrótce po tym, jak związałem brodatego hisafa i porzuciłem go w młynie. To znaczy, że nawet sojusznicy Leo nie wiedzieli, gdzie jestem. Wtedy, ale nie teraz. Byłem bezpieczny i mogłem... Co właściwie mogłem? Wrócić do Maggie? Nie widziałem przeszkód. Znowu nikt nie wiedział, gdzie

przebywam. Mogłem przejść jeszcze kawałek po tej stronie, a potem wrócić do krainy żywych i ruszyć do Tanwell, do Maggie i dziecka.

Oczy wypełniły mi łzy ulgi. Ale nie tylko ulgi. Pamiętałem o Alysse. Zginęła, próbując ostrzec mnie przed Leo. Jego obecność jednak nadal nie miała dla mnie sensu. Jeśli rzeczywiście był jednym z wyjętych spod prawa hisafów, a nie stronnikiem mojego ojca, dlaczego wysłali do mnie kogoś tak słabego i tchórzliwego? Moich myśli nie wypełniał jednak Leo, lecz Alysse, która za mnie zginęła.

Podobnie jak wielu innych. Nie potrafiłem uwierzyć, że jestem tego wart.



Po jakiejś godzinie usłyszałem ujadanie.

To nie był odgłos jakiejś osoby — czy nawet wielu osób — przedzierającej się przez las. To byłoby lepsze. Taki dźwięk słyszałem przedtem tylko raz, gdy przez chwilę przebywałem w krainie Umarłych razem z ojcem. Brzmiał jak dworskie łowy, a teraz wiedziałem już, że szare psy mogą należeć również do wyjętych spod prawa hisafów, nie tylko do tych, którzy mnie chronili. Ujadanie stawało się coraz głośniejsze i bardziej zajadle. Bez wahania przeszedłem na drugą stronę...

...i znalazłem się wewnątrz kręgu mężczyzn, którzy trzymali w rękach strzelby wymierzone w moją pierś.

To nie były dzikusy, lecz ludzie z Reginokracji.

— Witaj, Rogerze Kilbourne — odezwał się jeden z nich, a drugi skoczył na mnie, nim zdołałem mrugnąć. Na mojej kompletnej ręce

zamknęło się coś twardego i zimnego. Ponownie ugryzłem się w krwawiący jeszcze język i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

W krainie Umarłych nie było już słycać ujadania, ale jeden z mężczyzn przeszedł tu razem ze mną.

Nie odzywał się ani słowem. Zimny przedmiot na mojej ręce był żelazną obręczą, połączoną krótkim łańcuchem z drugą, opinającą jego nadgarstek. Szarpnął za nią mocno, zrobił lewą ręką coś, czego nie widziałem, i znowu znaleźliśmy się wewnątrz bariery grobu, przebijając się na drugą stronę. Był hisafem.

Czekający w krainie żywych mężczyźni opuścili strzelby.

— Kto jak kto, ale ty, Roger, powinieneś wiedzieć, że wszystko, co jest z tobą połączone, przenosisz ze sobą na drugą stronę — rzekł ze śmiechem ten, który odezwał się przedtem. — Dokądkolwiek pójdziesz, Kelif uda się tam z tobą. I na odwrót. Wreszcie cię dorwaliśmy.

— Kto... jak...

— Jak cię znaleźliśmy? Och, to było łatwe. — Wyciągnął wolną rękę, dotknął obrąbka mojej bluzy i podsunął mi pod twarz otwartą dłoń. Na jej stwardniałej powierzchni leżał rzep, tak maleńki, że go wcześniej nie zauważyłem. Dlatego nie mogłem się go pozbyć.

— Nie wiedziałeś, że znaczniki mogą być takie małe? — zapytał. — Możesz to uznać za element swojego wykształcenia, chłopcze. Tak jest,

masz rację, potrafię to wyczytać z twojej twarzy. Nasz Leo go tu umieścił.

Nasz Leo.

— Jesteś głodny, prawda? Całe to bieganie, ucieczki i ukrywanie się na pewno cię zmęczyły. Chodź coś zjeść. Swoją drogą, nazywam się Straik. Do usług, jaśnie panie.

Uklonił się drwiąco i znowu się roześmiał.

Potem zaciągnął mnie pod wysoką sosnę, gdzie trzech pozostali mężczyźni otwierali już plecaki i rozpalali ognisko. Wszyscy byli wysocy, ale Kelif znacznie przerastał towarzyszy. Był prawdziwym olbrzymem o dłoniach wielkich jak świńskie łapki i szerokiej, pozbawionej wyrazu twarzy. W przeciwieństwie do niego Straik miał wąskie oblicze o ostrych rysach, przywodzące na myśl inteligentnego gronostaja. Jego oczy nigdy nie odpoczywały, nieustannie przesuwały się z miejsca na miejsce i nic nie umykało ich uwagi. Wszyscy czterej mieli na sobie bluzy i spodnie z szorstkiej brązowej wełny i sięgające kolan buty. Mieli też krótkie, gęste brody. Jedynie Straik sprawiał wrażenie czystego. Gdy tylko usłyszałem głosy pozostałych, ich akcenty powiedziały mi, że pochodzą z Ziemi Niczyjej albo nawet z samego Wrzosowiska Duszorośli. Jednakże Straik mówił jak człowiek z Reginokracji. Wszyscy, poza milczącym Kelifem, śmiali się i przerzucali żartami, jakby mnie tu nie było. Oniemiałem z przerażenia.

Ile wiedzieli? Z pewnością przybywali z Wrzosowiska Duszorośli. Czy słyszeli o Maggie i o naszym synu? Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego mogliby chcieć mnie pojmać — chyba że miało to coś wspólnego z moim ojcem, który ponoć był ich jeńcem w Galtryf. A może to było tylko kolejne kłamstwo Leo?

Och, oby chodziło o mojego ojca, a nie o Maggie!

Jeden z mężczyzn zwrócił twarz ku mnie i poznałem go. To był hisaf, który ukradł dzieci w Stonegreen, nieznajomy o czarnej brodzie i zielonych oczach. Kiedy znalazłem go w krainie Umarłych, ledwie mógł się poruszać. Leżał, jęcząc, obok kręgu Umarłych, który zniknął w wirze. Był człowiekiem, którego nie potrafiłem zabić i dlatego porzuciłem go związanego. Najwyraźniej zdołał się uwolnić albo go uratowano.

Uśmiechnął się do mnie tak złowrogo, że byłem zmuszony odwrócić wzrok. Szkoda, że go nie wykończyłem, kiedy miałem szansę. Teraz zapłacę za swe współczucie, czy może zbytnią wrażliwość.

W mojej głowie znowu zabrzmiały echem słowa Matki Chilton: „Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?”.

Inny mężczyzna, młodszy od pozostałych, przyniósł Kelifowi oraz mnie chleb i ser oraz bukłak z koziej skóry, wypełniony kwaśnym ale. Nie byłem w stanie nic zjeść. Za bardzo wywracało mi się w żołądku. Wypiłem jednak trochę ale, unosząc kufel ręką przykutą do ręki Kelifa.

— Teraz śpij — rozkazał Straik w tej samej chwili, gdy Kelif położył się bez słowa na sosnowych szpilkach. Żelazny łańcuch szarpnął za mój nadgarstek. — Wszyscy potrzebujemy snu, a ty zapewne najbardziej, Roger. Nie, nie odpowiem ci teraz na żadne pytania, więc nie zwracaj sobie głowy ich zadawaniem.

Myślałem, że strach nie pozwoli mi zasnąć. Myliłem się. Ale, zmęczenie, ciepłe promienie letniego słońca przesączające się między gałęziami — wszystko to uspiło mnie, zanim zdążyłem się zorientować. Nadeszły sny.

Stałem w prywatnej komnacie królowej Caroline. Nie byłem tam od wielu lat. Na kominku buzował jasny ogień, na zdobnie rzeźbionym stole

dostrzegłem kielichy z winem, a na małym stołku siedziała Matka Chilton. Jej prosta szara suknia opadała na kamienne posadzkę, a grzbiet garbił się pod wpływem wieku. Cisnęła do ognia jakiś proszek. Obok niej stała mała księżniczka Stephanie. Nie, teraz już królowa Stephanie. Jej szeroko otwarte, sześćoletnie oczy miały poważny wyraz.

— Oddychaj — poleciła Matka Chilton i dziecko za czerpnęło głęboko tchu. Potem się odwróciło. Jego szare oczy wpatrywały się we mnie. — Powiedz to — dodała Matka Chilton.

— Roger! Uciekaj! — zawołała Stephanie.

Obudziłem się. Sen wydawał się bardzo rzeczywisty — dlatego że faktycznie taki był. Jakiś czas temu moja szalona przyrodnia siostra wykorzystwała dar do sztuk duszy, który odziedziczyła Stephanie, w celu zabijania. Teraz Matka Chilton próbowała mnie ostrzec za jego pomocą. Ale ostrzeżenia Stephanie, podobnie jak Alysse, przybyły za późno. Nie mogłem już uciec.

Kelif spał. Usiadłem, rozciągając do maksimum żelazny łańcuch, łączący nas ze sobą. Nad ogniem piekło się mięso. Jeden z mężczyzn również zasnął, a pozostali rozmawiali i śmiali się cicho. Wyglądało to zupełnie jak obóz myśliwski, w którym po udanym polowaniu panuje wesoły nastrój. Najmłodszy z mężczyzn, jeszcze prawie chłopiec, strugał gwizdek z wierzbiny. Po chwili uniósł go do ust i dmuchnął lekko. W ciepłym powietrzu poniósł się wysoki, słodki dźwięk.

Gdzieś w oddali odpowiedział mu drugi.

W obozie zaszła gwałtowna zmiana. Kelif i drugi śpiący mężczyzna obudzili się. Trzej pozostali, siedzący przy ognisku, zerwali się na nogi, ale bez niepokoju. Wyglądali wręcz na bardziej zadowolonych niż przedtem. Usłyszałem łoskot kół wozu, a potem krzyki.

— A niech to, przybyli wcześniej, niż się spodziewaliśmy! — zawołał Straik. — To z pewnością dobra wiadomość!

Kelif wstał i pociągnął mnie za sobą między drzewami. Pozostali podążyli za nami. Sosnowy las przerzedzał się i kończył bardzo blisko obozu, przechodząc w łagodne wzgórza, porośnięte koniczyną, jaskrami oraz krzewami. Przez bezdroże wlokły się dwa wozy, każdy zaprzęzony w pociągowego konia o szerokim grzbiecie i powożony przez mężczyznę w brązowym wełnianym stroju. Więcej podobnych mężczyzn szło na piechotę. Na wozach umieszczono zapasy oraz ludzi. Na jednym jechały kobieta oraz dziewczynka, dziesięcio-, może jedenastoletnia. Obie były związane. Na drugim siedział Leo.

Gdy wozy dotarły do skraju lasu, Leo zeskoczył na ziemię i podszedł do mnie. Wytrzeszczyłem oczy, porażony na chwilę zdumieniem. Zmienił się całkowicie.

— Dzień dobry, Roger — rzucił Leo drwiącym tonem i ukłonił się komicznie. Wyglądał, jakby urósł o dwa cale i postarzał się o pięć lat. Nie, z pewnością nie był wyższy — ale chyba szerszy w barach? Jego poza wyrażała wielką pewność siebie, a pierś nie sprawiała już wrażenia wklęsłej. Ciemne oczy błyszczały. Płynnym ruchem uniósł rękę do twarzy i blizna po walce z borsukiem oderwała się z głośnym trzaskiem, pozostawiając plamę po farbie i kleju.

— Jesteś... jesteś aktorem.

— Do usług.

Uśmiechnął się, zachwycony moim oburzeniem. Cała ta litość, którą na niego zmarnowałem, cała opiekuńczość, jaką wzbudzała we mnie jego żalosna bojaźliwość...

— Poznałem cię w Stonegreen — wyjaśnił. — To był uśmiech szczęścia, bo oczywiście cię szukaliśmy. Siedzieliśmy w piwnym namiocie. Robiliśmy tournée po prowincjach. Słuchacze w wioskach są głupi, ale trzeba z czegoś żyć.

Przypomniałem sobie hałaśliwą grupę, którą zauważyłem na wiosennym jarmarku. Mężczyźni rozmawiali ze śmiechem, podczas gdy wszyscy w wiosce chodzili w kółko, oszołomieni i rozgniewani wiadomością o siedmiu niemowlętach pograżonych w transie między życiem a śmiercią.

— Ale kiedy... — zacząłem.

— Ujrzałem cię po raz pierwszy? Na dworze, oczywiście, gdy byłeś błaznem królowej Caroline. Występowaliśmy dla was pewnej zimowej

nocy. Wystawiliśmy *Bohatera Carday*. Grałem księcia Channinga i byłem bardzo dobry. Twoja królowa-dziwka nie mogła oderwać ode mnie oczu.

Przypominałem sobie niejasno trupę aktorów wystawiającą sztukę, której nie poświęciłem większej uwagi. Patrzyłem tylko na lady Cecilie. Ale to było już ponad trzy lata temu i...

— Nigdy nie zapominał twarzą — dodał Leo. — Nawet jeśli poprzednio widziałem ją pomalowaną na żółto błazeńską farbą. Hej, Kelif, czy nasz Roger sprawiał ci kłopoty?

Olbrzym skrzywił się i odezwał po raz pierwszy. Mówił powoli i nieco bełkotliwie, jakby musiał siłą wyciskać słowa z gardła.

— Straił cię woła.

— A po co?

Leo nie przestawał się uśmiechać, triumfalnie spoglądając na mnie.

— Może masz wykopać latrynę — odparł Kelif.

Z twarzy aktora zniknął uśmiech. Leo oddalił się sztywnym krokiem.

— Kelif, czy wszyscy ci mężczyźni są hisafami? — zapytałem z czystej desperacji. Właściwie nie liczyłem na odpowiedź i nie otrzymałem jej. Olbrzym znowu usiadł pod drzewem i byłem zmuszony zrobić to samo. Mogłem jedynie obserwować wszystko w nadziei, że odkryję coś, co pozwoli mi uciec.

Ale jak? Przykuto mnie do hisafa, który dysponował wszystkimi moimi „talentami”, był ode mnie o połowę cięższy i miał dwukrotnie więcej rąk.

Razem z Leo przybyło sześciu innych mężczyzn. Dwaj z nich zdjęli z wozu związaną kobietę i dziewczynkę. Kobieta powiedziała coś cicho i dziewczynka skinęła głową. Zauważyłem, że w przeciwieństwie do kobiety była zakneblowana. Usta owiązano jej ciasno pasmem tkaniny. Jeden z mężczyzn zdjął jej knebel, a potem przeciął krótkim nożem więzy obu. Kobieta potarła nadgarstki palcami.

Miała około trzydziestu pięciu lat, była w tym samym wieku co królowa Caroline, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Dorównywała jej też urodą. Miała ciemnorude włosy, zaplecione w okalające głowę warkocze, jaskrawoblękitne oczy oraz długie, ciemne rzęsy. Była odziana w prostą suknię z niebieskiej wełny, pomiętą i brudną od podróży, oczy zaś miała podkrążone i okolone bruzdami. Przesuwała desperacko spojrzeniem po całym obozowisku, aż wreszcie zatrzymała je na mnie. Wciągnęła nagle powietrze, pobladła i ruszyła w moją stronę, ale towarzyszący jej mężczyzna złapał ją za ramię, spoglądając pytająco na stojącego obok towarzysza.

Dziewczynka śledziła każdy gest, ale była za szybka i mężczyzna, który spróbował ją złapać, zacisnął dłoń na pustym powietrzu. Przemknęła przez obóz i zatrzymała się na wprost przede mną.

— Jesteś Roger? — zapytała.

Spojrzałem na nią. Była chuda i niezgrabna, również miała rude włosy i niebieskie oczy, ale w jej przypadku wyglądały one zupełnie inaczej. Gęste, miedziane loki jej matki — bo kobieta z pewnością nią była — przerodziły się u niej w pozlepiane strąki barwy marchewki, związane w dwa ciasne, nieładne warkoczyki. Oczy kobiety były intensywnie niebieskie, jej córki zaś wyblakłe i łzawiące. Dziewczynka miała też krosty na skórze i krzywe zęby.

— Zadałam ci pytanie! — dodała. Tylko jej głos był piękny; melodyjny i niski jak na dziewczynę. — Czy jesteś Roger Kilbourne?

Nie było sensu temu przeczyć.

— Tak.

Splunęła na mnie. Gęsta kapka jej śliny wylądowała w mojej brodzie. W tej samej chwili dotarła do nas matka dziewczyny w towarzystwie swego strażnika.

— Rawnie! Przestań, Roger, przepraszam, ona... wybacz...

Jej twarz, od szyi aż po czoło, powoli pokrył rumieniec. Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. Miałem wrażenie, że to zbyt silna reakcja na niegrzeczne zachowanie córki. Złapała nagle dziewczynkę i odciągnęła ją ode mnie. Strażnik szedł bez słowa za obiema. W odległości dziesięciu stóp kobieta znowu odwróciła się ku mnie.

— Przepraszam. Może porozmawiamy później.

Dziewczyna łypała na mnie z płomieniem nienawiści w bladoniebieskich oczach.

Spojrzałem ze zdumieniem na Kelifa.

— Kim one są?

Nie odpowiedział.

Wozy przyciągnięto blisko do ogniska i wyładowano z nich zapasy. Rozpalono drugie ognisko, tak że na spółkę z wozami utworzyły kwadrat. Dopiero potem zaprowadzono mnie do środka i dano koc, na którym mogliśmy z Kelifem usiąść, a także drugi, zapewne po to, byśmy przykryli się nim w nocy. Reszta zebrała się przy ogniskach. Podejrzewałem, że będą mnie otaczać, zmieniając się nocą. W ten sposób nie dotrą do mnie kobiety z sieci pod postacią zwierząt ani nie zdoła mnie uratować nic mniejszego niż armia.

Po co? Czy chcieli mnie torturować, by poznać prawdę o moim synu? W takim razie czemu nie zrobili tego dziś po południu, nim mogła przybyć pomoc? Nie miałem też pojęcia, co robi tu kobieta oraz dziewczynka imieniem Rawnie, która najwyraźniej nienawidziła mnie z jakichś powodów, których nie potrafiłem zgłębić.

— Nie zawiązujcie mi tego znowu, bo was zabiję! — zawołała nagle swym dziwnie niskim, melodyjnym głosem. — Daję słowo!

— Rawnie — odezwała się jej matka z desperacją w głosie. — Jeśli będziesz cicho, nie zakneblują cię. Dlatego bądź cicho!

Równie dobrze mogłaby się nie odzywać. Rawnie wrzeszczała, kopała i gryzła. Potrzeba było dwóch mężczyzn, by ją przytrzymać, podczas gdy trzeci zbliżał się z kneblem. Matka okładała go bez skutku pięściami po plecach, a potem — znacznie skuteczniej — zdzieliła go w głowę polanem. Osunął się na ziemię. Dwaj kolejni mężczyźni podbiegli do niej, by ją powstrzymać. Wszyscy krzyczeli i przeklinali. Nagle z lasu wyszedł Straik i wmieszał się między walczących. Łatwo było zauważyć, że to on tu dowodzi. Przejął dziewczynkę z rąk swoich ludzi, unieruchomił ją chwytem zapaśniczym i zniknął.

Kolejny hisaf.

Matka uniosła ręce w błagalnym geście.

— Błagam, błagam, to jeszcze dziecko...

— To prawdziwa kocica — sprzeciwił się mężczyzna, który próbował założyć jej knebel i oberwał polanem od matki. — Tak samo jak ty. Jeśli jeszcze raz to zrobisz, ty dziwko, to...

— Jol — ostrzegł go jeden z towarzyszy. — Straik kazał traktować ją łagodnie.

— Chętnie bym ją potraktował — mruknął Jol, ale spojrzał z lękiem w miejsce, gdzie zniknęli Straik i dziewczynka.

— Przejście przez grób dobrze zrobi małej — mruknął drugi mężczyzna. — Wystraszy ją na dwa następne tygodnie.

Mylił się. Straik i Rawnie po chwili wrócili i dziewczynka wyglądała na równie wściekłą jak poprzednio. Z pewnością się nie przestraszyła. Matka do niej podbiegła i Rawnie ją odepchnęła. Niemniej już nie krzyczała.

— Zawarliśmy umowę — oznajmił matce Straik. — Ona przestanie się drzeć, a ja nie zostawię jej samej w krainie Umarłych, bez wody i jedzenia.

— Powiedziałaś, że mogę dostać to, czego chcę — odezwała się dziewczynka. Mówiła głośno, ale nie przeszła w krzyk.

— To prawda — zgodził się wyraźnie rozbawiony Straik.

— A czego chciała? — zapytała wylękniona matka.

— Kopnąć Rogera! — oznajmiła Rawnie. Podbiegła do mnie i wymierzyła mi kopniaka w brzuch, tak mocnego, że wciągnąłem kurczowo powietrze. Rawnie wróciła spokojnie do Straika.

— Dziękuję — rzekła mu. — Ciebie też nienawidzę, lecz dotrzymam umowy. Ale nie dlatego, że boję się zostać sama w krainie Umarłych!

— W takim razie dlaczego? — zapytał wyraźnie rozbawiony Straik.

— Muszę tu zostać, żeby opiekować się matką.

— To prawda — zgodził się mężczyzna. — A Leo zaopiekuje się tobą. Leo, odpowiadasz za nią. Jeśli ją zgubisz, zapłacisz za to.

Straik podszedł do drugiego ogniska i zwołał swoich ludzi.

Leo podszedł do Rawnie i spojrzał na nią z niesmakiem.

— Jeśli spróbujesz ucieczki, zbiję cię — zapowiedział.

— Nie potrafiłbyś zbić nawet szczenięcia. Spójrz na siebie. — Rawnie podeszła do drugiego ogniska i zwała się przy nim na ziemię. — Kiedy królik będzie gotowy? Jestem głodna.

Kelif uśmiechnął się wzgardliwie do Leo, który się zaczerwienił. Dostrzegłem swoją szansę.

— Leo, kim ona jest? — zapytałem tak pokornie, jak tylko potrafiłem.

Nigdy dotąd nie spotkałem zawodowego aktora, ale na dworze lordowie i damy nieustannie urządzali maskarady. Niektórzy dworzanie zawsze domagali się najlepszych ról i obrażali się, jeśli ich nie dostali. Chodzili dumnie po scenie niczym pawie, stroszące swe spektakularne pióra. Leo, gdy już go poznałem, wydał mi się bardzo do nich podobny. Ci aktorzy nigdy nie przepuszczali okazji, by pokazać, jacy są ważni.

Leo również nie oparł się pokusie.

— Kim ona jest? Nie masz o niczym pojęcia, Roger!

— Wiem o tym — zgodziłem się jeszcze pokorniej.

Kelif wykonał wolną ręką gest, który mógł znaczyć „bądź cicho”, ale Leo go zignorował.

— Sądziłem, że wiesz trochę więcej o swej rodzinie, Roger. Czy nie poznajesz... — Długa przerwa dla efektu.

— ...swej drugiej przyrodniej siostry? I drugiej żony ojca? Pewnie nie poznajesz, ty biedny, skazany na zgubę idioto.

Usatysfakcjonowany swym triumfem podążył za dziewczynką do ogniska.

Rowley. Rawnie. Rawley. Rawnie. Przez całą noc te imiona rozbrzmiewały w mojej głowie niczym pokraczne, przerdzewiałe dzwony. *I drugiej żony ojca.* Zatem ożenił się ponownie po tym, jak moja matka umarła, rodząc Katharine, a mnie oddano ciotce Jo. *Drugiej przyrodniej siostry.* Ta urodziła się w krainie żywych, w przeciwieństwie do Katharine, którą zabiłem. *Rawley. Rawnie. Rawley. Rawnie.*

Nie mogłem zasnąć. Kipiała we mnie nienawiść do ojca. Widziałem go tylko raz, ale wiedziałem, że jestem do niego podobny, tyle że mam brązowe oczy, a nie zielone, jak on. Być może Rawnie mnie poznała, ale skąd wzięła się w niej taka nienawiść? I czego chciało Bractwo hisafów od niej i od jej matki? Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Leo powiedział mi prawdę, a przynajmniej pół prawdy. Bractwo istniało, ale walczyło po stronie Wrzosowiska Duszorośli, nie przeciwko niemu. Byłem pewien jedynie tego, czego pragną Duszoroślanie. Chcieli żyć wiecznie i w tym celu próbowali zawładnąć mocą Umarłych. „Z upływem lat i stuleci Umarli zdobywają coraz większą moc. Jak mogłoby być inaczej? Nawet głupi

młodzieńcy, tacy jak ty, wiedzą, jak bardzo potężna jest śmierć”. Tak powiedziała mi kiedyś Matka Chilton.

Wiedziałem o tym. Lepiej niż większość ludzi. Nie chciałem umierać, ale byłem na to gotowy, jeśli okaże się to konieczne, by uchronić mojego syna przed tymi potwornymi ludźmi.

Leżałem obok chrapiącego Kelifa, słuchając, jak nocni wartownicy krążą wokół obozu. Mój umysł nie mógł się uspokoić. Rawnie i jej matka spały same w jednym z wozów. Wartownicy rozmawiali cicho, jeden z koni zarżał przez sen, a na sośnie zahuczała sowa. Serce zabiło mi szybciej, ale to był tylko zwykły ptak.

Rawley. Rawnie. Rawley. Rawnie.

Maggie.

Myśl o niej powinna mi przynieść pocieszenie. O jej kompetencji, zgryźliwej zaradności i niezachwianej miłości do mnie. Okazała się jednak udręką. Jeśli Bractwo wiedziało, gdzie ona jest, jeśli pojmało ją, by zawładnąć moim synem...

Umysł może krążyć bez końca w tej samej wytartej koleinie, ale ciało potrzebuje snu. Przed świtem dotarłem wreszcie do końca tej trasy, ale to, co nadeszło potem, wydawało się jeszcze gorsze. Nadeszły sny.

Przeszedłem do krainy Umarłych i znalazłem się w wielkiej kamiennej komorze o nierównych, osypujących się ścianach. W jej kącie coś leżało. Podszedłem bliżej. To był jeden z szarych psów, taki sam jak Cień, Owc, Łowca i inne, które nie miały imion. Zwierzę leżało nieruchomo, ale nie było martwe. Otworzyło zielone oczy i spróbowało warknąć, ale nie miało nawet siły, by odsłonić kły. Tylko w jego oczach błyszczały emocje. Niewyraźna woń psa wypełniła nie tyle moje nozdrza, co umysł...

Obudziłem się. Obóz wracał już do życia przed nadchodzącym dniem. Kelif również się ocknął. Ktoś przyniósł mi zimne mięso i chleb na śniadanie. Żeby móc jeść, obaj z Kelifem musieliśmy jednocześnie unosić ręce — on lewą, a ja prawą. To było niewygodne, a gdy olbrzym rozlał ale, przeklął mnie swym powolnym, bełkotliwym głosem.

Przyszedł Straik i przyjrzał mi się w coraz jaśniejszym świetle dnia.

— Spójrz na siebie, chłopcze. Czy w ogóle spałeś w nocy?

— Wczoraj przespał cały dzień — zauważył olbrzym.

— Słyszałem o tym. Przykro mi, że nie możesz się od niego uwolnić, Kelif. Zaprowadź go do lasu, żeby się odlał, a potem na wóz. Będzie mógł spać podczas jazdy i ty również będziesz jechał.

Olbrzym skrzywił się z niezadowoleniem.

— Wolę iść.

— Wiem o tym. Ale nic się na to nie poradzi. Twoja pomoc ma decydujące znaczenie, przyjacielu.

Wyraźnie niezadowolony Kelif spróbował raz jeszcze, wskazując bez słowa na Rawnie i na jej matkę.

— Dzięki Leo i jego zamiłowaniu do dramatyzmu nie mogą powiedzieć mu nic, czego już by nie wiedział — odrzekł Straik. — Zresztą to nie ma znaczenia. Musimy tylko dostarczyć go na miejsce.

— Aha — zgodził się olbrzym, nadal urażony. Zawłókł mnie do lasu, a kiedy się odlałem, zaprowadził na wóz. Usiadł tam obok mnie, pogrążony w pełnym rezygnacji milczeniu. Na wozie leżały trzy albo cztery zmięte koce, bukłak z wodą oraz na wpół otwarty plecak. Zauważyłem w środku czerwoną tkaninę oraz drewniany grzebień z namalowanymi na nim kwiatami.

Gdy Rawnie i jej matka wróciły na wóz, usłyszałem dziewczynkę, nim jeszcze ją zobaczyłem.

— Nie musisz tego robić, ty brzydki, śmierdzący hisafie! Nie musisz mnie zakuwać! Obiecuję, że nie zeskoczę z wozu, jeśli tego nie zrobisz!

— A jeśli w to uwierzę — usłyszałem głos Leo dobiegający z za wysokich boków wozu — opowiesz mi, że potrafisz zamienić wodę w rzece w miód. Wsiadaj na wóz.

— Nie.

— Rawnie — rzekła bezradnie matka dziewczynki.

— Nie przykuwaj mnie — powtórzyła Rawnie.

Leo otworzył tylną klapę wozu. Udawał rozbawionego, ale irytacja osłabiła jego aktorskie talenty i owa wesołość miała wyraźnie kwaśny smak.

— Chyba zapomniałaś o jednym dobrym powodzie, by wsiąść na wóz, Rawnie.

— A co to za powód?

— Nie potrafisz zgadnąć?

Mógłby po prostu wrzucić ją na górę, ale podejrzewałem, że zakazano mu — podobnie jak całej reszcie — tknąć obu kobiet.

— Nie potrafię! — zawołała dziewczynka.

— Będziesz tam mogła dręczyć Rogera zamiast mnie.

Uniosła głowę, zajrzała do środka nad boczną deską, zobaczyła mnie i syknęła. Potem pobiegła do tylnej klapy, gdzie stał Leo w pozie wystudiowanej nonszalancji, i kopnęła go mocno po łydkach. Następnie wskoczyła na wóz i dała mi kopniaka w bok.

— Rawnie, przestań natychmiast, albo wiesz, co zrobię! — odezwała się jej matka, spoglądając ze strachem na Kelifa. Olbrzym nie zareagował. Głos matki nie za brzmiał zbyt autorytatywnie, ale dziewczynka obejrzała się ze strachem za siebie, a potem na szczęście usiadła w jednym z kątów.

— Przepraszam, Roger — rzekła jej matka i również wdrapała się na wóz.

Kopniak był bolesny. Skupiłem się na próbach oddychania, podczas gdy Leo założył na kostkę Rawnie kajdanki, takie same jak moje, ale o dłuższym łańcuchu. Cienka dłoń dziewczynki wysunęła się z uścisku. Drugi koniec przytwierdził do tego samego pierścienia co moje okowy. Matki Rawnie nie skrepował. Potem zszedł z wozu z wyraźną ulgą. Nie potrafił się jednak powstrzymać przed drwiną na pożegnanie.

— Nacieszcie się swoim towarzystwem, Rawnie i Roger.

— Żryj łajno — odwarknęła dziewczynka.

Jej matka i ja popatrzyliśmy na siebie nawzajem.

To była kobieta, którą mój ojciec zastąpił moją matkę. Nie sprawiała teraz zbyt imponującego wrażenia. Jej twarz, pobladła dziś i zapadnięta, wyglądała jednak miło. Zostawiono jej swobodę, ponieważ nie było możliwości, by próbowała ucieczki bez córki. Zresztą nie wyglądała na kogoś, kto potrafi uciekać albo walczyć. Byłem zmuszony przyznać, że nienawidzę jej łagodnego, delikatnego wyglądu. Za bardzo mi przypominała wspomnienie o mojej matce. Najwyraźniej ojciec miał ściśle określony gust, gdy chodziło o kobiety.

— Roger — zaczęła wreszcie. — Wiem, że to dla ciebie szok...

— Nic nie wiesz — warknąłem.

— Nie mów tak do mojej matki! — zawołała Rawnie.

Zignorowałem ją. Zaczęła się podnosić, zapewne po to, by znowu mnie kopnąć.

— Wiesz, co zrobię! — powtórzyła jednak kobieta i jej córka cofnęła się do kąta ze złością w oczach.

— Wiesz co? — rzekłem do Rawnie. — Jeśli naprawdę nie chciałaś, żeby Leo cię zakuł, nie powinnaś go nazywać „brzydkim, śmierdzącym

hisafem”. W ten sposób raczej nie zdobędziesz niczyjej życzliwości.

— Nienawidzę cię — odparła, ale w jej jasnych oczach coś się zmieniło. Właściwie nie chciałem udzielać jej rad, a tylko odwzajemnić obelgę, ale wyglądało na to, że naprawdę zastanawia się nad moimi słowami. Nie dbałem o to. Ponownie przeniósłem uwagę na jej matkę.

— Ile lat ma Rawnie? — zapytałem. — Dwanaście?

— Jedenaście — odparła z oporem. Wiedziała już, w jakim kierunku zmierzają moje myśli. Nie była głupia.

— Jedenaście. To znaczy, że urodziła się rok po tym, jak moja matka umarła, a mnie wysłano do ciotki Jo. Rawley nie tracił zbyt wiele czasu na żałobę, prawda?

Jej piękna twarz stwardniała, ale jej wyraz sugerował raczej błaganie niż pogardę.

— Nic nie rozumiesz, Roger. Myślał, że ty również nie żyjesz. Był zrozpaczony, że nie potrafił ochronić Katharine. Odchodził od zmysłów z rozpacz, mimo że porzucił ją dla jej bezpieczeństwa...

— Daruj sobie. Słyszałem już to wszystko, „pani Kilbourne”. Porzucił moją matkę, pozwalając, by związała się z innym mężczyzną, a moja siostra urodziła się po drugiej stronie i wpadła w obłąd. Mnie zaś skazał na bicie i głodzenie przez tego bydlaka, za którego wyszła ciotka Jo.

— O niczym nie wiedział! — zawołała.

— No wiesz, spotkałem go. Raz. Nie sprawił na mnie wrażenia aż tak nieświadomego. Wyglądał raczej na kłamcę i niewiernego oszusta. Ale oczywiście miał cię, byś pocieszyła go po tych wszystkich stratach. Powiedz, czy moja matka była już w krainie Umarłych, gdy się z tobą związał?

W jej oczach gorzała desperacja. Rawnie gapiała się na nas oboje, otwierając szeroko oczy. Najwyraźniej niektóre z tych informacji były dla

niej nowe. Nawet Kelif, z reguły niewzruszony jak głaz, otworzył zaspane oczy, słuchając z uwagą.

— Nie spodziewałam się, że będziesz taki zgorzkniały, Roger — stwierdziła kobieta.

— Mam powody.

— To prawda. Ale nie ojca powinieneś oskarżać. Zrobił wszystko, na co tylko było go stać w tej trudnej sytuacji.

— Och, z pewnością. Wszystko, na co było go stać, to porzucona żona i dziecko, kolejne dziecko wychowane za grobem, łatwowierna kochanka i bękarcia druga córka.

Rawnie zerwała się i pobiegła w moją stronę.

— Nie mów tak o moim ojcu!

Jej łańcuch był wystarczająco długi, by mogła mnie dosięgnąć, a krzyk matki zignorowała, ale Kelif wyciągnął wolną, prawą rękę i zatrzymał dziewczynkę tak łatwo, jakby była wycięta z papieru.

— Nie — rzekł po prostu, odpychając ją na bok. Rawnie klapnęła ciężko na miejsce. Łzy wypełniły jej oczy, ale natychmiast zniknęły.

Wóz ruszył ciężko naprzód. Nawet nie zauważyłem, że woźnica wdrapał się na kozioł, a obóz zwinięto. Szczerze mówiąc, byłem przerażony własnym wybuchem. Nie zamierzałem przemawiać do tej kobiety tak jadowicie. Gniewałem się na ojca, nie na nią.

Ostatnie słowo należało jednak do niej.

— Moja córka nie jest bękartem — oznajmiła z cichą godnością. — Naprawdę jestem panią Kilbourne. Mam na imię Charlotte.

Nie odpowiedziałem. Wozy strzeżone przez Bractwo wyjętych spod prawa hisafów ruszyły na południe w słodkim blasku letniego słońca.

Nie tylko czułem się zawstydzony obelgami, którymi obrzuciłem Charlotte, lecz również wstrząsnął mną nieoczekiwany bezmiar niechęci, jaką darzyłem ojca. Co więcej, straciłem okazję zdobycia informacji. Charlotte mogła wiedzieć, dokąd nas wiozą i czego od nas chcą. Zasnęła wkrótce po tym, jak wozy ruszyły w drogę. Domyślałem się, że nocą spała równie mało jak ja. Rawnie i ja jeszcze przez chwilę gapiliśmy się na siebie ze złością, nie odzywając się ani słowem. W końcu dziewczynka również zapadła w sen, kładąc rękę na małym plecaczku w ochronnym geście. Kelif mógł spać albo nie — w jego przypadku zawsze trudno to było ocenić.

Przyjrzałem się Charlotte, która leżała na samym końcu wozu, wsparta o jego tylną klapę. Jeden z warkoczy uwolnił się i opadał na koc, gruby i błyszczący jak miedź. Kiedy spała, jej twarz nie wyglądała na wynędzniałą. Nie powinienem był tak do niej mówić. Jej córka mogła być bękartem bądź nie, ale mój syn z pewnością nim będzie, chyba że zdążę dotrzeć do Maggie, by się z nią ożenić. Charlotte niewątpliwie kochała mojego ojca i zapewne starała się pocieszyć go w żałobie, podobnie jak Maggie, na swój zgryźliwy sposób, pocieszała mnie po śmierci Cecylii. Jak mogłem potępiać Charlotte za to, co uczyniła, a jednocześnie wielbić Maggie za to samo? Nie, to mój ojciec zasługiwał na obelgi, nie ta kobieta.

Gdy Kelif zaczął chrapać, być może uśpiony ciepłem słońca, kołysaniem wozu bądź też po prostu zwykłą nudą, dotknąłem wyciągniętej ręki Charlotte. Obudziła się natychmiast, wciągając nagle powietrze, i rozejrzała się w poszukiwaniu Rawnie. Okropny bachor spał.

— Przepraszam za to, co powiedziałem — wykrztusiłem.

Jej twarz się rozpromieniła. Nie było na niej ani śladu urazy.

— W porządku, Roger. Wiem, że Rawnie i ja byliśmy dla ciebie szokiem. Mam nadzieję, że uwierzysz, że Rawley...

— Nie chcę o nim rozmawiać.

— Jak sobie życzysz.

Część blasku zniknęła z jej twarzy, ale kobieta nie przestała się do mnie uśmiechać. Kiedy usiadła, luźny warkocz zakołysał się przed jej twarzą. Pomacała leżące wokół koce w poszukiwaniu drewnianej spinki do włosów podtrzymującej warkocz.

— Czy mogę ci zadać parę pytań? — odezwałem się.

— Oczywiście.

— Wiesz, dokąd nas wiozą?

— Nie. A ty?

— Nie wiem prawie nic. Dlaczego pojмали ciebie i Rawnie? Czy któraś z was... — Zerknąłem na Kelifa, ale on nadal chrapał. — Czy któraś z was ma talent do sztuk duszy? — dokończyłem cichym głosem.

— Nie. Nawet najmniejszego. Nie wiem, dlaczego ci hisafowie nas zabrali.

Przychodził mi do głowy tylko jeden powód: więź łącząca je z moim ojcem. Nadal nie wiedziałem, jak można było uwięzić hisafa w Galtryf albo gdziekolwiek indziej, skoro mógł uciec cieleśnie do krainy Umarłych. Chyba że dniem i nocą był przykuty do kilku członków Bractwa, jak ja do Kelifa.

Charlotte dała sobie spokój z poszukiwaniem spinki. Odpięła drugi warkocz, rozpuściła oba i zaczęła czesać włosy malowanym grzebieniem wyjętym z plecaka. Musiałem odwrócić wzrok. Cecilia zwykła czesać swe lśniące włosy przy ognisku, a Maggie w głównej sali naszej gospody. W

takiej chwili kobieta wydaje się wyjątkowo kobieca — bezbronna i atrakcyjna.

— Roger — zapytała bardzo cicho — może podejrzewasz, dokąd nas wiozą i o co im chodzi?

Przez cały ranek wozy wspinały się na coraz bardziej strome wzgórza. Opuściliśmy Reginokrację — a może już ją opuściliśmy — przechodząc na wyżynne obszary Ziemi Niczyjej. Wiedziałem, że wkrótce krajobraz zrobi się jeszcze dzikszy, usiany żlebami i urwiskami, nim wreszcie dotrzemy wyżej, na płaskie, pokryte torfem wrzosowisko.

— Roger?

— Myślę — odparłem, wyduszając słowa z nagle ściśniętego gardła — że jedziemy na Wrzosowisko Duszorośli.

W południe wozy zatrzymały się i przygotowano posiłek. Nie byłem w stanie jeść, podobnie jak Charlotte. Oboje wiedzieliśmy, co się dzieje na Wrzosowisku Duszorośli. Doświadczyłem tego już dwukrotnie. Za pierwszym razem zginęła tam Cecilia. Za drugim sam omal nie postradałem życia. Leżałem związany na płaskim kamieniu, bęben wybijał śmiertelny rytm, a zielonooki starzec unosił nóż nad moim gardłem. Uratowały mnie psy. One i Tom Jenkins. Choć jednak bałem się śmierci tak samo jak każdy, nie myśl o niej sprawiała, że wywracało mi się w żołądku i ścisnęło mnie w gardle. Chodziło o to, co potem Duszoroślanie zrobią z moim ciałem. Wykorzystają je w swych obmierzłych rytuałach, symbolicznie „czerpiąc siłę” z mięsa swych ofiar w krainie żywych, podobnie jak postępowali z ich duszami w krainie Umarłych. Czy potem jakiś hisaf z Bractwa przejdzie na drugą stronę i posadzi mnie w kręgu, a następnie będzie się przyglądał, jak pochłania mnie wir szarej mgły, na zawsze odbierając mi szansę na wieczność?

Podczas posiłku, którego nie zjedliśmy, Charlotte spojrzała mi w oczy tylko raz. Natychmiast odwróciła wzrok. Wiedziałem, że nie jest w stanie znieść widocznego w moich oczach odbicia wiedzy, którą dzieliliśmy. Cały czas patrzyła na Rawnie i na moment niemal zapomniałem o własnym strachu na widok potężniejszego, jaki z pewnością czuła.

Moje dziecko nadal było bezpiecznie. Nie zmierzaliśmy do Tanwell, gdzie przebywała Maggie, lecz w przeciwną stronę. Bractwo nie wiedziało o niej ani o moim synu. A gdy już umrę, nigdy się o nich nie dowie. Charlotte nie miała podobnej pociechy.

A Rawnie nie żywiła tego typu obaw. Nie zachowywała się już tak okropnie jak przedtem, ale powodem tego nie był strach. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało, ale potem wszystko zrozumiałem.

Gdy tylko wóz się zatrzymał i odpięto nam łańcuchy, pojawił się Leo. Najwyraźniej w dalszym ciągu był odpowiedzialny za Charlotte i jej córkę, nie ulegało też wątpliwości, że nadal nie jest zadowolony z tego zadania. Zapewne spodziewał się kolejnych kopniaków, obelg, wrzasków i stawiania oporu. Nie doceniał Rawnie. Podobnie jak ja.

Z pewnością zapamiętała to, co powiedziałem jej przy śniadaniu. „Jeśli naprawdę nie chciałaś, żeby Leo cię zakuł, nie powinnaś go nazywać «brzydkim, śmierdzącym hisafem». W ten sposób raczej nie zdobędziesz niczyjej życzliwości”. Gdy tylko aktor zdjął jej z kostki długi łańcuch, uśmiechnęła się do niego.

— Dziękuję, Leo.

Poderwał się, wyraźnie zaskoczony.

Wszyscy czworo, zeszywniali po siedzeniu na trzęsącym się wozie, zeszliliśmy na ziemię i zaprowadzono nas do lasu, byśmy opróżnili pęcherze. Ponieważ nie było z nami kobiet, które zajęłyby się Charlotte, musiał to zrobić Leo. Nadal krzywił się z niezadowoleniem. Zapewne nie miał ochoty

odwracać się plecami do Rawnie, ale Straik rozkazał traktować matkę i córkę z najwyższym szacunkiem. Nim jednak weszli do gęstego zagajnika, Rawnie położyła dłoń na ramieniu aktora. Byli tak blisko, że usłyszałem, co mu powiedziała.

— Przepraszam, że wczoraj i dziś rano sprawiłam ci tyle kłopotów, Leo. Po prostu się bałam. Nigdy jeszcze nie byłam daleko od domu, w przeciwieństwie do ciebie, i nie potrafię być odważna. — Uśmiechnęła się żałośnie. — Wiem, że ty byłeś wszędzie. Dla ciebie wygląda to zupełnie inaczej, bo jesteś aktorem. Kiedy mama mi o tym powiedziała, ledwie mogłam jej uwierzyć. Aktor! Z pewnością przeżyłeś wspaniałe przygody!

Charlotte gapiła się na nią z niedowierzaniem, a Leo z podejrzliwością. Rawnie skryła się skromnie za drzewami.

Wróciła przed matką, podeszła do Leo i splotła przed sobą dłonie w błagalnym geście.

— Czy moglibyśmy zawrzeć umowę? Jeśli przez cały dzień będę naprawdę bardzo grzeczna, to czy zagrasz coś dla mnie na wieczornym postoju? Nic wielkiego, wiem, że ktoś taki jak ja nie może liczyć na całą sztukę za darmo, ale może chociaż fragmencik jednej sceny?

— Nie — odpowiedział Leo.

Zwiesiła głowę.

— Rozumiem — wyszeptwała. — Wielcy aktorzy nie występują za darmo.

Całym swym drobnym ciałkiem wyrażała skruczę i rozczarowanie.

— Nie występują — potwierdził Leo, ale wyprostował się nieco, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiezek.

Rawnie rozpromieniła się nagle.

— Mogę ci zapłacić. Mam dwa grosze!

— Całe dwa grosze? — zapytał z uśmiechem. — Naprawdę? Cóż za fortuna!

— Wiem, że pewnie dostajesz za występy setki sztuk srebra albo nawet złota.

— No cóż... tak. — Zgodnie z oczekiwaniami był dobrym kłamcą. — Ale czy naprawdę obiecasz, że nie będziesz robiła kłopotów? Nawet najmniejszych?

— Tak jest! — Była wniebowzięta, jej twarz promieniała. Stała na paluszkach z podniecenia, niemalże lewitowała. — Och, Leo, naprawdę to zrobisz?

— Niczego nie obiecuję — odparł wyniośle. Charlotte wróciła i ładowano nas z powrotem na wóz. Rawnie wyciągnęła nogę, pozwalając założyć na nią łańcuch. Patrzyła na Leo, jakby był księciem, bohaterem, bogiem.

Kiedy już sobie poszedł i wozy oraz ludzie wznowili podróż na południe, dziewczynka łypnęła na mnie ze złością.

— Na co się gapisz, Roger?

— Na nic — odparłem. Prawdę mówiąc, porównywałem ją do swej drugiej przyrodniej siostry, Katharine, którą zamordowałem. Katharine była szalona i Bractwo wykorzystywało ją do swoich celów. Zabijała ludzi. Rawnie przez całe życie kochano i opiekowano się nią. Z pewnością też nie była szalona. W pełni panowała nad swą podstępą osobowością. Mimo to wydawała mi się równie nieprzewidywalna. Nie lubiłem jej, nie poczuwałem się do pokrewieństwa z nią, ale jednocześnie nie mogłem znieść myśli o losie czekającym ją na Wrzosowisku Duszorośli.

Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się na wzniesieniu, nad ubogim gospodarstwem na nieurodzajnych gruntach Ziemi Niczyjej. Na tak dzikich terenach gospodarstwa leżały daleko od siebie, to jednak miało kilka

rozklekotanych budynków oraz przeznaczoną dla kóz szopę o ponadprzeciętnych rozmiarach. Wyrzałem nad wysoką boczną deską, napinając krótki łańcuch łączący mnie z Kelifem, i zobaczyłem daleko w dole kilka postaci. Jakaś kobieta uniosła ku nam twarz, a potem umknęła do jednej z chat. Dwie inne niosły wiadro wody z górskiego potoku. Dzieci ganiały się po okolicy.

Straik zszedł na dół w towarzystwie dwóch swych ludzi. Po pewnym czasie wrócili, dźwigając pakunki i prowadząc dwie kozy. Pomyślałem, że to z pewnością żywność ze skromnych zasobów tubylców, nabyta za rzadko tu widziane monety. Straik podszedł do wozu. Leo podążył za nim.

— Pilnuj go uważnie — rozkazał przywódca hisafów Kelifowi.

Olbrzym szeroko otworzył zaspane oczy.

— Czy...

— Tak.

— Tutaj?

— Wszyscy mężczyźni wyruszyli na długie polowanie. A ten krąg jest gotowy. Leo...

— Chcę pójść z tobą — odezwał się aktor.

— Nie. Twoje zadanie to żona i córka.

— Mam do tego prawo. To ja bym tu dowodził, gdybyś nie...

— Nie — powtórzył Straik i ruszył z powrotem w stronę gospodarstwa.

Wszyscy mężczyźni, poza Leo i Kelifem, poszli za nim. Aktor krzywił się wściekle. Rawnie przysunęła się doń, przyjrzała się jego twarzy i wycofała do swego kąta. W tej chwili żadne pochlebstwa jej nie pomogą. Ucisk w moim żołądku narastał, aż wreszcie poczułem się, jakbym miał tam twarde kamień.

„Ten krąg jest gotowy”. Znałem tylko jeden rodzaj kręgu, o jakim mógł mówić Straik, i takie kręgi nie istniały w krainie żywych.

Ludzie z Bractwa dotarli do gospodarstwa. Klęknąłem, by móc wyglądać nad burtą wozu. Kelif podniósł się razem ze mną, co z jakiegoś powodu przestraszyło mnie jeszcze bardziej.

Jeden z mężczyzn złapał najbliższą kobietę. Zaczęła krzyczeć i Rawnie wyprostowała się nagle.

— Nie pozwól jej patrzeć! — ostrzegłem ostrym tonem Charlotte. Kobieta spróbowała złapać córkę, ale to Leo popchnął ją do kąta i nie pozwolił stamtąd wyjść.

Hisaf związał ręce kobiety za plecami i zawlókł ją do jednej z chat. Pozostali mężczyźni robili to samo. Łapali kobiety i dzieci, ciągnąc je do tej samej chaty. Usłyszałem, że jedna z kobiet krzyknęła: „Zwiewajcie!” i dwoje starszych dzieci zniknęło w lesie. Mężczyźni nie próbowali ich ścigać. Dobiegające z chaty krzyki nie milkły, zatem hisafowie przynajmniej nie mordowali jeńców. Zamiast tego metodycznie wynosili coś z tej chaty, a także z pozostałych. W pierwszej chwili pomyślałem, że kradną kolejne zapasy, ale to nie był prowiant.

To były niemowlęta.

— Co oni robią? — zawołała Rawnie. — Pozwól mi wstać!

— Jeśli się ruszysz, uderzę cię — ostrzegł ją Leo.

— To uderz!

Usłyszałem za sobą szuranie, a po chwili przenikliwy ze strachu głos Charlotte: — Jeśli się nie uspokoisz, wiesz, co zrobię!

Szuranie ucichło. Hisafowie uwięzili już w chacie wszystkich mieszkańców. Sześcioro niemowląt wynieśli na ogołocony plac między domostwami, wydeptany przez licznych przechodniów w ciągu tak długiego czasu. Na zmiennym wietrzyku niosło się słabe, piskliwe zawodzenie dzieci. Straik zniknął, razem z dwoma innymi hisafami.

Wiedziałem, dokąd powędrowali. Nie przejmując się karą, jaką mógł mi wymierzyć Kelif, ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Znaleźliśmy się z Kelifem w krainie Umarłych. Chaty, szopa dla kóz oraz krzyżące kobiety zostały za nami. W dolinie, wypełnionej po tej stronie słabym, niezmiennym blaskiem, siedział krąg Umarłych. Mgła za nimi dorównywała gęstością zupie, choć powietrze wokół kręgu było klarowne. Każdą z martwych głów również otaczała gęsta mgła, szara i wibrująca, a brzęczący wir pośrodku obracał się coraz szybciej i szybciej...

Pojawili się trzej hisafowie. Każdy z nich niósł na obu rękach po niemowlęciu. Potem rozległ się huk brzmiący jak uderzenie gromu, rozbłysło światło jaśniejsze niż słońce i Umarli zniknęli, wessani przez wir.

To było wszystko, co zdążyłem zobaczyć. Kelif ryknął donośnie, złapał mnie i znowu znaleźliśmy się w tym straszliwym miejscu między krainami, tym wiecznym grobie. Tym razem ciągnęło się to bez końca, choć zapewne winne było moje przerażenie. Potem znowu znaleźliśmy się w wozie. Wyglądaliśmy nad jego boczną deską. Wkrótce zjawili się też hisafowie. Niemowlęta wróciły razem z nimi, ale przestały płakać. Mężczyźni ułożyli spokojne, nieruchome ciała w kręgu na ziemi.

Kelif zdzielił mnie w skroń i osunąłem się na bok wozu. Łączący nas ze sobą łańcuch nie pozwalał mi upaść. Cios był bolesny, ale nie tak bardzo jak to, co przed chwilą ujrzałem.

Matka Chilton powiedziała mi prawdę już tak dawno temu: „Czy nie rozumiesz? Życie i śmierć są częścią sieci bytu i w obu kryje się moc. Kiedy ta moc jest zmuszona do nienaturalnego płynięcia od Umarłych z powrotem do żywych, jak robi to Wrzosowisko Duszorośli, musi też dojść do przepływu w drugą stronę. W przeciwnym razie całą sieć ogarnęłyby coraz silniejsze zakłócenia, które w końcu zniszczyłyby ją całkowicie. Nadchodzą straszliwe czasy. Straszliwsze, niż mógłbyś to sobie wyobrazić”.

Te czasy już nadeszły. Widziałem to przed chwilą. Duszoroślanie wyssali moc ponadczasowych Umarłych, pragnąc osiągnąć wieczne życie. W ten sposób ukradli wieczność tym, którzy siedzieli w owym kręgu. Równoważyli tę kradzież za pomocą życia niemowląt, wprowadzając je w niezmienny, spokojny trans Umarłych. Dlatego krainą położoną za barierą grobu nie targały burze oraz trzęsienia ziemi, jak wtedy, gdy przyprowadziłem stamtąd armię Niebieskich. Matka Chilton powiedziała mi, że za wszystko trzeba płacić, ale nie wspomniała o najbardziej monstrualnym fakcie. Czasami płacili niewinni.

Ja jednak nie zaliczałem się do nich. Gdybym nie ingerował w sprawy śmierci, nie sprowadził z drugiej strony Gacka, Cecylii oraz armii Niebieskich, gdybym nie przeniósł Toma, Jee oraz księżniczki na drugą stronę grobu, czy cokolwiek z tego byłoby możliwe? Matka Chilton powiedziała mi, że wojna z Wrzosowiskiem Duszorośli zaczęła się jeszcze przed moimi narodzinami, ale w jakim stopniu ją przyśpieszyłem?

Wszystkie te niemowlęta, zawieszane między życiem i śmiercią... wszyscy ci zrotpaczeni rodzice...

— Roger? — odezwała się drżącym głosem siedząca obok Charlotte.

— Siedź spokojnie — warknął Kelif.

— Rawnie, wcale nie zamierzałem cię uderzyć — zapewnił Leo tonem, w którym strach mieszał się z gniewem na to, że go przestraszyła. Znaczyło to: „Nie mów Straikowi, że ci groziłem”.

— W porządku. Przepraszam — odparła dziewczynka swym nowym, przeznaczonym dla niego tonem, ciepłym i kłamliwym.

Wróciłem do świata jeńców, skomplikowanych politycznych rozgrywek, materialnego wozu, twardych drzew oraz klarownego letniego powietrza, wolnego od mgły. Zobaczyłem jednak, co czynią Duszoroślanie. Wysiłki hisafów mojego ojca oraz kobiet z sieci, próbujących powstrzymać Wrzosowisko Duszorośli, najwyraźniej nie były skuteczne. Nie miałem pojęcia, jak mogłyby się udać. Życie i śmierć znalazły się w oblężeniu.

Osunąłem się pod burtę wozu, wcisnąłem twarz w nieheblowane drewno i przez resztę dnia nie odzywałem się do nikogo.

Gdy wreszcie urządziliśmy postój, robiło się już ciemno. Zapewne Straik chciał, by ludzie z Bractwa oddalili się maksymalnie od gospodarstwa, w którym okradli niemowlęta z siły życiowej. Na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Wszedł księżyc w kwadrze, żółty jak masło. Konie ciężko pracowały przez cały dzień, jadąc pod górę, a teraz zatrzymały się, dyszące i spienione. Mężczyźni wycierali je i poili. Liściaste drzewa niemal całkowicie ustąpiły miejsca sosnom, najpierw wysokim, a potem coraz mniejszym. Wiedziałem, że zbliżamy się do granicy Ziemi Niczyjej z Wrzosowiskiem Duszorośli.

Straik i jego ludzie, w tym również Leo, byli w radosnym nastroju. Rozpalili ogniska. Wykąpali się nago w lodowatym górskim potoku, śmiejąc się i krzycząc. Zachowywali się, jakby zwycięstwo było w zasięgu ręki. W przeciwieństwie do nich Charlotte i ja prawie się nie poruszaliśmy. Milczeliśmy, unikając nawzajem swych spojrzeń. Kobieta siedziała przy ognisku ze zwieszoną głową, splatając ciasno dłonie. Sprawiała wrażenie sparaliżowanej strachem.

Rawnie zachowywała się inaczej. Skoncentrowała się na Leo, wpatrując się weń tak uważnie, że ja również skierowałem na niego spojrzenie i zauważyłem szczegóły, które wcześniej umknęły mojej uwadze. Jego zarozumiałość i przekonanie o własnej wartości traktowałem dotąd jako przejaw aktorskiej pewności siebie, teraz jednak spostrzegłem, że niektórzy z mężczyzn — nie wszyscy, ale spora ich część — również okazują mu szacunek. Słuchali jego słów i śmiali się z jego żartów. Rozmawiano o błahych sprawach — o kobietach, o gospodarach w Reginokracji, o ale i

winie. Niemniej Leo słuchano, a kiedy komuś przerwał, tamten natychmiast się uciszał.

Przypomniałem sobie, co powiedział aktor Straikowi: „To ja bym tu dowodził, gdybyś nie...”. Gdyby czego nie zrobił?

— Leo, zaśpiewaj nam coś — odezwał się Straik.

— Może później.

— Teraz — zażądał przywódca hisafów i to z pewnością był rozkaz.

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy i Leo pierwszy odwrócił wzrok. Przestał się śmiać i z naburmuszoną miną wyjął instrument. Śpiewając, pochylał głowę, żebym nie widział jego twarzy.

Nawet gdy zbiegniesz na wzgórza,

Nie umkniesz przede mną, miła.

Twe serce, najdroższa, jest moje, Choćbyś kształt jego zmieniła.

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

Uczyń, co zechcesz i możesz,

Zastosuj sztuczki ci znane.

Ja zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

Jego głos był czysty i silny, tak samo jak wtedy, gdy śpiewał tę pieśń dla mnie, a słowa w równym stopniu mroziły krew w żyłach. Gdy jednak uniósł wzrok, nie patrzył na mnie, lecz na Straika. W jego oczach widniało wyzwanie.

Przywódca hisafów roześmiał się głośno.

— Całkiem ładna piosneczka. Jeśli przegramy tę wojnę, zawsze będziesz mógł zarabiać na życie, śpiewając za grosze w piwiarniach.

Twarz Leo poczerwieniała.

— Nie śpiewam w piwiarniach. Byłem aktorem.

— Och, jestem pewien, że bardzo dobrym — odparł Straik z drwiną w głosie. — Ale na razie lepiej znowu zaprowadź pannę Rawnie do lasu. Zaczyna się wiercić.

W oczach Leo błysnął gniew. Jeden ze starszych mężczyzn zmarszczył brwi. Napastliwość Straika wyraźnie mu się nie podobała, ale nie odezwał się ani słowem. Odnosiłem wrażenie, że w Bractwie obowiązuje ścisły porządek sukcesji, lecz nie wszyscy są z niego zadowoleni. Czy mógłbym to w jakiś sposób wykorzystać? Nie nasuwał mi się żaden pomysł.

Rawnie miała dziwnie wystraszoną minę, ale trwało to ledwie chwilę. Rzeczywiście wierciła się przy ognisku, lecz nie z powodu sugerowanego przez Straika. Próbowwała niepostrzeżenie wyciągnąć coś z leżącego obok plecaka albo może schować to z powrotem. Teraz wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

Charlotte uniosła rękę, jakby chciała popchnąć delikatnie córkę, i pozwoliła, by jej dłoń opadła na tajemniczy obiekt.

— Idź z Leo, kochanie. Z nim będziesz się czuła swobodniej.

Oddalili się oboje. Twarz Leo była czerwona z gniewu, Rawnie zaś nie okazywała zawstydzienia, ale wyglądała na zamyśloną. Nikt poza mną nie patrzył na Charlotte. Spomiędzy jej palców nagle wyłonił się drżący różowy ogonek. Zauważyłem myszkę, gdy kobieta wsadzała ją z powrotem do plecaka córki i zawiązała sznurki.

Charlotte zauważyła moje spojrzenie. Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i nagle pochyliła głowę do przodu, jakby chciała zawiązać but, co pozwoliło jej ukryć twarz.

— Nie mów nikomu — wyszeptała tak cicho, że Kelif nie mógł jej usłyszeć. — To jej pieszczoszka od dwóch miesięcy. Tylko w ten sposób mogę zmusić Rawnie do posłuszeństwa.

A więc to miała na myśli Charlotte, mówiąc Rawnie, by jej słuchała, bo „wiesz, co zrobię”! A dziewczynka wierzyła, że matka jest zdolna pozbawić ją zwierzątka. To sugerowało twardość charakteru, której dotąd u Charlotte nie dostrzegłem, a także pewien stopień desperacji, gdy chodziło o zapanowanie nad córką. Dwa miesiące... jak długo żyły myszy? Jeśli gryzoń zdechnie, jak matka zdoła zdyscyplinować Rawnie?

Dziewczynka i Leo wrócili do ogniska. Straik snuł jakąś opowieść o grze w kości w wiejskiej gospodzie. Rawnie stanęła przed nim.

— Leo dla nas zagra! — oznajmiła głośno.

— Nie sądzę — odparł Straik. Udawał rozbawionego, ale nie zdołał w pełni zamaskować irytacji.

— Och, tak, zagra! — zawołała dziewczynka, podekscytowana jak małe dziecko. — I to będzie *Bohater Carday*, bo John i Tarf uwielbiają tę sztukę! Prawda?

Obaj mężczyźni unieśli wzrok. Nie wiedziałem dotąd, jak mają na imię, ale gdy Leo śpiewał, słuchali go z rozdziawionymi z zachwytu ustami. Ich twarze załśniły teraz niepewną radością. Zerkali na Straika, na Leo i na Rawnie. Domyśliłem się, że dręczy ich głód opowieści, że rzadko stykali się z wyrefinowaną rozrywką, a gdyby nie urodzili się hisafami, zajmowałiby się jakąś prostą pracą, wykorzystywani przez tych, których obdarzono bystrzejszymi umysłami.

— Czyż nie uwielbiacie tej opowieści? — nie ustępowała Rawnie. — Czyż nie cudownie jest słuchać o bohaterach?

— O bohaterach — powtórzył John, kierując na Straika błagalne spojrzenie. — Powiedziałeś, że zostaniemy bohaterami.

— Leo to aktor — błagał Tarf. — Występował na dworze!

Straik postanowił okazać wielkopańską pobłażliwość. Machnął niedbale ręką.

— Skoro musicie. Zaczynaj, Leo.

Zatem nie panował nad swymi ludźmi tak pewnie, jak by tego chciał. W przeciwnym razie z pewnością by nie ustąpił. Tę informację również obracałem w umyśle niczym błyszczący kamyk.

Leo wszedł w krąg światła ogniska. Pozostali przesunęli się, by zwrócić twarze w jego stronę. Usiedli na ziemi za Rawnie, Charlotte, Kelifem i mną. W ten sposób staliśmy się widownią. Tylko Straik pozostał po drugiej stronie ogniska. Leo zwracał się do niego plecami i przywódca hisafów niewiele widział z występu.

Widziałem już, jak Leo przerodził się z zastraszonego, naznaczonego bliźną sieroty w pewnego siebie pyszałka. To powinno mnie przygotować, uświadomić mi, jak drastycznie potrafi zmienić swój obraz. Tak jednak nie było. Gdy stanął przy ognisku, z jedną połową twarzy oświetloną płomieniami, a drugą skrytą w cieniu, nagle wydał się wyższy i szerszy w barach. Jego postawa wyrażała powagę. Nie poruszało się nic poza jego oczami, a w nich płonął ogień idealizmu i poświęcenia.

Bohater Carday to jedna z najpopularniejszych epickich opowieści w Reginokracji. Nawet najnędzniej sza trupa trubadurów zna tę sztukę i często ją wystawia. To jednak nie była recytacja w piwiarni, gdy tekst wybiera się po to, by wspaniałość słów zamaskowała nędzę wykonania. Leo stał się księciem Channingiem, Władcą Ognia. Nie stał na leśnej polanie, lecz na szanćcach zamku, gotowy oddać życie za swój lud. Jego głos drżał od kontrolowanych emocji człowieka, który wybiera śmierć w imię wyższego dobra.

Pragnę, by mnie zapamiętano.

To wszystko, o co proszę — by mnie zapamiętano Takim, jakim byłem. Zapamiętano mnie rankiem Przy nadejściu nowego dnia.

Zapamiętano mnie wieczorem, W bólu znużonych kości, Gdy byłem rad z męczących obowiązków.

Zapamiętano...

Wszystkie twarze wokół ogniska wypełniał zachwyt. Nawet ja dałem się porwać, choć sam wkrótce miałem umrzeć i nie posiadałem szlachetnej odwagi księcia Channinga, a do tego świetnie wiedziałem, że w bezmyślnym siedzeniu przez długie stulecia w krainie Umarłych nie ma nic szlachetnego. Sztuka była kłamstwem, ale w wykonaniu Leo to kłamstwo zyskiwało nieodpartą moc i piękno. Takie słowa nigdy nie mogłyby...

— Aaaiiiiiiii...

Krzyk, niski i przenikliwy, urwał się nagle. Rozległo się warczenie i odgłos rozszarpywanego ciała, jakie zbyt często słyszałem w przeszłości. Mężczyźni zerwali się z krzykiem na nogi. Po chwili zabrzmiał wystrzał ze strzelby i straszliwe dźwięki umilkły.

— Jol go załatwił!

— Kto...

— Jak...

Sypały się przekleństwa. Zbici z tropu, krzyżący ludzie pobiegli do ciemnego lasu, przedzierając się przez chaszczce. Kelif zerwał się na nogi i obiegł ognisko, wlokąc mnie za sobą.

Straik leżał w jego blasku. Gardło miał rozdarte. Wszędzie było pełno krwi. Na mężczyźnie leżał szary pies, postrzelony w głowę. Obaj nie żyli.

John osunął się na kolana i zaczął płakać.

Reszta hisafów zareagowała na to gniewem albo kamiennym wyrazem twarzy. Tarf spróbował podnieść przyjaciela na nogi.

— Przestań!

John odepchnął Tarfa. Jego bezrozumna twarz wykrzywiła się w grymasie żałoby. Wszyscy zaczęli mówić.

- Wiedzą, gdzie jesteśmy!
- Znajdźcie hisafa!
- Wiesz, że nigdy go nie znajdziemy.
- Przyśpieszmy marsz...
- W Galtryf będziemy bezpieczni...
- Mówiłem, że potrzebujemy psów! Powtarzałem mu to od początku!
- Będziemy je mieli — odezwał się Leo.

We wszystkich znowu zaszła zmiana. Popatrzyli na siebie nawzajem, potem na leżącego na ziemi Straika, a wreszcie skierowali pełną uwagę na Leo. Moje domysły były trafne. W Bractwie — a przynajmniej w tej jego małej części — mógł być tylko jeden niepodzielny przywódca. Do tej pory był nim Straik, a teraz jego miejsce zajął Leo. Nie wiedziałem dlaczego. Był młodszy niż większość pozostałych. Niemniej nie można było wątpić, że on tu obecnie dowodzi. Przywdział ten płaszcz równie łatwo jak płaszcz księcia Channinga, i jeśli to także było aktorstwo, cechowało się równie wysoką próbą. O dziwo, pierwszy odezwał się Kelif.

— Kto? — zapytał.

— Nie ty — odparł Leo. — Ty musisz pilnować Rogera. Potężne barki olbrzyma zeszywniały, ale nie sprzeciwił się ani słowem.

Leo przesunął spojrzeniem po twarzach wszystkich mężczyzn.

— Dick i Macon — zdecydował wreszcie.

Pozostali skinęli kolejno głowami. Charlotte — nawet nie zauważyłem, że obie z Rawnie stoją obok mnie — wciągnęła nagle powietrze.

— Co oni chcą zrobić? — zapytałem szeptem.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem na twarzy. Jej szeroko otwarte oczy lśniły w blasku ognia.

— Nie wiesz?

— Co mam wiedzieć?

— Psy... Tylko dzięki nim Rawley mógł się ze mną ożenić!

Ożenić się z nią? Co to miało wspólnego z szarymi psami, które łążyły za mną od czasu spotkania z Cieniem, przed wieloma miesiącami? Wiedziałem, że pochodzą one z krainy Umarłych, ponieważ zawsze opuszczały mnie po dwóch tygodniach, obracając się w nicość i znikając na wieki. Jak Cecilia...

Nie będę teraz o niej myślał. Działo się tu coś ważnego i musiałem się dowiedzieć co. Niespodziewanie pomógł mi Leo.

— Roger to zobaczy — oznajmił, zauważywszy, że szepczemy do siebie z Charlotte.

— Dlaczego? — zapytał najmłodszy z hisafów, krzywiąc się z niezadowoleniem.

— Dlatego, że podejrzewam, że jeszcze o tym nie wie — odparł Leo. — Niech ujrzy, co go czeka.

Ktoś inny ryknął śmiechem pełnym radości tak okrutnej, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi chłód.

— Nie wie?

— Tak sędę. Nic nie wiesz o psach, prawda, Roger?

Nie odpowiedziałem. Stojąca przy mnie Charlotte za drżała.

— To niebezpieczne, Leo — sprzeciwił się młody hisaf. — Wiedzą, gdzie jesteśmy. Mogą na nas czekać. Po co ryzykować, że stracimy go po drugiej stronie?

— Nie będziemy ryzykować. Roger zaczeka tutaj, dopóki Macon i Dick nie będą gotowi. To nie powinno potrwać długo. Psiarnia jest tuż po drugiej stronie granicy.

— Mogą teraz mieć strzelby.

— Przestań marudzić, Gregory — odparł gniewnie Macon. — Dick i ja umiemy sobie radzić. Nikt ci nie każe ryzykować.

Twarz naburmuszonego młodzieńca zaczerwieniła się niczym cętkowany kasztan. Macon i Dick wymienili spojrzenia, zdjęli z pleców strzelby i wyciągnęli noże. Nie widziałem, co zrobił Macon, ale Dick wbił sobie sztych sztyletu w udo, i obaj zniknęli. Przeszli na drugą stronę.

— John i Tarf, pochowajcie Straika — rozkazał Leo. — Gregory i Stuart, stańcie na straży. Kelif, nie pozwól Rogerowi i kobietom opuszczać wozu. Ned pójdzie ze mną.

Posłuchali go wszyscy oprócz Rawnie, która pobiegła za nim.

— Zaczekaj! — zawołała. — Grałeś cudownie!

Ale jemu choć raz nie zależało na podziwie. Kelif zaciągnął mnie do Rawnie, złapał ją potężną ręką — tą, która nie była przykuta do mnie — i zaciągnął na wóz. Charlotte wspięła się na górę za córką.

W obozie nagle zapadła niesamowita cisza. Leo i jego prawa ręka rozmawiali ze sobą poza zasięgiem mojego słuchu. Strażnicy zniknęli w lesie. Było słycać tylko trzaskanie ognia oraz pohukiwanie sowy, a potem zgrzyt łopat o ziemię, gdy John i Tarf kopali grób Straikowi.

— Powiedz mi, czym są te psy? — rzekłem bardzo cicho do Charlotte.

Kobieta zerknęła na córkę.

— Och, mamó, wiem już wszystko na ten temat! — burknęła z irytacją dziewczynka i podniosła się na kolana, by spoglądać nad deską na kopiących grób mężczyzn.

Charlotte westchnęła, ale nie zaprzeczyła jej słowom. Zapewne były prawdziwe. A jeśli nie, Rawnie wkrótce pozna prawdę, ponieważ byłem zdeterminowany wydobyć z Charlotte całą jej wiedzę o tych sprawach. Powinienem był zrobić to wcześniej. Straik może i chciał utrzymać mnie w nieświadomości, ale teraz dowodził tu Leo, a on nie potrafił się oprzeć pokusie dramatyzmu. „Niech ujrzy, co go czeka”. Kelif zaakceptował zmianę dowódcy i nie sprzeciwiał się, gdy zacząłem rozmawiać z Charlotte.

— Czym są te psy? — powtórzyłem.

— Stworzył je Rawley... twój ojciec.

— Stworzył? Jak to...

— Nie „stworzył”. To nieodpowiednie określenie. — Słowa nagle popłynęły z jej ust swobodnym strumieniem. — One się rodzą, oczywiście, ale po drugiej stronie. To się zdarzyło po raz pierwszy, gdy hisaf miał szczenią sukę. Przeszedł z nią na drugą stronę i szczenięta urodziły się w krainie Umarłych. Jak... jak twoja siostra.

A więc w ten sposób żywe psy pojawiły się tam, gdzie nie było nic żywego poza hisafami i Katharine. Teraz zrozumiałem, skąd się wzięło ujadanie, które słyszałem po drugiej stronie.

— To było dawno temu, nim jeszcze poznałam Rawleya — ciągnęła Charlotte. — Właściciel pomyślał, że psy mogą się przydać do tropienia Bractwa, a także Katharine. Oczywiście, miał rację. Rawley potrafił się obchodzić ze zwierzętami i poświęcił bardzo wiele czasu na tresowanie szczeniąt. Potem twoja matka umarła i myślał, że ty również nie żyjesz. To odwróciło jego uwagę. Rzecz jasna, Bractwo szybko się dowiedziało o psach i również zaczęło je hodować.

Zerknęła na Kelifa. Olbrzym słuchał uważnie. Przymknął oczy, a jego widoczna w blasku gwiazd twarz była pozbawiona wyrazu.

— Mów dalej — poprosiłem.

Charlotte splotła dłonie. Równie nadal gapiła się na kopanie grobu.

— Potem Rawley wpadł na inny pomysł. Czy... Roger, czy kiedyś widziałeś... Rawley nie był pewien, ile wiesz o... o kobietach praktykujących sztuki duszy.

Więcej, niżbym chciał. Matka Chilton, która bez końca czyniła mi wymówki i przedwcześnie się postarzała, by uniknąć pojmania, gdy była ze mną. Alysse, która zginęła, bo próbowała mnie ostrzec przed Leo. Nawet

mała księżniczka Stephanie, której sen, z pewnością kierowany przez Matkę Chilton, również miał być dla mnie ostrzeżeniem. Nie powiedziałem Charlotte o żadnej z tych rzeczy, ograniczając się do skinienia głową.

— Rozumiesz, one potrafią się zmieniać w zwierzęta, z którymi dzielą duszę. Każda z nich ma tylko jedno. Mogą też przybierać postać innych, ale cena jest bardzo wysoka. To wysysa z nich siłę życiową. Dopóki jej nie odzyskają, może im nawet grozić śmierć.

Tak, wiem o tym.

— Rawley myślał, że sztuki duszy muszą mieć związek z tym, co Wrzosowisko Duszorośli robi po drugiej stronie. Oczywiście, Duszoroślanie nie potrafią przechodzić. Ale umieją... czy widziałeś... tam... coś, co wygląda jak obłok mgły? Rawley mówi, że one wirują. To są...

— Wiem, czym są — przerwałem jej tonem brutalniejszym, niż było to moim zamiarem. — To wiry. — Widziałem, jak jeden z nich wessał cały krąg Umarłych. Widziałem też, jak inny pożarł moją siostrę, gdy ją do niego cisnąłem. — Duszoroślanie pozostają w krainie żywych, ale coś z nich jest obecne po drugiej stronie.

— Tak. Ich najważniejszy element, sama... siła życiowa. Nauczyli się to robić za pomocą eliksirów produkowanych przez kobiety władające sztukami duszy oraz aktów woli wyjętych spod prawa hisafów. Rawley zdobył tę wiedzę i podejmował kolejne próby, aż wreszcie...

Przerwała. Serce biło mi powoli.

— Aż wreszcie co? Czego nauczył się mój ojciec, Charlotte?

— Czy wiedziałeś, że matka Rawleya władała sztukami duszy?

— Nie. Co to ma za znaczenie?

— Wielu hisafów żeni się z takimi kobietami. Oni rozumieją się nawzajem. A przynajmniej tak było, dopóki nie zrodziły się w nich tak bardzo odmienne wyobrażenia na temat... tej wojny — Zerknęła lękliwie na

Kelifa. Sprawiał wrażenie, że śpi, ale zapewne udawał. — Rzadko się zdarza, by hisaf ożenił się z kobietą z Reginokracji pozbawioną talentu do sztuk duszy. Ale Rawley to zrobił.

Dwukrotnie — pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Mój ojciec najwyraźniej wolał kobiety, które nie mogły się stać jego rywalkami.

— Charlotte, czego się nauczył mój ojciec? — powtórzyłem.

— Myślę, że ciekawiej będzie ci to pokazać — dobiegł głos spoza wozu.

Rawnie, nadal wyglądająca na drugą stronę, natychmiast przeskoczyła przez leżące na wozie koce. — Leo!

— Kelif, przyprowadź go — rozkazał aktor. — Już wrócili. Najwyraźniej treserzy szkolili psy w pobliżu. To bardzo fartowna ekspedycja. Pobłogosławiono nas.

Rawnie rozdziawiła usta, słysząc jego drwiny. John i Tarf nadal byli zajęci kopaniem grobu dla Straika. Kelif wstał i zszedł z wozu na ziemię, pociągając mnie za sobą. Rawnie spróbowała pójść za nami, ale Charlotte złapała ją za rękę.

— Zostań tutaj!

— Nie! — zawołała Rawnie i wyrwała się matce.

— Tak! Albo wiesz, co zrobię!

Zauważyłem, że Rawnie zerknęła na plecak, w którym była schowana myszka. Potem Kelif zawlókł mnie do lasu.

Przez krótką chwilę posuwaliśmy się pomiędzy drzewami, nim dotarliśmy na polankę, skąpaną w blasku księżyca. Czekali tu na nas Stuart i Gregory w towarzystwie Macona oraz Dicka. Dwaj ostatni mężczyźni mieli blade twarze. Na moich oczach zniknęli.

Kelif i ja podążyliśmy za nimi. Przeszedł na drugą stronę, zabierając mnie ze sobą.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Znaleźliśmy się na płaskiej łące w krainie Umarłych. Zatem było to jedno z tych miejsc, gdzie jej krajobraz różnił się od krainy żywych. I nie była to jedyna różnica. Przywitało nas szczekanie dwóch psów, trzymany na smyczach przez uzbrojonych w strzelby mężczyzn.

Zwierzęta wyglądały tak samo jak wszystkie, które stąd pochodziły: wielkie, szare, o krótkich ogonach i zielonych oczach. Z pewnością minęło już kilkanaście lat, odkąd sprowadzono tu pierwszą szcenną sukę. Hodowla żywych zwierząt w martwym miejscu w jakiś sposób musiała sprawiać, że wszystkie cechy dziedziczyły się idealnie. Przebiegły mnie ciarki. Te psy nigdy nie były naprawdę żywe ani umarłe. Były nienaturalnymi stworzeniami. Czy mój ojciec uczynił z nich coś jeszcze bardziej nienaturalnego?

Jedno z nienaturalnych stworzeń zamerdało ogonem i polizało mnie po ręce.

Charlotte wspominała o kobietach z sieci, o „kolejnych próbach” i o wirach Duszoroślan. Nie potrafiłem połączyć tych elementów w jedną całość. Nic z tego nie miało sensu.

Obok pojawił się Leo. Najwyraźniej jego niechęć do przechodzenia na drugą stronę była równie fałszywa jak wszystko, co mi kiedyś opowiadał.

— Gdzie Straik? — zapytał starszy z dwóch trzymających smycze mężczyzn.

— Nie żyje — odparł krótko Leo. — Zabił go pies tamtych.

— Nie zostawicie ich? — zapytał Kelif.

— Jeden z nas będzie stał na straży — odparł ten sam mężczyzna.

Aktor zmarszczył brwi.

— Zostańcie obaj.

— Nie możemy. Wiesz o tym, Leo. Jest za dużo roboty i mamy za mało ludzi. Powinieneś wiedzieć przynajmniej tyle.

— W takim razie czemu to otwarte miejsce? — zapytał Kelif. — Zobaczą was na wiele mil!

— A my zobaczymy ich — odparł drugi mężczyzna. W jego głosie pobrzmiwało znacznie mniej szacunku. — To ułatwia obronę. Wytłumacz mu to, Leo, nawet jeśli jesteś aktorem, nie żołnierzem.

W oczach Leo błysnął gniew. Próba podważenia jego autorytetu skłoniła go do wydawania rozkazów.

— Tak czy inaczej, chcę żeby Macon i Dick byli pod osłoną drzew.

— Jak sobie życzysz — odrzekł ze wzgardą drugi mężczyzna. Napięcie panujące między pięcioma hisafami wręcz parzyło skórę. Bezgłośnie przeszliśmy przez cichą łąkę i zagłębiliśmy się w gaju milczących drzew.

— Jestem gotowy — odezwał się Macon. Czyżbym usłyszał w jego głosie lekkie drżenie?

— Tak jest — poparł go Dick.

Leo zwrócił się ku nim i uścisnął obu dłonie z teatralną powagą na twarzy.

— Życzę wam szczęścia, bracia.

Obaj wyrwali dłonie z uścisku i uklękli przed psami, które aż drżały z upodobania. Macon i Dick położyli dłonie na głowach zwierząt. Twarze mężczyzn wykrzywiły się w wyrazie maksymalnego skupienia. Oba psy szczeknęły jednocześnie, a hisafowie osunęli się na ziemię.

Wreszcie zrozumiałem.

W moim umyśle zatańczyły obrazy. Kobiety w sieci zmieniające się w króliki, białe jelenie, czarne łabędzie, dwa atakujące ptaki drapieżne... hisaf znaleziony przeze mnie obok wiru, który zaraz potem wessał krąg Umarłych. Nie byłem wówczas w stanie go zamordować. Zabrał niemowlęta z wioski przy młynie, a potem ułożył je na płaskiej trawie w krainie Umarłych. Był tak osłabiony, że nawet nie mógł otworzyć oczu. Uznałem wówczas, że jego słabość ma coś wspólnego z wirem, ale nigdy przedtem nie widziałem przy żadnym z nich takiego ledwie żywego hisafa. Potem doszedłem do wniosku, że to skutek kradzieży niemowląt, ale Straik i jego towarzysze nie okazywali podobnego osłabienia po wprowadzeniu w bezmyślny trans dzieci w gospodarstwie rolnym na Ziemi Niczyjej.

Chodziło o psy. Od samego początku, od spotkania z Cieniem, wiedziałem, że szare zwierzęta kryją w sobie coś niezwykłego i straszliwego...

Macon i Dick zakrzyknęli głośno i zwalili się na ziemię. W tej samej chwili psy uniosły łby i zawyły z bólu. Kelif osunął się na kolana i pochylił nad towarzyszami, pociągając mnie za sobą. Oczy Macona uciekły w głąb czaszki. Dick sapał, jakby nigdy już nie miał zaczerpnąć oddechu. Minęło kilka chwil, nim opuściły ich konwulsje i obaj jęknęli.

— Udane zamieszkanie — stwierdził z satysfakcją w głosie stojący nad nami Leo.

Kelif zerknął na niego i na jego szerokiej, sennej twarzy pojawił się skomplikowany wyraz: troska o braci hisafów pomieszana z pogardą dla Leo, który jej nie odczuwał. Aktor tego nie zauważył. Przeniósł spojrzenie na psy, odprowadzone nieco na bok przez pozostałych mężczyzn, którzy zdjęli teraz smycze z ich potężnych karków.

Zwierzęta wyglądały tak samo jak przedtem. Jedno z nich obwąchało buty któregoś z hisafów, drugie zaś podrapało się po boku. Czy Macon i

Dick rzeczywiście w nich teraz „zamieszkiwali”, jak określił to Leo?

Tak.

Taki sam pies zabił Straika. Taki sam pies zaatakował Tareka, wodza dzikusów. Takie same psy uratowały mi życie. Były zwierzętami, ale w jakiś sposób kierowali nimi — przynajmniej częściowo — hisafowie, przebywający jednocześnie w ich ciałach oraz we własnych, leżących bez czucia. Podobnie jak ja, który do niedawna potrafiłem porzucić swe pogrążone w transie ciało w krainie żywych i wędrować po krainie Umarłych. Podobnie jak mężczyźni i kobiety z Hygryll, jednocześnie przebywający w okrągłym, kamiennym domu i obecni jako obserwatorzy w szarej mgle po drugiej stronie.

Mój ojciec stworzył tę żywą broń, która wpadła teraz również w ręce Bractwa, tak samo jak strzelby dzikusów rozprzestrzeniły się na Reginokrację i Ziemię Niczyją. Czy zawsze tak się działo, czy z każdym nowym odkryciem świat stawał się mniej bezpieczny?

Leo pociągnął mnie na nogi, co zmusiło do wstania również Kelifa. W oczach aktora płonęła jakaś gorączka albo nienawiść, której nie rozumiałem, zupełnie jak wtedy, gdy spotkałem go po raz pierwszy.

— Chciałem, żebyś zobaczył, co cię czeka — wyszeptał, zbliżając twarz do mojej twarzy.

— Nie mogę zostać psem — zdołałem z siebie wykrztusić. — Nie.

Ryknął gromkim śmiechem. Chyba nigdy w życiu nie słyszałem tyle okrucieństwa w jednym dźwięku.

— Nadal nic nie rozumiesz, prawda? Ale zrozumiesz. Kelif, zabierz go z powrotem.

Leo zniknął, nawet nie spojrzawszy na swych ledwie przytomnych ludzi.

— Strzeżcie ich dobrze — rzekł ze smutkiem Kelif do nieznanym. — Proszę.

— Jasne — zgodził się jeden z nich. Bezsilni hisafowie leżeli na ziemi, a psy siedziały obok, wlepiając w nas spojrzenie swych zielonych oczu pod posepnym, niezmiennym niebem.

— W jaki sposób to działa? — zapytałem cicho Charlotte. Rawnie spała obok niej, a Kelif przy mnie. Nocą wiatr się wzmógł, nadciągnęły chmury i zaczęło siąpić. Nasza czwórka spała pod wozem, nieopodal ogniska, które zdążyło już zgasnąć. Krople deszczu bębniły cicho o dno wozu nad naszymi głowami, pachnące wilgotnym drewnem. Leżałem na twardej ziemi. Charlotte nie mogła zasnąć, podobnie jak ja. — Jak to się dzieje z tymi psami?

— To znaczy? — zapytała.

— Jak wielką część mózgu zwierzęcia przejmuje hisaf, a ile nadal należy do psa?

Najwyraźniej człowiek do pewnego stopnia panował nad zwierzęciem, mogąc na przykład skłonić je do ataku na wybrany cel.

— Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Rawley — odparła szeptem.

— Opowiedz mi.

Pojawił się jeden z pełniących straż psów, krążących wokół obozu. Bractwo nie da się ponownie zaskoczyć, jak to się stało w przypadku śmierci Straika. Charlotte zaczekała, aż zwierzę się oddali i jego szara sylwetka zniknie w szarym deszczu.

— Pies nadal pozostaje psem. Dusza człowieka przez większość czasu siedzi w nim spokojnie, jak pogrążona we śnie. Rawley mówi, że to wcale nie jest nudne, raczej podobne do drzemki. Ale kiedy dusza staje się przytomna, może kierować zachowaniem psa, chociaż przesada jest męcząca.

Matka Chilton mówiła mi: „Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?”.

— A potem? — zapytałem. — Psy pochodzą z krainy Umarłych, nie mogą tu zostać dłużej niż dwa tygodnie. Rozpadają się i znikają.

Jak Cecilia.

— Cała siła życiowa wraca do hisafa. To najniebezpieczniejsza chwila. Jak atak na ciało. Zdarza się, że hisaf nie przeżywa końca zamieszkiwania.

— I mój ojciec to robił? Więcej niż jeden raz?

— Tak. Rawley jest bardzo silny. No wiesz, potrzebna jest nie tylko siła ciała, lecz również woli.

W jej cichym głosie pobrzmiwała duma.

— Ale jak... co musi zrobić...

— Próbował mi to wytłumaczyć, ale nic nie zrozumiałam. Może tobie się uda. Powiedział, że kiedy przechodzi na drugą stronę, zamiast spadać do studni każe swojemu umysłowi wydostawać się z niej, wspinać się ku wyjściu. Czy to ma dla ciebie sens?

— Nie.

Przechodzenie na drugą stronę nigdy mi nie przypominało wpadania do studni, lecz raczej przechodzenie przez grób. Czyżby dla każdego hisafa wyglądało to inaczej? Nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Po raz pierwszy spotkałem któregoś z nich dopiero w zeszłym roku.

— Ilu jest hisafów? — zapytałem. — Po obu stronach tej wojny?

— Nie wiem. Rawley nigdy mi nie powiedział.

Mój umysł pracował jak szalony. Zostało z nami dziesięciu mężczyzn, choć nie miałem pewności, czy wszyscy są hisafami. Ale całe stado szarych psów uratowało mnie kiedyś na Wrzosowisku Duszorośli. To było niewielkie stado, lecz każde zwierzę zawierało duszę hisafa, który ryzykował dla mnie życie. Dlaczego hisafowie uważali, że jestem tego wart?

Nie zapytałem o to, ale ta kwestia podsunęła mi kolejną myśl.

— Charlotte, nie sądzę, by Leo zamierzał oddać nas ludziom z Wrzosowiska Duszorośli, by nas wykorzystali w swej... swej ceremonii.

Nie byłem w stanie o niej mówić ani nawet myśleć. Poruszyła się lekko.

— Naprawdę?

— Tak. Z pewnością zmierzamy w stronę Duszorośli, ale myślę, że nie zatrzymamy się w jakiejś pogranicznej wiosce. Sądzę, że wiozą nas do Galtryf.

— Do Rawleya? — wydyszała. — Ale po co?

— Nie wiem. — W moim umyśle niosły się głośnym echem słowa Leo: „Chciałem, żebyś zobaczył, co cię czeka”. Nie wiedziałem, co miał na myśli. Jeśli pies miał mnie rozszarpać żywcem, jak Straika, Bractwo mogło to zrobić już teraz. Jeśli miałem „zamieszkać” w psie, nie rozumiałem, jak hisafowie mogliby mnie do tego zmusić ani dlaczego mieliby tego chcieć. Po cóż więc wieźli mnie — a także Charlotte i Rawnie — do Galtryf?

Kobieta położyła dłoń na moim ramieniu w geście wdzięczności. Poczułem jej ulgę. Dałem jej nadzieję na to, że ona i jej córka nie zginą w monstualnej „ceremonii” praktykowanej na Wrzosowisku Duszorośli. Choć nie wiedzieliśmy, co czeka nas w Galtryf, mój domysł był dla niej jak odroczenie egzekucji. Nie będzie musiała patrzeć, jak Rawnie rozciągną na płaskim kamieniu, przebiją jej serce, a potem jej młode ciało...

Jak zwykle mój umysł nie chciał zaakceptować tego obrazu. Był on zbyt bliski temu, co omal mnie nie spotkało i co zrobiono Cecilii. Zamiast tego skupiłem się na własnej uldze. Jeśli zmierzaliśmy do Galtryf, hisafowie z Bractwa nie wykorzystają mnie do odszukania Maggie. Nic o niej nie wiedzieli. Ona i mój syn byli bezpieczni.

Tak oto, w żalösnej wdzięczności za to, że spotkała nas mniejsza groza zamiast większej, oboje z Charlotte mogliśmy wreszcie zasnąć.

10

Następnego dnia przekroczyliśmy granicę Wrzosowiska Duszorośli. Natychmiast zauważyliśmy zmianę. Lasy i dzikie, poprzesywane rozpadlinami góry ustąpiły miejsca bezkresnej, wyżynnej równinie, na której nie było drzew. Lekko falisty, torfowy grunt był nagi albo porośnięty ostrą trawą, usianą skupiskami małych fioletowych kwiatków. Tu i ówdzie ze sprężystego podłoża wyłaniały się potężne skalne wyniosłości. Te granitowe skały sprawiały wrażenie starszych od wszystkich kamieni w Reginokracji. Nad naszymi głowami od czasu do czasu przelatywały krzyczące przenikliwie kuliki.

Wozy powoli toczyły się naprzód po nierównym gruncie. Rawnie zwisała z burty i obserwowała monotony krajobraz, gdy tylko nie mogła się gapić na Leo. Nic nie umykało jej uwagi.

— Mamo, widziałaś to?

— Nie. A co to było?

— Ptasie gniazdo. Pod tymi fioletowymi krzakami. O, popatrz, królik! Czemu mają takie długie uszy?

Podniosłem się na kolana, by również wyjrzeć na zewnątrz, napinając łańcuch łączący mnie z Kelifem. Olbrzym zaprotestował cichym chrząknięciem, ale nie pociągnął mnie w dół.

— To jest inna rasa niż króliki w Reginokracji. Ich kuzyni.

Tak mi powiedział Jee.

— Nikt cię nie pytał, Roger — warknęła dziewczynka. — O, tam są... Co to za zwierzęta?

— Nie wiem — odparła Charlotte ze znużeniem w głosie.

W oddali poruszało się stado dzikich kuców. Było ledwie widoczne. Rawnie musiała mieć wzrok co najmniej tak samo dobry jak ja.

— To kuce — wyjaśniłem. — Na wrzosowisku żyją w dzikim stanie.

— Kuce! — wydyszała dziewczynka. — Gdybym tylko mogła jednego złapać! W domu miałam własnego konia — ciągnęła tęsknym głosem. — Tata nauczył mnie jeździć. Mówił, że bardzo pewnie siedzę w siodle.

Natychmiast pożałowała tego wyznania. Spróbowała mi wymierzyć kopniaka, ale łańcuch nie chciał się aż tak wyciągnąć, zadowolila się więc okropną miną i powrotem do obserwacji wrzosowiska. Zaciskała dłoń na plecaku, w którym trzymała myszkę.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego mnie nie lubi. Była zazdrosna. Rozpieszczano ją, psuto i pozwalano jej na wszystko. Była jedynym, ukochanym dzieckiem ojca, dopóki nie dowiedziała się o moim istnieniu, a w tej samej chwili jej i jej matce odebrano chatę, konia i całe ich życie. W jej dziecięcym umyśle reprezentowałem utratę i strach. Spojrzałem na nią z większą wyrozumiałością.

A może po prostu czułem się winny, ponieważ naraziłem na niebezpieczeństwo kolejne dziecko. Jee, Stephanie, Rawnie. I oczywiście Katharine, o której ledwie byłem w stanie myśleć.

— Popatrz, Rawnie, jeszcze jeden królik! — odezwałem się.

— Żryj łajno, Roger.

Dałem za wygraną. Zresztą chciałem się spokojnie zastanowić. Wychodzenie ze studni zamiast spadania w nią... Czy Charlotte dobrze zapamiętała słowa mojego ojca? A jeśli tak, co oznaczały?

Przez cały dzień wozy toczyły się z łoskotem naprzód, w miarę możliwości starając się trzymać wyżej położonego gruntu. W pewnej chwili koło wpadło w szczególnie gąbczasty torf i kazano nam zsiąść, podczas gdy ludzie z Bractwa wyciągali je, przeklinając głośno. Później jeden z psów

spłoszył stadko kuropatw. Ptaki wzbiły się pionowo w górę z krzykiem i łopotem skrzydeł. Rawnie spojrzała na mnie z niemal wyzywającą miną.

— Co to za ptaki?

— Kuropatwy.

— Dużo wiesz o wrzosowisku? Za dużo.

— Trochę wiem.

— Skąd? — zapytała.

— Nauczyli mnie przyjaciele.

Jee. Fia. Tom Jenkins, najlepszy tropiciel w trzech krajach. Zalał mnie ból. Nigdy już nie zobaczę Toma.

— Czemu masz taką minę? Czy twoi przyjaciele nie żyją?

Nic nie umykało jej uwagi.

— Niektórzy z nich — potwierdziłem.

— Och. — Umilkła na krótką chwilę. — Jak się nazywają te kwiaty?

Przez resztę popołudnia zasypywała mnie pytaniami. Gdy nie znałem odpowiedzi, wymyślałem je. Podczas krótkiej chwili wytchnienia, kiedy Rawnie zasnęła z głową na kolanach matki, przyjrzałem się psom. Wyglądały tak samo jak Cień, Owe i Łowca, jak wszystkie zwierzęta tego rodzaju, które widziałem. Czy rzeczywiście nosiły w sobie siłę życiową — dusze — Macona i Dicka, uśpioną jak Umarli po drugiej stronie? I czy jak Umarłych można ich było obudzić — mnie z reguły udawało się to tylko ze starymi kobietami — by rozkazali psom atakować i zabijać?

Wychodzenie ze studni zamiast spadania do niej...

Wybrałem jednego z psów i skupiłem się na nim, ale szybko zmieniłem zdanie. Nie. To zbyt niebezpieczne. Gdyby mi się udało... ale nie, nie uda mi się. Charlotte powiedziała, że mój ojciec potrzebował praktyki, by

nauczyć się wnikać do umysłu psa. To była sztuka kobiet z sieci, nie hisafów. Ale gdyby mi się udało, a Macon albo Dick już by tam byli, co by się wtedy stało?

Nie.

Rawnie się obudziła. Stała obok mnie na kołyszącym się wozie. Albo nie była już tak na mnie zła, albo ukrywała to z jakichś powodów. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że jest równie dobrą aktorką jak Leo.

— Roger, tam jest światło!

Zapadł już zmierzch. U podstawy długiego, pochylego stoku nad ziemią przesuwał się niesamowity blask. Był blady, migotliwy i z jakiegoś powodu wydawał się zimny. Wieśniacy wierzyli, że to dusze umarłych, którzy nie mogli przejść na drugą stronę, ale ja wiedziałem, że to nieprawda. Wszyscy Umarli przechodzili.

— To bagienny gaz. W tym zagłębieniu jest trzęsawisko. To bardzo niebezpieczne miejsce. Takie trzęsawiska mogą pochłonąć dorosłego mężczyznę.

— Naprawdę? — zawołała z zachwytem. — A to?

Nic nie widziałem.

— Tam, Roger! Jesteś ślepy, czy co? Porusza się bardzo powoli i ostrożnie.

Z trudem zdołałem wypatrzeć skulone zwierzę, ledwie widoczne w mroku pośród krzaków. Nigdy takiego nie widziałem, ale Jee mi o nich opowiadał.

— To burek bagienny.

— Pies?

— Nie. Coś pośredniego między szakalem a wilkiem.

Rawnie wyteżyła wzrok.

— Czy one są niebezpieczne?

— Potrafią polować. Ale wolą jeść martwe zwierzęta. Padlinę.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Jej chude lico promieniało.

— Jak bardzo martwe?

Wzruszyłem ramionami.

— Śmierć to śmierć, Rawnie.

Ale to się zmieni, jeśli Wrzosowisko Duszorośli zdoła osiągnąć swój cel.

Prychnęła pogardliwie.

— Nie bądź aż taki głupi, Roger! Chodziło mi o to, od ilu dni muszą być martwe, by zgniły tak bardzo, że burki bagienne nie będą już chciały ich jeść?

— Nie wiem.

Zatoczyła oczyma i wróciła do obserwacji zwierzęcia.

— Zbliży się. Myślisz, że jest głodny?

Zwierzę podkrađło się bliżej. Było większe, niż mi się wcześniej zdawało, miało srebrno-czarne futro i wielkie, spiczaste uszy. Tylna połowa ciała była tak wielka i potężnie umięśniona, że wyglądało pokracznie. Wiatr zmienił kierunek i poczułem zapach burka, ostry i drażniący.

— Zapewne jest głodny, tak.

— Są dwa! Drugi trzyma się z tyłu, zobacz. Założę się, że to jego żona. Myślisz, że zjadłby mnie, gdybym nie żyła?

— Tak.

— A gdybym jeszcze żyła?

— Też, gdyby cię zagonił w kozi róg i był wystarczająco głodny. One mają potężne szczęki.

— A czy potrafi biec szybciej ode mnie?

— Znacznie szybciej.

— Walczyłabym z nim — oznajmiła z powagą. — Przechytryłabym go.

— Wątpię w to.

— Tak jest, przechytrzyłabym. Zabiłabym go na śmierć, na śmierć, na śmierć, a potem zdarłabym z niego skórę i zrobiłabym sobie z niej futro. Ale najpierw rozwaliałabym mu czaszkę, wyłupiła oczy i...

— Rawnie — odezwała się Charlotte bez nadziei w głosie.

— ...wycięłabym serce i... och! Zwalniamy. To świetnie. Jestem głodna.

Wozy zatrzymały się na nocny postój. Burki bagienne zniknęły. Leo zaczął wydawać krzykiem rozkazy swym ludziom, którzy i tak już robili to, co konieczne. Znajdowaliśmy się u podstawy wielkiego wzgórza, zwieńczonego zaokrągloną wyniosłością skały macierzystej. Ziemię pokrywała tu ostra trawa upstrzona plamami niskiego zielonego mchu oraz kępami sięgającego mi do pasa wrzosu. Z pobliskiego skupiska trawy zerwała się do lotu siewka szara, spłoszona naszym przybyciem. Jeden z psów popędził za nią, szczekając zawzięcie. Na stoku wzgórza było źródło, tworzące małą kałużę, nim woda wsiąkła w wilgotny torf. Rozbiliśmy obóz wystarczająco daleko, by wilgoć zbyt nam nie przeszkadzała. Ludzie napełnili bukłaki.

Czułem się zmęczony. Przez cały dzień jechałem na trzęsącym się wozie, przykuty do małomównego olbrzyma i gadatliwego dziecka. Chciałem zostać sam, położyć się na wozie, pod nim albo po prostu na otwartej przestrzeni, a potem zasnąć. Jednakże Kelif usiadł przy ognisku, musiałem więc mu towarzyszyć i gapić się w noc zaspanymi oczyma. Na niebie lśniły gwiazdy.

Rawnie również była zmęczona i nie mówiła wiele. Nawet nie próbowała przekonać Leo o swym podziwieniu ani nie prosiła go o kolejny pokaz aktorstwa. Siedziała ze zwieszoną głową, trzymając plecak na kolanach. Jedną rękę wsadziła do środka. Zauważyłem przelotnie myszkę — różowy nosek i ruchliwe wąsiki. Potem dziewczynka wepchnęła ją do środka, rozglądając się nerwowo wkoło, by się upewnić, czy nikt nie

zauważył zwierzątko. W tej chwili wyglądała nie tyle na uciążliwego bachora, ile na żałosne, nieszczęśliwe dziecko.

Zauważyła, że na nią patrzę, i pokazała mi język.

Wpatrzyłem się w noc. Większy burek bagienny podkraść się do kałuży pod źródłem. Oba psy spały przy ognisku i do tej pory go nie zwęszyły. Ledwie dostrzegałem srebrne futro zwierzęcia, które podeszło do wody, by się napić.

Wychodzenie ze studni zamiast spadania do niej...

Gapiąc się na burka, wyteżyłem wolę, jak wtedy, gdy przechodziłem na drugą stronę. Charlotte nic nie wspominała o tym, że konieczny jest ból, ale na wszelki wypadek ugryzłem się w język. Studnia, studnia... Wyobraziłem sobie, że jestem uwięziony w kamiennej studni, takiej, jaką mieliśmy z Maggie w Applebridge, około jarda od szczytu, wsparty plecami o łukowatą ścianę, a kompletną rękę wyciągam przed siebie, by utrzymać się na miejscu. Niemalże czułem dotyk kamienia za swymi plecami oraz woń wody na dole, niemalże widziałem blask nieba nad wylotem. Wspinaj się, wspinaj, pełnij w górę...

Nic się nie wydarzyło. Nie przeszedłem do krainy Umarłych ani nie zamieszkałem w burku bagiennym. Ciągle siedziałem przy ognisku i nic się nie zmieniło. Nadal zmierzałem do Galtryf, ku straszliwemu losowi, który zaplanował tam dla mnie Leo.



Po kilku dobach, gdy zasnąłem pod wozem na tym dzikim, jałowym wrzosowisku, po raz pierwszy śniłem o swym synu.

Ale to Stephanie ujrzałem we śnie. Mała księżniczka, za kilka tygodni mająca skończyć siedem lat, pojawiła się w falującym krajobrazie, którego nie potrafiłem zidentyfikować. To mógł być ogród, las albo nawet pałacowy dziedziniec. Choć jej otoczenie było płynne i zmienne, sama Stephanie sprawiała wrażenie niemal szokująco materialnej. Odnosiłem wrażenie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym jej dotknąć. Lekcje, których udzielała jej Matka Chilton, najwyraźniej udoskonaliły jej talent. Marszczyła czoło.

— Roger, twoje dziecko się narodziło. — Na jej czole pojawiły się kolejne zmarszczki. — I inne też. Nie rozumiem... och, bądź ostrożny, ono jest straszliwe!

— Wasza Miłość — spróbowałem powiedzieć, ale wysiłek mnie obudził. Leżałem pod wozem. O drewno nad moją głową lekko stukały krople deszczu. Obok przeszedł jeden z psów, pełniący swą bezgłośnie służbę. Kelif i Rawnie chrapali. W moje, już przedtem zimne, ubranie wsiąkał zimny pot zrodzony z paniki.

I inne? Narodziło się też drugie dziecko? Czy to znaczyło, że Maggie powiła bliźnięta? A może chodziło o jakieś inne dziecko, które przyszło na świat gdzie indziej? Ale Stephanie powiedziała, że jest „straszliwe”, a nie sądziłem, by mogła tak powiedzieć o niemowlęciu. Małe dziewczynki na ogół kochają niemowlęta. O cóż więc jej chodziło?

Wtem, w jednej chwili, wszelkie obawy mnie opuściły, równie szybko, jak się pojawiły. Ustąpiły miejsca zachwyтови. Urodził się mój syn. Zostałem ojcem. A Maggie... czy wszystko z nią w porządku? Dlaczego Stephanie nic mi nie powiedziała? Kobiety często umierały przy porodzie; na przykład moja matka. Dlaczego Stephanie mnie nie zapewniła, że Maggie czuje się dobrze? Ale sen nie jest listem, starannie

skomponowanym i wypełnionym wieściami. Jest wizją. Wiedziałem, że wizji nie można kontrolować. Ale dlaczego nie...

Miałem syna.

Czy Maggie dobrze się czuła?

Co „straszliwego” również się narodziło?

Gdy dotrzemy do Galtryf i Leo podda mnie temu, „co mnie czeka”, moje dziecko straci ojca. Tak samo, jak ja go straciłem. Nigdy nie ujrzę syna.

Czy był hisafem? Pamiętałem małego hisafa, który pojawiał się w krainie Umarłych i znikał z niej, niezdolny zapanować nad swym niemowlęcym talentem. Czy mój syn już to robił? W końcu był dzieckiem hisafa. Co pomyśli Maggie, kiedy się zorientuje, że jej dziecko pojawia się i znika? Nic nie wiedziała o zamieszaniu, jakie spowodowałem w krainie Umarłych. Co gorsza, Maggie mieszkała ze swą wredną siostrą. Czy ona uzna dziecko za czarownika? Co się stanie wtedy?

Maggie...

Mój syn...

— Przestań się ruszać — burknęła poirytowana Rawnie. — Ciągle mnie budzisz tym swoim wierceniem się i jękami. Co ci dolega, Roger?

Wszystko.

A następny ranek był jeszcze gorszy.

Atak zaczął się o świcie. Z zachodu napłynęły chmury i siąpił lekki deszczyk. Pod nieobecność słonecznego światła były blade i bezbarwne. Nad wrzosowiskiem unosiła się szara mgła. Po tym, jak przyśniła mi się Stephanie, nie spałem dobrze, a mgła oglądana spod wozu dziwnie przypominała tę, którą widziałem w krainie Umarłych. Jej chłodny spokój nagle zmąciło gorączkowe ujadanie psów.

— Co to, do licha! — zawołał Leo. Ktoś inny zaczął przeklinać. Psy gnały przez mgłę tak szybko, że po chwili widziałem tylko dwie ciemne,

zamazane plamy. Następnie dołączyła do nich trzecia.

I czwarta, i piąta.

— Rawnie! Do wozu! — wrzasnęła Charlotte.

— Co... ojej — zawołała dziewczynka. — Psy się gryzą!

Zabrzmiał strzał, przerażająco bliski. Odpowiedziała mu salwa z obozu. Nie widziałem nic poza psami, które nagle się rozdzieliły, krążąc wokół siebie blisko wozu, by zaraz ponownie skoczyć sobie do gardeł.

— Ognia! — krzyknął Leo, ale żaden z jego ludzi nie mógł wycelować. Trzy psy zaatakowały dwa należące do Bractwa. Warczały i przetaczały się po sobie. Na mchy i paprocie tryskała spieniona krew. Wszystkie wyglądały tak samo. W których mieszkali Macon i Dick? Nie sposób było odgadnąć. Warczenie płynące z rozdziawionych paszcz, wycie z bólu, rozdzierane ciała...

Jeden z psów padł na ziemię i już nie wstał. Nie miałem pojęcia, po której stronie walczył.

— Zastrzelcie wszystkie! — wrzeszczał Leo. — Ognia, do cholery!

Nikt nie strzelał, a przynajmniej nie do psów. Słyszałem strzały we mgle, niekiedy gdzieś ponad nimi. Charlotte, która przed chwilą wsadziła córkę na wóz, ściągnęła ją z powrotem na ziemię i wepchnęła pod pojazd. Strzały wydawały się większym zagrożeniem niż ocalałe psy. Złapałem Rawnie kompletną ręką i spróbowałem wczłgać się na nią, by osłonić ją ciałem, ale nie pozwoliła mi na to krótkość łańcucha, łączącego mnie z Kelifem. Strzały nie milkły.

— Pomóż mi! — krzyknąłem do olbrzyma. Nie ruszył się z miejsca. Popchnąłem go, a gdy cofnąłem rękę, była czerwona od krwi.

Objąłem kompletną ręką Rawnie i Charlotte, a potem przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Ale tym razem kobiety przeszły razem ze mną, podobnie jak martwy ciężar Kelifa. Przejście było dłuższe i trudniejsze. Nie mogłem oddychać, nie byłem w stanie się poruszyć... Wreszcie znaleźliśmy się po drugiej stronie.

— Nie strzelać! — krzyknął ktoś. — To Roger!

Znajdowaliśmy się u podstawy wzgórza. Tutaj nie było zasłaniającej widok mgły. W następnej chwili pojawili się dwaj ludzie Leo, a potem on sam. Oni również przeszli na drugą stronę, by uciec przed strzałami padającymi z porannej mgły, w której ukrywali się napastnicy. Nie udało się im.

Trzask! Trzask! Ogłuszające strzały padały jeden po drugim. Ich dźwięk był obrzydliwością w tej cichej krainie. Padały ze szczytu skały wieńczącej wzgórze. Dwaj hisafowie zwalili się na ziemię. To była zasadzka.

Leo zniknął. Pojawił się kolejny hisaf. Rozejrzał się wkoło jak szaleniec i wymierzył do mnie ze strzelby. Przeszedłem na drugą stronę, pociągając za sobą pozostałą trójkę. Znowu znaleźliśmy się pod wozem w krainie żywych.

Mężczyźni pojawiali się i znikali, strzelając ze strzelb ukradzionych dzikusom. Trzask! Charlotte skuliła się obok mnie, oboje osłanialiśmy Rawnie. Krew Kelifa wsiąkała w nasze ubrania i w ziemię. Nie potrafiłem określić, kto wygrywa. Psy nadal walczyły, ale już ich nie widziałem i nie potrafiłem odgadnąć, ile ich pozostało przy życiu. Czy słyszałem mniej

warczenia i bolesnego wycia? Czy ludzie zbiegający teraz ze wzgórza nocą wspięli się na nie z wysiłkiem po drugiej stronie?

Wszystko zależało od tego, ilu hisafów walczyło po każdej ze stron. Charlotte mówiła, że nie są oni zbyt liczni. Sądząc po leżących na ziemi ciałach, teraz było ich jeszcze mniej. Hisafowie mogli ginąć zarówno tutaj, jak i w krainie Umarłych. Jeśli to rzeczywiście była odsiecz i jeśli się uda...

Leżałem na zakrwawionej ziemi pod wozem, słysząc zgiełk bitwy, a moje serce zabiło szaleńczo z nadziei.

Trzask!

I nagle się skończyło. Zapadła cisza, mącona jedynie łkaniem Rawnie. Przy wozie pojawiła się para butów. Mężczyzna się pochylił. Za chwilę ujrzę jego twarz i dowiem się, która strona...

Usłyszałem krzyk dobiegający z przeciwnego kierunku. Rozległ się kolejny wystrzał i mężczyzna padł na plecy, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. To nie był jeden z ludzi Leo.

Teraz nie żył.

Zabrzmiały kolejne strzały. Ich huk wypełniał powietrze, dobiegając zza drugiego wozu, ze szczytu skały, z wrzosowiska. Biegli ku nam ludzie, tak wiele par nóg, że aż jęknąłem. Wtem strzały znowu umilkły.

— Co się stało? — zawołała Charlotte. — Kto wygrał?

— Leo — odparłem. Wszystko we mnie stało się zimne i znieczulone.
— Otrzymał pomoc.

Wojownicy z Duszorośli biegli ku nam przez wrzosowisko. Hisafowie, którzy przybyli nam na ratunek, przeszli z krainy Umarłych, by zająć pozycję na szczycie skały, ale było ich za mało. Duszoroślanie również mieli strzelby. Ale nie wszyscy, a część z nich zabito, nim hisafowie na skale dali za wygraną i przeszli na drugą stronę, by uniknąć śmierci.

Przeciwnicy nie mogli tam za nimi podążyć i nasi hisafowie będą mieli przewagę liczebną, nawet jeśli nie zostało ich wielu.

Gdyby nie zjawili się wojownicy z Wrzosowiska Duszorośli, hisafom udałooby się nas odbić. Czy to ojciec przybył mi na ratunek, z półrocznym opóźnieniem? A jeśli tak, czy jego krwawiące, poszarpane ciało leżało teraz w porannej mgle razem z innymi?

Dręczony bólem serca, szczołgałem się z Rawnie. Nie mogłem wypełznąć spod wozu, bo łańcuch nadal łączył mnie z Kelifem, a Charlotte najwyraźniej sparaliżował strach i nie była w stanie się ruszyć.

— Puśćcie mnie! — krzyknęła Rawnie. — Moja myszka!

Wyczołgała się spomiędzy nas, wyszła spod wozu i wstała. Wciągnęła nagle powietrze.

Wiedziałem, co zobaczyła. Widziałem to już przedtem. Leo nadal wykrzykiwał rozkazy.

— Zabierzcie go stamtąd i przykujcie do kogoś innego. Oni nadal tam są!

Nadal tam są. Nasi hisafowie ciągle panowali nad krainą Umarłych. Mógłbym znowu złapać Charlotte oraz Rawnie, pociągnąć za sobą Kelifa i znaleźć bezpieczeństwo z hisafami, którzy przybyli nam na ratunek. Złapałem Charlotte, ale Rawnie wspięła się na wóz — słyszałem na górze jej kroki — a jej matka domyśliła się, co zamierzam zrobić.

— Nie, Roger! Nie bez Rawnie!

Wyrwała mi się.

Czy powinienem je tu zostawić? Mógłbym uciec sam, a potem wymyślić jakiś sposób, by po nie wrócić. Miałbym sojuszników w innych hisafach...

Nagle odebrano mi szansę wyboru. Leo ukucnął przy wozie i zdzielił mnie w głowę kolbą strzelby. Pod moją czaszką rozbłysło oślepiające światło, a potem zapadła ciemność.

Kiedy się ocknąłem, wóz jechał. Nigdy dotąd głowa mnie tak nie bolała. Cierpienie nasiliło się jeszcze, gdy otworzyłem oczy i zobaczyłem słońce. Jęknąłem i znowu zacisnąłem powieki. Nie pomogło. Głowę przeszywały mi włócznie, a gdy wóz zakołysał się nagle, omal nie krzyknąłem.

— Myślałam, że nie żyjesz — rzuciła od niechcienia Rawnie.

Nie odpowiedziałem. Powoli, stopniowymi, bolesnymi ruchami, otworzyłem oczy. Coś było nie w porządku z moim wzrokiem; widziałem dwie dziewczynki, pojawiające się i znikające niczym hisafowie.

— Głowa robi ci się fioletowa — zauważyła Rawnie, pochylając się, by przyjrzeć mi się uważniej. — Leo walnął cię naprawdę mocno.

Nie miał innego wyjścia. Musiał pozbawić mnie przytomności, żebym nie przeszedł na drugą stronę. Wóz znowu się zakołysał. Tym razem krzyknąłem.

— Biedny Roger — rzekła Rawnie, ale w jej głosie słyszało się raczej ciekawość niż współczucie. — Boli cię?

— Tak. — Mówienie było jedyną czynnością, która nie sprawiała mi bólu. — Gdzie twoja matka?

— Idzie za wozem. Zmęczyła się jechaniem i rozmawia z Leo. Czy wiesz, że przykuli cię teraz do Johna? Kelif nie żyje.

Odwróciłem lekko głowę. To była prawdziwa tortura. Obok siedział bardzo niewyraźny John. Wpatrywał się w pustkę, usta miał rozdziawione, a jego twarz nic nie wyrażała. Odnosiłem takie samo wrażenie jak w chwili, gdy kopał grób Straika — John był, jeśli nawet nie słaby na umyśle, to z pewnością bardzo głupi. Był też jednak potężnie zbudowany, a do tego miał

broń. Nie zdołam uciec przed nim, przechodząc na drugą stronę, nawet gdybym zdobył się na konieczny do tego wysiłek woli. Ból już miałem.

— Prawie byśmy wygrali tę bitwę — wyszeptała Rownie, zbliżając twarz do mojej. — Ale tylko prawie.

— Gdzie jesteśmy teraz? — zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Gdzieś na wrzosowisku. Tu wszystko wygląda tak samo.

Nie miała racji. Kazałem sobie usiąść, przygryzając wargi, by nie krzyknąć z bólu. Tak samo jak poprzednio, mój łańcuch był tak krótki, że pozwalał mi jedynie uklęknąć i wyrzeć z wozu nad boczną deską. John nie próbował mnie powstrzymać.

Wszystko wydawało mi się zamazane, ale poznawałem Charlotte idącą obok Leo. Sprawiała wrażenie znużonej, lecz nie wyglądała na pogrążoną w żałobie. To znaczyło, że wśród pokonanych hisafów nie było mojego ojca. Po raz kolejny nawet nie próbował mnie uratować.

Monotonne torfowisko ustąpiło miejsca bardziej urozmaiconemu krajobrazowi. Otaczały nas skaliste wzgórza, wyższe i liczniejsze niż przedtem. Spływały z nich wartkie potoki. Było tu więcej głazów oraz potężnych skalnych wyniosłości, ale widziałem też skupiska drzew, choć nie były wysokie i wyglądały raczej niezdrowo. Z jednego z gajów wypadła sarna i przemknęła przez wrzosowisko. Niemniej wiedziałem, co chciała powiedzieć Rownie. Nie było tu wiosek ani nawet izolowanych gospodarstw rolnych, zapewne dlatego, że gleba była zbyt jałowa, jak zawsze na torfowiskach. Pod tym względem rzeczywiście wszystko wyglądało tu tak samo.

Obok wozu szedł oddział wojowników z Duszorośli. Gdy na nich patrzyłem, moim ciałem targało głębokie drzenie. To byli ludzie, którzy porwali Cecilie i...

Nie mogłem o tym myśleć. Oszalałbym od tego.

Wśród wojowników byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, bez wyjątku młodzi i sprawni. Nieliczni mieli strzelby, a wszyscy włócznie i noże. Gdy widziałem ich w Hygryll, mieli na sobie ceremonialne białe szaty, ale teraz wdziali proste nogawice oraz tuniki z niewyprawionych skór. Wszyscy mieli zielone oczy. Przewracało mi się w żołądku na ich widok.

— Rawnie, czy któryś z psów...

— Wszystkie zginęły, nasze i ich. Nie dbam o to. To nie były dobre psy. Inne zwierzęta są lepsze.

Otworzyła plecak, osłonięty jej ciałem przed spojrzeniem Johna, i wreszcie pokazała mi myszkę. Mały gryzoń miał brązowe futerko i długi różowy ogonek. Wyglądał na zrezygnowanego, ale może był po prostu głodny. Gdyby na wozie była Charlotte, Rawnie nie odważyłaby się wyjąć stworzenia z plecaka.

— Ilu ludzi Leo ocalało?

— Tylko John i Tarf. Ale pilnują nas te inne głupole.

— Czy Leo albo ktoś inny powiedział, dokąd nas wiozą?

— Nie.

— Albo kiedy dotrzemy do celu?

— Nie.

— Albo...

— Nikt mi nic nie mówił, Roger! Nikt nigdy mi nic nie mówi! Myślą, że nie potrafię... Wracaj!

Rawnie wcisnęła nieszczęsną myszkę z powrotem do plecaka. W tej samej chwili Charlotte wspięła się na wóz. Oklapła ze zmęczenia, lecz mimo to bardzo się starała uśmiechać do córki, która siedziała teraz niewinnie, krzyżując dłonie na kolanach.

— Roger, ocknąłeś się... Boli cię głowa?

— Tak.

— Daj, przemyję ją chłodną wodą. Gdybym tylko miała liście seminthy. One pomagają na ból.

Wytarła mi głowę szmatką zwilżoną wodą z bukłaka. To nic nie pomogło.

— Jutro rano przybędziemy do Galtryf — wydyszała, pochylając głowę nad moją twarzą.

— A wtedy...

Potrząsnęła tylko głową. Jej oczy wypełniły łzy, ale zaraz usunęła je mruganiem.

— Próbowałam przekonać Leo, żeby uwolnił Rawnie. To tylko dziecko, nikomu nie zagraża. Odmówił.

— Chcą mieć was obie jako zakładniczki, żeby zmusić Rawleya do posłuszeństwa.

— Być może — przyznała. Żadne z nas nie wiedziało jednak, do czego chcą go zmusić. Jeśli zaś chodziło o mnie, nie wierzyłem, by po to wieźli mnie do Galtryf. Nie byłem kobietą ani dzieckiem, lecz dorosłym mężczyzną. Leo i Bractwo zaplanowali dla mnie coś innego. „Niech ujrzy, co go czeka”.

Co to mogło być?

Miałem się dowiedzieć następnego dnia.

Przez cały dzień nie mogłem skupić spojrzenia i łupała mnie głowa. To było tak, jakby w mój mózg waliły młoty. Budziłem się, by po chwili znowu zapaść w sen, ale nie był on spokojny i nie przynosił mi odpoczynku. W pewnej chwili, późnym popołudniem, ocknąłem się i zobaczyłem, że na wozie zostaliśmy tylko ja i John. Charlotte i Rawnie z pewnością znowu szły na piechotę. Tylną klapę wozu opuszczono,

widziałem więc karłowate drzewa i zamazane głązy, które zostawialiśmy za sobą.

Za wozem szedł burek bagienny, na samej granicy zasięgu mojego wzroku. A przynajmniej wydawało mi się, że widzę to zwierzę. Równie dobrze mógł to być wilk (jeśli wilki tu żyły), pies albo nawet złudzenie. Sądząc po tym, jak ukrywał się za głazami i krzakami, przypuszczałem jednak, że to burek, zwabiony wonią żywności na wozie z zapasami. Albo krwi na mojej głowie.

Tak bardzo mnie bolała! Jak długo może trwać ból głowy? Pragnąłem uciec przed tym nieubłagany pulsowaniem, uciec przed samym sobą, uciec stąd w jakieś inne miejsce. Ale gdyby moje ciało przeszło na drugą stronę, John podążyłby za nim, a nie było żadnego innego miejsca, do którego mógłbym uciec.

Wychodzenie ze studni zamiast spadania do niej...

Ostrożnie, jakby wysiłek woli mógł uszkodzić moje ciało, znowu wyobraziłem sobie, że jestem uwięziony w kamiennej studni, około jarda od szczytu, wsparty plecami o łukowatą ścianę, a kompletną rękę wyciągam przed siebie, by utrzymać się na miejscu. Nade mną majaczyła brudnosrebrna sierść burka bagiennego. Wspinaj się, wspinaj, pełnij w górę... a teraz jeszcze trochę.

Woń wypełniająca moje nozdrza, czarno-szary krajobraz pełen zapachów, jedzenie jedzenie jedzenie niebezpieczeństwo niebezpieczeństwo jedzenie...

Wciągnąłem powietrze i wycofałem się. Ból głowy w jednej chwili stał się trzykrotnie silniejszy. Omal nie zemdlałem. Oto, co musiał wycierpieć hisaf, którego znalazłem w krainie Umarłych. Nie był w stanie zaczerpnąć

tchu z wysiłku, po tym, jak przestał zamieszkiwać w jednym z szarych psów. Tak samo cierpiały kobiety z sieci, gdy zamieniły się w drapieżne ptaki. Dyszały potem i nie były w stanie się ruszyć, ledwie żywe z wysiłku. A przecież niemalże dotknąłem umysłu burka bagiennego.

Ale zdołałem go dotknąć. Poprzednim razem mi się nie udało. Co się zmieniło? Czy przyczyną był silny ból? Charlotte nic nie wspominała o tym, by był on potrzebny do przechodzenia w psy. Mówiła tylko o cierpieniu i ryzyku towarzyszącym powrotowi. Co jeszcze wyglądało inaczej?

Przez resztę popołudnia leżałem na wozie, zastanawiając się nad tym i udając, że śpię. Nie nasunęły mi się żadne odpowiedzi. Ból głowy stopniowo powrócił do poprzedniego poziomu, który był wystarczająco okropny, ale teraz wydawał się stosunkowo znośny. Większy ból pomaga nam pogodzić się z mniejszym.

Gdy zapadł zmierzch, wozy się zatrzymały. John ściągnął mnie na ziemię i usiedliśmy razem z pozostałymi przy ognisku, ale ogień nie mógł mnie ogrzać. W głowie nadal gorzał mi ból. Nie byłem w stanie nic zjeść, mimo że Charlotte nalegała, bym to zrobił. Nie mogłem nawet słuchać Leo, przechwalającego się „swym” zwycięstwem nad hisafami, którzy nas zaatakowali.

— To nie było twoje zwycięstwo, tylko nasze — oznajmił wreszcie z wyżynnym akcentem jeden z Duszoroślan, młodzieniec, którego zielone oczy miały wyraz tak ostry, że mogłyby kroić szkło.

— Ja tu dowodzę — sprzeciwił się Leo. — Zgodnie z rozkazem...

— Cicho — przerwała mu młoda kobieta. — Nie wymawiamy jego imienia.

Leo uśmiechnął się z miną wyrażającą tolerancję dla mniej cywilizowanych istot ulegających prymitywnym przesądom. Nawet nie

wiedział, jak wielki błąd popełnił. Duszoroślanie spoglądali na niego ze spokojem, a w ich oczach nie malowała się pogarda, lecz coś bardziej niebezpiecznego: zwątpienie.

— Gdyby nie my, straciłbyś wszystko — dodał szmaragdowooki młodzieniec o ostrym spojrzeniu. — A i tak straciłeś psy.

— Oni swoje też! — odciął się aktor.

— Leo, zagraj nam coś! — zawołała nagle Rawnie.

Czy zrobiła to celowo, by rozładować napięcie? Sprawiała wrażenie pełnej dzieciennego entuzjazmu, ale nie wierzyłem w to. A z drugiej strony, dlaczego miałyby chcieć zmniejszenia napięcia? Uwielbiała je. Nie, z pewnością nadal starała się zdobyć aprobatę Leo z sobie tylko znanych powodów.

— No cóż — odezwał się aktor. — Jeśli muszę...

Żaden z Duszoroślan nie odezwał się ani słowem, ale nie potrafili ukryć zainteresowania rozpromieniającego ich twarze. Niewykluczone, że żaden z nich nigdy nie widział przedstawienia, lecz wiedzieli, że Leo jest aktorem i to budziło ich ciekawość.

Jeśli ktoś ma nadzieję żyć wiecznie, zapewne spodziewa się, że będzie miał czas na zainteresowanie wszystkim, nawet sztukami teatralnymi.

Ja jednak nie pragnąłem, by jego występ znowu mnie zaczarował, niemalże wbrew mojej woli. Dręczył mnie ból głowy i serca. Chciałem tylko zasnąć.

— Chce mi się spać — oznajmiłem Johnowi.

— Dobra. — Wstał, pociągając mnie za sobą. Podniosłem się z wysiłkiem. Przy każdym ruchu głowę przeszywał mi ból. Weszliśmy na wóz i John natychmiast zasnął. Rozdziawił usta, a jego pozbawiona wyrazu twarz wyglądała jeszcze głupiej niż na jawie.

— Dzisiaj nie będzie sztuki — usłyszałem władczy głos Leo. — Nie mam na to nastroju. Lepiej zaśpiewam wam pieśń.

Położyłem się tak daleko od Johna, jak tylko pozwalał mi łańcuch, i pomyślałem o Maggie oraz o synu. Nigdy już ich nie zobaczę. Nigdy nie wezmę w ramiona swego dziecka. Czy będzie podobny do mnie, z nieprzyciągającymi uwagi włosami i oczyma brązowej barwy, czy też odziedziczy jasne włosy i szare oczy Maggie? Czy śnił niemowlęce sny hisafa, bezustannie przechodząc między krainą żywych a krainą Umarłych? Jak Maggie ukrywała to przed siostrą? Czy...

Plecak Rawnie poruszył się nagle i myszka wyszła na zewnątrz.

Wyciągnąłem jedyną dłoń, poruszając łańcuchem łączącym mnie z Johnem, ale nim się obudził i nim zdołałem złapać myszkę, zwierzątko zniknęło. Zamiast niego pojawiła się kobieta, leżąca przy mnie na deskach wozu.

— Co...

Zatkała mi usta dłonią i skrzywiła się wściekle. Mój oszołomiony umysł starał się ogarnąć tę nową prawdę. Myszka Rawnie była kobietą z sieci. Podobnie jak Matka Chilton zamieniała się w czarnego łabędzia, a Alysse w białego królika.

— Przecież byłaś z nią tak długo... — wyszeptałem bez sensu. Charlotte mówiła, że Rawnie miała myszkę gdzieś od dwóch miesięcy, nim jeszcze zaczęła się nasza podróż! Dlaczego kobieta z sieci nie była słaba i niemal umierająca, jak Alysse i ta druga dziewczyna, kiedy zamieniły się w drapieżne ptaki i...

Natychmiast wszystko zrozumiałem. Alysse nie „dzieliła duszy” z ptakiem. Wybrała sobie królika. Ta kobieta była naturalną myszą. Od tego słowa zakręciło mi się w głowie. „Naturalne” zmienianie się w zwierzę! Przybieranie postaci...

— Cicho — wyszeptała kobieta. Z jej twarzy nie znikał grymas. — Muszę was opuścić. Nie mogę wejść z wami do Galtryf. To byłoby możliwe tylko wtedy, gdybym przybrała postać zwierzęcia, z którym dzielę duszę, wewnątrz zamku. Nie zrobiłam tego. Ale zanim pójdę, chcę ci powiedzieć parę rzeczy.

John poruszył się we śnie. Przy ognisku Leo zagrał kilka nut na lutni, by ją nastroić. Wstrzymałem oddech, na wpół spodziewając się, że kobieta z sieci zniknie. Ale skuty ze mną hisaf tylko zachrapał głębiej. Leżeliśmy wyciągnięci na wozie obok siebie, w blasku gwiazd świecących nad Wrzosowiskiem Duszorośli. Kobieta była smukłym, ledwie dostrzegalnym cieniem rysującym się na tle nieheblowanej burty wozu. Tylko jej włosy, rozpuszczone i opadające ku mnie, wydawały się rzeczywiste i dotykalne. Jej słowa również mówiły o niejasnych faktach, które dotąd dostrzegałem, ale nie potrafiłem ich zrozumieć. Wplatała się w nie muzyka Leo.

— Popełniłeś straszliwe błędy, Rogerze Kilbourne. Ostatniej zimy powiedziano, żebyś już nie przechodził, ale to zrobiłeś. Zabiłeś własną siostrę. Katharine była...

— Chciała zabić mojego syna!

— ...była łącznikiem — ciągnęła kobieta, jakbym w ogóle się nie odezwał. — Dzięki jej pośrednictwu moc Umarłych mogła napływać do obserwatorów z Duszorośli ukrytych w wirach. Ci, którzy żyją, i ci, którzy umarli, są połączeni w wielką sieć. Jak mogłoby być inaczej, jeśli Umarli byli niegdyś żywi, a żywi muszą pewnego dnia dołączyć do Umarłych? Kiedy Wrzosowisko Duszorośli, przy pomocy wyjętych spod prawa hisafów, zaczęło zatruwać ową więź, tylko Katharine pozwalała utrzymać równowagę, ponieważ siła życiowa nowo narodzonych dzieci mogła płynąć w przeciwną stronę, z krainy żywych do krainy Umarłych. Ale gdy...

— Nieprawda! — wyszeptałem z pasją. — Moja siostra nie była żadnym „łącznikiem”! Nie mogła nim być, bo teraz jej nie ma, ale niemowlęta nadal okrada się z dusz. Widziałem to!

— Nie masz pojęcia, co widziałeś. Musisz teraz być cicho i pozwolić mi skończyć. Nie mam wiele czasu.

— Ale...

— Cicho! — syknęła w tej samej chwili, gdy Leo zaczął śpiewać.

Nawet gdy zbiegniesz na wzgórze,

Nie umkniesz przede mną, miła.

— Kiedy cisnąłeś Katharine do wiru, w pierwszej chwili obawialiśmy się, że zerwie się cała sieć bytu. Gdy tak się nie stało, pomyślałyśmy, że już po wszystkim, tak samo jak ty, i radowałyśmy się z tego. Ale Duszoroślanie nauczyli się wiele i kręgi Umarłych nie przestawały znikać, a niemowlęta nadal okradano z siły życiowej. Sieć jest coraz bardziej przeciążona, bliska granicy wytrzymałości, a hisafowie walczący po obu stronach pogarszają jeszcze sprawę przez te swoje psy. Sztuki duszy zmieniają się i rosną, Rogerze Kilbourne, tak samo jak cała reszta życia. Dzięki temu twój ojciec był w stanie połączyć dary hisafa ze szkoleniem kobiety władającej owymi sztukami, co umożliwiło zamieszkiwanie w psach. Ale wzrost nie zawsze musi być dobry. Może być czymś zniekształconym i pokracznym, guzem na intencjach życia. Tak właśnie mają się sprawy z Duszoroślanami i ich dążeniem do wiecznego życia, a także z tymi psami. Powołanie hisafów nie służy do przechodzenia w zwierzęta. Powinni się trzymać swojego daru, podobnie jak my swoich sztuk duszy.

Twe serce, najdroższa, jest moje,

Choćbyś kształt jego zmieniła.

— Jesteś pewna, że nie przemawia przez ciebie zwykła zazdrość o to, że hisafowie korzystają teraz z waszych sztuk? — zapytałem.

— Oni z nich nie „korzystają”. Oni je wypaczają. Zwierzęta mają własną sieć bytu i trzeba ją szanować. Spróbuj to zrozumieć, ty uparty chłopcze! Centrum...

— Nie jestem chłopcem!

— ...sieci jest Galtryf. Zawsze tak było. Tam miały swój początek kobiety władające sztukami duszy, w dawnych czasach, gdy Galtryf było jeszcze siłą służącą dobru na świecie. Hisafowie również tam powstali. To niezwykle stare miasto. Teraz zostały z niego tylko ruiny, z grodu i z zamku, ale tam właśnie było źródło wszystkich transcendentnych sztuk, wielkich i małych. Galtryf jest cieniem Reginokracji, jej mroczną stroną, o której lekkomyślni wieśniacy, kowale, kołodzieje i dworzanie wolą nie pamiętać. Mimo to ów cień żyje w każdym z nas. A teraz w Galtryf wypaczone wykorzystanie sztuk duszy stało się cieniem cienia.

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

— Ale... ale dlaczego kręgi nadal znikają, a niemowlęta się okrada, skoro moja siostra zniknęła? — zapytałem. — Zamordowałem ją i...

— Już ci mówiłam, że Duszoroślanie nauczyli się robić wiele rzeczy, których nie powinien się dopuszczać żaden śmiertelnik. Nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Ale kiedy twój syn się narodzi, wszystko może się zmienić. Twój ojciec odziedziczył nadzwyczajne moce po matce, twojej babci. Ona była wielką mistrzynią sztuk duszy. Ty nie wykazałeś się niczym szczególnym, ale z twoim synem może być inaczej. On jest naszą ostatnią nadzieją, ponieważ Galtryf wygrywa tę wojnę.

Uczyń, co zechcesz i możesz,

Zastosuj sztuczki ci znane.

Ja zawsze będę dla ciebie Jak ogar, co ściga łanię.

Moja babcia była kobietą z sieci. Nie wiedziałem o tym... skąd miałbym wiedzieć? Mój syn był „ostatnią nadzieją”. Zakręciło mi się w głowie. Zacząłem mówić: „Mój syn już się narodził”, ponieważ kobieta najwyraźniej o tym nie wiedziała. W końcu dwa ostatnie miesiące spędziła jako mysz. Nim jednak zdążyłem coś powiedzieć, ktoś z zewnątrz uderzył mocno w wóz, krzycząc:

— John powinien to usłyszeć. On kocha muzykę. John!

John się obudził. Poza mną na wozie nie było nikogo, tylko mała, brązowa myszka, która umknęła na zewnątrz z błyskiem długiego, różowego ogonka.

Rawnie była zrozpaczona po stracie zwierzątka. Jej żałoba przybrała postać gniewu. Walila pięściami w deski i krzyczała, aż wreszcie John od niechcenia wyciągnął wielkie łapsko — to, które nie było przykute do mnie — i zdzielił ją w skroń. Przerwała w pół krzyku, popatrzyła nań szeroko rozwartymi z szoku oczyma, a potem się rozplakała.

Charlotte skoczyła na Johna niczym rozwścieczona niedźwiedzica.

— Nie dotykaj jej!

Bezsilnie okładała go miękkimi pięściami. John popatrzył na nią ze zdziwieniem, jakby lekki wietrzyk niespodziewanie zerwał mu z głowy kapelusz.

Hałas przyciągnął uwagę Leo.

— Co tam się dzieje? Charlotte, przestań. Nie, John!

Mężczyzna uniósł rękę, jakby chciał uderzyć Charlotte, tak samo jak Rawnie, ale zatrzymał się na rozkaz Leo. Opuścił rękę ze zmieszana miną, a potem podniósł ją znowu i zatrzymał w połowie drogi do głowy Charlotte, spoglądając błagalnie na aktora. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Johnowi nigdy nie kazano zamieszkać w którymś z psów. Psy były inteligentniejsze.

— On uderzył Rawnie! — zawołała Charlotte.

Dziewczynka, jak na zawołanie, rozplakała się głośniej.

— Zgubił moją myszkę!

— Myszkę? Jaką myszkę? — zdziwił się Leo. — John, wiesz, że bicie ich jest zabronione.

Zabronione? A przez kogo? Dlaczego? I czy to dotyczy również mnie?

— Moją myszkę! — wołała Rawnie. — Łaskotkę! Była w moim plecaku i John ją wypuścił!

— Nieprawda — sprzeciwił się John.

— Prawda! Wypuściłeś ją! Inaczej by tam była!

— Przestań płakać — polecił Leo. W jego głosie wesołość mieszała się z niesmakiem. — Znajdziemy ci inne zwierzątko. Co powiesz na... małego kulika?

— Odleci!

— To może... kotka?

Rawnie przestała płakać. Jej twarz rozpromieniła się tak szybko, że zrobiłem się podejrzliwy: czy te łzy to było aktorstwo? Nie, naprawdę lubiła swoją myszkę. Ale teraz, gdy zwierzątko uciekło, mała intrygantka uczepiła się szansy wkupienia się w łaski Leo. Pod jej pełnym nadziei i uwielbienia spojrzeniem aktor wyraźnie urósł, jak ciasto na chleb rośnie w ciepłe. Był bohaterem chwili, nawet jeśli w następnej mógł kazać stracić nas wszystkich.

— Kotka! — wydyszała Rawnie. — Naprawdę bym mogła? Gdzie znajdziesz kotka?

— Znajdę — zapewnił Leo. — Ale dość już tych krzyków. Bądź grzeczna. A Charlotte i John muszą przestać się tłuc.

Oddalił się dumnym krokiem, przywróciwszy porządek w Królestwie Wozu. Gdy odwrócił się plecami, Rawnie przestała się uśmiechać. Odprowadzała go pełnym namysłu spojrzeniem.

Chciałem zostać sam, by zastanowić się nad słowami kobiety z sieci. Ponieważ to było niemożliwe, zdecydowałem się na namiastkę. Udawałem, że śpię. Niemniej szeptana rozmowa Charlotte z Rawnie nie pozwalała mi skupić myśli.

— Myślisz, że naprawdę da mi kotka?

— Nie wiem, Rawnie.

Charlotte sprawiała wrażenie bliskiej łez.

— W Galtryf mogą być koty.

— Skąd wiesz, że jedziemy do Galtryf?

— Mam uszy — odparła ze wzgardą dziewczynka. — Słyszę różne rzeczy. Galtryf jest wielkie, stare i straszne. Źli hisafowie będą tam torturowali Rogera. Tata tam jest. Myślą, że mogą go zmusić, by im pomógł, ale ja wiem, że nigdy by nie zrobił nic złego, więc na pewno się mylą. I wszyscy tu boją się czyjegoś miecza.

Zapadła cisza.

— Nigdy więcej o tym nie wspominaj — wykrztusiła po chwili Charlotte.

— O której części?

— O żadnej, ale chodziło mi o... tę ostatnią.

— O miecz? A czyj on jest?

— Będiesz mnie słuchała — odparła Charlotte całkowicie zmienionym głosem, tak groźnym i stanowczym, że uciszył nawet Rawnie. Na chwilę.

— Łać na to! — skwitowała po chwili. — Nie boję się niczyjego miecza. Miecz może tylko zabić mnie na śmierć, a wtedy tata przejdzie na drugą stronę i sprowadzi mnie z powrotem.

Z ust Charlotte wyrwał się cichy, pełen rozpaczyny jęk. Nie wyprowadziła jednak córki z błędu. W przeciwieństwie do Rawnie z pewnością wiedziała, że śmierci nie da się oszukać na długo.

Aczkolwiek Wrzosowisko Duszorośli to właśnie próbowało uczynić.

Tej nocy nikt już się nie odzywał. Może wszyscy zasnęli, a może nie. Ja nie spałem.

„Źli hisafowie będą tam torturowali Rogera”.

Czym był ten miecz?

„On jest naszą ostatnią nadzieją, ponieważ Galtryf wygrywa tę wojnę”.

Czy mój ojciec dołączy do Duszoroślan, jeśli Bractwo zagrozi Charlotte i Rawnie torturami? Nie znałem go, nie wiedziałem, jakim torem biegną jego myśli. Rawnie, nad wiek rozwinięta ze swymi intrygami i podsłuchiwaniami, była nim zaślepiona. Uważała go za bohatera, jak w jednej ze sztuk Leo.

„Galtryf jest cieniem Reginokracji”.

Cienie i miecze. Alysse wspominała mi o mieczu. A trzy lata temu, gdy sprowadziłem armię Niebieskich z krainy Umarłych, niebo rozdarło coś jasnego i straszliwego. Trwało to tylko ułamek mgnienia oka, ale kiedy o tym wspomniałem, Alysse westchnęła trwożnie. Alysse, która nigdy nie okazywała wobec mnie żadnych emocji poza niecierpliwością! Nazwała to coś „mieczem”, ale ja nie widziałem broni. Ujrzałem tylko oślepiające światło i usłyszałem nieartykułowany dźwięk. Alysse powiedziała, że Umarli czekają na miecz, ale nie wyjaśniła dlaczego. Nic z tego mi się teraz nie przyda.

„Sztuki duszy zmieniają się i rosną, Rogerze Kilbourne, tak samo jak cała reszta życia. Ale kiedy twój syn się narodzi, wszystko może się zmienić”.

Ale on już się narodził. Tak mi powiedziała mała księżniczka z odległej Glorii. A mimo to nic się nie zmieniło. Nadal byłem jeńcem, wieszonym ku bólowi i śmierci. Niemowlęta nadal wprowadzano w trans, stan pomiędzy życiem a śmiercią, wysysano z nich siłę życiową. Kręgi Umarłych nadal ginęły w wirach obserwatorów z Wrzosowiska Duszorośli. Wyłom w murze dzielącym żywych od martwych — zgodnie z wyobrażeniami hisafów — poszerzał się z każdą chwilą. Albo — jak wyobrażały to sobie kobiety władające sztukami duszy — sieć życia stawała się coraz bardziej rozciągnięta, podarta i zniekształcona. Nic się nie zmieniło.

„Żli hisafowie będą tam torturowali Rogera”.

Leżałem bezsennie przez wiele godzin, a gdy wreszcie zasnąłem, miałem plan. Nie był zbyt imponujący, ale wobec perspektywy śmierci w męczarniach każdy plan jest lepszy niż nic.

Być może.

Miałem taką nadzieję.



Zgodnie z planem obudziłem się przed świtem. Nic mi się nie śniło. Niebo nad wysokim wzgórzem na południowym wschodzie jaśniało już, przybierając chłodną, szarą barwę lodowatego morza, mimo że zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień. Dzisiaj przybędziemy do Galtryf. Nie miałem wiele czasu.

Oddaliłem się na całą długość łańcucha i wyjrzałem z wozu nad boczną deską. Były tam burki bagienne. Trzymały się tuż poza zasięgiem strzelb Duszoroślan. A przynajmniej tak mi się wydawało. Czy zwierzęta znały ten zasięg, czy też był to przypadek? Nie miałem pojęcia, jak rozwinięta jest ich inteligencja. Wczoraj mogłoby mi się nie udać ich wypatrzeć, ale dziś rano widoczność była dobra. Ból głowy też nie dokuczał mi już aż tak bardzo.

Dwa burki bagienne... nie, trzy. Czy zatem wędrowały w stadach? Jak bardzo były agresywne? Nieważne; nie miałem wielkiego wyboru. Zwierzęta czekały, aż wozy odjadą, by dorwać się do kości i wnętrzności upieczonych na kolację królików oraz innych pozostawionych przez nas resztek. Wybrałem jedno z nich i wpatrzyłem się w nie. Wysiłkiem umysłu i woli utworzyłem obraz.

Studnia. Sięgała daleko w dół pode mnę, ale w górze łukowaty ceglany mur kończył się zaledwie jard nad moja głową. Opierałem się o niego plecami, a z drugiej strony podtrzymywały mnie nogi i jedna ręka. Z dołu napływała woń wody, na górze było szare poranne niebo oraz nagły śpiew ptaka. Wszystko to wyobraziłem sobie tak klarownie i szczegółowo, jak tylko potrafiłem. Wspinałem się, przesuwając ciało w górę. Jeden maleńki kroczek ku wylotowi, a potem następny, zawsze wsparty przez akt woli, którego używałem do przejścia na drugą stronę...

Ciemność, chłód, ziemia wypełniająca mi usta...

Nie! Nie grób! Wspinaj się w górę, w górę ku wyjściu ze studni, przejdź w burka bagiennego...

Grób zniknął. Studnia również. Świat nagle stał się czarno-szaro-biały oraz niezmiernie dziwny. W powietrzu unosiło się mnóstwo zapachów, jaskrawszych niż bezbarwne obrazy... chyba że coś się poruszyło — tam, błysk zrywającego się do lotu kulika, a w oddali coś spadało...

To byłem ja. Moje ciało runęło na deski wozu z łoskotem, który obudził Johna. Mężczyzna łypnął na mnie i podniósł się na kolana, by omieść obóz spojrzeniem. Nie znalazł nic podejrzanego i natychmiast zasnął znowu.

Leżałem na szorstkich deskach. Charlotte i Rawnie chrapały cicho na drugim końcu wozu. Zacisnąłem powieki, pełen wdzięczności. Udało mi się. Na krótką chwilę wniknąłem do umysłu burka bagiennego, porzucając swe ciało. Jeśli zdołałem dokonać tej sztuki z burkiem bagiennym, być może powiedzie mi się też ze szczurem albo ptakiem. Nie ucieknę w Galtryf przed śmiercią, ale może uda mi się przynajmniej umknąć przed bólem tortur. Bractwo zabije moje ciało, ale nie zmusi mnie do mówienia.

Pod wpływem wielkiego i nieustannego bólu ludzie zawsze w końcu zdradzali swe tajemnice, ale gdy cierpienie stanie się zbyt wielkie, będę mógł po prostu przejść w najbliższe żywe stworzenie i nie wydać Maggie oraz naszego syna. Nie zdradzę ich. Nie powiem też Duszoroślanom nic, co pomogłoby im w ich wojnie.

Ale muszę się nauczyć przetrwać w zwierzęciu dłużej niż jedną chwilę. Muszę ćwiczyć.

Ponownie podniosłem się na kolana, tym razem wciskając się w kąt wozu tak, bym nie mógł upaść. Burki nadal tam były. Nie wiedziałem, dlaczego potrafię tego dokonać. To nie powinno być możliwe. Wszystkie psy mojego ojca urodziły się w krainie Umarłych i przeniesiono je stamtąd na drugą stronę.

„Sztuki duszy zmieniają się i rosną, Rogerze Kilbourne”. Kobieta z sieci uważała, że „nie wykazałem się niczym szczególnym”, ale wiedziałem, że one już nieraz się myliły. Studnia, wspinaczka w górę, akt woli i znowu znalazłem się w burku bagiennym. To było najdziwniejsze ze wszystkich niezwykłych wrażeń, jakich zaznałem po obu stronach grobu. Byłem burkiem bagiennym, a jednocześnie Rogerem Kilbourne'em. Wszystkie doznania wzrokowe, słuchowe i węchowe — a słuch i węch miałem nadzwyczaj ostre! — przychodziły do mnie tak, jak odbierało je stworzenie. Mimo to wiedziałem, że jestem również człowiekiem. Człowiekiem, który zamieszkuje w zwierzęciu, ale nie cieleśnie. Moje ciało leżało na wozie, pogrążone w transie, jak działo się to kiedyś, gdy przechodziłem na drugą stronę grobu.

Kazałem burkowi odwrócić głowę. Zrobił to, bez sprzeciwu czy oporu. Czyżby utracił własną wolę? Nie. Wyczuwałem jego strach, wywołany moją obecnością, był on jednak stłumiony i bezsilny, jak mucha bzycząca pod stertą koców.

Pojawił się drugi burek bagienny i obwąchał mnie — nas? A może jego? To była samica. Czyżby wyczuwała coś obcego? Najwyraźniej nie, bo stanęła spokojnie przy mnie. Czy to była moja partnerka? Spróbowałem wniknąć do umysłu burka — sięgnąć pod koce — i natychmiast znalazłem się z powrotem na wozie.

Całe moje ciało wypełniał ból. Słabość, skręcające wnętrzności cierpienie... Dowlokłem się do bocznej deski i zwiesiłem się z niej. Moje ręce były za słabe, by utrzymać mój ciężar. Nie miałem siły krzyknąć.

To zatem była cena. To osłabiło hisafa, którego znalazłem bliskiego śmierci w krainie Umarłych. Na to narażali się Macon i Dick, przechodząc w psy strzegące wozów Leo. Taką cenę zapłacili hisafowie zamieszkujący w Cieniu i w Owcu, a także w innych szarych psach, które raz po raz ratowały mi życie. Nie wiedziałem o tym. A przecież przeszedłem w burka tylko na krótką chwilę. Czy praktyka ułatwi mi powroty?

Istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Gdy słabość i zawroty głowy już przeszły, spróbowałem znowu. Tym razem nie zostałem wyrzucony ze zwierzęcia, lecz sam wybrałem chwilę powrotu. Zrobiłem to wtedy, gdy zobaczyłem, jak pierwszy człowiek poruszył węgielkami ogniska. Niebo na wschodzie gorzało różem i złotem. Wróciłem do swego ciała.

— Roger jest chory!

Rawnie obudziła się pierwsza. Jej krzyk wyrwał ze snu Charlotte i Johna. Leżałem bezwładnie w kącie, przekonany, że umieram. To byłoby lepsze. Wypełniał mnie ogień bólu, jakbym siedział w ognisku. Nie mogłem poruszyć ręką ani nogą. Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

— Roger? — Na moim czole spoczęła chłodna dłoń: Charlotte. — Dlaczego masz taką gorączkę? Czy zjadłeś wczoraj coś niedobrego?

Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Nic w moim ciele nie funkcjonowało. Mój pęcherz nie wytrzymał.

— A fe! Złał się! — zawołała Rawnie. — Roger, śmierdzisz!

Zemdlałem z radością.

Mimo wszystko zrobiłem to jeszcze raz. A potem znowu.

Ćwiczyłem przez cały dzień. Gdy tylko poczułem się wystarczająco silny, by podciągnąć się w górę na bocznej desce, wychylałem się na zewnątrz i udawałem, że wymiotuję. Za każdym razem udawało mi się znaleźć jakieś stworzenie, w które mogłem przejść — królika albo nornika. Gdy tylko znalazłem się w zwierzęciu, moje ciało traciło czucie. Kiedy wracałem, byłem słaby jak niemowlę. Nie mogłem nawet unieść głowy.

— On potrzebuje uzdrowiciela — odezwała się Charlotte.

— W Galtryf są uzdrowiciele — odparł Leo pełnym furii głosem. — Tylko żeby nie umarł przed przybyciem na miejsce!

Uśmiechnąłbym się, gdybym mógł. Leo chciał mnie zachować przy życiu, żeby móc mnie potem zabić.

Ktoś spróbował otworzyć mi siłą powieki. Rawnie.

— Roger, czy jeszcze oddychasz?

— Zostaw go, Rawnie!

— Chciałam tylko sprawdzić, czy jeszcze oddycha!

Oddychałem. Czułem, jak siła napływa do mojego ciała, a potem je opuszcza. Czułem ból i ulgę od bólu. Widziałem, jak słońce wspina się wysoko na błękitne niebo, a potem znowu opada, aż wreszcie cienie zrobiły się długie i pojawił się księżyc. Znowu go przybywało i zmierzał ku pełni. Nie przestawałem ćwiczyć.

Widziałem świat takim, jakim widzi go królik, z poziomu ziemi, wypełniony tysiącem szelestów i zapachów. Przeszedłem w jelenia i przez chwilę patrzyłem, jak przeskakuje przez wąski, wartki potok, a potem

umyka. Przeszedłem w jaskółkę unosząc się nad wozem i od niezwykłości lotu zakręciło mi się w głowie tak bardzo, że musiałem wrócić do swego ciała, zanim spadłem z nieba.

Wieczorem byłem za słaby, by zejść z wozu i usiąść przy ognisku. Charlotte opiekowała się mną, wkładając mi do ust okruchy jedzenia i podsuwając bukłak, żebym mógł się napić. Rozebrała mnie i umyła, a ja byłem zbyt wyczerpany, bym mógł się czuć zawstydzony jej poczynaniami. Nocą zapadłem w sen niczym człowiek, który spadł z wysokiego urwiska i rozbił się o twarde skały na dole.

Wydawałoby się, że podobnej nieczułości nie przenikną żadne sny. Ale jeden to zrobił, choć był szary i zamazany, jakby mój wzrok nadal nie wrócił do normy po uderzeniu kolbą przez Leo. Jakaś postać, mała i migotliwa — czyżby machała rękami? Tak jest. Wyczuwałem w jakiś sposób, że to dziewczynka, dziecko, och, nie, nie...

Katharine, młodsza siostra, którą zamordowałem?

Ale to nie była ona. Kolor to się pojawiał w moim śnie, to znowu znikał, redukując mój wzrok do szarych tonów burka bagiennego. Ale tym kolorem był fiolet, a machającą rękami dziewczynką była mała księżniczka Stephanie. Płakała.

— Roger... — Wydawało się, że jej głos dobiega z bardzo daleka, co było prawdą w rzeczywistości, ale nigdy dotąd nie zdarzało się w moich snach. Ledwie ją słyszałem. — Jest... już... prawie... gotowa...

— Kto? — zawołałem, próbując do niej dotrzeć przez nieprzebyte dystans. Nie byłem jednak kobietą z sieci i nie potrafiłem aktem woli pokonać przepaści snów. Stephanie mi nie odpowiedziała. Pomachała jeszcze trochę rękami, a potem zabrzmiał inny głos. Znałem go dobrze. Był

bezielesny, ale słyszałem go tak wyraźnie, jakby Matka Chilton stała tuż obok.

— Dokąd odchodzą? — zapytała tonem, którego zawsze używała w rozmowie ze mną: zgryźliwym, lekko zniecierpliwionym, nieustannie przypominającym mi o moich błędach i niedostatkach.

— Kto? — odkrzyknąłem, ale obie już zniknęły: płacząca księżniczka i bezielesny głos. Obudziłem się.

Słońce już wzeszło. W obozie panował ruch. Mogłem usiąść bez bólu, choć nadal czułem się słabo. Późnym rankiem dotarliśmy wreszcie do Galtryf.

Gdybym próbował odgadnąć, jak wygląda Galtryf — nie robiłem tego, bo moje myśli zaprzętało wiele pilniejszych problemów, takich jak tortury, śmierć i Maggie — wyobraziłbym sobie coś w rodzaju nieco większego Hygryll. Tamta osada na Wrzosowisku Duszorośli składała się z niskich, pozbawionych okien chat, wykopanych w zboczach niskich wzgórz. Wszystkie były wewnątrz wyłożone kamieniami, a na zewnątrz pokryte ostrą trawą z wrzosowiska. Palono tam torfem, a proste meble były wykonane z kamienia albo niekiedy z drewna, przywleczonego tu z odległości wielu mil. Galtryf w niczym jej nie przypominało.

— Czy to jest miejsce, do którego jechaliśmy? — wydyszała Rawnie, wyglądając z wozu nad boczną deską.

Podźwignąłem się, by również to zobaczyć. Nawet John, pobudzony do letargicznej ciekawości, uniósł głowę i wpatrzył się przed siebie. Jedyne Charlotte, niemalże sparaliżowana sprzecznością między pragnieniem ujrzenia męża i strachu przed tym, co się wówczas wydarzy, zerknęła w tamtą stronę tylko raz, a potem osunęła się na deski.

— Zapytam Leo o to miejsce — zapowiedziała Rawnie, zeskakując na ziemię z tyłu wozu. — Cholera, ale jest ogromne!

— Właż natychmiast z powrotem — rozkazała Charlotte. — I nie używaj takiego paskudnego języka, młoda damo.

Rawnie skrzywiła się, ale wykonała polecenie. Nie przykuwano jej już, ponieważ nie miała dokąd uciekać.

— Jest naprawdę ogromne! — powtórzyła, stojąc na kołyszącym się wozie.

Ogromne, imponujące ruiny.

Zbudowane na szerokim, płaskim szczycie wzgórza Galtryf wznosiło ku niebu swe wyszczerbione, kruszące się budynki, wieże oraz blanki z szarego kamienia. Kiedyś musiało być jeszcze większe niż pałac w Glorii. Musiało być niezdobytą fortecą w starożytnym stylu. Widziałem takie na obrazach na dworze. Mogło być ongiś wspaniałe na swój surowy, militarny sposób. Teraz całe sekcje zapadły się, tworząc sterty gruzów. Wyszczerbione, pozbawione dachów mury majaczyły nad zarośniętymi zielskimi komnatami. Samotne wieże wyciągały się ku obojętnemu niebu.

Na spotkanie wyszedł nam jakiś mężczyzna. Jego sylwetka rysowała się na tle słońca.

— Macie ich? — zapytał.

— Oczywiście — potwierdził Leo.

— Świetna robota — rzekł, ale nie zabrzmiało to jak szczerza pochwała. W jego słowach pobrzmiwała wesołość, protekcyjnalne lekceważenie wobec chłopaka, któremu udało się wydobyć z lutni prawidłowy ton. — Dobrze się czują?

— W miarę.

— A co to ma znaczyć?

— Roger zachorował. To nie moja wina!

— Nic nigdy nie jest twoją winą — stwierdził mężczyzna. — W porządku, idź do kuchni i weź sobie coś do jedzenia. Ja się nimi zajmę.

Leo łypnął na niego spode łba, ale po kolejnym lekceważącym spojrzeniu oddalił się dumnym krokiem. Drugi mężczyzna podszedł do tyłu wozu i przyjrzał się nam. Nawet Rawnie umilkła.

Nie był wysoki ani szeroki w barach, nie miał też imponujących rozmiarów Johna. Mimo to wszystkie rysy jego twarzy świadczyły, że jest dowódcą. Miał ciemne oczy, orli nos, rzeźbione kości policzkowe i krótko

przystrzyżone, siwe włosy. Sprawiał wrażenie nienaturalnie twardego, jakby tylko w połowie składał się z ciała, a drugą połowę wykuto z granitu, tak pospolitego wokół nas. Natychmiast zrozumiałem, że mam do czynienia z hisafem, co nigdy dotąd mi się nie zdarzyło.

Omiótł przelotnym spojrzeniem Charlotte i Rawnie, a potem skupił wzrok na mnie.

— A więc ty jesteś Roger Kilbourne.

Nie odpowiedziałem.

— Sprawieś nam mnóstwo trudności, Roger. Ale to wkrótce się skończy. Jest już prawie gotowa.

Te same słowa, które wypowiedziała Stephanie w moim śnie.

— Kto? — zdołałem zapytać, choć mój głos zabrzmiał ochryple.

Uśmiechnął się tylko. Mam nadzieję, że już nigdy nie ujrzę podobnego uśmiechu.

— Zawieź ich do środka. Przez południową bramę — rozkazał czekającemu z szacunkiem woźnicy.

— Tak jest, lordzie Jagonie.

Lordzie? Prosty strój mężczyzny nie odróżniał go od brudnego po podróży woźnicy, nie dostrzegalem w nim też śladu dobrych manier oraz wychowania, które nauczyłem się zauważać na dworze. „Lord” oddalił się i wóz ruszył naprzód.

— Co za cholerny zaszczaniec — odezwała się dziewczynka.

— Rawnie! — skarciła ją Charlotte bez nadziei.

Jechaliśmy długo, okrążając ruiny fortecy. Grunt był nierówny i kamienisty, bez żadnej drogi czy choćby kolein. Koń męczył się i pocił. Wóz mijał wielkie, otwarte doły, które mogły ongiś być komnatami, czy może przybudówkami. Większość z nich otaczały resztki rozsypujących się

murów. Wreszcie ominęliśmy fragment fortyfikacji zachowanych lepiej niż większość i ujrzelśmy na dole morze.

Nie poczułem przedtem jego zapachu. Wiatr dął od lądu. Nie wiedziałem dotąd, że tak daleko w głębi Wrzosowiska Duszorośli wybrzeże zakręca gwałtownie na zachód. Wschodnie mury Galtryf wznosiły się na szczycie wysokiego urwiska, opadającego gwałtownie ku usianym skałami wodom na dole. Na południu bagnisty płaskowyż ustępował miejsca łagodniejszemu krajobrazowi — pofałdowanym wzgórzom, niekiedy zalesionym, a niekiedy trawiastym, które opadały stopniowo ku odległemu horyzontowi. W blasku porannego słońca ta nieznana kraina sprawiała wrażenie żyznej, gościnnej i bezludnej. Żaden blask nie mógłby jednak nadać miłego wyglądu gigantycznej stercie gruzów, jaką było Galtryf.

Minęliśmy jeszcze kilka otwartych dołów otoczonych niskimi murami, a potem przejechaliśmy przez ogromną bramę, z której zniknęły wszystkie drewniane i żelazne elementy. Pozostał tylko kamienny łuk. Za bramą znajdował się dziedziniec z ubitej ziemi, otoczony z trzech stron zamkniętymi drewnianymi drzwiami, z czwartej zaś częściowo zawałonym murem. Wóz zatrzymał się tam. Na spotkanie wybiegły nam psy. Przeszył mnie strach, ale to były tylko zwyczajne ogary, jakich szlachetnie urodzeni używali do polowań, choć chudsze i bardziej sparszywiałe.

— Umieście ich w przygotowanych komnatach — rozkazał lord Jago.

Dwaj młodzi Duszoroślanie opuścili tylną klapę i wyciągnęli ręce ku Charlotte oraz Rawnie.

— Nie dotykaj mnie, zaszcząncu! — warknęła dziewczynka.

— Nie zrobię tego, młoda lady Rawley — zapewnił z uśmiechem młodszy z mężczyzn.

Rawnie sprawiała wrażenie równie zdumionej tym tytułem, jak ja byłem zaskoczony strojem Duszoroślan. W przeciwieństwie do lorda Jagona mieli

na sobie jedwabie i aksamity, tak wytarte, że miejscami przeświecały, a z obrąbków zwisały wystrzępione nici. Spod staromodnego brokatowego kubraka noszonego przez młodszego z nich wystawał cały goły bark. Czerwony ongiś kapelusz drugiego opadał mu na czoło niczym płaski naleśnik. Z tymi rozpadającymi się zdobnymi szatami oraz zielonymi oczami, które lśniły jaskrawo — zbyt jaskrawo, jakby wypili za dużo wina — wyglądali jak aktorzy występujący w komicznym przedstawieniu maskowym.

— Rawnie, wysiądź z wozu — poleciła Charlotte. Zeszła na ziemię i stanowczo wyciągnęła rękę do córki. — Nie rozdzielicie nas.

— Z pewnością nie — zgodził się Duszoroślanin. — Zajmie się wami Alice.

Młoda dziewczyna, tylko kilka lat starsza od Rawnie, okrążyła nerwowo wóz. Ona również miała na sobie eleganckie niegdyś szaty, wyblakłe teraz i pełne wygryzionych przez mole dziur. Spuściła wzrok i dygnęła niezgrabnie przed Charlotte.

Fia dygnęła kiedyś przede mną i przed Tomem pośrodku lasu. „Może byłam kiedyś służką damy”. To wspomnienie przeszło mnie, ostre jak sztylet. Matka Chilton powiedziała, że Fia pochodziła z Galtryf. Uczyła się sztuk duszy, ale potem uciekła, by zanieść kobietom z sieci straszliwe wieści o tym, co się tu dzieje. „Otruto ją w Galtryf. Wszystkim młodym podaje się tam niewielkie dawki trucizny, aż do chwili, gdy zawładnie ona ich umysłami. Fii podawano odtrutkę w spożywanych codziennie posiłkach. Gdy jej zabrakło, zachorowała”.

Ponownie spojrzałem w oczy dziewczyny. Były zbyt jaskrawe, za bardzo zielone, podobnie jak u obu młodzieńców. Mieszkańcy Galtryf byli mistrzami w wykorzystywaniu medykamentów i eliksirów.

Charlotte gapiła się na służącą z oszołomieniem, ale w oczach Rawnie malowała się podejrzliwość. John ściągnął mnie z wozu i powlókł, potykającego się ze zmęczenia, w ślad za innym Duszoroślaninem. Młodzieniec otworzył jedno z wychodzących na dziedziniec drzwi. Weszliśmy z Johnem do środka.

— Później cię odwiedzę, Roger! — zawołała Rawnie. — Jak już zobaczę się z ojcem!

Nie odważyłem się odwrócić, w obawie, że mogłaby wyczytać na mojej twarzy świadomość, że możemy już się nigdy nie spotkać.

Pomieszczenie miało kamienne ściany. Nie było tu okien, poza zakratowanym okienkiem w drzwiach, wpuszczającym do środka nieco światła. Wąski siennik z jednym kocem, nagi stół, którego jedną z nóg zastąpiono grubo ociosanym kijem, równie sfatygowane krzesło. John bez słowa rozpiął łańcuch na moim nadgarstku i wyszedł. Duszoroślanin zamknął drzwi.

Na długą chwilę zamarłem w bezruchu ze zdumienia. Uwolniłem się od pilnującego mnie hisafa. Dlaczego?

Nim drzwi zdążyły się znowu otworzyć, ugryzłem się mocno w język i spróbowałem przejść.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Nie mogłem się jednak przedostać na drugą stronę. Szarpałem się w grobie — przez jakże długi czas szarpałem się w grobie! Potem nagle

wróciłem do Galtryf, do celi o kamiennych ścianach. Siedziałem na podłodze, próbując odgadnąć, co się przed chwilą wydarzyło.

To było tak, jakby od krainy Umarłych dzielił mnie lity mur. Wszędzie czy tylko tutaj? Być może utraciłem swój dar na zawsze, odebrano mi go za pomocą sztuk duszy, których nie rozumiałem. Nie sądziłem jednak, by tak się stało. Do grobu przeszedłem bez większego wysiłku, ale nie mogłem z niego wyjść po drugiej stronie. Coś w krainie Umarłych nie pozwalało mi na to. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co to mogłoby być. Nic podobnego nigdy dotąd mnie nie spotkało.

Jedno było jasne. Zdjęli mi łańcuchy, ponieważ stąd nie mogłem uciec. Tak właśnie zatrzymali w Galtryf mojego ojca, a nie grożąc mojej nieżyjącej matce, jak twierdził Leo. Ja także zostałem tu cieleśnie uwięziony, jakbym nie był hisafem. Czy to znaczyło, że nie mogłem również zamieszkać w zwierzęciu, by umknąć przed czekającymi mnie torturami? Jeśli tak było...

W nagłej panice przycisnąłem twarz do krat w drzwiach. Koń nadal tam stał, zaprzężony do wozu Leo. Wyobraziłem sobie studnię, skupiłem wolę...

Muchy, głód i zapach czegoś z tyłu parsknięcie zaskoczenie gotowość do kopnięcia nie to nie jest...

Pozostałem w umyśle konia tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, bym osunął się na podłogę, dysząc gwałtownie. Głowę przeszywał mi ból. Nieważne, wróć do siebie. Szansa ucieczki — choćby nawet żalosnej — pozostawała nienaruszona.

Tak oto uczymy się wdzięczności za to, co w ogóle nie powinno być konieczne.

Przez resztę dnia po dziedzińcu krążyli różni ludzie. Spędzałem czas, wyglądając przez kraty. Chciałem się jak najwięcej dowiedzieć na wypadek, gdyby okazało się to użyteczne. Wałęsały się tam też parszywe, niedożywione psy. Po pewnym czasie wracali ci sami ludzie. Albo w Galtryf było niewielu mieszkańców, albo większość z nich nie przechodziła przez ten dziedziniec. Widziałem „lorda Jagona” oraz niektórych ludzi Leo. Johna czerpiącego wodę ze studni, kilkunastu Duszoroślan odzianych w takie same fantastyczne łachmany jak tamtych dwóch oraz służącą Alice. „Alice” to nie było imię z Wrzosowiska Duszorośli. Nadawano je w Reginokracji. To miejsce było parodią dworu królowej w Glorii. Być może Duszoroślanie zamierzali go przejąć, gdy już wygrają swą sekretną wojnę i będą mogli żyć wiecznie. Galtryf było też centrum dowodzenia. Choć sztab nie był zbyt liczny, stąd wysłano na wojenne misje hisafów oraz Duszoroślan. Parodia dworu, wojskowa kwatera główna i co jeszcze?

Dlaczego nie mogłem przejść na drugą stronę?

Zaczął się długi letni wieczór. Przez dziedziniec przechodziło teraz mniej ludzi, a w ciepłym powietrzu unosił się aromat przygotowywanych potraw. Z głodu zaburczało mi w żołądku. Chciałem już załomotać w kraty i zawołać, by dali mi jeść, gdy pojawiły się dwie sylwetki, jedna wysoka, a druga niska. Przybysze otworzyli drzwi. W mroku trudno było cokolwiek zobaczyć, ale mniejsza postać niosła tacę z zapaloną świecą.

— Przyniosłam ci kolację — zabrzmiał kobiecy głos. Nie poznawałem go, ale coś w nim wydało mi się znajome.

— Odsuń się od drzwi — rozkazał mężczyzna.

Cofnąłem się pod przeciwległą ścianę, czując pod plecami zimne kamienie. Od tacy napływały kuszące zapachy. Kobieta postawiła ją na rozklekotanym stole i wyprostowała się. W blasku świecy jej niemłoda już twarz wydawała się niemal znajoma. Dygnęła. Jej wdzięczny ruch wyrażał

rozpacz i rezygnację, towarzyszące jej już od dłuższego czasu. Zerknęła lękliwie na mężczyznę. Był znacznie starszy od niej, lecz potężnie zbudowany.

— Czy mogę... — odezwała się. — Czy mogę zostać tu na chwilę i porozmawiać z Rogerem? O niej?

Skrzywił się. Oboje wymienili spojrzenia, których nie potrafiłem odczytać, ale w jego oczach sprzeciw zdawał się mieszać ze wstydem. Warknął coś pod nosem. To mogło być przekleństwo.

— On jest niebezpieczny — oznajmił wreszcie.

— I to cię obchodzi? — odcięła się, ale bez przekonania. — Lordowi Jagonowi jest wszystko jedno.

— Masz dziesięć minut.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Kobieta podeszła bliżej. Uniosła twarz i blask świecy padł prosto na nią. Oczy miała zielone, jak wszyscy tutaj, ale ich odcień był szczególny. Nie szmaragd, mech ani trawa, lecz coś jedyne w swoim rodzaju. Cera tak samo biała jak nadal gęste włosy, drobne, delikatne rysy naznaczonej bruzdami twarzy, lekko zadarty nos...

Dopadły mnie mroczne zawroty głowy. Ustąpiły dopiero po jakiejś minucie.

— Jesteś... — wyjąkałem. — Jesteś...

— Tak, Rogerze Kilbourne. Jestem matką Cecylii.

Czy ona wie, co spotkało Cecilie? To wszystko, o czym byłem w stanie myśleć. Gapiłem się na kobietę, nie mogąc się poruszyć ani wykrztusić z siebie choć słowa.

— Wiem, że Cecilia zginęła w... w Hygryll. Hemfree ją tam zaprowadził. Wiem też, że ponieważ za nią podążyłeś i próbowałeś ją uratować, ciebie również omal nie ofiarowano na uczenie dusz. Chciałabym ci podziękować za tę próbę.

Uśmiechnęła się. To był z pewnością najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Zalał mnie wstyd. Nie wiedziała. Nie o tym, że sprowadziłem jej córkę z powrotem i po dwóch tygodniach Cecilia, jak wszyscy przeniesieni przez hisafów z krainy Umarłych, utraciła szansę na wieczność. Nie istniała teraz w żadnej z krain. Widziałem, jak jej piękne ciało rozpadło się, zgniło i obróciło w nicość. To była najstraszliwsza chwila w moim życiu. Matka Cecylii o tym nie wiedziała, a teraz stała tutaj i dziękowała mi...

Nie byłem w stanie tego znieść. Odwróciłem wzrok, poszukując w swym umyśle czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby odwrócić uwagę od Cecylii.

— Umrę w Galtryf, prawda? — zapytałem.

Potrafiła znieść prawdę lepiej niż córka. Życie ją do tego zmusiło.

— Tak.

— Kiedy?

— Gdy będzie gotowa.

— Kto?

Otworzyła szeroko oczy.

— Nie wiesz tego?

— A co mam wiedzieć?

— Lord Jago nic ci nie powiedział? Albo Leo?

Aktor rzekł tylko: „Niech ujrzy, co go czeka”, gdy Macon i Dick przechodzili w psy...

Jednym krokiem pokonałem szerokość małej izby i zacisnąłem jedną dłoń na drobnym barku kobiety.

— Kto będzie gotowy? — zapytałem. — Powiedz mi. Kiedy nie wiem, jest gorzej!

— Być może się mylisz — odparła głosem tak cichym, że ledwie ją usłyszałem.

— Proszę — nalegałem. — Proszę.

Wyraźnie wzięła się w garść, czerpiąc z powietrza niezbędną odwagę, siłę woli czy może nawet okrucieństwo.

— Zabiłeś swą przyrodnią siostrę, drugie dziecko Rawleya, które narodziło się w krainie Umarłych i tam było wychowywane.

— Tak.

— Cisnąłeś ją do przejścia dusz.

— Do wiru, tak.

— I byłeś przekonany, że jej moc, moc przewodu łączącego żywych i umarłych, również zniknęła.

— Nie — zaprzeczyłem. — Sądziłem, że się rozproszyła, podzieliła między obserwatorów z wiru. Wiedziałem, że w ten sposób ich wzmocniłem, ale za to unicestwiłem Katharine.

— Nie — zaprzeczyła matka Cecylii. — Tak się nie stało. To właśnie powinno było się wydarzyć. To mogłoby się wydarzyć, gdyby w pobliżu nie było nikogo innego.

— Innego hisafa? Kogoś z Bractwa? Nikogo nie widziałem!

— Nie. To nie był mężczyzna ani kobieta. Nie słyszałeś go? Mówili, że był bardzo blisko.

Gdy cisnąłem swą szaloną siostrę do wiru, coś przedzierało się z trzaskiem przez chaszczę. Uciekłem przed tym dźwiękiem, wracając do krainy żywych. Byłem przekonany, że to spóźniony hisaf, śpieszący na ratunek Katharine. Ale to nie był hisaf. To był... to był...

Matka Cecylia wyczytała zrozumienie z mojej twarzy.

— Tak. To był pies. A Katharine odziedziczyła pewne moce kobiet władających sztukami duszy. W przeciwnym razie nie mogłaby się stać tym, kim jest. Była niewyszkolona i nie miała wprawy, ale jej szalony umysł widział, jak lord Jago i inni przechodzili w psy. Być może nawet próbowała tego już przedtem. Jednego z psów wysłano jej na ratunek, po tym jak ty i twoi towarzysze zabiliście w górach strzegących jej hisafów. One biegają znacznie szybciej niż ludzie! Katharine przeszła w psa i zamieszkała w nim.

Kolana załamały się pode mną. Osunąłem się na skraj wąskiego siennika.

Matka Cecylia usiadła obok i ujęła moją jedyną dłoń w dwie swoje. Pomimo grozy, jaka mnie poraziła, zdołałem zauważyć, że ma bardzo drobne ręce i delikatne kości. Zupełnie jak córka.

— Twoja siostra nie potrafiła prawidłowo zamieszkać w zwierzęciu, a może to śmierć ciała utrudniła jej zadanie. Tak czy inaczej, przejście omal nie zabiło zarówno jej, jak i psa. Hisafa zabiło. Przez bardzo długi czas wydawało się, że zwierzę również umrze. Ale przeżyło i teraz twoja siostra z każdą chwilą staje się silniejsza.

Przypomniałem sobie sny o zamazanej szarości, zwierzęcych woniach i czymś nieukształtowanym, ale niepokojącym. To była moja siostra, ucząca się w krainie Umarłych panować nad zwierzęciem.

— I wkrótce... — zdołałem wykrztusić — pies... ona... będzie gotowa.

Matka Cecylia nie odpowiedziała. Nie musiała tego robić. Leo opowiadał mi o szczuciu borsuka, po którym pozostała mu blizna. Kłamał, ale tym razem szczucie wydarzy się naprawdę. Katharine pragnęła zemsty. Wypuszczą mnie na arenę razem z psem, który był moją szaloną siostrą. Jednorękiego, bezbronnego, niezdolnego przejść na drugą stronę. Pies rzuci się na mnie i skończy się tak samo jak w przypadku Straika albo śpiewaka dzikusów w Almsbury. Nieraz już widziałem, jak te psy okaleczają i zabijają. Atakują gardło, oczy...

— Roger! — zawołała kobieta. — Wypij to!

Wino. Przełknąłem je jednym haustem. Nie uspokoiło mnie, ale jej gest współczucia to zrobił. Nagle przypomniałem sobie próby, jakie przeprowadziłem z królikiem, jeleniem, jaskółką... Jeśli zdołam odnaleźć jakieś żywe stworzenie w pobliżu areny, będę mógł przynajmniej uciec przed bólem.

— Czy miejsce, w którym umrę, znajduje się pod gołym niebem?

Z pewnością uważała, że to dziwne pytanie, bo jej twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej.

— Tak. Dlaczego pytasz?

Szczur, ptak na niebie, cokolwiek.

— Wolałbym umrzeć na wolnej przestrzeni.

Milczała, jak bowiem mogła to skomentować? Przez długą chwilę żadne z nas się nie odzywało. Potem słowa wypłynęły z niej nagłym strumieniem, jakby od dawna więziła je w sobie.

— Gdy królowa Caroline przysłała wiadomość, że chce wziąć na wychowanie dziecko z Galtryf obdarzone talentem do sztuk duszy, przekonałam ojca lorda Jagona, żeby wysłał jej Cecilię. Miała pięć lat. Mnie brak talentu, ale moja matka go posiadała. Skłamałam i

powiedziałam, że zauważyłam u Cecylia jego załączki. Dlatego zabrano ją na dwór królowej. Chciałam, żeby stąd uciekła. Bractwo właśnie się uformowało i połączyło swe siły z Wrzosowiskiem Duszorośli, pragnąc osiągnąć wieczne życie. Myślałam, że moja Cecilia będzie bardziej bezpieczna na dworze Reginokracji.

— Dlaczego sama tam nie pojechałaś?

— Nikt nie może opuścić Galtryf bez pozwolenia. Tak było nawet wtedy, gdy było tu mnóstwo uczniów, zarówno kobiet z sieci, jak i hisafów. Potem pojawiła się trucizna.

Trucizna.

— Fia mówiła...

Jej zielone oczy nabrały ostrzejszego wyrazu.

— Znałeś Fię?

— Tak.

— Ona również uciekła z Galtryf, ale nie wiem, jak tego dokonała. Pewnego dnia po prostu zniknęła. W jaki sposób przeżyła, jeśli nie dostawała codziennie odtrutki w posiłkach?

— Nie przeżyła — odpowiedziałem szczerze. Wspomnienie o Fii było niemal tak samo bolesne jak wspomnienie o Cecylia. — Umarła od trucizny.

— Ach. — Cicha sylaba pełna rozpacz. — Cecilia by żyła, gdyby nie zdradził jej Hemfree.

— Dlaczego Hemfree zaprowadził ją z powrotem na Wrzosowisko Duszorośli? — Zastanawiałem się nad tym od lat. — Matka Chilton mu zaufała!

— Tak, ale Bractwo przeciągnęło go na swoją stronę. Matka Chilton nie wiedziała, że Hemfree również pragnie żyć wiecznie. Dlatego przybył do Galtryf i oddał Cecylię Duszoroślanom.

— Zabiłbym go, gdybym mógł!

Popatrzyła na mnie i zobaczyłem swój obraz w jej oczach: bezsilny, jednoręki kaleka skazany na śmierć. Ale potem nasunęła mi się inna myśl.

— Czy tę truciznę podają tu w posiłkach?

— Tak, razem z odtrutką. Po dwóch tygodniach nikt nie może opuścić Galtryf i pozostać przy życiu.

Jej spojrzenie mówiło: „Ale ty nie będziesz miał tyle czasu”. Nie powiedziała jednak tego na głos.

— Charlotte, Rawnie... — zacząłem.

Skinęła ze smutkiem głową.

— Wkrótce nie będą już mogły stąd odejść.

— A co z moim ojcem?

— Jest tutaj. Ale hisafowie z jakiegoś powodu są odporni na truciznę. To... ojej!

Drzwi się otworzyły i strażnik wszedł do środka. Wskazał głową na matkę Cecylii. Kobieta wstała i podeszła do drzwi. Powiedziała jeszcze tylko jedno zdanie, oglądając się przez ramię, jakby było to dla niej bardzo ważne: — Mam na imię Joan.

— Wychodź już — warknął mężczyzna. Potem popatrzył na mnie z niezwykłym połączeniem wyzwania, gniewu i wstydu. — A ja Hemfree — rzekł i wyszedł.

Noc była długa. Nie mogłem spać. Raz po raz próbowałem przejść na drugą stronę, ale nie byłem w stanie przedostać się przez grób. Kobieta mysz powiedziała, że nie może wejść do Galtryf, chyba żeby zmieniła się w zwierzę, z którym dzieliła duszę, w obrębie jego murów. Coś tutaj blokowało sztuki duszy. Ruiny były ogromną, mroczną barierą, przez którą nie mogło się przedrzeć nic z zewnątrz.

Mylilem się jednak. Sny się przedostawały. Przed rankiem zapadłem w niespokojny sen. Wiedziałem skądś, że ktoś przysłał mi wizje, które

nadeszły, ale nie była to Stephanie ani pies, w którym z takim wysiłkiem zdołała zamieszkać Katharine. W tym śnie wszystko było zamazane. Nie widziałem wyraźnego krajobrazu, lecz bezsensowny wir kolorów. Nie było tam ludzkich postaci, a tylko niewyraźna sylwetka, która mogła być człowiekiem, elementem umeblowania albo barwnym gobelinem. Z tej zmiennej plamy płynęło wrażenie pragnienia, poszukiwania.

— Czego szukasz? — zapytałem we śnie.

Odpowiedź nie była sformułowana w klarownych słowach, lecz raczej w powtarzającej się melorecytacji, jakby papuga powtarzała niezrozumiałe dla siebie słowa.

— Dokąd... odchodzą?

— Kto? Kto?

Kolejne wiry kolorów, w jakiś sposób wyrażające niepokój. Potem zaczęły blaknąć.

Dokąd odchodzą? Te same słowa wypowiedziała do mnie Matka Chilton we śnie Stephanie. Wtedy były one wyraźne, ale zabrzmiały równie zagadkowo. Kto dokądś odchodził? I dlaczego ja — uwięziony i czekający na śmierć — miałbym coś na ten temat wiedzieć?

— Nie dbam o to, dokąd ktoś odchodzi! — zawołałem do wycofujących się kolorów. Zniknęły. Obudziłem się i zobaczyłem Rawnie, uczeponą krat okienka w drzwiach i zaglądnącą do środka.

— Na kogo krzyczysz, Roger?

— Co... dlaczego...

— Obudź się, ty leniwcu. Już prawie południe. Na kogo krzychałeś?

— To... to był sen.

— Aha — odparła bez zainteresowania. — No dobra. Ale teraz się obudź. Zaraz przyniosą ci posiłek. Joan już poszła po niego do kuchni.

— Rawnie — rzekłem, w pełni już obudzony. — Nie możesz nic tu jeść!
Wszystko jest zatrute!

Zastanowiła się nad tymi słowami, wciskając chudą, piegowatą buzię tak głęboko w kraty, jak tylko mogła.

— Wczoraj jadłam i nic mi się nie stało.

— Nie, na to potrzeba długiego czasu. Nie możecie z Charlotte nic jeść!

— Musimy jeść albo umrzemy — odparła rozsądnie. — Poza tym jadłyśmy to samo co wszyscy i nikt nie umarł.

— Ale...

— Nie ma tu nic innego do jedzenia — przerwała z niecierpliwością. Najwyraźniej nie uwierzyła mi, woląc ufać własnym spostrzeżeniom. — Ale posłuchaj, Roger, nie mam dużo czasu. Muszę ci powiedzieć parę rzeczy. Po pierwsze, tata tu jest. Nie znalazłam go, ale wyciągnęłam z Leo, gdzie go trzymają. Po drugie, uratuję cię.

Wlepiałem w nią spojrzenie.

— Nie bądź takim niedowiarkiem! Mogę się tu poruszać swobodnie i...

— Naprawdę? I Charlotte też?

— Nie. Tylko ja. Łażę wszędzie za Leo i udaję, że jest wspaniały, więc mnie nie zamykają. Mama jest zamknięta i nie lubi, kiedy się od niej oddalam, ale Leo mnie wypuszcza, żeby się z nią drażnić. Do tego...

— Rawnie, Leo jest niebezpieczny. Nie możesz...

— Siedź cicho i słuchaj! Nie mam dużo czasu. Znajdę nóż i przyniosę ci go, a potem... już tu idzie!

Obok Rawnie pojawił się Leo. Natychmiast zwróciła ku niemu twarz. To było tak, jakby kwiat zwrócił się ku słońcu. A przynajmniej jakaś mała roślinka. Aktor uśmiechnął się do dziewczynki, protekcyjnie akceptując jej podziw. Potem otworzył drzwi.

— Dzień dobry, Roger. Smacznie ci się spało?

Łypałem na niego z nienawiścią.

— Być może nie. Chyba jesteś trochę nieswój. Może śniadanie postawi cię na nogi.

Joan weszła do środka ze spuszczonym wzrokiem i postawiła tacę na stole.

— To by było wszystko, Joan — rzekł Leo. — Możesz odejść.

Dygnęła przed nim i wyszła, nie spoglądając na mnie. Za plecami aktora Rawnie zatoczyła oczyma, udając, że wymiotuje.

— Najedz się do syta — rzekł Leo. — Za kilka dni będę miał dla ciebie niespodziankę.

Spojrzałem na dziewczynkę, która wzruszyła ramionami.

— Chodź, dziecko. Będiesz mogła popatrzeć, jak czeszę konia.

— Och — wydyszała. — Czy będę mogła ci pomóc? Proszę, Leo. Pomagając ci, mogę się bardzo wiele nauczyć! Potrafisz robić wszystko!

— Jeśli będziesz bardzo grzeczna, to tak.

Klasnęła w dłonie, jak dziewczynka licząca sobie znacznie mniej niż jedenaście lat. Czy Leo, który sam był aktorem, nie potrafił przejrzeć jej gry? Najwyraźniej nie. Próżność wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Oddalił się dumnym krokiem. Rawnie deptała mu po piętach.

Czy naprawdę mogła znaleźć naszego ojca? Albo przynieść mi nóż? Nie uważałem, by wykraczało to poza jej możliwości. Nie rozumiałem jednak, w czym nóż mógłby mi pomóc. Nie powstrzymam nim kilkunastu mężczyzn ani nawet jednego. Miałem tylko jedną dłoń. Wątpiłem też, by pozwolono mi zabrać nóż na walkę z... nią. Z psem. Z Katharine.

Nie pozwól, by w twoim umyśle formowały się te obrazy.

Zaburczało mi w brzuchu. Spojrzałem na posiłek. Rawnie miała rację. Nie było tu nic innego do jedzenia. Zjadłem twarde, ciężki chleb, owczy ser oraz letnie jagody. Jeśli w czymś — albo we wszystkim — była trucizna,

nie poczułem jej smaku. Potem miałem ochotę położyć się na sienniku i pograć w rozpacz, ale zamiast tego kazałem sobie stać przy okienku i gapić się na wszystko, co działo się na zewnątrz. Obserwowałem życie w Galtryf ukryty w cieniach celi. Dawało mi to zajęcie i pozwalało nauczyć się czegoś.

Dziewczynka, zielonooka Duszoroślanka odziana w wystrzępione brokaty i podarte koronki, czerpała wodę ze studni.

Dwaj mężczyźni przecięli dziedziniec, pograżeni w rozmowie.

Dwaj inni dosiedli koni i wyjechali przez bramę. Towarzyszyła im sfora psów myśliwskich.

Szczur wybiegł z dziury w murze i schował się w innym otworze w innym murze.

Leo również przemknął przez dziedziniec. Tak to przynajmniej wyglądało. Jego zawadiacki krok ustąpił miejsca niechętnemu truchtowi. Ściągał go głos lorda Jagona, wydającego drwiące rozkazy.

Do środka wjechał wóz wyładowany beczkami i pakunkami. Kobiety go rozładowały i zniosły gdzieś wszystko przez daleko położone drzwi.

Późnym popołudniem coś się zmieniło. Na dziedzińcu zebrały się co najmniej trzy tuziny niespokojnych, podekscytowanych ludzi. Hisafowie mieli na sobie swe zwyczajowe wełniane tuniki, ale Duszoroślanie wdziali stroje jeszcze fantastyczniejsze niż przedtem — wystrzępione suknie z dworskimi trenami, nadgryzione przez mole kapelusze ze świeżymi piórami, brudne aksamitne kubraki ze wstawkami z jeszcze brudniejszego złotogłowiu. Gdy ją obserwowałem przez kraty swego więzienia, niezwykła parada wydawała mi się materialna i nierealna zarazem, jak marionetki na jarmarcznym przedstawieniu, które pojawiają się i znikają zgodnie z wolą kogoś niewidocznego. Leo, Jago, Tarf — żaden z nich nawet nie spojrzał w stronę drzwi mojej celi.

Na dziedziniec zajechał kolejny wóz. Komuś — tłum blokował mi widok — pomagano z niego zsiąść. Wszyscy dygali i kłaniali się nisko. Po dziedzińcu poniósł się szept wyrażający szacunek i bojaźń. Kto to był? Tajemnicza osoba zniknęła w drzwiach i cała odziana w krzykliwe, tandetne stroje grupa szybko się rozproszyła.

Słońce wisiało już nisko na niebie i na dziedziniec padał cień zachodniego muru, zimny i mroczny. Rawnie przemknęła przez ów cień, niepostrzeżenie jak małe zwierzątko.

— Masz, Roger, weź go. Muszę uciekać!

Wepchnęła coś przez otwór w kracie i umknęła.

Nóż. Mały, służący do krojenia chleba, za tępy, by nadawał się do mięsa. To już maleńki nożyk do golenia, który miałem w bucie, był groźniejszy. Gdybym tylko mógł odzyskać dwa noże Toma. Zabrali mi je zaraz po pojmaniu. Ponieważ ich nie miałem, schowałem nóż do drugiego buta, starając się powstrzymać śmiech albo łzy. Próbowała.

Wróciłem do siennika, położyłem się i pograżyłem w rozpacz.

Trzy następne dni wyglądały mniej więcej tak samo jak pierwszy. Patrzyłem przez okienko celi i nie widziałem nic ciekawego. Nigdy nie wyprowadzano mnie z wygodnego więzienia. Rawnie zjawiała się od czasu do czasu, ale nie przynosiła żadnych nowych informacji, poza faktem, że nowy przybysz był „naprawdę bardzo stary”. Ludzie przechodzili przez dziedziniec i odnosiłem wrażenie, że z każdym dniem stają się coraz bardziej pełni napięcia i podekscytowani. Zatrute posiłki przynosiły mi młode uczennice, nie Joan. Wszystkie dygały przede mną i te gesty stanowiły parodię tego, co i tak już było parodią dworu. Nie widziałem Hemfree, Jagona ani Charlotte.

O świcie czwartego dnia drzwi celi się otworzyły. Stał w nich Leo. W ręce trzymał świecę, którą ostentacyjnie zapalił.

— A teraz, Roger, zobaczysz niespodziankę, którą ci obiecałem.

Stała za nim jakaś kobieta, zbyt wysoka, by mogła być Rawnie. Świeca zapłonęła jasno.

Z moich płuc natychmiast odpłynęło całe powietrze, a kończyny opuściła siła. Szczeka mi opadła.

To była Maggie.

— Roger! — Podbiegła do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i zatkała jeden raz. Potem odsunęła się i zdzieliła mnie w ramię. — Znowu mnie zostawiłeś!

To było rok temu.

Nim zdążyłem zareagować, osunęła się na mnie.

— Nic nie mów o dziecku! — wyszeptała mi do ucha, tonem rozkazującym, lecz zarazem pełnym strachu. — Nic!

Spojrzałem nad jej ramieniem w oczy Leo. Jego uśmiech był złośliwy jak zawsze, ale nie dostrzegałem w nim zapowiedzi dalszych okrucieństw. Maggie drżała w moich objęciach, a jej brzuch był płaski. Jeśli sen, który przesłała mi Stephanie, mówił prawdę, Maggie niedawno urodziła dziecko. Gdzie był mój syn?

— Jest tu po to, by widzieć twoją śmierć, Roger — oznajmił Leo. — Myślałeś, że nie wiedzieliśmy, że uciekłeś przed laty z pałacu z pomocą kuchenną, prawda? I to był twój błąd. Bractwo wie wszystko.

Maggie potrząsnęła leciutko głową, opartą o moje ramię. Leo wsparł ręce na biodrach i popatrzył na nas z bezlitosnym uśmiechem.

— Cóż za wzruszające spotkanie. Chyba zostawię was na jakiś czas samych. To sprawi, że widok tego, co cię czeka, będzie dla niej jeszcze bardziej bolesny.

Zatrzasnął ostentacyjnie drzwi celi i zasunął rygiel, zabierając ze sobą świecę.

Pociągnąłem Maggie na siennik i położyłem się obok, ciasno oplatając ją ramieniem. Przysunąłem usta do jej ucha.

— Dobrze się czujesz?

— Tak.

— Czy on... czy on...

Poruszyła się. Jej umysł pozostał bystry jak zawsze.

— Skąd wiesz, że to chłopiec? — zapytała cicho.

— To zbyt skomplikowane do wyjaśnienia. Gdzie on jest?

— Przyszły po niego trzy niezwykle kobiety, nocą przed tym, nim zjawili się ci mężczyźni... Och, Roger, to były czarownice!

Kobiety z sieci. Ulga zalała mnie niczym blask słońca, równie ciepła jak on. Jeśli Matka Chilton miała mojego syna, był tak bezpieczny, jak to tylko możliwe na świecie w jego obecnej postaci.

— W porządku, Maggie. Przysłała je Matka Chilton i...

— Ona!

— Musisz mi zaufać w tej sprawie. Tylko one mogą go ochronić.

— Skąd wiesz?

Jak miałem jej to wszystko wytłumaczyć? Wydarzyło się bardzo wiele, a ona nie wiedziała o tym prawie nic: sztuki duszy, moja długa znajomość z Matką Chilton, wszystko, co powiedziały mi Fia, Alysse oraz kobieta mysz, Bractwo, wojna z Wrzosowiskiem Duszorośli, którą hisafowie mojego ojca przegrywali. Nie miała pojęcia o Tareku, o talencie księżniczki Stephanie, o nawiedzających mnie snach, o mojej matce. A przede wszystkim nigdy nie słyszała o Katharine, mojej szalonej siostrze, którą zamordowałem i która potem przeszła w jednego z wypaczonych psów hodowanych w krainie Umarłych. Nic nie wiedziała, a ja nie chciałem poświęcać wielu godzin, by jej o tym opowiedzieć. Pragnąłem przytulić ją i słuchać o naszym synu.

— Musisz mi zaufać w tej sprawie — powtórzyłem.

Ale gdyby mnie posłuchała, nie byłaby Maggie.

— Powiedz mi! Chodzi o moje dziecko!

— I o moje też. Och, Maggie, tak bardzo za tobą tęskniłem! Kocham cię, najdroższa. Byłem największym głupcem w Reginokracji, bo nie uświadomiłem sobie tego, nim to wszystko się wydarzyło. Gdybym mógł, poprosiłbym cię teraz, byś została moją żoną.

To ją powstrzymało. Wsparła się na łokciu i wpatrzyła we mnie. W panującej ciemności nie widziałem jej twarzy, ale wyobrażałem ją sobie tak długo, że wiedziałem, jak wyglądają jej szeroko otwarte oczy oraz jasne loki opadające na czoło. Z pewnością była brudna po podróży i wypełniona nadzieją pomieszaną z typowym dla niej zgryźliwym sceptycyzmem. Nigdy nie kochałem jej bardziej niż teraz, gdy było już niemal za późno.

— Lady Cecilia... — wydyszała.

— To było tylko chłopięce marzenie. Nawet gdyby nie umarła, pragnąłbym tylko ciebie.

Łzy spłynęły na moją twarz, nim się zorientowałem, że wypełniły jej oczy. Czulem na wargach ich słony smak. Ale Maggie pozostała Maggie.

— Nie mogłeś uświadomić sobie tego wszystkiego trzy lata temu, kiedy przyniosłoby to jakiś pożytek? — zapytała.

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Wydała z siebie cichy, stłumiony dźwięk, który mógł być płaczem, śmiechem albo sprzeciwem. Jeśli był tym ostatnim, nie trwał długo. Z pomieszczenia zniknęły ostatnie resztki światła. Wreszcie, w mroku swej ostatniej celi, kochałem się z Maggie tak, jak powinienem to zrobić dawno temu, całym sercem. Nie byłem już błaznem.

Dopiero później, gdy leżeliśmy obok siebie w ciemności, przypomniałem sobie o jej stanie.

— Maggie! — wyszeptałem gorączkowo. — Czy powinniśmy. .. Niedawno urodziłaś dziecko!

— Pragnęłam cię — odpowiedziała po prostu.

— Ale czy zrobiłem ci krzywdę? Czy coś... coś...

Niewiele wiedziałem o kobiecych narządach.

— Wszystko w porządku. Jestem silna, Roger, a poród był bardzo łatwy. Położna nie chciała uwierzyć, że to mój pierwszy.

Natychmiast zapragnąłem dowiedzieć się więcej o dziecku, którego nigdy nie zobaczę.

— Opowiedz mi o nim. Proszę. Wszystko.

— Jest piękny. Silny i zdrowy. Ma brązowe oczy po tobie, ale włosy jasne, chociaż na razie niezbyt gęste. Je dobrze... och, Roger, kobiety, które go zabrały, obiecały, że będzie miał mamkę, ale on potrzebuje matki!

Nie mogłem nic na to odpowiedzieć.

— Jak ma na imię?

Zawahała się.

— Wiem, że to dziwne, ale był u mnie jeden twój przyjaciel i źle go potraktowałam, chociaż starał się tylko mi pomóc... Zaprowadził mnie do ciebie, a przynajmniej próbował, ale byłam wtedy zła i nigdy nie podziękowałam mu za jego dobroć. Dlatego... nadałam dziecku imię Tom.

Natychmiast ujrzałem oczyma wyobraźni Toma Jenkinsa: zuchwałego, dobrego i nieustraszonego, z jego wysokim wzrostem, świeżymi, niebieskimi oczami i włosami jasnoblond. Był jedynym przyjacielem, jakiego w życiu miałem, i stałem się przyczyną jego śmierci. Zginął, pomagając mi, tak samo jak próbował pomóc Maggie. Poczułem ucisk w gardle.

— W jakich okolicznościach kobiety z sieci zabrały dziecko? — zdołałem jednak wykrztusić.

Tym razem minęła dłuższa chwila, nim Maggie mi odpowiedziała. Bolesne wspomnienia. Ale ona zawsze potrafiła stawić czoło prawdzie.

— To było nocą. Moja siostra dała nam, Tomowi i mnie, boks w stajni, żebyśmy mieli gdzie spać. Uważała, że jako panna z dzieckiem przynoszę jej hańbę. Ale w stajni było ciepło, a wdowa Lamphol, mieszkająca w sąsiedniej chacie, dała mi koc oraz trochę starych mebli, więc było nam całkiem wygodnie. Na długo przedtem Tom przyniósł mi trochę niemowlęcych ubranek. Nie wiem, skąd je wziął, ale nadal je miałam. Nocą usłyszałam rżenie i tupanie konia mojego szwagra. To mnie obudziło. Do stajni wpadał blask księżyca i zauważyłam trzy myszy skradające się do mojego siennika. I nagle wszystkie zamieniły się w kobiety. Zadrżała na to wspomnienie — Maggie, która nie bała się niczego! Mówiła jednak dalej.

— Jedna z nich była bardzo stara, ale dwie pozostałe to były tylko młode dziewczyny. Staruszka powiedziała, że jutro źli ludzie potrafiący wędrować przez krainę Umarłych zjawią się tu, żeby ukraść mi dziecko. Mówiła, że mały Tom ma niezwykły talent, wykraczający nawet poza to, co zademonstrował jego ojciec. Skąd wiedziały, kto jest jego ojcem, Roger?

— Nie mam pojęcia — odparłem, choć świetnie to wiedziałem. Powiedziała im Matka Chilton.

— W jaki sposób stały się... wiem, że najpierw widziałam je jako myszy... jak to...

— Tego naprawdę nie wiem.

— Myślę, że wiesz znacznie więcej, niż mi mówisz — skwitowała z cieniem swej dawnej zgryźliwości.

— Później — odparłem. — Opowiadaj o tych kobietach myszach.

— Powiedziały, że ci mężczyźni chcą ukraść Toma, ponieważ jest twoim dzieckiem, a moja jedyna szansa to oddać go im. Odmówiłam, wzięłam go na ręce i zaczęłam wołać pomocy. I nagle ogarnęła mnie ciemność. Nie wiem, jak to się stało. Gdy wróciłam do siebie, leżałam sama w stajni. Ale w ręce trzymałam to.

Sięgnęła pod suknię, nadal podwiniętą do kolan, i wcisnęła mi coś w dłoń. Po ciemku nie widziałem przedmiotu, ale dotykiem wyczułem, że to gwizdek z wierzbiny. Po jednej ze stron wystrugano proste litery. Położyłem gwizdek na piersi Maggie i przesunąłem po nich palcem jedynej dłoni: JEE.

— Mogły ukraść mu gwizdek — mówiła z desperacką nadzieją — ale komu by się chciało zabierać dziecku coś takiego? Nie ukradły go, prawda? Jee go przysłał, żebym wiedziała, że to dobre kobiety zabrały Toma?

— Tak, Maggie, tak. Jee jest z Matką Chilton i to ona przysłała kobiety, które zabrały Toma.

— To mnie raczej nie uspokaja! Nie chcę, żeby nasze dziecko zamieszało się w ich spiski!

— Lepsze ich spiski niż to nasze więzienie.

To ją na chwilę uspokoiło.

— Gdzie jest Jee? — zapytała wreszcie. — Opuścił Reginokrację razem z tobą i z Tomem Jenkinsem... A gdzie jest Tom?

— Tom nie żyje. Jee jest na dworze w Glorii, razem z księżniczką Stephanie.

Maggie wciągnęła powietrze.

— Z księżniczką? Jee? Jak to się stało?

— To bardzo długa historia.

— Opowiedz mi ją. Całą. Niczego nie pomijaj. Zaczynij od tych „kobiet z sieci”. Jak to możliwe, że zmieniają się w myszy?

— Maggie — odparłem, jak zwykle pragnąc się oprzeć jej wścibstwu. W tym oporze nie było jednak złości. Była Maggie. Zawsze będzie wszystko kwestionowała, a ja nigdy nie przestanę stawiać jej oporu. Między innymi dzięki temu nasz związek był tak wspaniały. — Nie potrafię ci wyjaśnić sztuk duszy. I własnego talentu również nie. Nie mogę ci nawet powiedzieć

tego, co wiem, bo mamy za mało czasu. Musisz mi opowiedzieć o naszym synu. Czy kiedykolwiek pojawiał się i znikał?

— Czy co robił?

— Pojawiał się i znikał. W jednej chwili był w twoich ramionach, a w następnej się dematerializował, by za moment wrócić. Czy to się zdarzało?

— Nie.

Jej ton sugerował, że postradałem zmysły. W przeciwieństwie do mnie nie widziała małego hisafa pojawiającego się i znikającego w krainie Umarłych.

— Czy kiedykolwiek zrobił coś niezwykłego?

— Nie! Jest... był... jest normalnym dzieckiem. Bardzo grzecznym. Prawie nigdy nie płakał.

Teraz to ona się rozpląkała z żalu za utraconym synem.

Byłem bezradny. Nie mogłem nic zrobić, by zwrócić jej nasze dziecko, uratować ją z Galtryf czy zapobiec straszliwej śmierci, czekającej mnie nazajutrz. Kobiety z sieci, które mogłyby nas ocalić, nie były w stanie się przebić przez barierę zepsucia, jaką było Galtryf. Mój ojciec był uwięziony, tak samo jak ja. Jego hisafowie przegrywali wojnę z Duszoroślą.

— Powiedz mi wszystko, co wiesz — zażądała przez łyżę Maggie. — Wszystko, od chwili, gdy mnie opuściłeś.

Zacząłem mówić, ale wbrew temu, co mi powiedziała, musiała nadal być osłabiona po porodzie, po porwaniu albo po jednym i drugim. Po chwili zasnęła, pomimo swych kierowanych ciekawością wysiłków. Przykryłem ją kocem i ułożyłem obok siebie. To mogła być ostatnia noc mojego życia, ale była również najśłodsza. Aż do rana obejmowałem jej ciepłe ciało i czułem na policzku żywy oddech.

Następnego dnia zabrali mnie na arenę.

— Wstawaj, Rogerze Kilbourne — rozkazał Leo, otwierając drzwi celi.
— Ty też, dziwko.

Maggie, która albo budziła się szybko, albo już nie spała, podniosła się bez słowa. To milczenie było tak do niej niepodobne, że przez mój strach natychmiast przebił się niepokój. Co zamierzała uczynić?

— Powiedziałem, wstawaj!

Podniosłem się ciężko i zerknąłem na dziewczynę. Obie ręce trzymała u boków, ukryte w fałdach sukni. Wspiąłem się na palce, poruszając stopami w butach. Noże zniknęły.

— Maggie! Nie!

Krzyk wyrwał mi się z gardła, nim zdążyłem się zastanowić.

Za późno. Rzuciła się na Leo i uderzyła w jego pierś dwoma żalonymi nożami — moim nożykiem do golenia oraz zabawką Rawnie. „Broń”, którą dostałem od dziewczynki, chybiła. Nożyk do golenia wbił się w gruby skórzany kubrak Leo na jakieś pół cała. Aktor spojrzał na niego z zaskoczoną miną, a potem ryknął śmiechem. Uniósł rękę i — choć była chuda — zdzielił Maggie w twarz tak mocno, że zatoczyła się w bok.

Natychmiast na niego skoczyłem. Walnąłem go kompletną ręką w brzuch, aż zgiął się wpół. Ale w tej samej chwili do celi wszedł John i odciągnął mnie od Leo, nim zdążyłem zadać kolejny cios. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i z łatwością przycisnął mnie do swej potężnej piersi.

— Masz dziś ochotę się bić, Roger?

— Zabierz... go! — wydyszał Leo z twarzą fioletową z bólu, wściekłości albo z obu tych powodów.

Maggie walnęła z tyłu Johna drewnianym krzesłem.

Odwrócił się ociężale niczym wielki kamień młyński na swej osi. Gdyby Maggie była wyższa i zdołała dosięgnąć jego głowy, mogłaby zbić go z nóg, ale krzesło roztrzaskało się na jego szerokich, potężnie umięśnionych barach, nie oszłamiając go nawet na chwilę. Jedną ręką nadal przyciskał mnie do piersi, drugą zaś złapał Maggie za gardło i ścisnął.

— Nie! Ona... musi... to... zobaczyć... — wycharczał Leo.

Minął dość długi czas, nim te słowa dotarły do Johna. To było tak, jakby nie poruszały się — albo on się nie poruszał — w powietrzu, lecz w jakiejś gęstszej substancji, melasie albo smole. Oczy wychodziły Maggie z orbit. Wierzgała bezsilnie nogami. Gdy John wreszcie zwolnił uścisk, osunęła się na podłogę jak lalka.

— Maggie! — zawołałem. — Leo, pozwól mi... błagam, na litość...

— Zabierz... go... — warknął aktor. Furia gorejąca w jego ciemnych oczach wydawała się czymś nieludzkim. Gdy jednak John wyciągał mnie z celi, zauważyłem, że Maggie przynajmniej jeszcze oddycha.

Dziedziniec był opustoszały. Nie widziałem służek czerpiących wodę ze studni, chłopaków oporzadzających konie ani Joan pędzącej z pochyloną głową i zgarbionymi plecami, by wykonać kolejne zadanie zlecone jej w ramach przymusowej służby. Po pobycie w mrocznej celi światło dnia mnie oślepiało, mimo że niebo było zachmurzone. Wiatr pachniał deszczem. Na niebie krążyła krzycząca głośno mewa. Wszystkie moje zmysły wyostrzyły się niemal do bólu, by zagłuszyć straszliwą świadomość nadchodzącej śmierci.

— Chodź — mruknął John, gdy osunąłem się na ziemię. Jeśli stanę się bezwładnym ciężarem, może zyskam na czasie, odwlekę nieuniknione, zdobędę kilka drogocennych chwil, by czuć zapach wiatru i słyszeć głos mewy... cokolwiek, jeszcze przez parę chwil...

John podniósł mnie, jakbym był dzieckiem, przerzucił sobie przez potężne ramię i ruszył naprzód.

Wyszliśmy przez bramę i okrążyliśmy narożnik zamku, zmierzając ku stercie gruzu, którą była reszta starożytnego miasta. John z wysiłkiem brnął przez trudny teren. Byłem przyciśnięty do jego barku i nic nie widziałem, ale słyszałem głosy wielu ludzi. Krzyki, szept, śmiech.

— Odetchnij po raz ostatni, chłopcze! — zawołał ktoś, powodując dalsze śmiechy.

Wreszcie dotarliśmy do znajdującej się w zagłębieniu areny, na której miałem umrzeć.

Kiedyś było to wielkie podziemne pomieszczenie, wartownia albo magazyn, ukryty pod nieistniejącymi już fortyfikacjami zamku. Teraz znajdowało się pod otwartym niebem, a jego kamienne ściany porosły chwasty oraz mech. Powierzchnię areny oczyszczono z gruzu, odsłaniając starożytną kamienną podłogę. Powyżej murów kilka złamanych kolumn wyciągało się ku niebu niczym palce uniesione w oskarżycielskim geście. John upuścił mnie na arenę. Runąłem ciężko na kamienie ku uciesze gapiów, Duszoroślan i członków Bractwa, zgromadzonych wzdłuż dwóch bliższych zamku boków. Miejscowi włożyli swe „wyjściowe” stroje: brudne jedwabie, aksamity i brokaty. Strzępki tkanin poruszały się na wietrze.

Wstałem i uniosłem wzrok, stawiając czoło ich szyderczym uśmiechom i zielonym oczom. Wszyscy rysowali się na tle szarego nieba z nienaturalną wyrazistością. Młoda dziewczyna, piękna jak ongiś Cecilia, jej różane usta wykrzywione w grymasie nienawiści. Leo, który wrócił już do siebie po moim ciosie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i żądzą krwi w ciemnych oczach. Hemfree, który sprzedał Cecilie w zamian za przyjęcie do Bractwa. Zapłakana Charlotte, przywiązana do jednej z kamiennych

kolumn. Czy Rawnie również tam była? Czy kazaliby jej na to patrzeć? Nie widziałem jej, Joan również nie. Leo lubił Rawnie na swój sposób, może więc darował jej...

Ujrzałem ojca.

Był przywiązany do innej kolumny, daleko od Charlotte. Poznałem go natychmiast: mężczyznę, którego widziałem tylko raz, w pałacowym lochu ubiegłej jesieni. Jego twarz była starszą wersją tej, którą widywałem, gdy tylko miałem zwierciadło. Patrzył na mnie z bólem tak wielkim, że przynajmniej w tej chwili nie mogłem go nienawidzić za to, że opuścił mnie tak wiele razy. Poruszał dziwnie ustami i natychmiast zrozumiałem, co robi. Gryzł się w język, rozpaczliwie próbując przejść na drugą stronę. Ale w Galtryf żaden z hisafów nie był w stanie tego dokonać, nawet mój ojciec. Mimo to, stojąc w zagłębieniu, ja również podjąłem ostatnią, desperacką próbę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba wiążąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Grób ciągnął się bez końca, ciemność, jaką było Galtryf, cięższa niż świat, nie pozwalała mi przejść dalej, naciskając na mnie, aż wreszcie musiałem się wycofać.

— Tamtędy nie uciekniesz, chłopcze! — zawołał ktoś pośród śmiechu i szyderczych okrzyków.

Głosy gapiów umilkły powoli, przechodząc w szept. Zbliżał się ktoś inny. Nie widziałem go, dopóki nie zbliżył się do skraju zagłębienia,

zauważyłem jednak, że tłum rozstępuje się przed nim. Mężczyźni się kłaniali, a kobiety dygały. Potem stanął nade mną — białobrody starzec odziany w długą, białą szatę. Jego twarz wydawała się znajoma. Gdybym tylko miał czas bliżej mu się przyjrzeć.

Nie miałem czasu. Przesuwałem spojrzeniem po arenie w poszukiwaniu jakiegoś stworzenia, które mógłbym wykorzystać. Szczur, gdzieś musi być szczur. Ludzie siedzieli już na krawędzi zagłębienia, podając sobie chleb i ser. Zrobili z mojej śmierci piknik. Tam, gdzie było jedzenie, z pewnością były też szczury. Gdybym znalazł szczura albo królika w chaszczach na górze... cokolwiek! Nawet ptaki zniknęły jednak z nieba.

Ludzie na górze krzyczeli i wyciągali ręce. Ich słowa spływały do mnie.

— Nadchodzi!

— ...rozerwie na strzępy...

— ...wreszcie gotowa...

— ...jego krew...

Tłum znowu się rozstał. Na skraju areny pojawił się Jago, trzymający na smyczy wielkiego szarego psa. Zielone oczy zwierzęcia spojrzały w moje i pies rzucił się naprzód, powstrzymywany tylko przez smycz. Szare wargi rozciągnęły się, odsłaniając białe kły, ostre jak miecze. Z głębi psiego gardła popłynął straszliwy dźwięk. Tłum się odsunął, a mną zawładnęło zimne odrętwienie.

Katharine. Wreszcie była gotowa.

— Musimy poczekać!

— Trzymaj ją, mój lordzie!

— Krew...

Jago ledwie był w stanie utrzymać psa. Dwaj jego ludzie skoczyli mu na pomoc i wspólnie odciągnęli zwierzę od skraju zagłębienia. Raz jeszcze gorączkowo poszukałem szczura, ptaka, czegokolwiek żywego, co

pozwołyby mi uciec przed bólem, choćbym nawet nie zdołał umknąć przed śmiercią. Oczyma duszy ujrzałem obraz własnego ciała, pogrążonego w nieczułym transie. Będzie leżało w krainie Umarłych, aż wreszcie hisaf z Bractwa zawlecze je do jednego z kręgów, by pochłonął je wir z Wrzosowiska Duszorośli.

Ojciec zawołał coś do mnie. Słyszałem rozpacz w jego głosie, ale nie rozumiałem słów. Zawołał raz jeszcze, ale go nie słuchałem. Odwróciłem się od straszliwego widoku Katharine w jej obecnej postaci i wypatrzyłem burka bagiennego.

Przyczał się w chaszczach po drugiej stronie zagłębienia, z dala od ruin zamku. Przywabiła go woń jedzenia. Nikt nie spoglądał w jego kierunku. Wszyscy patrzyli na mnie albo na psa. Widziałem burka bagiennego tylko kącikiem oka i zauważyłem go wyłącznie dzięki temu, że stałem pod nim. Przycupnął w cieniu gruzu, czekając na wnętrzności albo padlinę.

Ulga była tak silna, że zamglilo mi się przed oczyma. Nie będę musiał znosić rozszarpywania na strzępy przez psa, nie będę musiał słuchać, jak moje kości pękają, ani czuć, jak z mojego gardła tryska krew. Istniała droga ucieczki — nie przed śmiercią, której nikt z ludzi w końcu nie uniknie, ale przed bólem tej straszliwej postaci kresu.

Ale nie mogłem jeszcze z niej skorzystać. Jeśli moje ciało osunie się na ziemię zbyt wcześnie, Jago i Leo będą mogli po prostu zaczekać, aż do niego powrócę. Nie miałem pojęcia, jak długo będę w stanie zamieszkiwać w burku. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że wystarczająco długo.

Zabijanie nadal się nie zaczynało. Pies szarpał się na smyczy, mój ojciec usiłował się uwolnić z więzów. Charlotte płakała, tłum robił się niecierpliwy. Na co czekali?

Po kilku chwilach poznałem odpowiedź na to pytanie. Jakiś Duszoroślanin przywłókł Maggie do krawędzi dołu i przytrzymał tam.

Przez długą, straszliwą chwilę myślałem, że cisną ją na arenę razem ze mną. Ale nie, mężczyzna tylko ją tam trzymał, by ona również była zmuszona ujrzeć moją śmierć. Poruszała ustami, ale nie słyszałem słów. Być może nie była w stanie ich wykrztusić z gardła uszkodzonego przez duszącego ją Johna. Nie słyszałem słów i nie potrafiłem ich odczytać z jej warg, wyczułem je jednak. Kocham cię, Roger.

Jago pochylił się, by spuścić psa ze smyczy.

Zwierzę skoczyło naprzód. Przez długą chwilę, gdy pies zawisł w powietrzu podczas skoku na dół, odnosiłem wrażenie, że widzę w jego oczach Katharine. Potem opuściłem to miejsce, przechodząc w burka bagiennego.

Dezorientujące ruchy obcego ciała, ostre wonie w powietrzu strach strach strach uciekaj uciekaj uciekaj...

Przebywałem w burku i zarazem byłem nim. Z tyłu dobiegło mnie warczenie. Tu było całe stado. Byłem Rogerem i byłem burkiem bagiennym. Dlaczego nie mogłem przejąć całkowitej kontroli? Byłem Rogerem, Roger był członkiem mojego stada. Byłem burkiem bagiennym i zaatakował mnie pies...

Odrzuciłem głowę do tyłu i zawyłem, dając sygnał. Pognaliśmy ku zagłębieniu.

Ciało Rogera leżało bezwładnie na kamieniu, a szary pies krążył wokół niego, kłapiąc zębami. Zwęszyłem jego niepewność. Wykorzystując ją, rzuciliśmy się do ataku.

Krzyki, wrzaski, warczenie... niektórzy członkowie stada uciekli. Ale moje kły zacisnęły się już na gardle psa, a kły mojej partnerki na jego

brzuchu. Gryźliśmy i szarpaliśmy, smak krwi był dobry, był obrzydliwy, był dobry, byłem Rogerem, byłem burkiem bagiennym...

Zabrzmiął huk strzelby. Moja partnerka runęła na kamienie. Wskoczyłem z zagłębienia, nadal ściskając w zębach kawał mięsa. Kolejne strzały. Nie złapią mnie, ale... psy gończe z Galtryf pędziły już za mną z ujadaniem. Przeskakiwały nad pozostałościami starożytnych murów oraz stertami gruzu, zbliżając się z każdą chwilą. Budowa pozwalała im biec szybciej ode mnie. Nagle umysł burka bagiennego zniknął i byłem Rogerem w ciele zwierzęcia. A śmierć, której przed chwilą umknąłem, znowu mnie ścigała...

Nie.

Pokonałem tak długą drogę, dokonałem tego niewyobrażalnego czynu.

Nie.

Najszybszy z psów był już tylko kilka jardów za mną. Wtem jego szczęki zacisnęły się na moim zadzie. Zalała mnie fala bólu. Pozostał mi tylko jeden wybór. Wykorzystując ból, rozkazałem ciału burka bagiennego oraz ludzkiemu umysłowi przejść na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Leżałem na pustej równinie krainy Umarłych i dyszałem ciężko, kuląc ogon między nogami.

Minęły godziny, nim byłem w stanie się podnieść.

To nie ciało burka bagiennego kazało mi trwoźnie przycupnąć na ziemi. Ukąszenie psa nie wyrządziło mi zbyt wielkiej krzywdy. Winny był umysł Rogera. Mój umysł. Istnieją granice tego, ile niezwykłości można znieść jednocześnie. W ciągu kilku ostatnich lat moje życie było naprawdę dziwne, ale nic nie mogło się równać z tym, co przeżywałem teraz. Absolutnie nic.

Zamieszkałem w burku bagiennym.

Po raz drugi zabiłem przyrodną siostrę.

Nie mogłem wrócić do swego ciała. Z pewnością nadal żyło — inaczej i ja nie mógłbym żyć, w żadnej postaci — ale leżało bezwładnie w Galtryf, gdzie nie można było przejść w żadną ze stron.

Maggie również była tam uwięziona, bez naszego syna.

Zamieszkałem w burku bagiennym...

Czy Jago, Leo i pozostali rozumieją, co się stało? Nie sądziłem. Nie wiedzieli — nikt nie wiedział — że sztuki kobiet z sieci oraz hisafów nie są od siebie aż tak odległe, jak uważały obie grupy w swej arogancji. Nie wierzyłem, by Jago się domyślił, że przeszedłem w burka bagiennego. Zapewne dojdą do wniosku, że znalazłem jakiś niepojęty sposób na to, by sforsować barierę, którą był Zamek Galtryf, i przeszedłem na drugą stronę we własnej osobie, jako Roger. Nie cieleśnie, lecz tylko jako esencja, jak dawniej robili hisafowie. Być może spróbują dokonać tego samego. Być może zachowają moje ciało przy życiu w nadziei, że poznają jakieś wskazówki, które pozwolą im odgadnąć, co i w jaki sposób uczyniłem. Miałem taką nadzieję.

Ale jeśli jakiś hisaf wędrujący po krainie Umarłych choć przelotnie zauważy srebrnogrzbietego burka bagiennego, Bractwo może się domyślić prawdy. Nie mogłem zostać tutaj, tak blisko Galtryf. W gruncie rzeczy, w ogóle nie mogłem zostać w krainie Umarłych. Były tu szare psy, mogące

mnie wywęszyć. Musiałem wrócić do krainy żywych. Poza tym burczało mi w brzuchu z głodu.

Ale najpierw musiałem zrobić coś jeszcze.

Uniosłem łeb, stanąłem prosto na czterech łapach i powęszyłem. Nie czułem woni człowieka. Skąd o tym wiedziałem? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem i już. Zmysły burka bagiennego były dla mnie w pełni dostępne, podobnie jak jego kończyny, szczęki oraz uszy wychwytyjące każdy dźwięk. Ale umysł zwierzęcia zniknął bez śladu. Nie wyczuwałem go i cieszyłem się z tego. Jeśli miałem przeżyć w tej niezwykłej sytuacji, musiałem skupić myśli. Nic nie mogło odwracać mojej uwagi.

Ciało zwierzęcia swobodnie poruszało się na mój rozkaz. Wyteżając wszystkie zmysły, potruchtałem z powrotem w stronę Galtryf, ośrodka wszelkiej niezwykłości.

Po tej stronie grobu nie było zamku. Zamiast ogromnej sterty gruzu majaczyła tam... ciemność. Była gęstsza od mgły i sprawiała wrażenie litej, lecz mimo to poruszała się lekko, gdy obserwowałem ją z odległości, która była bezpieczna. A przynajmniej miałem taką nadzieję. Pośród czerni pojawiały się i znikwały srebrne iskierki. Zjeżyła mi się sierść. Ten widok bardzo mocno przypominał mi oczy królowej Caroline: czarne ze srebrnymi iskierkami, jak kamyki przemieszczające się w głębi ciemnych wód.

Nie wydawało mi się już takie dziwaczne, że hisafowie nie są w stanie przechodzić z Zamku Galtryf do tej mrocznej struktury. Ciemność sprawiała wrażenie nieprzeniknionej. Lita, ale ruchoma, żywa, ale martwa, nie należała do grobu, ale nie była też elementem krajobrazu... nie wiedziałem, czym jest. I nie chciałem tego wiedzieć. Pragnąłem tylko od niej uciec.

Ciało burka bagiennego biegało tak swobodnie! Pokonałem kilka mil w przypadkowo wybranym kierunku, aż wreszcie pusta równina ustąpiła

miejsca zagajnikowi karłowatych drzew. Położyłem się, dysząc, w ich cieniu. Głód się nasilał, ale w krainie Umarłych nie było nic do jedzenia, ani dla ludzi, ani dla zwierząt.

Przeszedłem na drugą stronę.

Ten sam las, choć nie to samo drzewo. Leżałem pod karłowatą sosną, wygiętą przez wiatr od morza, które wydawało się tu bliższe. Linia brzegowa z pewnością się zmieniła. Moje uszy burka bagiennego postawiły się na dźwięk odległych fal. Słona bryza deła w ostrych porywach. Od morza nadciągał sztorm.

Na wrzosowisku pojawił się królik. Po chwili przystanął, by poskubać zielone kielki.

Nic we mnie nie czuło pragnienia, by go ścigać. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, co będzie teraz dla mnie znaczyło jedzenie. Ja, Roger, nie zachowałem nic z pożądań burka bagiennego ani z jego smaku. Jeśli jednak nie chcę umrzeć z głodu, muszę polować na zwierzynę, zabijając ją zębami i pożerać na surowo...

Nie mogłem się na to zdobyć. Nie byłem burkiem bagiennym. Byłem człowiekiem! Nie będę polował jak zwierzę, czułem, jak paszczę wypełnia mi krew bezbronno stworzenia, rozdzierał go na strzępy.

Ale tak właśnie postąpiłem z Katharine.

Coś się tu nie zgadzało. Pamiętałem jej zabójstwo, ale odnosiłem wrażenie, że dokonał go ktoś inny. Rzeczywiście tak było. W owej chwili na arenie nie byłem Rogerem, lecz burkiem bagiennym. Natomiast wtedy, gdy zastrzelono samicę, byłem człowiekiem i dlatego nie czułem żałoby. Najwyraźniej byłem w stanie przechodzić między tymi stanami.

W brzuchu znowu ścisnęło mnie z głodu.

Wyszedłem ostrożnie spod sosny. Królik nadal skubał pędy. Nie zwęszył mnie, bo wiatr wiał z przeciwnej strony. Czułem, że umysł burka

bagiennego jest blisko, ale nie potrafiłem go znaleźć. Nakazałem więc własnemu umysłowi się wycofać, wykorzystując obraz studni, ten sam, który mnie tu zaprowadził. Nie mogłem jednak wcisnąć się całkowicie do studni, bo wróciłbym do swego ciała, które zostało w Galtryf, pogrążone w nieczułym transie. Wyobraź sobie, że Roger zagląda do studni, myśli o powrocie do niej, o zwróceniu mózgu zwierzęciu, które...

Znalazłem się w krainie Umarłych.

Potrzebowałem kilku prób, by zrobić to jak trzeba. Wiatr się wzmagał, znad morza napływały ciemne chmury. W końcu nauczyłem się panować nad przemieszczaniem się między krainą żywych, krainą Umarłych oraz umysłem zwierzęcia. Królik dawno już umknął, ale zauważyłem kuropatwę, szukającą schronienia w swym gnieździe wśród paproci. Przesunąłem swój umysł — tak to dla mnie wyglądało — na tył mózgu burka bagiennego.

Zwierzę rzuciło się w pogoń i złapało ptaka. Potem rozszarpało go z łapczywą satysfakcją i pożarło. Ja również przy tym byłem, ale trzymałem się na wielki dystans, jakbym obserwował zabijające zdobycz stworzenie, niemające nic wspólnego ze mną. Gdy burek bagienny się najadł, ponownie przejąłem nad nim kontrolę.

To zaiste było niezwykle. Zakrwawione pióra unoszące się nad wrzosowiskiem przyprawiły mnie teraz o mdłości. Nie miałem jednak czasu na wybrzydzenie. Zaczęła się burza. Krople deszczu zmieszane z gradem uderzały we mnie mocno. Pobiegłem z powrotem w stronę lasu, lecz nagle usłyszałem inny dźwięk i zamarłem w bezruchu.

Ktoś krzyknął.

Z głębi mojego gardła wyrwał się mimowolny warkot. Być może wcale nie panowałem nad burkiem tak pewnie, jak mi się zdawało! Ja, Roger, uświadomiłem sobie jednak, że to nie był krzyk myśliwego ani w ogóle

mężczyzny. Moje uszy poruszyły się, próbując namierzyć kobietę przez wycie wichury oraz łoskot fal uderzających o klify na dole.

Ale to węch pozwolił mi w końcu ją odnaleźć, nie słuch.

I nie była kobietą. Leżała na wrzosowisku, przemoczona do suchej nitki, zwinięta w kłębek i zawodząca głośno. Gdy nad nią przystanąłem, przeraziła się chyba jeszcze bardziej. To była Rawnie.

Niezależnie od przerażenia, nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała atakować. Na mój widok wyciągnęła nóż do krojenia mięsa, zdecydowanie większy od tego, który przyniosła mi do celi, i wysunęła go przed siebie. Burek bagienny jest znacznie szybszy od dziecka. Uchyliłem się tanecznym ruchem.

— Zabiję cię, zabiję! — wrzeszczała, przekrzykując wiatr. — Idź sobie.

Czułem zapach chleba, sera i strachu. Jak burek bagienny może wytłumaczyć dziecku, że nie jest burkiem bagiennym? Rawnie nie władała sztukami duszy, które mogłyby ją doprowadzić do prawdy. W końcu przez miesiące nosiła ze sobą kobietę z sieci pod postacią myszy i nic nie zauważyła. Odsunęła się ode mnie, wymachując niepewnie nożem, przemoczona i wykrzykująca przekleństwa. Zasypywał ją grad. Kiedy spróbowała wstać, zemdląła i padła na ziemię.

Ostrożnie ująłem w zęby górny skraj jej sukni i pociągnąłem. Materiał był mocny i gęsto utkany. Rawnie miała w bagażu dwie suknie, a Charlotte uszyła je tak, by wiele wytrzymały. Pociągnąłem dziewczynkę kawałek po wrzosowisku, aż do zagajnika karłowatych drzew, choć częściowo osłaniających przed opadem. Potem wróciłem po jej mały pakunek. Omdlenie gładko przeszło w głęboki sen. Położyłem się na dziewczynce, by ogrzać ją swym zwierzęcym ciepłem. Nie mogłem zrobić nic więcej. Nawet jeśli miała w bagażu materiały potrzebne do rozpalenia ogniska, nie potrafiłem zrobić z nich użytku.

Po krótkiej chwili obudziła się, krzyknęła i spróbowała mnie zepchnąć. Miałem czas, by przygotować plan. Zeskoczyłem z Rawnie, podniosłem

plecak i położyłem go u jej stóp. Nie przestawała krzyczeć, rozpaczliwie szukając noża. Minęła chyba minuta, nim sobie uświadomiła, że burki bagienne z reguły nie przynoszą bagaży wrzeszczącym dzieciakom.

Przestała krzyczeć. Szalona ulewa również się uspokoiła. Pod ociekającymi wodą sosnami zapadła nagła cisza. Spoglądaliśmy na siebie nawzajem. Dotknąłem jeden raz przednią łapą ziemi i znieruchomiałem. Dwa razy i znieruchomiałem. Trzy razy i znieruchomiałem.

Oczy Rawnie zrobiły się ogromne. Zadrżała, ze strachu albo z zimna. Nie była jednak w stanie trzymać języka za zębami zbyt długo.

— Czy jesteś czarownicą? — wyszeptła.

Poruszyłem głową z boku na bok: *Nie*. W ciele burka bagiennego ten ruch wydawał się sztywny i osobliwy.

— Czy jesteś hisafem w ciele psa?

Nie.

— No to kim jesteś, chrzanić to?

Nie mogłem jej tego powiedzieć, a przynajmniej żaden sposób nie przychodził mi do głowy. Płodny umysł dziewczynki nie dawał za wygraną.

— Gdzie jest mój nóż?

Potruchtałem z powrotem na wrzosowisko, znalazłem nóż i wziąłem go ostrożnie w pysk za rękojeść. Gdy upuściłem go u stóp Rawnie, złapała mnie za kark i zajrzała mi głęboko w oczy.

— Jesteś człowiekiem, prawda? Słyszałam kiedyś, jak mama rozmawiała z tatą, kiedy myśleli, że śpię na górze. Mówili, że niektóre czarownice potrafią się zmieniać. Nie uwierzyłam im. Tata lubi ze mnie żartować, opowiadać mi nieprawdę, żeby się przekonać, czy się zorientuję, ale... jesteś czarownicą?

Nie.

— Nie okłamujesz mnie?

Nie.

— Lepiej, żebym się nie przekonała, że to robisz!

Nie. Szyja mi się męczyła od tego kręcenia głową.

— Ale tam w środku jest człowiek, tak? Naprawdę jesteś człowiekiem?

Tak!

— Czy jesteś tatą?

Nie.

— Leo? — Skrzywiła się. — Jeśli nim jesteś, pokroję cię na drobne kawałeczki!

Nie.

— Lord Jago?

Nie.

— Wiem, że nie jesteś Joan. Ona nie może opuścić Galtryf, bo by umarła. Tak mi mówiła. Jest tu zbyt długo, od wielu lat, a wtedy nie można już odejść. Ale mnie uwolniła, żeby „nie pozwolić złu zabrać kolejnego dziecka”. Tak powiedziała. Nie wiem, co to miało znaczyć. A więc nie jesteś Joan?

Nie. Jeśli może być coś dziwniejszego niż gra w dwadzieścia pytań z drżącym z zimna dzieckiem, kiedy jest się uwięzionym w ciele burka bagiennego, mam nadzieję, że nie spotka mnie to ani w tym życiu, ani w następnym.

Rawnie zmarszczyła brwi.

— Muszę rozpalić ognisko. Jest mi okropnie zimno. Cholera, nigdzie nie ma suchego drewna... szukaj, piesku! Znajdź drewno na opał!

Nie byłem psem. Wypełniła mnie wściekłość na myśl, że moja przyrodnia siostra, którą przed chwilą uratowałem przed zamarznięciem, traktuje mnie, jakbym nim był. Odsłoniłem kły i z mojego gardła wyrwał

się warkot. Potem dopadły mnie wyrzuty sumienia. Położyłem się na ziemi i zacząłem skomleć.

— Roger? — zapytała dziewczynka.

Najwyraźniej istnieje więcej niż jeden sposób na to, by zdradzić swą tożsamość.

Wieczorem rozbiliśmy obóz. Zaprowadziłem Rawnie do schronienia w płytkiej szczelinie w skalnej wyniosłości nieopodal strumienia. Dzięki suchym gałązkom janowca zdołała z wysiłkiem rozpalić ognisko. Ani na moment nie przestawała gadać.

— Tak mi zimno. Jak daleko jeszcze, Roger? To takie dziwne mówić do ciebie „Roger”, kiedy jesteś burkiem bagiennym. Gdybyś tylko mógł mi opowiedzieć, jak się znalazłeś w tym ciele, myślisz, że mama za mną tęskni? Myślałam, że tata nas uratuje, ale nigdzie go nie widziałam, więc pewnie nie było go w Galtryf, chociaż Leo powiedział, że tam jest, ale on bardzo często kłamał, tak mi zimno! Och, suche gałązki, no, może niezupełnie suche, nie mogłeś spisać się lepiej? Zrobiły się wilgotne od twojej śliny. Pewnie trudno jest coś nosić, jeśli nie ma się nic lepszego od pyska. Roger, jak to się stało, że jesteś burkiem bagiennym? Żli hisafowie potrafią tylko zostawać psami i to wyłącznie po drugiej stronie. Nie powinnam tego wiedzieć. Zawracałam tacie głowę, żeby mnie zabrał na drugą stronę, ale on nie chciał tego zrobić, nie miałam nawet o niej wiedzieć, ale oczywiście wiem, a zresztą Straik raz mnie tam zabrał. Traktują mnie jak małe dziecko, a mam już prawie dwanaście lat, cholera, jak mi zimno! Och, podpałka już się zajęła, może powinieneś przynieść więcej gałązek, tylko tym razem tak się nie śliń, dobra? Ogień jest taki miły, boisz się go teraz, gdy zostałeś burkiem bagiennym? Nie, pewnie nie, bo leżysz tuż przy ognisku. Roger, na zawsze już nim zostaniesz, czy co?

Leżałem obok ogniska, próbując siłą woli zmusić Rawnie do zamknięcia się. Nic z tego.

— Jak już wyschnie mi ubranie, wypełnię bukłak wodą ze strumienia. Joan dała mi go razem z nożem i tymi innymi rzeczami, płakała, kiedy pomagała mi uciec z Galtryf. Powiedziałam, że nigdzie nie pójdę bez mamy, ale Joan odparła, że mama chciałaby, bym uciekła, i pewnie miała rację. Trzy razy powtórzyła, że nie pozwoli złu zabrać kolejnego dziecka. Chciałabym wiedzieć, co miała na myśli, ale raz nazwała mnie „Cecilią”. Roger, czy wiesz, kim była Cecilia?

Po raz pierwszy ucieszyłem się, że nie mogę mówić.

— Pewnie nie wiesz, bo w końcu nikt z nas nie spotkał przedtem Joan, a ty cały czas siedziałeś w celi. Przyprawdzili ci żonę, prawda? A może to tylko twoja kochanka? Nie jest taka ładna jak mama. Widziałam, jak jechała wozem, chociaż wtedy Leo zamknął mnie już na górze, w tym śmierdzącym pokoiku o kamiennych ścianach. Stamtąd właśnie wypuściła mnie Joan, kiedy wszyscy byli zajęci czymś innym. Myślę, że coś się działo, ale Leo powiedział, że nie powinnam tego oglądać. Gdybyś tylko mógł mi opowiedzieć, co mnie minęło! Joan mówiła, że moja najlepsza szansa to iść przed siebie przez wrzosowisko i ukrywać się, gdy tylko kogoś zobaczę, aż wreszcie dotrę na Ziemię Niczyją, gdzie będę mogła znaleźć kogoś, kto pomoże mi uratować mamę. Ale coś w tym się nie zgadzało, Roger. Wiem, że nie można po prostu wejść do domu kogoś nieznajomego i zorganizować ratunku. Joan powiedziała to tylko po to, żebym się zgodziła opuścić mamę i uratować życie, bo Jago nie zamierzał pozwolić nam żyć długo. Miał minę zapowiadającą śmierć. Nie jego własną śmierć, tylko minę kogoś, kto lubi odbierać życie innym. Dlatego uciekłam i zostawiłam mamę, i... och, Roger, czy nie powinnam była tego robić? Czy ją porzuciłam? Czy jestem tchórzem?

Rozpłakała się.

Nie przyszło mi do głowy, że to rozpieszczone, gadatliwe dziecko może mieć wątpliwości. Jak większość ludzi na świecie nie doceniałem Rawnie. A teraz mogłem jedynie położyć głowę na jej kolanach. Ścisnęła moje brudne futro i łkała, aż wreszcie zabrakło jej łez. Wtedy znowu zrobiła się dziarska i praktyczna. Nagle zaczęła mi przypominać Maggie.

— No cóż, płacz w niczym mi nie pomoże, tak? Musimy ruszać w drogę. Chleb, który dała mi Joan, przemókł i się zmarnował, ale ser nadal jest dobry. Chcesz trochę?

Czy burki bagienne jedzą ser?

Nie. Kiedy zaczęła gryźć wielki kawał żółtego sera, oddaliłem się od niej i wróciłem na wrzosowisko. Tam ustąpiłem miejsca umysłowi burka, wytropiłem jelonka, zabiłem go i naźarłem się tak bardzo, że mój brzuch zrobił się napięty jak bęben. Nie czułem na wietrze woni człowieka. Kiedy wróciłem, Rawnie spała przy ognisku. Położyłem się obok niej. Mnie również chciało się spać ze zmęczenia i sytości, lecz jednocześnie wypełniał mnie niepokój o Maggie. Co z nią zrobi Jago, skoro mnie już tam nie było?

W końcu zasnąłem i wrócił sen, który opuścił mnie w Galtryf. Ta sama plama zamazanych kolorów, *ale nie tak bardzo zamazanych jak przedtem. Stephanie również wydawała się bardziej wyrazista, jej chuda buzia była blada i zapadnięta, choć suknia pozostawała ruchomym kleksem fioletu.*

— Roger — odezwała się księżniczka. — Dokąd one od chodzą?

— Kto odchodzi? — chciałem zapytać, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie słów.

— Roger? — powtórzyła Stephanie ze zdziwioną miną.

Nagle znalazł się tam ktoś inny, ktoś bardziej dotykalny, źródło pocieszenia i żywności —jak to było możliwe? Matka Chilton nigdy mnie nie karmiła, ani razu. Jak mogłaby mnie karmić, byłem tylko burkiem bagiennym — to nie była Matka Chilton, ale ktoś inny i...

Obudziłem się. Leżałem obok Rawnie, żeby ją ogrzać. Na niebie pojawiły się gwiazdy, widoczne w niewielkiej luce między drzewami. Świt jeszcze nie nadszedł. Nie wiedziałem, co znaczył mój sen. Kto dokądś odchodził? Niemniej spełnił on pewne zadanie. Zdecydował za mnie, dokąd mam iść. Do Matki Chilton w pałacu w Glorii. Była jedyną osobą zdolną zrozumieć, kim jestem. Znała całą historię mojego życia. Wiedziała, gdzie jest mój syn. Tylko ona mogła mi pomóc uratować Maggie.

Rawnie spała. Usiadłem, podrapałem się tylną nogą i powęszyłem.

„Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?” Ale zapłaciłbym każdą cenę, by uratować Maggie z Galtryf. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, trzymano ją nad areną, by musiała oglądać moją śmierć. Jej słodkie ciało pokrywały siniaki pozostałe po próbie uratowania mnie. Maggie, moja ukochana, moje życie. Byłem gotowy zrobić wszystko, podjąć każde ryzyko. Galtryf było fortecą, ale leżało w gruzach. Bractwo było armią, ale rozproszoną. A w twierdzy żaden hisaf nie mógł zrobić użytku ze swego daru. Członkowie Bractwa byli tam tylko mężczyznami. W związku z tym Galtryf mogłaby zdobyć stosunkowo nieliczna armia.

Gdzie mogłem odnaleźć stosunkowo nieliczną armię?

Istniało tylko jedno możliwe miejsce: Gloria. Matka Chilton przebywała w stolicy, ucząc księżniczkę Stephanie. Towarzyszyła jej widmowa sieć kobiet praktykujących sztuki duszy. Zawsze mi pomagała. Musi mi pomóc i tym razem.

Musi.

— Nie — sprzeciwiła się Rawnie.

Obudziła się zmarznięta i zła. Zjadła zapasy otrzymane od Joan, nic mi nie proponując. Miałem wrażenie, że jest na granicy łez. Patrzyłem na nią bezradnie. Nawet gdy byłem człowiekiem, nie umiałem sobie poradzić z Rawnie. Była dzieckiem i miała potrzeby dziecka — łóżko, posiłek, ciepło, bezpieczeństwo. A ja byłem burkiem bagiennym.

— Nigdzie nie pójde, jeśli najpierw mi nie powiesz, co to za miejsce! Muszę uratować mamę. Nie mogę jej tak po prostu zostawić z Leo i lordem Jagonem!

Szczeknąłem na nią.

— Och, przestań robić ten głupi hałas! Nie rozumiem cię, Roger. Dokąd chcesz iść? Narysuj mi to na ziemi. Tyle przynajmniej potrafisz, prawda?

Wyciągnęła z resztek ogniska na wpół spalony patyk i oczyściła nim z liści kawałek ziemi. Wyciągnąłem niepewnie łapę, pochyliłem ją tak, że tylko jeden mój pazur dotykał gruntu i narysowałem... co? Krzywą wieżę z trójkątną flagą na szczycie.

— Łódź? Chcesz, żebyśmy znaleźli łódź? Kiedy jesteś taki?

Wydrapałem krzywy okrąg wokół wieży: mur otaczający wyspę, jaką była Gloria.

— Łódź na małym stawie? A co to by nam dało?

Z mojego porośniętego futrem gardła wyrwało się warknięcie frustracji.

— Nie warcz na mnie, to nie moja wina, że jesteś głupim burkiem bagiennym! Spróbuj jeszcze raz. Wyraźniej!

Narysowałem pokracczną koronę. Rawnie wstrzymała oddech.

— Korona! Chcesz iść na dwór królowej! Ale po co?

Narysowanie armii stanowczo wykraczało poza moje możliwości.

— Nie, zaczekaj! Mogę to zgadnąć! Byłeś tam kiedyś, prawda? Mama mi opowiadała, chociaż nie chciała powiedzieć, co tam robiłeś. Dowiedziałam się tylko, że straciłeś rękę w walce. Tak ci zazdrościłam, Roger. Ja nigdy nigdzie nie byłam! Na pewno byłeś tam żołnierzem, tak? I znasz innych żołnierzy, którzy pomogą nam uratować mamę!

W porządku, to ma sens. Jest tylko jeden problem... Nie mam nic, co mogłabym na siebie włożyć na dworze królowej. Ta suknia się nie nadaje.

Gapiałem się na nią z niedowierzaniem, gdy dotykała swej prostej, brudnej sukni. Nie miała co na siebie włożyć? Była dzieckiem i do tego dziewczynką, a jedynymi dziewczynkami, które znałem, były Stephanie — zawsze ubierana jak księżniczka przez innych — oraz Katharine, która była szalona. O ile można było powiedzieć, że „znałem” Katharine. Nie miała co na siebie włożyć?

— No cóż, to nieważne — oznajmiła wreszcie Rawnie, wstając. — Idę o zakład, że niektórzy z twoich przyjaciół żołnierzy mają żony, które znajdą dla mnie jakieś porządne ubranie. Ale, no wiesz, musimy się śpieszyć. To zapewne dość długa droga.

Co najmniej dwa tygodnie wędrówki, dla dziecka może nawet trzy. W jednej chwili straciłem nadzieję. Mój plan — jeśli w ogóle zasługiwał na tę nazwę — był głupi. Nim dotrzemy do Glorii, moje ciało w Galtryf zdąży umrzeć z braku żywności i wody, a wtedy mnie również czeka śmierć. Nigdy dotąd nie porzucałem swego pogrążonego w transie ciała na dłużej niż kilka dni. Być może jako burek bagienny mógłbym dobiec w takim czasie do Glorii, ale Rawnie nie miała szans.

Po raz kolejny jej nie doceniłem.

— Chodź, Roger — rzekła, podnosząc swój mały plecak. — Musimy znaleźć jakieś gospodarstwo albo wioskę, gdzie będę mogła ukraść konia.

Znalazła to, czego szukała, wczesnym popołudniem, podążając za dymem z komina, unoszącym się wysoko nad wrzosowiskiem. Szliśmy na północny zachód, oddalając się od Galtryf i zmierzając ku Ziemi Niczyjej. Nie widziałem nikogo. Nikt nas nie ścigał. Bractwo zapewne szukało mnie w krainie Umarłych, a jeśli Leo wiedział już, że Rawnie zniknęła, a nie po prostu ukrywa się gdzieś w zamku, zapewne sądził, że zginęła na wrzosowisku, padając ofiarą tego samego szalonego stada wściekłych burków bagiennych, które zabiło Katharine.

— Zostań tutaj — poleciła mi Rawnie, gdy schowaliśmy się za niską skałą. — Jeśli ten koń cię zwęszy, na pewno zarzy, spłoszy się albo niebiosa wiedzą, co robi. Poradzę sobie.

Pokręciłem głową. Ten gest nadal wydawał mi się tak samo nienaturalny jak wczoraj.

— Tak jest, poradzę sobie — powtórzyła z irytacją. — Nikt nie wierzy, że cokolwiek potrafię! Tata nauczył mnie wszystkiego o koniach.

Ale nikt nie uczył jej tropienia. Nie była Jee, który był w tym samym wieku, ale wychowywał się na Ziemi Niczyjej i potrafił wędrować przez pola i lasy niemal niepostrzeżenie. Rawnie się pochylała, ale każdy, kto wyjrzałby przez okno chatki, zauważyłby ją, gdy biegła przez otwartą przestrzeń do stajni. Nikt nie wyjrzał. Choć z komina buchał dym, nie wyczuwałem żadnych śladów ludzkiej obecności. Moje uszy nagle się położyły, a sierść zjeżyła. Wokół chaty nie było pól, zagród dla owiec ani obór. To nie było gospodarstwo, ale stacja etapowa, przeznaczona dla wędrowców potrzebujących łóżka, posiłku oraz świeżego wierzchowca. Na odludnym wrzosowisku takimi wędrowcami mogli być jedynie ludzie uczestniczący w tajnej wojnie prowadzonej przez Duszoroślan oraz Bractwo przeciwko hisafom mojego ojca.

O mały włos nie popędziłem za nią. W chacie z pewnością ktoś był. W przeciwnym razie nie widzielibyśmy dymu. Co, jeśli mieli psy? Rawnie miała jednak rację: jeśli podejść bliżej, spłoszę konia. Jego woń drażniła moje nozdrza. Napinając mięśnie z niezdecydowania, przyglądałem się, jak dziewczynka otwiera drzwi stajni i wślizguje się do środka.

Minęła minuta. Dwie. Pięć. Czy dym nagle zgęstniał, jakby ktoś w środku się obudził i dorzucił torfu do ognia? Nie, to tylko strach wypaczał mój wzrok. Wracaj, Rawnie, wracaj...

Nagle wypadła ze stajni na wielkim, kasztanowatym rumaku. Wydawała się maleńka w jego siodle. Kopyta konia bębniły o ziemię.

— Uciekaj! — krzyknęła do mnie. W tej samej chwili wierzchowiec spłoszył się na mój widok, a drzwi chaty otworzyły się nagle. Dziewczynka utrzymała się w siodle, a rumak przemknął obok mnie. Usłyszałem huk strzelby, a potem krzyki, ale nie mogłem odróżnić słów. Pobiegliśmy przed siebie.

Gdy Rawnie wreszcie ściągnęła wodze, jej twarz lśniła triumfalnie. Dziewczynka śmiała się w głos, a koń grzebał kopytem w ziemi, łypiąc na mnie.

— Udało się! — zawołała. Znowu się roześmiała, odsłaniając zęby, a jej mizerne warkocze tańczyły wokół głowy. Z łatwością panowała nad koniem. Najwyraźniej ojciec dobrze ją nauczył.

Mnie nie nauczył niczego.

Gdy już skończyła się śmiać i pysznić, pochyliła się w siodle, spoglądając na mnie.

— W którą stronę, Roger? Którędy na dwór królowej?

Pełen urazy, potruchtałem na północny zachód, w stronę Reginokracji, oddalając się od Maggie, uwięzionej w Zamku Galtryf.

Wieczorem dotarliśmy do granicy dzielącej Wrzosowisko Duszorośli od Ziemi Niczyjej. Od tej chwili mieliśmy posuwać się naprzód wolniej, ponieważ opuściliśmy bagnistą równinę, wkraczając na kamieniste górskie szlaki. Rawnie zsunęła się z siodła. Jej nastrój się zmienił, przechodząc od uniesienia do znużenia i strachu. Co wiedziała o rozbijaniu obozu? Nie mogłem nawet jej o to zapytać.

Przynajmniej potrafiła rozpalić ognisko.

— Zostało mi bardzo mało sera, Roger — oznajmiła marudnym tonem — więc nic nie dostaniesz. Co będę jadła, jak się skończy?

Pomyślałem o Jee, który był w tym samym wieku, ale potrafił łapać zwierzęta w sidła i znajdować jadalne rośliny. Pomyślałem o Tomie Jenkinsie, najlepszym leśnym tropicielu, jakiego w życiu widziałem. Pomyślałem o Fii i o Maggie. Obie były kompetentnymi kobietami, potrafiącymi zadbać o siebie i o innych. Ale Rawnie nie była kobietą, a tylko rozpieszczonym dzieckiem, które zaraz się rozplacze, wpadnie w złość albo i jedno, i drugie. Jak miałem ją nakarmić?

— Nogi mnie bolą — poskarżyła się. — Nie jestem już przyzwyczajona do jeżdżenia konno.

Ani ja do bycia burkiem bagiennym.

— W niczym mi nie pomagasz — dodała złośliwie. — Gdybyś nie był mi potrzebny, żeby sprowadzić armię i uratować mamę, dosiadłabym konia i zostawiła cię, Rogerze Kilbourne!

W owej chwili ucieszyłbym się z tego.

— Dokąd idziesz? Nie zostawiaj mnie, ty zaszczancu!

Potruchtałem z powrotem i położyłem się obok niej, urażony i nieszczęśliwy. Rawnie wsunęła dłoń w futro na moim karku i po trzech minutach zasnęła przy dogasającym ognisku.

Wstałem i okrążyłem przywiązane do drzewa konia, który chciwie skubał mizerną trawę. Podczas całodziennej podróży rumak przyzwyczał się nieco do mnie. W odległości pół mili wycofałem umysł Rogera, ustępując miejsca burkowi bagiennemu, ruszyłem na polowanie, najadłem się i wróciłem do Rawnie. Kiedy zasnąłem, znowu przyśniła mi się księżniczka Stephanie. Sen był odrobinę mniej mętny niż poprzednim razem. „Dokąd odchodzą?”

Nie wiedziałem. Ani dokąd, ani kto, ani nic.

Drugiego dnia pokonaliśmy całą Ziemię Niczyją. Rawnie na swym wspaniałym, niestrudzonym koniu przemknęła obok kilku wędrowców, których spotkaliśmy, nim zdążyli ją o cokolwiek zapytać. Dotrzymywałem jej kroku, ukryty w lesie. Wraz ze świtem dziewczynka znowu poczuła głód. Wróciła też jej wrodzona twardość. Zjadła trochę leśnych jagód i orzechów, ale pod wieczór ponownie była straszliwie głodna. Przekroczyliśmy już wtedy granicę Reginokracji i dotarliśmy do pierwszej wioski.

— Zostań tu — powiedziała mi. — Tam mi się nie przydasz, Roger. Pilnuj konia.

Co?

Przywiązała rumaka do drzewa w gaju na brzegu małej rzeczki przepływającej przez osadę. Tańczyłem wokół niej, niewiarygodnie sfrustrowany niemożliwością powiedzenia czegokolwiek. Albo powstrzymania jej przed czymkolwiek, chyba żebym ją ugryzł. Rawnie obrzuciła mnie na pożegnanie pogardliwym spojrzeniem i oddaliła się w stronę wioski. Zapukała do drzwi pierwszej chaty — kryty strzechą dach,

mansardowe okna, róże i malwy rosnące przy zadbanej ścieżce. Drzwi otworzyła tęga kobieta w średnim wieku. Nie słyszałem, co powiedziano, ale po kilku chwilach kobieta złapała Rawnie, wciągnęła ją do środka i zamknęła drzwi.

Co jej powiedziała Rawnie? Mogłem się tego domyślić. Zagubione albo porzucone dziecko, głodne i brudne, wyglądające żałośnie... być może mała kłamczucha opowiadała, że uciekła od złego wujka, porwali ją bandyci albo co tam jeszcze mógł stworzyć jej płodny mózg. Zapewne otworzyła szeroko oczy i wycisnęła z nich kilka łez. W tej chwili najpewniej siedziała przy ogniu w ciepłej kuchni i obzerała się szynką, konfiturami oraz świeżym chlebem. Dlaczego uważałem, że można dbać o siebie tylko w taki sposób, w jaki robili to Jee i Maggie?

Maggie. Nasz syn. Wspomnienie o nich nieustannie wypełniało mój mózg niczym werbel podczas bitwy. A teraz mogłem jedynie czaić się w cieniach, skazany na rolę burka bagiennego, tak samo jak kiedyś byłem skazany na rolę błazna.

Przed nadejściem świtu z niespokojnego snu wyrwała mnie jakaś ostra woń.

Na drodze, niespełna dwadzieścia stóp od mojej kryjówki, pojawił się jakiś mężczyzna. W jednej chwili go tam nie było, a w następnej już był. Hisaf, który przybył tu z krainy Umarłych.

Potem pojawił się drugi. I trzeci. I jeszcze jeden. Ich woń wypełniała moje nozdrza.

Czy przybyli tu po Rawnie? Ale czterech mężczyzn oddaliło się bez słowa od chaty na skraju wioski, zmierzając szybkim krokiem w stronę tych, które otaczały błonia. Każdy wybrał inne domostwo, zatrzymał się przy zaryglowanych drzwiach kuchni i zniknął. Natychmiast wszystko zrozumiałem.

Przeszli do krainy Umarłych. Każdy z nich postawi tam kilka kroków, a potem wróci, by pojawić się w kuchni jednej z chat, w których były niemowlęta. Wstałem z drżeniem, ale nie mogłem nic na to poradzić. Wkrótce wszyscy znowu pojawili się na zewnątrz, a każdy z nich trzymał w rękach śpiące niemowlę. Jeden z nich niósł dwoje, bliźnięta urodzone przez jakąś kobietę, której żałoba zniszczy spokój świtu. Czterej hisafowie oddalili się kawałek drogą, a potem zniknęli. Przeszli do tego drugiego, większego kręgu po drugiej stronie, gdzie nieszczęśni Umarli siedzieli wokół wiru.

Nie mogłem nic na to poradzić.

Hisafowie wrócili i ułożyli niemowlęta w kręgu na drodze, a potem znowu zniknęli. Podkrałem się do dzieci. Cała piątka leżała, jak wśród Umarłych: nieruchome, bezmyślne, bez oznak życia, lecz również niepodlegające rozkładowi. Jedno było owinięte w żółty kocik wyszyty w radosne stokrotki. Jakaś kochająca je kobieta poświęciła na to długie godziny, dni i tygodnie pracy.

„Czy nie rozumiesz, Roger?” — rzekła mi kiedyś Matka Chilton. — „Życie i śmierć są częścią sieci bytu i w obu kryje się moc. Kiedy ta moc jest zmuszona do nienaturalnego płynięcia od Umarłych z powrotem do żywych, jak robi to Wrzosowisko Duszo rośli, musi też dojść do przepływu w drugą stronę. W przeciwnym razie całą sieć ogarnęłyby coraz silniejsze zakłócenia, które w końcu zniszczyłyby ją całkowicie. Nadchodzą straszliwe czasy. Straszliwsze, niż mógłbyś to sobie wyobrazić”.

Teraz ujrzałem te czasy na własne oczy. Gdy po drugiej stronie krąg Umarłych zniknął w wirze obserwatorów z Wrzosowiska Duszorośli, siła życiowa tych niemowląt została przeciągnięta na drugą stronę, by zrównoważyć to, co zabrano.

W najbliższej z chat zapaliło się światło. Jakaś kobieta krzyknęła. Znalazła pustą kołyskę.

Popędziłem między drzewa. Zdążyłem się skryć za nimi w tej samej chwili, gdy otworzyły się pierwsze drzwi i pierwszy z wieśniaków wypadł na dwór. Po paru chwilach powtórzyła się ta sama straszliwa scena, którą widziałem już przedtem dwa razy: zrozwaczeni rodzice znaleźli dzieci, wieśniacy biegali od domu do domu, krzycząc i zawodząc, rodzice tulili maleństwa, pogrążeni w niemal bezmyślnej żałobie.

Ku mojej niezmiernej uldze Rawnie również wybiegła z chaty.

— Co jest? Co się stało?

Nikt nie miał czasu, by jej odpowiedzieć. Stała, bosa i odziana w za dużą na siebie koszulę nocną, gapiąc się na najbliższe z niemowląt. Nie wiem, ile wiedziała, co powiedziała jej Charlotte czy czego się dowiedziała dzięki nieustannemu podsłuchiowaniu. Wyraz jej piegowatej twarzy zmieniał się co chwila: groza, ciekawość, a potem znowu groza. Czy zdawała sobie sprawę, że zaraz ktoś zawoła: „Czary” i wtedy wszyscy obcy staną się podejrzani?

Nie mogłem do niej podejść. Nawet kiedy się odwróciła i pobiegła z powrotem do chaty. Nic nie rozumiała, niczego się nie domyślała. Przez całe życie chroniła ją Charlotte i nasz ojciec, który mnie nigdy nie chronił...

Wybiegła z chaty. Nadal miała na sobie koszulę nocną, ale dźwigała swój mały plecak. W tej samej chwili któryś z mężczyzn zawołał: — Ktoś to zrobił! Czarownica!

Rawnie skryła się za szeregiem malw i róż.

Mężczyźni krzyczeli, rozdarci między bólem a próbą samoorganizacji. Narastał w nich gniew, ludzka potrzeba znalezienia winnego, kogoś, na kim można by się zemścić. Rawnie była jeszcze małą dziewczynką, czy ci mężczyźni odważą się...

Cat Starling też była tylko dziewczynką, a do tego słabą na umyśle, gdy spalono ją jako czarownicę.

Umysł Rawnie z pewnością nie był słaby. Na moich oczach oddaliła się ukradkiem od chaty, przemykając z cienia róż do głębszego cienia wierzby rosnącej przy studni. Mężczyźni nadal stali pośrodku drogi, pokrzykując do siebie nawzajem. Po kilku minutach jeden z nich pognął ku najdalszej chacie, ale dziewczynka dotarła już do gaju i podbiegła do mnie w nocnej koszuli. Wydawała się zupełnie niematerialna, jak bagienne światło nad Wrzosowiskiem.

— Chodź, Roger, czemu się tak głupio gapisz? Musimy stąd zwiewać!

Uciekliśmy przez las. Odgłos naszych kroków przyciągnął uwagę mężczyzn.

— Tamtędy! Ktoś tam jest!

Gdy znaleźliśmy się na polanie, Rawnie nie miała czasu, by założyć siodło zaskoczonemu wierzchowcowi. Odwiązała wodze od drzewa, wspięła się na koński grzbiet, korzystając z nisko zwisającego konaru, który omal się nie załamał pod jej ciężarem, i oddaliła się na oklep. Las był rzadki, a w tej samej chwili, gdy mężczyźni dotarli na polanę, wyprowadziła konia spomiędzy drzew na pole jęczmienia i pogoniła go biczem do cwału.

Popędziłem za nią. Po jakiejś minucie wypadliśmy na drogę, spory kawałek za wioską. Koń był wypoczęty, nigdy nas nie złapią. Gdy Rawnie wreszcie ściągnęła wodze, pozwalając zwierzęciu odpocząć, słońce wynurzyło się zza horyzontu i zobaczyłem jej twarz. Płakała tak bardzo, że prawie nic nie widziała.

— Głupi Roger! Dlaczego nie mogłeś mnie ostrzec? Nie domyślałeś się, że oskarżą mnie o to... to... to coś, co uczyniono tym dzieciom? Mama zawsze mówiła, że nie mogę robić nic, co ktoś mógłby uznać za czary,

nawet głupi ludzie, a ty jesteś głupi, Roger! Powinieneś się mną opiekować! Och, te biedne dzieci! Co się z nimi stało? Co? Ale przecież ty tego nie wiesz, jesteś głupim burkiem bagiennym!

Gadała tak jeszcze przez kilka minut, wylewając na mnie swój strach i grozę. Rozumiałem to. A nawet gdybym nie rozumiał, co mógłbym na to poradzić?

Wreszcie uspokoiła się na tyle, że mogła rozejrzeć się wokół. Znajdowaliśmy się na odludnym odcinku traktu, będącego tu niewiele więcej niż łączącym ze sobą wioski szlakiem dla wozów, biegnącym na północny zachód. Rawnie nie wiedziała, gdzie się znajdowaliśmy, ale ja wiedziałem. Po dwóch dniach szybkiej wędrówki mieliśmy dotrzeć do Glorii, stolicy Reginokracji, położonej nad szerokim, leniwym Thymarem.

Czy moje pozostawione w Galtryf ciało wytrzyma jeszcze dwa dni? Co, jeśli umrze, nim dotrę do Matki Chilton?

— To był głupi pomysł — skwitowała Rawnie. — Nikt nie da mi armii, żeby uratować mamę!

Pokręciłem głową z boku na bok: *Nie*.

— Nawet ty się ze mną zgadzasz! — zawołała dziewczynka i pokręciłem głową jeszcze mocniej: *Nieprawda, nie zgadzam się!* Ale moja domniemana niezgoda podekscytowała ją jeszcze bardziej. Rawnie musiała się gniewać. To dodawało jej sił.

— Głupi Roger! Dadzą mi armię! Przekonam ich, żeby to zrobili! Dlaczego zawsze się ze mną spierasz? Nienawidzę cię!

Pomknęła naprzód, popędzając konia bosymi piętami. Warkocze kołysały się za nią gniewnie. Mogłem jedynie próbować dotrzymać jej kroku. I zachować nadzieję.

Wędrowaliśmy przez cały dzień, zatrzymując się tylko na krótki posiłek. Rawnie miała w plecaku żywność ukradzioną poprzedniego wieczoru z

chaty. Zdjęła koszulę nocną i wdziała brudną suknię oraz solidne buty. Koń wyglądał na zmęczonego. Uspokoiła go i wytarła, a potem znalazła dla niego słodką trawę oraz wodę, ale niewiele to pomogło. Wioski leżały coraz bliżej siebie. Wypracowaliśmy rytm podróży: między osadami jechaliśmy kłusem, a przez nie przemykaliśmy cwałem, by nikt nie zdążył nas zatrzymać i zadawać pytań. Była piękna letnia pogoda, Rawnie spoglądała więc tęsknie na bawiące się na błoniach dzieci, dziewczęta czerpiące świeżą wodę z chłodnych studni czy wieśniaka dźwigającego wielki krąg żółtego sera do jakiegoś sąsiada albo na targ. Nie zatrzymywała się jednak. To również rozumiałem. Gdyby to zrobiła, mogłaby nią zawładnąć rozpacz.

Wieczorem jednak koń nie mógł już iść dalej. Pomyślałem sobie, że Rawnie również więcej nie wytrzyma, pomimo jej desperackiej odwagi. Zsunęła się z siodła i opadła na ziemię.

— Niech to szlag! — zawołała głosem pośrednim między szlochem a warknięciem. — Moje głupie nogi!

Nie jesteś przyzwyczajona do całodziennego konnej jazdy — chciałem powiedzieć, ale nie mogłem. Gdy położyłem się obok niej, odepchnęła mnie.

— Idź sobie! Kto chciałby mieć za towarzystwo głupiego burka bagiennego!

Ona chciała, wbrew temu, co mówiła. Po prostu nie w tej chwili. Poszedłem na brzeg strumienia, przy którym rozbiła obóz, i wpatrzyłem się w wodę. Blask wschodzącego księżyca tworzył na ciemnej tafli długie, srebrzyste pasmo. Gdzieś wśród gałęzi zahuczała sowa. Na przeciwległym brzegu pojawił się marszczący nos królik. Przygotowałem się do ustąpienia miejsca umysłowi burka bagiennego i wyruszenia na łowy.

Królik stał się kobietą odzianą w suknię z brązowej wełny.

Zamrugalem i przyjrzałem się jej uważniej. Nie pomyliłem się. Dziewczyna wzywała mnie skinieniem. To była jedna z kobiet z sieci. To znaczy, że przez cały czas nosiliśmy ze sobą znacznik. Co nim było? To mogło być cokolwiek, co włożyła do plecaka Rawnie kobieta mysz. Powinienem być pomyśleć o tym przedtem. Gdybym nie był burkiem bagiennym, rozplakałbym się z ulgi. Rawnie i ja nie byliśmy sami. Matka Chilton wiedziała, gdzie jesteśmy i czym się teraz stałem.

Odbicie blasku księżyca rozplnęło się, gdy przeszedłem z pluskiem przez płytki strumień. Dziewczyna uklękała, by jej twarz znalazła się na wysokości mojego pyska. Miała najwyżej osiemnaście lat i była bardzo ładna. Przyglądała mi się bez śladu uśmiechu na różowych wargach oraz ciepła w ciemnych oczach.

— Roger, przysłała mnie matka Chilton.

Mój syn? Co z moim synem?

— Jest zdumiona, wszystkie jesteśmy zdumione tym, czego udało ci się dokonać. — W jej głosie nie słyszałem jednak podziwu, lecz dezaprobatę. — Nie uważano za możliwe, by hisaf przeszedł w żyjące stworzenie tutaj, w krainie żywych. Nie uczono cię sztuk duszy i nie powinienes być w stanie tego dokonać.

Co z moim synem?

— Wysłano mnie tu po to, bym ci powiedziała, że żaden hisaf nie może cię zobaczyć w tym ciele. Jeśli Bractwo się dowie, że to, czego dokonałeś, jest możliwe...

Zadrzała w blasku księżyca. Miałem ochotę ją ugryźć. Kolejne wyrzuty z ust jeszcze jednej kobiety z sieci, podczas gdy chciałem się tylko dowiedzieć, co z małym Tomem.

— Rozumiesz to, prawda? — ciągnęła. — Jeśli hisafowie z Bractwa zaczną przechodzić w zwierzęta po tej stronie, z pewnością przegramy tę

wojnę. Już ją przegrywamy. Wyobrażasz sobie, że jesteś czymś w rodzaju bohatera, ponieważ stworzyłeś coś, co może się stać kolejną bronią w rękach Wrzosowiska Duszorośli? Liczba dzieci zabranych przez Bractwo rośnie z każdą chwilą, a my nie rozumiemy, jak to robią, nie niszcząc krainy Umarłych, jak ty omal jej kiedyś nie zniszczyłeś. Och, dlaczego wszystko jest takie koszarne! — zawołała i uświadomiłem sobie, że jest znacznie młodsza, niż mi się zdawało. To był krzyk przerażonego dziecka. Czy siły Matki Chilton stały się tak nieliczne, że musiała teraz werbować dzieci?

To była głupia myśl. Dzieci od początku uczestniczyły w tej wojnie. Stephanie. Jee. Katharine. Rawnie. Mój syn.

Co z moim synem?

Dziewczyna z sieci odwróciła nagle głowę, spoglądając za siebie przez ramię. Wyteżyłem zmysły, ale nic nie wykryłem.

— Muszę już odejść — oznajmiła pośpiesznie. — Wysłuchaj mnie uważnie, Rogerze Kilbourne. Nie pozwól żadnemu hisafowi zobaczyć cię w tym stanie, bez względu na to, po której stronie twoim zdaniem walczy. Matka Chilton spotka się z tobą w miejscu, gdzie Albustrine wpada do Thymaru, jutro o zmierzchu. Jeśli się pośpieszysz, powinieneś tam zdążyć. Muszę już iść!

Złapałem za obrąbek jej sukni i nie puszczałem. Z gardła popłynął mi głęboki warkot. Dziewczyna była zaskoczona, a potem się rozgniewała.

— Puszczaj! Ach, prawda, twój syn jest z nami i nic mu nie grozi. A teraz puść mnie. Muszę już iść!

Obok mnie pojawił się brązowy królik, który po chwili umknął w chaszczę.

Nadal nie wiedziałem, co skłoniło ją do ucieczki. Nie czułem żadnych zapachów ani nie słyszałem żadnych dźwięków. Chyba że chodziło o sowę huczącą na odległej sośnie, ale nie sądziłem, żeby tak było. Kobiety z sieci

jak zwykle unikały dzielenia się wiedzą z hisafami, nawet ze mną. Być może zwłaszcza ze mną.

Kiedy wróciłem do obozu, Rawnie prawie już zasnęła. Uchyliła powieki, spoglądając na mnie.

— Nie było cię wystarczająco długo — stwierdziła z pogardą w głosie. — I dlaczego jesteś cały mokry? Tylko nie kładź się przy mnie!

Warknąłem na nią i położyłem się, próbując sobie przypomnieć, w którym miejscu Albustrine łączy się z Thymarem. „Wyobrażasz sobie, że jesteś czymś w rodzaju bohatera, ponieważ stworzyłeś coś, co może się stać kolejną bronią w rękach Wrzosowiska Duszorośli?” — zapytała dziewczyna z sieci. Nie czułem się bohaterem. A jeśli to miało być bohaterstwo, wolałbym, żeby ta rola przypadła komuś innemu. Komukolwiek innemu.

Następnego dnia zapragnąłem tego jeszcze goręcej.

O zmierzchu następnego dnia, po szybkiej podróży, od której bolały mnie wszystkie mięśnie, koń cały się spienił, a Rawnie jęczała z bólu za każdym razem, gdy z niego zsiadała, by osunąć się na ziemię, dotarliśmy w miejsce połączenia dwóch rzek. Nikogo tam nie było.

— Roger, dlaczego tak mnie popędzałeś? — zapytała dziewczynka. — Prawie nie czuję nóg. I jestem okropnie głodna! Dlaczego, Roger? To miejsce niczym się nie różni od innych!

Rozdrażnienie i znużenie oślepiły Rawnie. To miejsce było inne. Wędrowaliśmy przez pola i lasy, oddalając się od głównego traktu, aż wreszcie dotarliśmy na brzeg Albustrine — małej, wartkiej rzeki pełnej srebrzystych bystrzy. Potem podążyliśmy wzdłuż niej. Albustrine była za płytka dla łodzi i w związku z tym znajdowały się nad nią tylko luźno rozrzucone gospodarstwa rolne oraz tu i ówdzie wioska z młynem. Łatwo je było ominąć. Zbliżając się do Thymaru, Albustrine stopniowo stawała się szersza i wolniejsza, aż wreszcie jej nurt spływał z niskiego wodospadu i wpadał do wielkiej rzeki.

Stałem na południowym brzegu. Szeroki, ospale toczący swe wody Thymar był głównym szlakiem transportowym Reginokracji. Noc była ciepła, a na niebie świecił księżyc w pełni. W granatowym półmroku dostrzegałem barki płynące w dół rzeki, bezgłośnie jak gwiazdy. Były puste — cenny ładunek jarzyn, mięsa, wina, tkanin oraz wyrobów rzemieślniczych zostawiły na stołecznej wyspie Gloria.

Wielka wierzba, pod którą się zatrzymałem, zanurzała gałęzie w wodzie. Kilka barek przybiło do brzegu po drugiej stronie rzeki, by zatrzymać się na

noc, ale tego miejsca nikt nie wybierze. Za skarpą ziemia tworzyła płytką półkę, gęsto porośniętą trzcinami, pałkami oraz turzycą. Tylko mała, lekka łódka mogłaby dotrzeć do mojej kryjówki pod wierzbą.

Pływały tu też jednak mniejsze stateczki — od przeciekających łodzi wiosłowych z chłopakami pokrzykującymi na każdy mijający ich statek, aż po luksusowe barki wycieczkowe. Na takiej łodzi, wyposażonej w wyściełane siedzenia, Cecilia i jej przyjaciółki spędzały letnie wieczory na rzece, przy wtórze muzyki przygrywających im grajków.

Cecilia. Czyjej matkę ukarano za to, że pomogła Rawnie uciec z Galtryf ? Tu, nad Thymarem szare kamienne ruiny wydawały mi się zupełnie inną krainą. Ale to właśnie Galtryf stanowiło śmiertelne zagrożenie dla dobrobytu i pokoju, których przejawy widziałem przed sobą na rzece.

Poruszyłem nosem. Mała łódka bez świateł zmierzała ku mnie przez porośniętą trzciną wody. Ktoś kierował nią za pomocą tyczki. Widziałem tylko sylwetkę, nieznajomy sprawiał wrażenie za małego na to zadanie. Rawnie nie przestawała się skarżyć za moimi plecami, na górze zaś gołąb wydał swój niski, pojedynczy dźwięk. Żaby skakały ze wzgórków do rzeki, uciekając przed łodzią. Skif podpłynął do brzegu i w granatowym półmroku zauważyłem, że człowiek z tyczką to Jee.

Podrósł, odkąd ostatnio go widziałem, ale tylko niewiele. Gapiliśmy się na siebie nad dziesięcioma stopami wody, chłopak i zwierzę. Jee miał na sobie prosty flisacki strój z wysokimi butami, ale nie sprawiał wrażenia, by był do niego przyzwyczajony. Od z górą pół roku mieszkał w pałacu, jako paź małej królowej.

— Roger — rzekł do burka bagienno czekającego na brzegu i to nie było pytanie. Czujęm węchem, że mnie akceptuje, bez względu na postać, tak samo jak zawsze. Wychowywał się na Ziemi Niczyjej i jak wszyscy tamtejsi mieszkańcy wiedział, jak dziwaczny potrafi być świat. Jego

spojrzenie wyrażało też jednak coś więcej. Lojalność wniknęła w kości Jee, płynęła w jego krwi, wplotła się w ścięgna jego małego, silnego serca. Był gotowy zginąć za mnie, za Maggie albo za małą księżniczkę Stephanie i nigdy nie pytać o koszty.

Na skifie rozbito mały, prosty namiot. Jee przybił do brzegu, namiot się otworzył i wygramoliła się zeń Matka Chilton. Nie próbowała stanąć na kołyszącej się łodzi, zadowalając się przykucnięciem.

— No cóż, Rogerze Kilbourne, spotykamy się znowu, w okolicznościach jeszcze dziwniejszych niż kiedykolwiek.

Czy zamierzała robić mi wymówki, jak dziewczyna z sieci? Nie dbałem o to. Przybyła tu, a to znaczyło, że nie jestem już sam. Choć trzeba przyznać, że Matka Chilton nie wyglądała na zbyt wartościową sojuszniczkę. Była tak stara, że jej kręgosłup wyginał się niby obciążone drzewo. Twarz pokrywały zmarszczki głębokie jak doliny wśród suchych wzgórz. Ale jej oczy nadal miały świdrujący wyraz — szare, niemal bezbarwne, wyglądały, jakby wciągały w siebie całe światło.

Jee przywiązał łódź do wierzby i pomógł Matce Chilton wsiąść na brzeg. Wspierała się na jego ramieniu, gdy oboje przechodzili z pluskiem między trzciniami i kępami trawy. Zza dalej położonych gałęzi drzewa wyłoniła się utykająca Rawnie.

— Roger! Słyszę głosy! Czy...

Zatrzymała się, gapiąc się w mroku na dwoje nieznajomych.

— Chodź, dziecko, niech ci się przyjrzę — odezwała się Matka Chilton.

— Nie, nie tam, stań w blasku księżyca nad wodą. Pośpiesz się.

Rawnie skrzywiła się, ale wykonała polecenie, choć podejrzewam, że chodziło jej raczej o to, by przyjrzeć się obcym, a nie pozwolić, by oni ją zobaczyli.

— Kim jesteś? — zapytała.

— Jestem Matka Chilton.

— Nie znam cię. A kim ty jesteś? — zapytała, przenosząc spojrzenie na Jee, który się nie odzywał.

— To jest Jee.

— Nie umie mówić?

— Mówi, kiedy ma coś do powiedzenia. Mogłabyś wziąć z niego przykład, córko Rawleya i Charlotte.

— Skąd wiesz, czyją jestem córką? Roger, kim są ci ludzie? — zapytała Rawnie, z pewnością nie licząc na odpowiedź. Skrzywiła się jeszcze mocniej, jej blada, piegowata buzia widoczna w blasku księżyca była pełna napięcia.

— Wiem o tobie bardzo wiele, dziecko — odparła Matka Chilton. — Ponieważ Roger zamieszkał w stworzeniu, w którego życie nie powinien się wtrącać, będę musiała porozmawiać o Galtryf również z tobą. Ale najpierw Roger. Roger, możesz przynajmniej wskazywać gestem „tak” albo „nie”, prawda?

Skinąłem głową. Ten gest nadal wydawał mi się sztywny.

— Świetnie. Co się wydarzyło w Galtryf? Wiemy, że Katharine tam była, że nie udało ci się unicestwić jej w krainie Umarłych. Czułyśmy, jak rośnie, staje się ośrodkiem mocy w sieci bytu, ale nie wiedziałyśmy, jaką postać przybrała. Stephanie próbowała dotrzeć do ciebie w snach. Czy jej się udało?

Skinąłem głową.

— Kto to jest Stephanie? — zainteresowała się Rawnie.

Matka Chilton ją zignorowała.

— A potem ten ośrodek nagle zniknął — kontynuowała, zwracając się do mnie. — Jaką postać przybrała Katharine, Roger? Była wnuczką jednej z

nas i z pewnością miała talent, ale nie wiemy, jak dobrze była wyszkolona. Czym się stała?

Oczy Matki Chilton, zapadnięte w sieci fantastycznych zmarszczek, lecz nadal wyraźnie widoczne w blasku księżyca, wpatrywały się we mnie intensywnie. Jak jednak mogłem jej odpowiedzieć, nie władając mową? Zalała mnie frustracja.

— Był tam pies hisafów, z którym miał walczyć Roger — oznajmiła Rawnie wyzywającym tonem.

— Pies? — zdziwiła się Matka Chilton. — To nie mogła być Katharine.

— Kto to jest Katharine?

— Cicho, dziecko. Nic nie wiesz.

— Wiem wszystko, ty stara wiedźmo! — zawołała Rawnie. — Roger, powiedz jej! Miałeś walczyć ze złym psem i myślę, że go zabiłeś!

Trzy twarze zwróciły się w moim kierunku. Skinąłem głową.

To był jedyny przypadek, gdy Matce Chilton na moich oczach zabrakło słów. Poczulem głupią, złośliwą satysfakcję. Przez chwilę była tak samo niema jak ja. Jak Rawnie się o tym dowiedziała? Dzięki podsłuchiwanii, oczywiście. Zakradała się do zakamarków, chowała za meblami albo za skałami, podglądała przez dziurki od klucza.

— Kto to jest Katharine? Kto to jest Stephanie? — powtórzyła.

— Dla ciebie królowa Stephanie — odezwał się po raz pierwszy Jee.

— Aha! — zawołała dziewczynka. — Ta Stephanie! I ona przysyła ci sny, Roger? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Ja ci opowiadam różne rzeczy. Czy ona jest kobietą z sieci?

Matka Chilton nadal ją ignorowała.

— Mieliśmy nadzieję, że to źródło rosnącej mocy wiąże się z dziećmi... dokąd one odchodzą, Roger?

Popatrzyłem na nią bez zrozumienia i potrząsnąłem głową. Dzieci nigdzie nie odchodziły. Ich pogrążone w transie, nieulegające rozkładowi ciała pozostawały z pogrążonymi w żałobie rodzinami, a ich dusze pożerali Duszoroślanie w swym pragnieniu wiecznego życia. Matka Chilton już o tym wiedziała. Nie rozumiałem jej pytania. Czy kobiety z sieci nie widziały, jak Bractwo kradnie dzieci? Wydawało się, że wiedzą bardzo wiele. Z pewnością były świadkami przynajmniej połowy monstrialnej procedury, tej, która odbywała się w krainie żywych.

Ale jeśli nie były, nie potrafiłem im o tym opowiedzieć.

Matka Chilton zauważyła moją frustrację i przeszła do prostszych pytań, na które mogłem odpowiedzieć skinieniem albo potrząśnięciem głową.

— Czy Rawley i Charlotte są w Galtryf?

Tak.

— I Maggie?

Tak.

— Czy wszyscy troje żyli, kiedy ich opuściłeś?

Tak.

— I nie wiesz, dokąd odchodzą dzieci? Nie znasz żadnych wskazówek?

Ponownie nie rozumiałem pytania. Matka Chilton westchnęła.

— Miałam nadzieję, że dowiem się od ciebie więcej, Rogerze Kilbourne. Dziecko, opowiedz mi o wszystkim, co widziałaś, poczynając od chwili, gdy porwano ciebie i twoją matkę. Nie pomijaj niczego. Możesz już zacząć.

Rawnie, rozdarta między wściekłością wywołaną władcym tonem kobiety a pragnieniem osiągnięcia celu, który nas tu sprowadził, łypnęła ze złością na Matkę Chilton, kopnęła korzeń u swej nogi i zaczęła mówić. Relacjonowała wszystko bardzo szczegółowo, ciesząc się poświęcaną jej uwagą. Wreszcie pozwolono jej mówić bez przeszkód. Jednakże to, co w jej recytacji było dla mnie nowe, głównie szczegóły jej porwania i pobytu w

niewoli, nie było istotne, a to, co było istotne, już wiedziałem. Na koniec powiedziała:

— Dlatego właśnie potrzebujemy z Rogerem armii. Dzięki niej będziemy mogli uratować mamę, tatę i przyjaciółkę Rogera, Maggie. Jeśli znacie księżniczkę Stephanie... to znaczy królową Stephanie... powinniście być w stanie zdobyć dla nas armię. Zwłaszcza jeśli królowa wysłała sny Rogerowi!

Dziewczynka cofnęła się o krok, jak aktorka zachwycona swoim występem, przeświadczona, że otrzyma w nagrodę to, czego pragnęła.

— To niemożliwe, dziecko — odparła Matka Chilton.

— Słucham?

— Powiedziałam, że to niemożliwe. Nie będzie ratunku.

— Musicie to zrobić! Musicie!

Rawnie zacisnęła pięści i ruszyła w stronę Matki Chilton, ale Jee nagle znalazł się między nimi.

— Posłuchaj, Rawnie, i ty też, Roger — rzekła, przemawiając nad ramieniem chłopca. Stara i zgarbiona, była niewiele wyższa od niego. — Wiem, na co liczycie. Wewnątrz Galtryf Bractwo nie ma większej mocy niż my, to prawda. Hisafowie nie są w stanie przechodzić na drugą stronę, a kobiety z sieci nie mogą używać sztuk snów i dzielenia się duszą. To skutek straszliwych bitew, które obróciły Zamek Galtryf w gruzy. Te bitwy stoczono wiele lat przed narodzinami Rogera. Jesteście przekonani, że wewnątrz Galtryf Duszoroślanie i hisafowie z Bractwa są po prostu ludźmi i można ich zaatakować jak ludzi. Forteca leży w gruzach, mieszkańców jest niewielu i nieliczny oddział wyszkolonych żołnierzy mógłby z łatwością zdobyć całość. Pod tym względem macie rację. Ale zastanówcie się lepiej. Nawet gdyby udało mi się przekonać lorda Roberta Hopewella, że Wrzosowisko Duszorośli zagraża Reginokracji, co mogłoby być

możliwe, jego armia musiałaby najpierw dotrzeć do Galtryf. Przejść przez jedną trzecią Reginokracji, sforsować Ziemię Niczyją, a potem pojechać albo pomaszerować przez Wrzosowisko Duszorośli. Hisafowie z Bractwa i Duszoroślanie mają w Galtryf tak mało ludzi, ponieważ bardzo rozciągnęli siły. Bractwo kradnie dzieci, Duszoroślanie zaś zbierają się jako obserwatorzy w tym, co Roger zwie „wirami”. Obie grupy wszędzie mają szpiegów. Armię lorda Roberta zauważono by, nim jeszcze przekroczyłyby Thymar. Rawleya, Charlotte i Maggie zamordowano by na długo przed tym, nim żołnierze dotarliby do Galtryf. A ty, Roger, jak długo twoje ciało pozostałoby tam przy życiu, podczas gdy paradowałbyś pod postacią zwierzęcia, którą tak nierozsądnie przybrałeś? Ty również byłbyś martwy, nim armia lorda Roberta dotarłaby na miejsce. Przykro mi, dzieci, tego nie da się zrobić.

Zapadła cisza, ciężka i straszliwa jak grób, przygniatający mnie podczas przechodzenia na drugą stronę. Byłem zmuszany do przejścia do prawdy. Matka Chilton miała rację. To było niewykonalne.

Rawnie wybuchnęła głośnym płaczem. Wymachiwała rękami, ale jej pięści odbijały się bezsilnie od Jee, który nadal osłaniał Matkę Chilton. Wreszcie chłopiec ją odepchnął i padła na ziemię, nie przestając łkać. Jee uklęknął obok niej, wydając z siebie ciche, nieartykułowane dźwięki w bezskutecznej próbie pocieszenia jej. Matka Chilton przyglądała mi się.

— Rogerze Kilbourne, dzielnie walczyłeś za to, co kochasz, nawet jeśli się myliłeś. Przykro mi, że tak się to musi skończyć. Muszę teraz wrócić do Stephanie, która może pożegnać się z tobą we śnie. Albo i nie muszę. Radzi już sobie z łącznikiem wystarczająco biegle, nawet jeśli on nie ma nad nim żadnej kontroli.

Nic z tego nie miało dla mnie sensu, ale nie dbałem o to. Obchodziła mnie tylko Maggie. Nie potrafiłem jej uratować i sam będę wkrótce musiał

umrzeć. Maggie, Maggie, znowu cię zawiodłem... Nie byłem w stanie znieść takich myśli. Lepiej myśleć o czymś innym, o czymkolwiek! Dlatego spojrzałem na Matkę Chilton i coś w mojej postawie musiało przekazać jej informacje.

— Nie wiesz o tym? — zapytała.

O czym?

— Tak jest, nie wiesz — zakonkludowała. — Myślałam, że Stephanie mogła... Tracę kontrolę nad snami, które ci przekazuję. Jak już mówiłam, coraz bieglej włada swymi sztukami. Ale tylko wtedy, gdy używa łącznika, który zastąpił Katharine, tak samo jak my wszystkie. Czy nie pamiętasz, jak ci powiedziałam, że ona jest łącznikiem używanym przez Wrzosowisko Duszorośli, Roger? Jej nienaturalna obecność wśród Umarłych umożliwiła Duszoroślanom wprowadzenie w życie ich straszliwego planu. Teraz są już wystarczająco silni, by obyć się bez niej. Ale my również mamy swój ośrodek mocy, taki, jaki rodzi się raz na tysiąc lat. On sam nie może wpływać na nic, podobnie jak centrum pajęczyny nie jest w stanie podjąć samodzielnych działań, ale wszystkie naprężenia sieci przechodzą przez niego. Jest przekaźnikiem mocy innych. Naszą ostatnią nadzieją. Naprawdę tego nie pamiętasz, Roger, nawet w swej obecnej postaci? Mówiłam ci to już przedtem i Alysse też. Połączenie jest niejasne, ponieważ jest bardzo młode. To twój syn, Roger. On jest wybrańcem. Już ci o tym mówiłam.

Skif odpłynął. Jee bezgłośnie poruszał tyczką, przepływając przez płycizny, a potem kierując się w górę w coraz głębszej ciemności. Przyglądałem się z odrętwieniem, jak mała łódeczka z namiotem, w którym siedziała Matka Chilton, oddalała się coraz bardziej na czarnych wodach, aż wreszcie zniknęła mi z oczu. Równie nadal leżała, płacząc, na ziemi. Matka Chilton próbowała ją przekonać, by popłynęła z nią do Glorii: „Co z tobą będzie, jeśli tu zostaniesz, dziecko?” — ale ona odmówiła. Wierzyła tak

mocno, że nawet Jee dał za wygraną. Zostawił jej pakunek przyniesiony z namiotu. Pochylił się też i popatrzył na mnie ze współczuciem tak bolesnym, że wolałem uciec między drzewa, niż znosić jego spojrzenie. Teraz jednak wróciłem. Nie miałem dokąd pójść, a nawet gdybym miał, i tak nie chciałbym tego zrobić.

Mój syn, ośrodek sieci Matki Chilton. Maggie, której nie potrafiłem pomóc i której już nigdy nie zobaczę. Wkrótce umrę, gdy moje ciało zakończy żywot w Galtryf, i będę siedział bezmyślnie w krainie Umarłych, aż wreszcie pożre mnie Wrzosowisko Duszorośli.

Mój syn, ośrodek sieci Matki Chilton. Maggie, której nie potrafiłem pomóc i której już nigdy nie zobaczę...

Na wierzbie pohukiwała sowa. Woda pluskała cicho o brzeg rzeki. Żaby skakały do niej z pluskiem. Słyszałem sto nocnych dźwięków, czułem sto nocnych zapachów. A wkrótce już nie będę doświadczał żadnego z nich, podobnie jak Maggie. Chyba że ona już nie żyła.

Rawnie przestała płakać. Być może szloch ukołysał ją do snu. Noc była ciepła i nie próbowałem ogrzewać dziewczynki. To mogła być ostatnia noc mojego życia i starałem się nie spać, by nic mi nie umknęło. Mimo to nie widziałem, nie słyszałem i nie czułem zapachów w pełni, ponieważ moje myśli wypełniały przygnębienie i ból.

Mój syn, ośrodek sieci Matki Chilton. Maggie, której nie potrafiłem pomóc i której już nigdy nie zobaczę...

Żadne stworzenie nie zdoła powstrzymać snu bez końca. Miałem za sobą cały dzień szybkiej wędrówki. Mimo moich wysiłków rozpacz przeszła w sen. Rozświetlona blaskiem księżyca grotą utworzoną przez wierzbę zniknęła, podobnie jak ostra nadrzeczna trawa oraz szeleszczące nade mną liście. Pozostawioną przez nie pustkę wypełnił sen pochodzący od Stephanie.

I wszystko zmieniło się raz jeszcze.

Wirujące kolory, niewyraźne kształty. Ale ja leżę na wpół obudzony pod wierzbą albo śni mi się, że jestem na wpół obudzony, albo może i jedno, i drugie. Tak czy inaczej, częścią jaźni rozumiałem, że ruchome kolory i nie do końca zarysowane kształty znajdują się w niemowlęcym umyśle mojego syna, za którego pośrednictwem przybył sen. Przewód.

Z barwnego tańca wyłania się jakaś postać, drobna sylwetka mająca na głowie coś jaskrawego. Koronę. Głos Stephanie brzmi szokująco klarownie i dojrzałe — szokująco, ponieważ dziewczynka po raz pierwszy przemawia rozkazującym tonem swej nieżyjącej matki. Nie wierzyłem dotąd, że to możliwe.

— Roger — mówi. — Zaczekaj tu. Nie odchodź. Rozkazuję ci.

Próbuję jej odpowiedzieć, ale z gardła burka bagiennego nie mogą się wydobyć słowa i...

— Roger! — Rawnie krzyknęła mi prosto w ucho. — Miałam sen!

Zerwałem się na równe nogi pod wpływem jej wrzasku, szczerząc kły. Zignorowała obnażone zęby, zjeżoną sierść i skuloną przed atakiem pozę. Zarzuciła mi ręce na szyję, nie przestając krzyczeć: — Królowa kazała nam tu poczekać! Myślę, że nadchodzą!

Nie powinno się obejmować zaskoczonego burka bagiennego. Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołałem odwrócić głowę na bok, dzięki czemu moje kły zamknęły się na powietrzu, nie na jej ramieniu. To również zignorowała.

— Słyszysz mnie, Roger? Mała królowa przesłała mi sen i kazała nam tu zaczekać! To znaczy, że jednak przyślą nam armię!

Nawet gdy już odzyskałem zdolność myślenia, to nie wydawało mi się prawdopodobne. Stephanie mogła chcieć powiedzieć... och, cokolwiek. Że przyśle nam więcej jedzenia albo wyśle żołnierzy po Rawnie. To ostatnie brzmiało najbardziej wiarygodnie. Ja umrę, a bez pomocy dziewczynkę mógł czekać taki sam los. Tak przynajmniej mogła sądzić delikatna i zazwyczaj bojaźliwa Stephanie. Ale w twoim śnie nie sprawiała wrażenia bojaźliwej — wyszeptała jakaś część mojego umysłu.

Świt jeszcze nie nadszedł. Księżyc zaszedł i na mrocznej rzece tańczył blask tysiąca gwiazd. Na przeciwnym, północnym brzegu kołysało się odległe światło. Jakiś rybak albo flisak wcześniej wyruszył na rzekę. Ledwie widziałem sylwetkę Rawnie, ale czułem zapach jej radości.

— Jestem taka głodna! Och, popatrz, ten chłopak zostawił wczoraj jakiś pakunek. Myślisz, że jest w nim coś do jedzenia?

Pewnie, że było. Nie tylko czułem zapach zawartości, lecz również nocą warknąłem sennie na jednego borsuka i dwie wiewiórki, które zbliżyły się do pakunku. Rawnie rozerwała papier.

— Chleb i ser, i... och, popatrz! Paszteciki z mięsem. Ty też jeden dostaniesz, głupi Rogerze. Pewnie już dziś ruszymy w drogę do Galtryf i będziesz potrzebował sił. Masz, dostaniesz największy. Czyż nie dbam o ciebie dobrze? A to ci dopiero! Bluza i spodnie! Mama nigdy by mi nie pozwoliła ubierać się jak chłopiec, choćbym nie wiedzieć jak ją błagała, ale widzę, że ta staruszka wiedziała lepiej albo może to ten chłopak. Był bardzo dziwny! Prawie wcale się nie odzywał. Och, na chlebie są mrówki, one wszędzie włazą, nieważne, mogę je strzepnąć. Jak myślisz, ile czasu minie, nim przybędzie armia?

Choć raz ucieszyłem się, że nie mogę jej odpowiedzieć. Zresztą Rawnie i tak by mnie nie słuchała, gdybym próbował wyprowadzić ją z błędu. Wierzyła w to, w co chciała uwierzyć.

Podczas śniadania usta się jej nie zamykały. Niebo na wschodzie pojaśniało, a potem wzeszło słońce. Zapowiadał się pogodny, upalny dzień. Rawnie przebrała się w chłopięcy strój, wpierw kazawszy mi się odwrócić. Zgrabnie zapakowała niezjedzony prowiant, ciepły płaszcz oraz resztę swego skromnego dobytku, a potem usiadła na brzegu, zdjęła buty i zanurzyła palce nóg w płytkiej wodzie. Czekwała na armię, która nie nadejdzie. Położyłem się obok, obawiając się jej nieuniknionego rozczarowania i gniewu.

Z upływem ranka na rzece pojawiło się więcej statków. Barki ciągnięte w górę rzeki przez konie albo muły posuwające się przeciwległym brzegiem. Łodzie wiosłowe napędzane przez krzepkich mężczyzn. Barki wycieczkowe płynące z prądem albo poruszane tyczkami bliżej brzegu, choć nie tak blisko, jak szeroki, bagnisty obszar, jaki mieliśmy z Rawnie przed sobą. Gdy jakiś statek się zbliżał, dziewczynka wołała głośno i machała ręką, ja zaś kryłem się w zaroślach. Ludzie na pokładzie niemal zawsze odwzajemniali jej pozdrowienia.

Tak wiele pokoju i dobrobytu. Najpiękniejsza, letnia postać Reginokracji. Czy Duszoroślanie mieli zniszczyć to wszystko w swej nienaturalnej pogoni za wiecznym życiem? Nie wiedziałem, co uczynią teraz Wrzosowisko i Bractwo. Może zagłada tak wielu dzieci pozwoli im osiągnąć cel, a może nie. Ilu ich potrzebowali? I czy znali jakieś sposoby, które pozwolą im zebrać więcej, gdy już osiągną wystarczająco wielką moc? Zabiłem Katharine — dwa razy — ale to najwyraźniej nawet nie spowolniło tej monstrialnej wojny.

Żaden kraj nie przetrwa bez dzieci.

W południe Rawnie zrobiła się niespokojna. Weszła do błotnistej rzeki, złapała żabę, a potem ją wypuściła. Umyła konia, przywiązanego niedaleko od nas, rzeczną wodą. Wierzchowiec nie był zadowolony z jej poczynań. Uplotła wianek ze stokrotek i podarła płatki na drobne kawałeczki. Bezsukutecznie szukała czterolistnej koniczyny w szorstkiej nadrzecznej trawie, w której koniczyna nie rosła.

— Cholera, gdzie oni są? — wybuchnęła wreszcie.

Nie odpowiedziałem.

— Jak daleko stąd jest ten głupi pałac? Wiesz to, Roger, byłeś tam! Mama mi powiedziała! Poruszaj łapą, żeby mi pokazać, ile to mil!

Nie miałem pojęcia ile.

— Głupi Roger. A mama mi mówiła, że jesteś taki bystry! Oczywiście — dodała, starając się potraktować mnie sprawiedliwie — nie wiedziała, że zostaniesz burkiem bagiennym.

Przypomniawszy sobie matkę, dziewczynka nagle spoważniała. Usiadła na brzegu i wpatrzyła się w wodę z naburmuszoną miną. Obok przepłynął skif. Ludzie wołali nas i wskazywali palcami, a ona nawet nie zareagowała.

Krzyki i wyciąganie rąk nagle się ożywiły. Nie wskazywano na nas, lecz na jakiś punkt położony nieco w górę rzeki.

Potem poczułem zapach. Ludzi i koni.

Gdy do nas dotarli, jadąc przez pola na południowym brzegu rzeki, wiedziałem już, że nie przybyli tu tylko po to, by zabrać Rawnie do pałacu. Pięćdziesięciu mężczyzn w pełnych zbrojach, a na ich czele dwie sylwetki. Lord Robert Hopewell dosiadający swego wspaniałego czarnego rumaka, a obok niego Jee. Na wielkim dereszku wydawał się maleńki. Trzymał się kurczowo, by nie spaść.

Rawnie podskakiwała i wrzeszczała. Ja siedziałem oszołomiony w cieniu krzewu janowca. Czy Jee nie słyszał tego, co powiedziała wczoraj

Matka Chilton? Żadna armia nie mogłaby się zbliżyć do Galtryf niepostrzeżenie. Jago zabiłby Maggie, Charlotte i mojego ojca, a potem by uciekł. Co się wydarzyło w pałacu, że żołnierze tu przybyli?

— Popatrz, Roger! — zawołała dziewczynka. — Jak pięknie wyglądają!

Lord Robert zatrzymał swój oddział na łące za wierzbą, położonej na brzegu Albustrine. Jedynym konkurentem do trawy był tam wierzchowiec Rawnie. Dowódca zsunął się z konia, zdjął niepewnie trzymającego się w siodle Jee, i ruszył ku nam. Ujrawszy twarz lorda Roberta, mógłbym niemalże się nad nim ulitować. Kiedy go znałem, nie wierzył w tak zwane „czary” i nie ufał im. Ja pierwszy podważyłem jego przekonania i podejrzewałem, że teraz to samo uczyniła Stephanie. Jego przystojna twarz bardzo się postarzała w minionym roku.

Rawnie podbiegła ku nim.

— Przybyliście! Hej, chłopcze... jak właściwie masz na imię?

— Jee.

Z wyraźnym niesmakiem spoglądał na odzianą w chłopięcy strój Rawnie. Stephanie, drobna i delikatna, zawsze nosiła skromne sukienki i przemawiała cichym, dziewczęcym głosem.

— Jee, dziękuję ci za przyprowadzenie armii! A kim ty jesteś?

— Lord Robert Hopewell, regent Jej Miłości królowej Stephanie oraz naczelny wódz jej armii — odparł z mieszaniną irytacji i rozbawienia. Dziewczynka rozdziawiła usta na kształt okrągłej, różowej litery „O”. Potem przypomniała sobie o dobrych manierach, które Charlotte z pewnością rozpaczliwie próbowała jej wpoić, i wykonała najbardziej niezgrabne dygnięcie w Reginokracji, omal nie przewracając się na trawę.

Ale lord Robert już odwrócił od niej uwagę. Odszukał mnie spojrzeniem i jego twarz przybrała wyraz zbyt skomplikowany, bym mógł go odczytać.

Nie chciałbym jednak ujrzeć takiej miny w chwili, gdy obaj trzymalibyśmy w dłoniach pojedynkowe pistolety.

— To naprawdę jest Roger Kilbourne, dawny błazen królowej? — zapytał chłopca.

— To Roger, mój lordzie.

W cichym głosie Jee, nadal przemawiającego z akcentem Ziemi Niczyjej, na której się urodził, słyszało się napięcie. Czułem też u ich obu jego zapach. Lord regent, najpotężniejszy człowiek w Reginokracji, i wsiowy paż, przy którym upierała się młoda królowa, z pewnością spierali się o tę sprawę, a być może również o wiele innych. Życie na dworze zapewne nadal było skomplikowane i pełne frakcyjnych podziałów, jak za czasów panowania królowej Caroline.

Lord Robert spojrzał na mnie z góry.

— Ten sam Roger Kilbourne, który umożliwił Jej Miłości ucieczkę przed armią Tareka, ten sam, który... — Nagle odwrócił się w stronę Jee. — Jesteś tego pewien, paziu?

— Tak, mój lordzie.

— Pewnie, że to Roger! — odezwała się głośno Rawnie. — Ta staruszka wczoraj to widziała. Czemu ty nie potrafisz tego zobaczyć?

— Cicho, dziecko — warknął lord Robert. — Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Twarz Rawnie zrobiła się biała, a potem czerwona. Dziewczynka kopnęła lorda Roberta w łydkę. Rozwścieczony mężczyzna złapał ją, uniósł i — trzymając na odległość wyciągniętej ręki, by nie mogła powtórzyć swego wybryku — dał jej klapsa w tyłek. Zaczęła wykrzykiwać przekleństwa, więc dał jej drugiego. Jee ignorował to wszystko. Opadł obok mnie na jedno kolano i mówił mi pośpiesznie do ucha: — Nie chciał do ciebie przybyć, Roger, ale Stephanie go zmusiła. Jest królową i musi robić

to, co najlepsze dla Reginokracji. Powiedziałem jej, że Maggie jest w fortecy, ciebie zaczarowano w to, czym jesteś teraz, a niemowlęta zapadają w trans Umarłych. Lord Robert o niczym jej nie wspomniał! Potrafisz w to uwierzyć? Dowiedziałem się o tym w mieście. Gdyby nie ja, moja pani o niczym by nie usłyszała. Lord Robert traktuje ją jak dziecko.

Stephanie miała siedem lat, a Jee jedenaście.

— Opowiedziałem jej też o tym, co uczyniłeś, by uratować pałac przed Niebieskimi, kilka lat temu. By uratować jej matkę. O tym również nie wiedziała. A potem wytłumaczyłem jej, co może zrobić teraz.

Wytłumaczył jej. Królowej. Jee, którego Stephanie uczepiła się przed miesiącami, podczas naszej podróży przez krainę Umarłych. Jee, któremu najwyraźniej ufała ze ślepą lojalnością, do której nie była zdolna jej bezlitosna matka. Jee, który przekonał Stephanie, by rozkazała lordowi Robertowi przybyć tutaj i zrobić... właściwie co?

Chłopiec gapił się na mnie. Jego ciemne oczy były ruchliwe jak przesypujący się popiół. Nagle zrozumiałem, co zamierza uczynić. Przez chwilę nie byłem w stanie zaczerpnąć oddechu. Gapiliśmy się na siebie, aż wreszcie Jee skinął głową.

Rawnie nie zamierzała się uspokoić. Przekazano ją jednemu z oficerów lorda Hopewella, który zsiadł z konia i podszedł do niej, przechodząc między zwisającymi gałęziami wielkiej wierzby.

— Jeśli jeszcze raz dotkniesz lorda Roberta, związę cię — usłyszałem jego głos. — Zobaczysz. I przestań wrzeszczeć, bo inaczej zostawimy cię tutaj, kiedy wyruszymy.

Mówił poważnie. Rawnie przestała się miotać i wrzeszczeć, choć na jej twarzy nadal malowała się żądza mordy. Wiedziałem jednak, że nie zostawiliby jej tutaj, nawet gdyby wyrwała miecz lorda Roberta i wbiła mu go w brzuch. Lord Robert Hopewell już nie dowodził tą kampanią. Nie

dowodziła nią też stara Matka Chilton ze swymi kobietami z sieci, bez względu na pomoc, jaką mogła dotąd służyć małej królowej. Ani mój ojciec i jego hisafowie, zaprzysiężeni wrogowie Bractwa oraz Wrzosowiska Duszorośli.

Tą częścią wojny będą dowodziły dzieci. Jee, Stephanie, Rawnie, mój niedawno narodzony syn. Czworo dzieci i burek bagienny miało uratować dwie krainy żywych i Umarłych, za pomocą planu, który mroził zwierzęcą krew płynącą w obcych dla mnie żyłach.

Nie mogliśmy zabrać ze sobą koni. To było oczywiste nawet dla lorda Roberta, który był z tego bardzo niezadowolony. Ale z drugiej strony jemu nie podobało się nic, co zaplanował Jee, nic, o co chłopak prosił królową Stephanie. Wydając rozkazy swym ludziom, miał bardzo kwaśną minę.

— Zsiadajcie z koni. Stajenni, zajmijcie się wierzchowcami. Kapitanowie, zbiórka w trzech ciasnych rzędach.

Rozległy się odgłosy ludzkich i końskich kroków oraz pobrzękiwanie zbroi. Tratowano kwiaty na małej łące. Ludzie na przepływających obok łodziach wyciągali szyje, by zobaczyć, co się dzieje, i wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe słowa. Żołnierze ustawili się w trzy kolumny po szesnastu ludzi, z kapitanem na czele każdej. Lord Robert i jego adiutant zajęli miejsca na przodzie.

Rawnie uklękła przy mnie.

— Co oni robią? — Gdy nawet na nią nie spojrzałem, zwróciła się z niechęcią ku Jee. — Chłopcze, co oni robią?

On również jej nie odpowiedział. Zatoczyła oczyma.

— Co oni robią, Jee? — zapytała z przesadną, drwiącą uprzejmością.

— Będą atakować Galtryf.

Rawnie zmarszczyła brwi, a potem otworzyła szeroko oczy, gdy domyśliła się wszystkiego. Pobiegła przed siebie, złapała swe małe zawiniątko, popędziła z powrotem do mnie i zanurzyła brudną rączkę w futrze na moim karku. Otrząsnąłem się, by się od niej uwolnić. Złapała mnie za ogon.

— Niech każdy chwyci się tego, kto stoi przed nim — wykrztusił lord Robert. — Trzymajcie się mocno.

Mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem. Ich miny były zasepione, zdziwione albo już gniewne. Na kilku starszych dostrzegłem początki zrozumienia. Pamiętali bitwę, którą trzy lata temu stoczono w pałacu. Odwracali głowy, szaleńczo wypatrując błazna królowej. Trzej kapitanowie mieli ponure miny, ale nie okazywali zaskoczenia. Wiedzieli, co ich czeka.

— To was sprowokuje — zaczął lord Robert. Zastanawiałem się, ile czasu potrzebował, by wybrać to akurat słowo. — To nie będzie przyjemne. Ale gdy już przybędziemy do Galtryf, pamiętajcie, że walczymy z wrogiem w imię Reginokracji i królowej Stephanie. Niech żyje królowa!

— Niech żyje królowa! — powtórzyli żołnierze. Tyle przynajmniej rozumieli. Smród ich strachu wypełniał mi nozdrza. Z czasem będzie się tylko nasilał.

Żaden hisaf nie mógł w Galtryf przekroczyć granicy między krainą żywych a krainą Umarłych. Ale ja nie przybywałem z krainy Umarłych. Kobieta mysz powiedziała mi też, że żadna z kobiet z sieci nie mogła się dostać za bramy pod postacią myszy, łabędzia, jelenia albo jastrzębia. „To byłoby możliwe tylko wtedy, gdybym przybrała postać zwierzęcia, z którym dzielę duszę, wewnątrz zamku. Nie zrobiłam tego”. Ale ja nie byłem kobietą z sieci i nie zamierzałem dostać się za bramy Galtryf pod postacią zwierzęcia, z którym dzieliłem duszę. Moje ciało już tam było.

Tak czy inaczej, to był jedyny plan, jaki mieliśmy.

Jee podszedł do lorda Roberta i objął go w pasie. Trzej kapitanowie i adiutant położyli sobie ręce na ramionach, a lord Robert zrobił to samo z oficerem stojącym na lewo od niego. Wszedłem z krzaków, w których się chowałem, stanąłem na tylnych łapach, jak pies na jarmarku, nauczony zabawiania gawiedzi, i wsparłem przednie łapy na ramionach Jee. Żołnierze złamali dyscyplinę i rozległy się szepty, ale na ostre słowo lorda Roberta wszyscy ucichli, napięci jak struny lutni. Rawnie złapała mnie za ogon tak

mocno, że o mało znowu jej nie strząsnąłem, ale jej uścisk był jedynym, co mnie powstrzymywało przed podkuleniem ogona między nogami.

Tak oto wróciłem do swego ciała.

Było tak samo jak trzy lata temu, lecz zarazem inaczej. Wtedy przechodziłem przez grób, przynosząc ze sobą armię Niebieskich. Tym razem nie grób przemierzałem, ale ciężar ludzi, których za sobą ciągnąłem, był taki sam. Starąłem się wygramolić ze studni i moje wysiłki trwały bez końca, miałem więc czas na tysiąc myśli, wszystkie przepojone czarną rozpaczą: Co, jeśli ta bękarcia sztuka, w połowie pochodząca od hisafów, a w połowie od kobiet z sieci, nie pozwoli mi wrócić razem z uczezionymi mnie ludźmi?

Co, jeśli pomieszczenie, w którym przechowywano moje ciało, było za małe dla tak wielu? Czy żołnierze wylądują wewnątrz litej skały?

Co, jeśli ten nienaturalny wysiłek mnie zabije? Co wtedy się stanie z innymi?

Co, jeśli...

Co...

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej...

W oddali ktoś płakał. Jak to było możliwe w grobie? Jak mogłem słyszeć ten dźwięk? Wtem rozległ się kobiecy krzyk. Leżałem na sienniku, nie mogąc się ruszyć z osłabienia. Nawet oddychanie sprawiało mi wielkie trudności. Kobieta pochyliła się nade mną, odwróciła błyskawicznie i krzyknęła. W tej samej chwili pomieszczenie wypełnili żołnierze.

Maggie.

Maggie żyła.

Długa, pozbawiona mebli sala z kupą gruzu na jednym końcu. Lord Robert wydał krzykiem rozkazy i jego żołnierze podbiegli do drzwi. Nie były zamknięte. Po chwili wszyscy zniknęli, pozostawiając tylko dwóch,

którzy pilnowali wejścia. Rawnie chciała popędzić za nimi, krzycząc: „Mama!”, ale Jee obalił ją na twardą posadzkę.

— Musimy tu zostać, dopóki nie będzie bezpiecznie.

— Puść mnie! — darła się dziewczynka.

— Jee? — zapytała Maggie, gapiąc się na nas ze zdumieniem.

Rawnie wyrwała się i pobiegła do drzwi, ale jeden z wartowników zatrzymał ją i odepchnął z powrotem. Jee wstał. Maggie zarzuciła mu ramiona na szyję i rozplakała się.

— Ale jak... jak...

Znowu zerknęła na siennik i spojrzeliśmy sobie w oczy.

Twarz dziewczynki zamarła w pełnym oszołomienia bezruchu, jakby ktoś walnął ją kamieniem w potylicę. Gdy wreszcie zdołała przemówić, jej głos zabrzmiał inaczej niż zwykle.

— Roger...

— Wrócił — oznajmił po prostu Jee. — I sprowadził pomoc.

Przeniosła szaleńcze spojrzenie ze mnie na niego i z powrotem. Ukryła twarz w dłoniach. Całym jej ciałem targnęło przeciągłe drżenie. Nadal jednak pozostała sobą. W następnej chwili uwolniła się od strachu i pochyliła nade mną, przystawiając mi bukłak do ust.

— Roger... pij...

Nie byłem w stanie. Wszystko pociemniało, wróciło i znowu zaczęło falować. Umierałem.

Byłem jednak świadomy wszystkiego, czego nie widziałem, niemal nadnaturalnie świadomy. Z korytarza dobiegały krzyki i szczęk mieczy. Rawnie kłóciła się z wartownikiem. Jee podszedł do Maggie i objął ją. Uczepiła się go jak tonąca tratwy. Chłopiec odsunął ją jednak delikatnie, sięgnął po mieszek u pasa, wyjął fiolkę i siłą wlał mi jej zawartość do ust.

— To od Matki Chilton. Może nie wystarczy, ale nie miała nic więcej.

Poczułem na języku gorzki smak płynu. Byłem za słaby, by cokolwiek powiedzieć. Odszukałem spojrzeniem Maggie, która ścisnęła mocno moją rękę i rozplakała się. Ostatnie, co zobaczyłem, były jej łzy i gniewna twarz pochylającej się nad siennikiem Rawnie.

— Cholera, co się z tobą dzieje? Roger, nie waż się umrzeć, dopóki nie znajdziemy mamy i taty! Nie waż się!

Ciemność.

Byłem w krainie Umarłych, a potem wróciłem do krainy żywych. Nie, to było niemożliwe. Tylko mi się wydawało, że to rzeczywistość. Inni pojawiali się i znikali razem ze mną.

Widziałem Stephanie. Mała królowa płakała.

Widziałem Maggie. Ona również płakała. Położyła chłodną dłoń na moim czole, mówiąc coś, czego nie słyszałem.

Widziałem Alysse, która rzekła mi: „Już ci mówiłam, Roger, że ci, którzy żyją, i ci, którzy umarli, są połączeni w wielką sieć. Jak mogłoby być inaczej, jeśli Umarli byli niegdyś żywi, a żywi muszą pewnego dnia dołączyć do Umarłych?”.

Widziałem Jee, dźwigającego za duży dla siebie miecz. Broń rozbłysła w promieniach słońca i zniknęła z głośnym brzękiem.

Widziałem Toma Jenkinsa, który grał w kości z Fią, podczas gdy burek bagienny tańczył wokół nich niczym nadworny błazen.

Widziałem swą szaloną przyrodną siostrę jako mroczną, pogrążoną w żałobie sylwetkę we mgle.

— Dlaczego to zrobiłeś, Roger? Dlaczego mnie zabiłeś?

Widziałem lorda Roberta, który skrzywił się i oznajmił: „Zwyciężyliśmy”.

Widziałem też Matkę Chilton, która odpowiedziała mu: „Nic nie rozumiesz”. Ale nie mogłem jej widzieć, bo była za stara, by wyruszyć do

Galtryf. Nie mogłem widzieć nikogo z nich, bo przecież Alysse, Tom i Fia nie żyli. Czy ja również umarłem?

Widziałem starca o białej brodzie i zielonych oczach, unoszącego nóż nad moim sercem.

Pojawiałem się w krainie Umarłych i znikalem z niej, co również nie było możliwe, ponieważ w Galtryf nikt nie mógł przechodzić na drugą stronę, a ja właśnie tam przebywałem, nieprawdaż? Trwała bitwa, po której lord Solek padł na zieloną posadzkę pod drzwiami królowej Caroline... a może to była inna bitwa? Wydawało mi się, że lord Solek zmartwychwstał, a jego syn, Tarek, stoi za nim.

— Dokąd one odchodzą, Roger? — pytali mnie chórem, a Leo przygrywał im na lutni.

I nagle wróciłem do siebie. Znowu byłem Rogerem Kilbourne'em. Pod plecami miałem podskakujący wóz, a moje ciało zrobiło się tak chude, że czułem się, jakbym dotykał kręgosłupem desek, mimo że leżałem na kilku grubych kocach. Ale wróciłem.

Sen.



— Chyba oddycha teraz regularniej.

— Tak, dziecko. Będzie żył.

Sen.

— Jak długo jeszcze, Jee?

— Będzie ze dwa dni.

— To cholernie długo! I nikt nie pozwoli mi jechać konno?

— Oni dbają o konie.

Sen.

— Dlaczego nie zabiją go od razu? To nie ma sensu!

— Cicho, Rawnie. Obudzisz Rogera.

— Nic go nie budzi! Był ciekawszy jako...

— Cicho! Mówię poważnie, młoda damo!

Sen.

Kolejne przebudzenie. Tym razem wiedziałem, że będę żył.

Leżałem na pośłaniu z koców, wewnątrz małego namiotu, ustawionego na wozie za pomocą wygiętych i powiązanych drzewek. Wóz się zatrzymał. O namiot stukał lekki deszcz, a przez wejście do środka napływał świeży, słodki zapach wilgoci. Charlotte siedziała przy mnie na niskim stołku o trzech nogach, czytając książkę. Gdzie ją znalazła? I gdzie się znajdowałem?

Nie w Galtryf. Choć trudno mi było oddzielić prawdziwe wspomnienia od wywołanych gorączką majaczeń i skutków działania medykamentów Jee, byłem pewien, że wielokrotnie przechodziłem do krainy Umarłych, podobnie jak maleńcy hisafowie, którzy nie mieli siły woli, potrzebnej, by zapanować nad tym, dokąd wyśle ich ból. Ja również utraciłem wolę i panowanie nad sobą. To świadczyło, że byłem bardzo bliski śmierci. Gdybym pozostał w Galtryf, niezrozumiała, nieprzebyta bariera powstrzymałaby mnie przed przechodzeniem, nawet mimowolnym. Podróżowałem. Czy raczej podróżowaliśmy. Kto? Dokąd? I po co?

Charlotte jeszcze nie zauważyła, że otworzyłem oczy. Wyglądała na wychudłą i znużoną. Czy mój ojciec też tu był? A Rawnie? Podczas choroby wydawało mi się, że ją słyszę, ale słyszałem też Toma Jenkinsa, Fic i swą siostrę Katharine, a to nie było możliwe. Nie wiedziałem, ile czasu minęło.

Charlotte odwróciła stronicę i zerknęła na moją twarz.

— Roger? — zapytała głosem delikatnym jak wietrzyk.

Spróbowałem skinąć głową, ale nie byłem w stanie.

— Tak — zdołałem wychrypieć.

— Och, dzięki niebiosom. Myśleliśmy, że cię stracimy!

Chciałem zapytać o Maggie, ale byłem za słaby, by wy powiedzieć jej imię. Po chwili znowu zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, była przy mnie. Wóz znowu ruszył w drogę, powoli niczym kondukt pogrzebowy. O dach namiotu nadal bębnił deszcz. Maggie uśmiechała się do mnie, w szarych oczach miała łzy, a jasne loki opadały jej na czoło, tak samo jak w moich wspomnieniach.

— Roger, dam ci coś do picia. Musisz to przełknąć. Nie sprzeciwiaj się.

Jakbym był w stanie się sprzeciwiać! Nagle jednak przypomniałem sobie niejasno smak tego, co wkładała mi do ust. Z pewnością zmuszała mnie do przełknięcia tego, gdy byłem w malignie. To był rzadkawy kleik, nie obrzydliwy, ale pozostawiający gorzki posmak ziół. Domyślałem się, że to on — zarówno pokarm, jak i eliksir — utrzymał mnie przy życiu po bolesnym powrocie z ciała burka bagiennego. Matka Chilton miała rację. Hisafowie nie powinni się parać sztukami kobiet z sieci.

— Czy zjadł wszystko? — zapytał ktoś stojący za plecami Maggie. Charlotte. Potem zjawiała się też Rawnie, wpychając piegowatą twarz między dwie kobiety. Woda skapywała z jej rudych warkoczy na moje koce.

— Tak, wszystko — potwierdziła Maggie, biorąc mnie za rękę. — Rawnie, odsuń się!

— Przepraszam — rzekła Charlotte. — Rawnie, słyszałaś, co powiedziała Maggie. Przestań kapać na Rogera.

— Nic na to nie poradzę — odparła dziewczynka. — Chcę się zbliżyć, by móc go dobrze zobaczyć. Roger, cieszę się, że nie umarłeś, ale byłeś

chory bardzo długo i wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Chcesz, żebym ci o tym opowiedziała?

— T...tak.

Maggie wzniosła oczy ku niebu. Widziałem jej zniecierpliwienie w stosunku do Charlotte, niepotrafiącej zapanować nad córką. Swojemu synowi nigdy nie pozwolę tak się zachowywać — mówiło jej spojrzenie. Chciałem ją zapytać o naszego chłopca, ale nie wolno mi było tego zrobić. Nikt nie mógł się o nim dowiedzieć.

— Jest bezpieczny — wyszeptała mi jednak do ucha, pochylając się nisko nade mną i udając, że całuje mnie w czoło.

— On chce, żebym to ja mu wszystko opowiedziała! — zawołała triumfalnie Rawnie. Miała rację. Dziewczynka z pewnością wiedziała więcej niż Maggie i Charlotte, przez większość czasu zapewne zajęte opieką nade mną. Zawsze wiedziała więcej.

Charlotte uznała się za pokonaną i wstała ze stołka. Rawnie klapnęła na nim, ignorując Maggie, która nadal trzymała mnie za rękę. Jej palce były ciepłe i realne.

— No więc — zaczęła dziewczynka podniosłym tonem — w Galtryf stoczono naprawdę nadzwyczajną bitwę. Po tym, jak nas tam przeniosłeś, ludzie lorda Roberta wpadli do zamku, by go oczyścić, a ja pobiegłam za nimi, śpiesząc im z pomocą.

Przypomniałem sobie wartownika zatrzymującego ją przy wyjściu, ale nawet gdybym był w stanie przemówić, nie zrobiłbym tego. Niech opowie to po swojemu. Potem oddzielę prawdę od upiększeń.

— Lord Robert łatwo wygrał bitwę, dzięki swym wszystkim żołnierzom. Niektórzy się bali, że źli hisafowie mogą zabić mamę, tatę i Maggie, ale ja myślałam, że zatrzymają ich przy życiu, żeby móc się targować o własne, i okazało się, że miałam rację. Z tych, którzy byli po naszej stronie, zginęli

tylko jeden żołnierz i Joan, a ją zabito już wcześniej, po tym, jak wypuściła mnie z Galtryf.

Rawnie umilkła na chwilę. Jej drobna buzia przybrała niecodzienny poważny wyraz. Zastanawiałem się, co usłyszała o śmierci Joan. W jaki sposób zginęła? Czy tę udręczoną kobietę, nadal oplakującą śmierć Cecylii, torturowano za to, że pomogła Rawnie w ucieczce? Nie zapytałbym o to dziewczynki, nawet gdybym mógł. Nie byłbym w stanie znieść tej świadomości.

— Lorda Jagona zabito — ciągnęła Rawnie. — Nie wiem, jak to się stało, ale mam nadzieję, że lord Robert przeszył go mieczem. Leo też zginął. Chciałam dostać jego lutnię, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Nasi żołnierze znaleźli mamę, tatę i Maggie, a potem wypuścili wszystkich z cel. Tata tak się ucieszył na mój widok! Potem musieliśmy zabrać ze sobą starca. Tak powiedział tata. Nikt mi nie mówi, dlaczego ani jak brzmi jego imię. Ale dowiem się tego.

Maggie naprężyła nagle mięśnie.

Jakiego starca? Nagle sobie przypomniałem podniecenie i szacunek okazywane przez mieszkańców, gdy ktoś przybył do Galtryf, a potem postać stojącą nade mną, gdy byłem na arenie. Wtedy również wszyscy kłaniali się uprzejmie. Zielone oczy, biała broda, długa, również biała szata... Nagle uświadomiłem sobie to, czego na arenie nie pozwoliły mi zrozumieć strach oraz natłok wydarzeń: znałem go. To był człowiek prowadzący ceremonię w Hygryll, gdzie omal mnie nie zamordowano i nie pożarto. Unosił nóż nad moim sercem, gdy leżałem związany na płaskim kamieniu, i tylko przybycie Toma Jenkinsa, a potem psów mojego ojca, uratowało mi życie.

— Z początku — kontynuowała Rawnie — tata pragnął, żeby lord Robert został w Galtryf, ale on nie chciał się zgodzić. Okropnie się o to

pokłócili. Schowałam się w rozbitej szafce i wszystko słyszałam. Lord Robert zaczął tak!

Zerwała się na nogi i przewróciła stołek, który upadł na mnie. Maggie prychnęła z irytacją i postawiła go. Rawnie, jako lord Robert, wypięła pierś, obniżyła tonację głosu i zmarszczyła groźnie brwi. Leo byłby dumny z takiego występu.

— „Nie będę tu zwlekał dłużej, Rawley. Paź Jej Miłości powiedział mi”... — Roger, szkoda, że nie widziałeś, z jakim gniewem spojrział na Jee... — „że to miejsce jest źródłem czarów, które spadły na niemowlęta z Reginokracji. Paź przekonał o tym Jej Miłość, a ona rozkazała mi tu się udać. Jestem zobowiązany wykonywać jej rozkazy, ale czary nie osłabły!”

Dziewczynka poruszyła lewą ręką, jakby dotykała sterty papierów leżącej na prawo od niej.

— A potem lord Robert dodał: „To raporty moich kurierów! Czary nie osłabły! Niemowlęta nadal wprowadza się w trans w całej Reginokracji. Zdobycie tej leżącej w gruzach placówki w niczym nie pomogło, a teraz znalazłem się na samym końcu świata, zamiast bronić stolicy! Młody Wódz przygotowuje się do wojny, by odzyskać Jej Miłość po tej żalösnej farsie, jaką był ich ślub, a ja, dowódca armii Jej Miłości jestem tutaj z... E tam!”. Potem lord Robert ściszył głos i oznajmił: „Jutro wyruszamy”. I wyruszyliśmy.

Rawnie zamyśliła się na chwilę.

— Myślę, że to dobry człowiek, ale głupi.

— Nic o tym nie wiesz — skarciła ją ostrym tonem Maggie.

— Mówię do Rogera, Maggie — odcięła się Rawnie. — Prosił mnie o to, pamiętasz? Tak czy inaczej, Roger, tacie nie spodobał się ton, jakim mówił do niego lord Robert. Widziałam to. Jakby przemawiał do sługi. Ale tata nic nie powiedział. Potem wybuchła wielka kłótnia o to, kto opuści

Galtryf, a kto tam zostanie. Nie słyszałam wszystkiego, bo to się działo w różnych komnatach, a ja nie mogę być w więcej niż jednym miejscu naraz, tak? Jednym z problemów był starzec, bo tata nalegał, by pojechał z nami, a wszyscy się boją, że źli hisafowie spróbują go odbić. Nie wiem, po co mieliby zawracać sobie głowę. Nie wygląda zbyt imponująco. Nie podobają mi się te zielone oczy, a kiedy je, ma w brodzie okruchy. Widziałam to. Wiesz, kto to jest, Roger? Mniejsza z tym, i tak nie możesz mi teraz powiedzieć. Wcale nie jest lepiej niż wtedy, gdy byłeś burkiem bagiennym.

— Rawnie!

Głos Maggie był ostry jak bicz. Charlotte, stojąca u wejścia do namiotu, wydała z siebie ciche, bezradne westchnienie.

— Nikt zły mnie tu nie usłyszy! — zaprotestowała dziewczynka. — Chroni nas cała armia! Poznam prawdę o tym starcu, Roger. Potrafię się dowiedzieć wszystkiego. Nie dalej jak wczoraj odkryłam, jak brzmi hasło taty na ten dzień. To tajne słowo, dzięki któremu wszyscy dobrzy hisafowie wiedzą, że rozkaz rzeczywiście pochodzi od taty. Codziennie jest nowe, a wczorajsze brzmiało... nie, nie powiem ci! To tajemnica. Schowałam się w pustej beczce po ale, jak kurier przynoszący tacie wiadomość podał hasło pełniącemu straż hisafowi. Nie wiem, skąd przybył ten kurier, ale nie z Galtryf. Tata otrzymuje równie wiele meldunków co lord Robert, a wszystkie są tajne. Nell też ma swoje tajemnice. Otrzymuje informacje od Matki Chilton.

Od Matki Chilton? Poczułem, że znowu ogarnia mnie senność z powodu zmęczenia albo medykamentów zawartych w kleiku Maggie. Jednakże słowa Rawnie na nowo pobudziły moją uwagę. Co mogła wiedzieć o Matce Chilton? I kim była Nell?

— Matki Chilton tu nie ma, Roger — odezwała się pilnie mnie obserwująca Maggie.

— Nie ma — potwierdziła Rawnie, łypiąc na Maggie ze złością za to, że jej przerwała — ale przysłała kurierów. Albo coś. Nie jestem pewna, jak to wygląda, ale ona mówi Nell różne rzeczy. Ciekawe rzeczy. Czasami Nell mi je powtarza.

Maggie spojrzała na mnie i wyczytałem w jej oczach nagły niepokój, który zawsze się tam pojawiał, gdy wspomiano o przechodzeniu na drugą stronę, o Matce Chilton, o wszystkim, co miało coś wspólnego z... Wszystko zrozumiałem. Nell była kobietą z sieci.

— Nell dołączyła do nas natychmiast po tym, jak opuściliśmy Galtryf — wyjaśniła Maggie. — Jest uzdrowicielką. To ona sporządziła eliksiry, które ocaliły ci życie.

— Matka Chilton wyjaśniła jej, jak to zrobić — odezwała się Rawnie, odzyskując prymat w ten sposób, że przesunęła się przed Maggie na wąskim wozie. — Tak powiedziała mi Nell. Ale ona wie wszystko o ziołach nawet bez pomocy starej wiedźmy.

Dostrzegalem już cały obraz. Nell wysłano na Wrzosowisko Duszorośli, zapewne pod postacią zwierzęcia, z którym dzieliła duszę, by spotkała się z nami, gdy tylko opuścimy Galtryf. Matka Chilton udzielała jej wskazówek za pośrednictwem snów. A tych snów nie wysyłano teraz za pośrednictwem Stephanie, która miała dopiero siedem lat i nie mogła wyśnić czegoś tak skomplikowanego jak recepty na sporządzanie eliksirów. Nie, sny wysyłano przez nowy kanał, łączący wszystkie kobiety z sieci i mnie: mojego syna.

Nell z pewnością przyniosła również Maggie wieści o tym, że małemu Tomowi nic nie grozi. Postawiłbym jednak kompletną rękę, że nie powiedziała jej, gdzie naprawdę przebywa.

— Z roślin można zrobić mnóstwo różnych rzeczy — nie przestawała gadać Rawnie. — Czy wiedziałeś, że cis to trucizna dla psów? Nie wolno

pozwolić szczenięciu ogryzać cisowego łuku. Wierzbowa kora może złagodzić ból zębów. Korzeń selcane pomaga zasnąć. Ostrokrzew...

— Gdzie... jest... starzec? — zdołałem wykrztusić.

— Jedzie w drugim wozie z namiotem. Cały czas śpi. Naprawdę cały czas. Nell podaje mu eliksir, żeby się nie obudził... Roger, słuchasz mnie? Nie zasypiaj, jeszcze nie skończyłam!

Ale sen wciągał mnie niepowstrzymanie niczym wartki nurt rzeki. Usłyszałem, że Rawnie przyśpiesza, próbując zakończyć opowieść, gdy jeszcze mogę jej słuchać.

— Wędrujemy już z górą tydzień. Lord Robert przeklina wrzosowisko, które nas spowalnia. Dwa dni temu koła wozu, na którym trzymają starca, ugrzęzły w trzęsawisku i potrzeba było wielu godzin, by go wyciągnąć. Lord Robert nienawidzi tego wrzosowiska. Jeden żołnierz wpadł w bagno i zanurzył się aż po szyję, nim zdołali go uratować. To było bardzo ekscytujące! Tak czy inaczej, za dwa dni dotrzemy na miejsce.

To znaczy gdzie?

To była moja ostatnia myśl, a następne słowa Rawnie były ostatnimi, jakie usłyszałem, nim pochłonęła mnie rzeka snu.

— Nie wiem jeszcze, po co tata wybiera się do tego miejsca zwanego Hygryll.

Kiedy się obudziłem, było ciemno. Tym razem na stołku o trzech nogach obok mnie siedziała nieznajoma dziewczyna, widoczna w blasku jedynej świecy. Wóz się nie poruszał. Maggie leżała na kocach u wejścia do namiotu, zajmując większą część wolnej przestrzeni. Najwyraźniej zarządziła — a może zrobił to ktoś inny — że cały czas ktoś musi mnie obserwować. Nie wątpiłem, że to ona wyznaczyła zmiany. Nawet gdy dyżur pełnił ktoś inny, była blisko.

Dziewczyna natychmiast zauważyła, że otworzyłem oczy. Przyjrzelśmy się sobie w migotliwym blasku świecy i moje serce zabiło gwałtownie. Była bardzo podobna do Cecylii. Te same błyszczące, kasztanowe włosy, zielone oczy i drobny podbródek. Potem jednak zauważyłem, że jest starsza, ma silniej zarysowane usta i sprawia wrażenie bardziej stanowczej. Była tym, kim mogłaby się stać Cecilia, gdyby urodziła się z talentem do sztuk duszy, a Matka Chilton nauczyłaby ją robić z niego użytek.

— Jesteś Nell — stwierdziłem. Słowa z łatwością wyszły mi z ust. Sen oczyścił moje ciało z zawartych w kleiku eliksirów. Byłem zdeterminowany więcej ich nie spożywać.

— Jestem Nell.

Usiadłem. To również przyszło mi łatwiej, niż się spodziewałem, choć na moment dopadły mnie zawroty głowy, które jednak szybko minęły.

— Twoje medykamenty ocaliły mi życie i dziękuję ci za to, ale...

— Nie zrobiłam tego dla ciebie — przerwała mi.

— Tak też myślałem — odparłem z przekąsem. — Ty, Matka Chilton, Alysse, Fia, wszystkie kobiety z sieci z wielkim zapalem tłumaczą mi, że

nie robią niczego dla mnie.

— Stawka jest większa niż jakikolwiek krnąbrny chłopiec.

— Nie jestem chłopcem. Jestem mężczyzną i ojcem.

— Tak — przyznała.

Choć jej nie lubiłem — dlaczego wszystkie kobiety z sieci zawsze musiały mnie besztać? — cieszyłem się, że możemy się ze sobą zgodzić choć w jednej sprawie. Nie chciałem jej rozgniewać. Mogłem się od niej dowiedzieć rzeczy znacznie wykraczających poza wiedzę Rawnie, Maggie i Charlotte. Dlatego zmusiłem się do rozciągnięcia ust w uśmiechu.

— Uczyłaś Rawnie wiedzy o roślinach.

— Tak. Nie ma talentu do sztuk duszy, ale może przynajmniej przyswoić sobie praktyczną wiedzę, która uczyni ją użyteczną.

Użyteczną dla kogo? Nie powiedziałem jednak tego na głos. Wrogość, jaką okazywała mi Nell, była niepokojąca. Nawet nie zadawała sobie trudu, by ją ukrywać. Mimo to potrzebowałem jej.

— Rawnie mówi, że zmierzamy do Hygryll.

— Tak. Dlatego teraz z tobą rozmawiam.

— Ze mną?

Nie odpowiedziała mi natychmiast. Za wejściem do namiotu widziałem wschodzący księżyc, wąski sierp na rozgwieżdżonym niebie. Która była godzina? W obozie nie było zupełnie cicho. To nie mogłoby się zdarzyć w obozowisku o tych rozmiarach, nawet najciemniejszą nocą. Koń tupał niespokojnie. Pies czekał. Czy to był prawdziwy pies, czy też jedno z szarych stworzeń z krainy Umarłych, noszące w sobie hisafa? Nieopodal wozu jeden z żołnierzy powiedział coś do kogoś, ale nie zrozumiałem słów. Lord Robert z pewnością wystawił wartowników w obozie i wokół niego.

Nell przesunęła się na stołku i blask świecy zatańczył w jej włosach, przywołując błyski barwy cynamonu, złota i miedzi. Znowu pomyślałem o

Cecilii. Kochałem Maggie, wreszcie oddałem jej serce. Pragnąłem spędzić z nią resztę życia. Wiedziałem jednak, że wspomnienie o Cecylii nigdy nie przestanie mnie prześladować, pełne bólu i żalu.

— Rawnie z pewnością ci powiedziała, że lord Robert i twój ojciec przewożą z nami jeńca — odezwała się wreszcie Nell.

— Tak.

Znowu nastąpiła długa przerwa, jakby dziewczyna się zastanawiała, ile mi powiedzieć.

— Nie wiemy, jak ma na imię starzec. Nadal. Duszoroślanie ostrożnie traktują imiona, jakby wierzyli, że słowa mają w sobie moc. Nie mają, ale starzec ma. Więcej mocy, niż potrafisz sobie wyobrazić. I to twoja wina.

— Moja?

— Przynajmniej częściowo. Gdyby nie twoje ingerencje, Wrzosowisko Duszorośli nie zdołałoby tak szybko zgromadzić równie potężnej mocy. A teraz znaczna część owej mocy skupiła się w starcu. Otacza go ogromna ciemność duszy. Gigantyczne skupienie mocy ukradzionej z życia i śmierci innych, w tym również twojej siostry. Ale nie tylko jej. Za każdym razem, gdy Wrzosowisko Duszorośli zabiera krąg Umarłych, ich moc pochłaniają obserwatorzy skupieni pośrodku kręgu. W ten sposób stają się potężniejsi. Cała moc każdej umarłej duszy, gromadzona w ciągu lat, dziesięcioleci i stuleci, pada ofiarą kradzieży, a Umarli znikają. Nic nie może istnieć, jeśli utraci swą esencję, którą zwiemy *vivii*.

Nigdy dotąd nie słyszałem tego słowa. Wiedziałem jednak ową kradzież.

— Oni mają rację. Jeśli zgromadzi się wystarczająco wiele *vivii*, można żyć wiecznie. Ale za jaką cenę!

Wykroczyła poza granice mojego pojmowania.

— Cenę? Jaką cenę płacą Duszoroślanie za wieczne życie?

— Oni żadnej. My ją płacimy, wszyscy pozostali, zarówno tutaj, jak i po drugiej stronie.

Widziałem to już.

— Ale ponieważ wszystkie dusze łączą się ze sobą w wielkiej sieci bytu, oni również w końcu będą musieli zapłacić.

Tego nie widziałem i nie byłem pewien, czy w to wierzę.

— Zwiemy tego starca „Zwiastunem”, ponieważ musimy go jakoś nazywać, ale żadna z nas nie rozumie owej wielkiej ciemności duszy. Nie pojmujemy też, dlaczego twój ojciec uparcie chce go zabrać do Hygryll. Lord Robert mimo woli zapewnił Rawleyowi ochronę, potrzebną, by mógł to zrobić bezpiecznie. Kiedy dotrzemy do Hygryll, twój ojciec zabije Zwiastuna. Nie chcemy...

— To nie ma sensu — przerwałem jej. — Jeśli mój ojciec chce go zabić, czemu nie zrobił tego w Galtryf? Po co zabiera go w długą podróż przez Wrzosowisko Duszorośli, ryzykując, że Bractwo go odbije?

— Nie wiemy tego — przyznała.

— Nie ma powodu zabierać go do Hygryll. Byłem tam. Osada w niczym nie przypomina Galtryf. To tylko skupisko chat, ukrytych częściowo pod ziemią, prymitywnych i...

Przerwałem. Jedno różniło Hygryll od wszystkich innych małych wiosek. Umarła tam pierwsza żona Rawleya, matka moja i Katharine. I urodziła się tam moja siostra.

— Nie wiemy, po co Rawley wiezie Zwiastuna do Hygryll — przyznała z niecierpliwością w głosie Nell. — Ważne jest jedno. Hisafom nie wolno go zabić. Słyszałeś, Rogerze Kilbourne? Do tej pory poważnie nadwerężyliśmy sieć bytu, ale nie rozerwaliśmy jej poza możliwość na prawy, wyłącznie dzięki temu, że udało się zachować moc w chwiejnej równowadze. Jeśli Rawley zabije Zwiastuna, uwolni się straszliwa,

monstrualna ilość mocy, która nie będzie miała dokąd odpłynąć. Sieć się rozerwie i...

Dziewczyna załkała.

Gapilem się na nią ze zdumieniem. Nie przypuszczałem, że Nell, wyglądająca na tak bardzo twardą, jest zdolna do płaczu.

Po chwili wzięła się w garść.

— Rozumiesz, Roger? Musisz przekonać Rawleya, żeby nie zabijał Zwiastuna!

— Nie mam żadnego wpływu na ojca. Przez całe życie widziałem go tylko raz.

I to nie było radosne spotkanie. Powalił mnie na ziemię. Wysłał w niebezpieczną podróż z Tarekiem, Młodym Wodzem. Obiecał, że mnie uratuje, ale tego nie zrobił.

— Nieważne — odparła. — Musisz to zrobić! Zwiastun nie może zginąć! Zagrożenie dla sieci jest ogromne! Nie możesz pozwolić, żeby twój ojciec go zabił!

Mój ojciec, który uważał wojnę z Duszoroślą za kwestię zwykłego wyłomu w fortyfikacjach. Dziury w barierze dzielącej żywych od Umarłych. Nie wierzył w sieć bytu. A ja? Sam nie wiedziałem, w co wierzę.

— Nic nie rozumiesz — odpowiedziałem. — Kogo jak kogo, ale mnie ojciec z pewnością nie wysłucha. Jak mógłbym...

— Cicho!

— Słyszałem głosy — odezwał się jakiś mężczyzna. — Czy jesteś sam, młody Kilbourne?

To był jeden z wartowników lorda Roberta. Widziałem zarys jego głowy w wejściu do namiotu. Nell zniknęła.

— Tak — odpowiedziałem. — Krzyczałem przez sen.

Żołnierz cofnął głowę. Jego głos był ostry i pełen strachu, podobnie jak głos Nell, choć z innego powodu. Może pamiętał mnie z bitwy w pałacu przed trzema laty, a może nie.

Nell nie wróciła. Jeśli zmieniła się w mysz, węża albo pajaka i uciekła z wozu przez szparę między deskami, nie zauważyłem tego. Byłem sam w sposób, jakiego ten młody i gniewny żołnierz nie potrafiłby sobie wyobrazić. Miałem tylko Maggie, śpiącą na deskach kilka jardów ode mnie. Choć nie mogła mi pomóc w sprawach, o których mówiła Nell, wyciągnąłem kompletną rękę i zacisnąłem dłoń na jej spódnicy. Maggie się nie obudziła. Nie mogąc zasnąć, uczepiłem się kawałka materiału, jakby był tratwą na bezkresnym, burzliwym, nieznanym morzu.

Przed świtem obóz obudził się do życia. Mężczyźni pokrzykiwali, konie rżały, psy szczekały. Maggie się obudziła i podeszła do mnie sennym krokiem.

— Roger! Jesteś ubrany!

— Czuję się już znacznie lepiej.

Pocałowała mnie ostrożnie, jakbym był ciężko chory albo bardzo stary, ja zaś odwzajemniłem pocałunek, jakby była całkowicie zdrowa. Tak dobrze było trzymać ją w ramionach! Pocałunek stawał się coraz głębszy, ale po chwili Maggie uwolniła się z moich objęć, zdyszana i roześmiana.

— Nie. Nie możemy. Jeszcze dla ciebie za wcześnie. Zrobię ci śniadanie!

— Nie chcę już korzenia selcane w jedzeniu, Maggie.

Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na mnie.

— Spałem wystarczająco długo. Nie byłem chory, tylko słaby, a teraz ta słabość minęła.

Wstałem, żeby to udowodnić, i natychmiast się przewróciłem.

— Roger!

— Nie przejmuj się mną. Nic mi nie jest.

— Gdyby nic ci nie było, mógłbyś się utrzymać na nogach — odparła cierpkim tonem. Już wróciliśmy w stare koleiny. Ona mi rozkazywała i czyniła wyrzuty, a ja próbowałem się opierać. Nie miałem nic przeciwko temu. Była Maggie, a ja Rogerem. Byliśmy razem. Znowu wstałem, tym razem ostrożniej, i zszedłem z wozu, by po raz pierwszy od dwóch tygodni zaczerpnąć świeżego powietrza. Maggie poszła za mną.

Ze wszystkich stron otaczało nas monotonne Wrzosowisko Duszorośli, ciągnące się aż po horyzont: sprężysty torfowy grunt usiany głazami, kępami janowca, wrzосу oraz płytkimi, zdradzieckimi grzęzawiskami porośniętymi turzycą. Gdzieś tam widziało się też skalne wyniosłości. Poranek był chłodny i bezchmurny. Na wschodzie jaśniał już blady, perłowy blask, ale sierp księżycy nadal widniał wysoko na niebie, a najjaśniejsze letnie gwiazdy również były widoczne.

Cztery konie o szerokich grzbietach i potężnych piersiach zaprzęgano do czterech wozów. Na dwóch rozpięto namioty, dwa pozostałe zaś wyładowano zapasami. Te cztery konie pociągowe oraz dwa kuce były tu jedynymi zwierzętami. Sir Robert wracał ze swą armią na piechotę.

Żołnierze — dzięki mnie — przybyli do Galtryf tylko ze zbrojami i bronią. Całą resztę zrabowano z zamku. Nie było tego zbyt wiele. Ludzie spali bez koców na gołej ziemi, a podczas śniadania dzielili się miskami i bułkami. Jee pojawił się obok mnie na swój bezgłośny sposób. Na bluzę włożył podrapany skórzany napierśnik. Przycięto go, by pasował na chłopca, o czym świadczyły poszarpane brzegi.

— Czujesz się już lepiej, Roger?

— Tak. Lepiej.

Przyglądałem się jedenastolatkowi, który — dzięki przywiązaniu małej królowej — przyprowadził do Galtryf armię i uratował Maggie. Urósł,

odkąd go poprzednio widziałem, ale niewiele. Mały, drobny chłopiec o ciemnych oczach, tajemniczych jak zawsze, zmienił bieg wojny. Pod pożyczonym napierśnikiem biło najwierniejsze serce, jakie w życiu znałem. Z pewnością wierniejsze od mojego.

— Maggie — odezwałem się, gdy przyglądała potargane włosy chłopca.
— Chyba jednak jestem głodny. Czy można dostać jakieś śniadanie? Tylko nie kleik. Coś odpowiedniego dla mężczyzny.

— Coś ci znajdę — zapewniła, kompetentna jak zawsze, i oddaliła się.

— Jee, powiedz mi, dlaczego maszerujemy do Hygryll. Nell tego nie wiedziała. A ty?

— Nie — odparł, jak zwykle mówiąc powoli i z wiejskim akcentem. — Ale w Galtryf coś się wydarzyło. Widziałem to. Nell nie widziała i wielu innych też nie.

Rozejrzał się wkoło. Dwaj żołnierze, być może obozowi wartownicy, przyglądali się nam. Ich miny nie były przyjazne, podobnie jak spojrzenia, jakimi obrzucali mnie ładujący wozy żołnierze. A więc zaczynało się od nowa, ta sama podejrzliwość i strach przed Rogerem Czarownikiem. Ten strach był dla mnie niebezpieczny. Miałem nadzieję, że lord Robert utrzymywał tak dobrą dyscyplinę, jak się zdawało.

— Wracam na wóz — poinformowałem Jee. — Na razie odejść i wróć, kiedy będziesz mógł to zrobić po kryjomu.

Wdrapałem się na wóz, ciesząc się, że choć mięśnie nadal miałem słabe od długiej bezczynności, nic mi nie dolegało. Jee był już na miejscu. Oddalił się, okrążył ukradkiem pojazd, wdrapał się na koło i wsunął pod tkaninę. Nawet sama Nell, jako szczur, pająk, czy w co tam się zamieniała, nie mogłaby tego zrobić bardziej niepostrzeżenie.

— Co widziałeś w Galtryf, Jee? Opowiedz mi wszystko.

— To zdarzyło się zaraz po naszym przybyciu. Żołnierze wybiegli z twojego pokoju. Widziałem, że żyjesz i jesteś z Maggie. Rawnie spróbowała wyjść, ale wartownicy ją zatrzymali.

Przypomniałem sobie komnatę o kamiennych ścianach, wrzeszczącą, wierzgającą Rawnie oraz dwóch mężczyzn, którzy próbowali poskromić dziewczynkę, nie czyniąc jej przy tym krzywdy.

— Wymknąłem się, kiedy byli nią zajęci — ciągnął Jee — i poszedłem za lordem Robertem. Nie może go spotkać nic złego. Jej Miłość go potrzebuje. Żołnierze skierowali się w różne miejsca twierdzy, ale ja szedłem za lordem Robertem i jego przybocznymi. Na szczycie zamku grupa ludzi strzegła komnaty. Byli wśród nich hisafowie i wojownicy z Duszorośli. Walczyli zawzięcie, ale nasi żołnierze zabili wszystkich. Lord Robert wszedł do środka, a ja za nim. Był tam ten starzec. Mój lord nie zabiłby kogoś tak starego, ale kiedy podszedł bliżej, tamten wyciągnął nóż i zranił go w bok. Niezbyt poważnie, ale adiutant rzucił się do ataku i jego miecz przeniknął przez starca, nie czyniąc mu szkody.

Wstrzymałem oddech.

— Widziałem to. Naprawdę. To było tak samo jak z Niebieskimi żołnierzami, których sprowadziłeś z krainy Umarłych. Nie można go zabić. Możliwe, że już nie żyje. Ale Niebiescy... Roger, do dwóch tygodni brakuje jeszcze kilku dni.

Wiedziałem, co chciał powiedzieć Jee i co z pewnością myślał lord Robert. Ale obaj byli w błędzie. Posiadałem wiedzę, której oni nie mieli, i ta wiedza mroziła mi krew w żyłach.

Niebieskich żołnierzów, których przyprowadziłem z krainy Umarłych, nie można było zranić ani zabić po tej stronie. Miecze przenikały przez nich na wylot, ogień ich nie pochłaniał. Śmierć się ich nie miała, ponieważ już nie żyli. Ale po spędzeniu dwóch tygodni w krainie żywych zniknęli jeden po

drugim, tak samo jak Cecilia i Fia. Ich ciała rozpłynęły się makabrycznie, kości rozsypały się w proch, serca, wątroby i płuca zgniły w jednej chwili. A ich dusze przestały istnieć po obu stronach grobu. Śmierci nie można było oszukiwać długo. Tylko przez dwa tygodnie.

Ale starzec spędził w Galtryf więcej czasu. Był niezniszczalny jak Umarli, ale bytował wśród żywych i nie rozpuszczał się, nie rozsypywał ani nie gnił.

Nell zwała go „Zwiastunem”.

Wrzosowisko Duszorośli osiągnęło swój cel. Przynajmniej w przypadku tej jednej, pierwszej osoby. Starca nie można było zabić. Będzie żył wiecznie.

Lord Robert nie zdawał sobie z tego sprawy. Z pewnością był wstrząśnięty, gdy miecz przeniknął przez Zwiastuna, ale widział to już przedtem, podczas bitwy w pałacu. Był przekonany, że za dwa tygodnie starzec zniknie. A do tego czasu, czego miałyby się bać? Stary mężczyzna, zaczarowany, ale wątki, nie był zagrożeniem dla krzepkich żołnierzy, dopóki nie miał broni. Niech się nim zajmą kobiety.

Czy Nell albo mój ojciec wiedzieli, kim jest Zwiastun? Wątpiłem w to. Nell nadal wierzyła, że Rawley może go zabić, a on mógł sprawiać wrażenie, że również w to wierzy.

Będzie żył wiecznie. Nieśmiertelny, niemożliwy do zabicia. Bezpieczny. Ale dlaczego zmierzaliśmy do Hygryll? Nell chciała, żebym się tego dowiedział, ale ja nawet nie widziałem ojca od czasu...

— Roger! — zawołała Maggie, wspinając się z powrotem na wóz. — Kryj się! Atak!

Jee był szybszy. Złapał mnie i przewrócił na koce. W tej samej chwili namiot nade mną przeszyły strzały.

Nikt z nas nie ucierpiał. Złapałem Maggie i osłoniłem ją własnym ciałem. Spróbowałem zrobić to samo z Jee, ale był za szybki. Podczołgał się do wyjścia i wysunął głowę na zewnątrz.

— Jest ich wielu. Bardzo wielu. Oni... Zwiewajcie!

W tkaninę uderzyła kolejna seria strzał, tym razem płonących.

Suche płótno natychmiast zajęło się ogniem. Wkrótce pożar ogarnie sam wóz, pomyślałem. Wdrapaliśmy się z Maggie na skrzynię, a potem zleźliśmy na dół po drugiej stronie i przykucnęliśmy za płonącym pojazdem. Próbując osłaniać Maggie — która próbowała osłaniać mnie — wyjrzałem zza osłony na widoczne w blasku poranka wrzosowisko. Panował tam całkowity chaos. Nie, nie był całkowity. Napastnicy wiedzieli, co robią.

Zajęli pozycje na szczycie niskiej, nieregularnej skały piętrzącej się tuż na wschód od nas, a także za nią. Z tak bliskiej odległości mogli celnie strzelać z łuków, a także ze strzelb, których huk mącił teraz poranną ciszę. Duszoroślan musiało być naprawdę wielu, ponieważ wciąż nadlatywały nowe strzały i kule. Strzały już nie płonęły i tylko mój wóz się palił. To znaczyło, że wiedzieli, na którym wozie przebywał uspiiony starzec, i nie chcieli uszkodzić tego pojazdu.

Jak Duszoroślanie zdołali podejść na tak bliską odległość, niezauważeni przez strażę? Nagle, z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku, uświadomiłem sobie prawdę. Towarzyszyli im hisafowie z Bractwa, którzy użyli takiego samego sposobu jak ja. Przenieśli tu wojowników z Duszorośli przez krainę Umarłych.

Żołnierze lorda Roberta dali się zaskoczyć bez zbroi i nie mieli gdzie się skryć, ale byli wyszkoleni i zdyscyplinowani. Szybciej, niż potrafiłbym uwierzyć, włożyli hełmy oraz napierśniki, złapali za tarcze i ustawili się w ciasną formację między obozem a napastnikami. Kolejni żołnierze pobiegli strzec naszych tyłów. Znowu wypaliły strzelby — trzask!

Pochylając się nisko, pociągnąłem Maggie ku drugiemu krytemu wozowi. Pochłonęło to większość moich sił. Jee podążył za nami. Musieliśmy przejść nad ciałami dwóch żołnierzy zabitych na początku ataku. Złapałem tarczę jednego z nich i uniosłem ją nad głową Maggie. Potem schowaliśmy się pod wozem.

— Nie! — krzyknął Jee, ale najwyraźniej nie do mnie. W następnej chwili wybiegł spod wozu. Maggie spróbowała go zatrzymać, ale pochwyciła tylko powietrze. Chudy, drobny chłopiec podbiegł do lorda Roberta i krzyknął mu coś prosto w twarz. Lord Robert odepchnął go, ale potem zatrzymał się, wysłuchał jego słów i wydał krzykiem rozkazy, których nie słyszałem.

Za późno. Jego ludzie ruszyli już ku skale pod osłoną tarcz złączonych na podobieństwo ogromnego zółwia.

Promienie wschodzącego słońca odbijały się w gładkim metalu, jasne jak ogień. Kilku pierwszych żołnierzy zachwiało się nagle i potknęło, wypuszczając tarcze. Reszta usłyszała krzyki lorda Roberta i wycofała się, zachowując szyk. Wyraźnie widziałem tych pięciu, którzy się potknęli.

W jaśniejącym świetle dnia widoczna stała się jaskrawozielona barwa gruntu otaczającego żołnierzy. To było trzęsawisko, zdradliwe bajoro pełne błota i gnijących roślin, pokryte warstwą turzycy oraz mchu, które się nimi karmiły. Im gwałtowniej szarpali się żołnierze, tym głębiej się zapadali. Ich towarzysze nie mogli ryzykować odłożenia tarcz, by rzucić im liny.

Jeden z mężczyzn, ten na przeciwległym końcu grzędawiska, zdołał się wyczołgać na brzeg tylko po to, by zaraz oberwać kulą. Trzej dalsi zginęli od pocisków ze strzelb albo od strzał, pogrążając się w bagnie. Ostatni, uwięziony pośrodku sadzawki, utonął szybko. Błoto sięgnęło mu do piersi, a potem do szyi. Maggie krzyknęła z przerażenia, ale nie sposób było mu pomóc. Jego usta zniknęły w grzędawisku i wrzaski ucichły. Potem zniknął czubek hełmu i było po wszystkim.

Lord Robert nadal wydawał rozkazy, ale wiedział, że jego armia przegrywa. Fioletowi żołnierze nie mogli dotrzeć do nieprzyjaciela ukrywającego się za skałą oraz na jej szczycie. Nie przestawali jednak strzelać i zauważyłem, że kilku Duszoroślan padło — nie mieli zbroi i wychylili się nieostrożnie, by wystrzelić do naszych. Hałas był przeraźliwy. W uszach mi dzwoniło od huku strzelb.

— To była dziewczyna! — krzyknęła mi do ucha Maggie, ogłuszając mnie jeszcze bardziej. Miała na myśli jedną z zabitych Duszoroślan. Nawet nie próbowałem przekrzyczeć zgiełku, by jej wyjaśnić, że na Wrzosowisku Duszorośli wojownikami są zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Objąłem tylko Maggie kompletną ręką i rozejrzałem się w poszukiwaniu Jee, gotowy przejść z obojgiem do krainy Umarłych, by uciec przed bitwą.

— Nie — zabrzmiał za mną głos tak donośny, że przebił się przez lawinę dźwięków. — Tam na pewno czekają na ciebie hisafowie, Roger.

Obejrzałem się nagle przez ramię. Mój ojciec przykucnął za mną pod wozem.

Gapiliśmy się na siebie, otoczeni przez szalejący wokół koszmar.

— Rawnie? Charlotte? — zawołała Maggie, która od opuszczenia Galtryf z pewnością widziała go już wiele razy.

— W wozie. Ale...

Nie dokończył. Nie musiał. Wiedziałem, czego nie powiedział. Ale przegrywamy.

Co z nami zrobią hisafowie z Bractwa oraz Duszoroślanie, jeśli uda im się pojmać nas na nowo? Ich celem było odbicie starca, ale my również będziemy wspaniałym łupem. Roger Kilbourne, który zabił ich ośrodek mocy, swą szaloną przyrodnią siostrę. Rawley Kilbourne, wódz hisafów walczących z Bractwem.

Ojciec przysunął usta do mojego ucha tak, by nawet Maggie nie mogła go usłyszeć. Poczulem, że wsunął mi w dłoń coś zimnego i twardego.

— Jeśli będzie trzeba, zabij najpierw Maggie, tak czysto, jak tylko zdołasz, a potem siebie. Zrób to, Roger. Przysięgli, że będą ją torturować i każą ci patrzeć. Ja zrobię to samo dla Charlotte i Rawnie.

Wyczołgał się spod wozu i wskoczył na górę.

Zakręciło mi się w głowie. Będą torturowali Maggie, Charlotte i Rawnie, a my będziemy się musieli temu przyglądać... Nie wyobrażałem sobie dotąd tak wielkiej mściwości i okrucieństwa. Sztylet, który miałem w dłoni, wydawał mi się czymś żywym i trującym. Nie potrafię tego zrobić, pomyślałem.

Nie mogłem też jednak znieść myśli o drugiej możliwości. Dlatego leżałem w bezruchu i obserwowałem bitwę, skupiając wszystko, co miałem, na zewnętrznych wydarzeniach, by uniknąć tego, co działo się w moim wnętrzu.

Nie potrafię tego zrobić.

Muszę.

Nie potrafię.

Maggie coś powiedziała i choć zdawałem sobie sprawę, że jej głos wypełnia moje ucho, słowa były pozbawione znaczenia. Mogłem ją nawet

lekko odepchnąć. Nie wypatrywałem też Jee. Skupiłem się na bitwie, jakbym sam w niej walczył.

I dlatego ujrzałem, co się wydarzyło.

Padli kolejni ludzie lorda Roberta. Jeden oberwał strzałą w plecy, zwałił się na twarz i powoli zagłębiał się w trzęsawisku. Niektórzy Duszoroślanie również zginęli, ale było ich stanowczo za mało. Ukrywali się za skalną wyniosłością oraz za otaczającymi ją głazami i pomimo braku zbroi pozycja zapewniała im przewagę. Lord Robert odwrócił się, by wykrzyknąć rozkazy do tylnej straży, i zauważyłem na jego przystojnej twarzy desperację.

I nagle nieprzyjacielskie strzelby umilkły.

Nieprzyjacielskie strzały nie wzlatywały już pod niebo.

W moim umyśle uformował się obraz, tak wyrazisty, klarowny i szokujący, że nie jestem pewien, czy nie krzyknąłem. Może jednak tego nie zrobiłem. Nie wiem. Wiem tylko, że Maggie nagle coś zawołała, podobnie jak Jee, gdzieś za moimi plecami.

Pierwsza z Duszoroślan zleciała ze szczytu skały.

Miałem wrażenie, że jej ciało spada powoli. Odbijało się od głazów, z pewnością łamiąc kości, ale przecież i tak już nie żyła. Kolejny wojownik, młody mężczyzna, podążył za nią. Dwóch następnych wypadło zza głazu. Ludzie lorda Roberta natychmiast do nich wystrzelili, ale niepotrzebnie. Oni również już nie żyli.

Nawet zdyscyplinowani żołnierze z Reginokracji umilkli natychmiast, spoglądając na siebie z szalonym strachem.

Wojownicy z Duszorośli wypadali z krzykiem z kryjówek. Żołnierze lorda Roberta rzucili się do ataku, ale zaraz się zatrzymali, doszczętnie oszołomieni. Wrogowie jeden po drugim przewracali się na skalisty grunt

albo zlatywali ze szczytu skały, spadając z łoskotem na krzaki janowca i staczając się aż do granicy grzędawiska. Wszystkie krzyki umilkły.

Cisza ciągnęła się całą minutę. Potem dwie i trzy. Obraz zniknął z mojego umysłu równie nagle, jak się pojawił. Wiedziałem jednak, co tam jest. Za moment ujrzymy pierwszą z nich. Czekają na mnie. Albo może na Jee.

Obaj pobiegliśmy ku oszołomionemu lordowi Robertowi. Ja dyszałem z wysiłku, a twarz chłopca była napięta jak struny lutni.

— Nie możecie ich zabić! — wykrzyknął Jee w tej samej chwili, gdy ja wydałem jedyny w swym życiu rozkaz lordowi dowódcy sił Reginokracji.
— Wstrzymać ogień!

— Przeciwno komu? — zapytał lord Robert w tej samej chwili, gdy pierwsza z kobiet z sieci wyszła chwiejnym krokiem z za najbliższego głazu, osunęła się na kolana i zemdląca.

— To były węże — powiedziałem niezbyt sensownie. Lord Robert popatrzył na mnie jak na szaleńca.

Obraz, który przed chwilą zniknął, znowu zapłonął w moim umyśle, równie wyraziście jak przedtem. Mały wąż, szary jak skały, po których pełzał, wystarczająco mały, by dotrzeć niepostrzeżenie do kostki nad cholewą skózanego buta, do nadgarstka wspartej o głaz ręki, do karku dotykającego ściany urwiska. By uderzyć ze szczeliny w skale, spod kępy janowca albo paproci, z za sterty odłamków osypujących się ze skalnego szczytu. Mały, szary wąż z cienką białą linią biegnącą wzdłuż grzbietu, o drobnych kłach pełnych śmiertelniegroźnego jadu o natychmiastowym działaniu. Tuzin małych węży, jeszcze wczoraj zamaskowanych jako zwierzęta, z którymi dzieliły dusze kobiety z sieci. Owe zwierzęta cierpliwie i niepostrzeżenie wędrowały za armią lorda Roberta, czekając na odpowiednią chwilę. A gdy ona nadeszła, wszystkie kobiety z sieci stały się

wężami, po czym zakradły się pomiędzy skały i kępy janowca, by uderzać raz po raz.

Żołnierze wpadli w panikę, ale lord Robert utrzymywał tak dobrą dyscyplinę, że żaden z nich nie wystrzelił do dziewczyn, które nagle się pojawiły, porozrzucane na wrzosowisku niczym kwiaty. Większość dyszała ciężko, blada jak letnie chmury. Zauważyłem, że jedna już umarła.

„Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?”

— Wężę? — powtórzył lord Robert. Jego ludzie unosili broń — strzelby, miecze, noże albo łuki — rozglądając się szaleńczo w poszukiwaniu czegoś, co mogliby zabić. Ich twarze wykrzywiały się w grymasach strachu, gniewu i niezrozumienia. — Powiedziałem wstrzymać ogień!

Dwie kobiety zeszły ze szczytu skały. Im powrót do ludzkiej postaci najwyraźniej nie zaszkodził. Jedną z nich była Nell.

Lord Robert łypnął spode łba na dziewczynę, którą znał jedynie jako służkę Charlotte. Podeszła do niego, nie okazując strachu.

— Dobra robota, mój lordzie — rzekła. — Gdzie Rawley?

Ojciec właśnie do mnie podszedł. Rawnie pędziła za nim, usiłując dotrzymać mu kroku.

— Jesteś idiotą, Rawley — poinformowała go Nell.

— Dziękujemy wam za pomoc — odparł zimno. — Teraz możecie odejść.

— Ale co się stało, tato? — zapytała głośno Rawnie.

— Nie rób tego, Rawley — ostrzegła go Nell. — Powstrzymamy cię, jeśli będzie trzeba.

— Nie zdołacie — odparł.

— Co powstrzymacie? — dopytywała się Rawnie. — Roger, co się stało?

Jee złapał dziewczynkę i odciągnął ją na bok. Wyrwała mu się, ale usłyszałem, jak wysyczał: — Przestań! Czy nie masz rozumu? Idź stąd!

— Domagam się wyjaśnień i to natychmiast — oznajmił lord Robert. — Roger?

Wszyscy patrzyli na mnie. W oczach ojca i obu kobiet wyczytałem ostrzeżenie: „Mów niewiele. To nie jest jego wojna”.

Była jego. Z Reginokracji kradziono dzieci, ograbiano je z życia, by karmić nieśmiertelność, do której tak bezlitośnie dążyło Wrzosowisko Duszorośli. To właśnie lord Robert ocalił Rawleya z Galtryf. Jego ludzie leżeli martwi na ziemi albo utonęli w cuchnącym bagnie. Miał prawo wiedzieć, co się tu wydarzyło. Przekleństwo na wieczne tajemnice między tymi, którzy powinni być sojusznikami!

A może po prostu gorąco pragnąłem sprzeciwić się ojcu?

— To były węże, lordzie Robercie. Wszystkie te dziewczyny i kobiety. Są... są kobietami władającymi sztukami duszy. Myślę, że królowa Caroline mogła ci o nich wspominać. One potrafią przybierać postać zwierząt, a te z nich, które teraz widzisz, stały się małymi, jadowitymi węzami i jednocześnie, na dany znak, zaatakowały Duszoroślan podczas porannej bitwy.

Gapił się na mnie. Widziałem, że jego wargi uformowały słowo „czarownice”, które jednak zaraz umarło. Zapewne nie byłoby dobrze wypowiadać je w tej chwili na głos. Zauważyłem, że jego myśli uczepliły się jednego, co jako żołnierz potrafił zrozumieć.

— Nie widziałem ani nie słyszałem żadnego sygnału!

To był obraz w moim umyśle, wyraźna i klarowna wizja węża. Wiedziałem, że dotarła do wszystkich kobiet w tej samej chwili, koordynując atak, dzięki jedynej metodzie umożliwiającej tak

skomplikowane przekazy. Obraz dotarł do wszystkich kobiet z sieci i do mnie za pośrednictwem mojego niedawno narodzonego syna.

Tego jednak nie mogłem powiedzieć lordowi Robertowi. Nie tylko poważnie już nadużyłem jego zdolności wiary, lecz również nie zamierzałem nikomu uświadamiać istnienia naszego dziecka. Mojego i Maggie. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że przystanęła obok i ścisnęła moją kompletną rękę.

— Nie jestem wtajemniczony w metody kobiet władających sztukami duszy — odparłem.

— Nie jesteś też przy zdrowych zmysłach, Roger — skwitował brutalnym tonem lord Robert. — Zawsze podejrzewałem, że tak jest. Gadasz od rzeczy! — Łypnął na mnie ze złością, a potem zwrócił się ku mojemu ojcu. — Co tu się wydarzyło?

— Nie mam pojęcia — odparł Rawley.

— Hej, kobieto, skąd się tu wzięłyście? Ty i te inne dziewczęta?

Nell gapiła się na niego bez słowa.

Istnieją granice tego, co może zaakceptować człowiek. Lorda Roberta przeniesiono za pomocą „czarów” z brzegów Thymaru do Galtryf, położonego w głębi Wrzosowiska Duszorośli. Był zmuszony uwierzyć, że ja, były błazen królowej, przebywam w ciele burka bagiennego, a potem zobaczył, jak odzyskałem własną postać, omal nie płacąc za to życiem. Wiedział o istnieniu hisafów, przechodzących z krainy żywych do krainy Umarłych. Widział raporty o pogrążonych w transie dzieciach, być może nawet ujrzał niektóre z nich na własne oczy. Nie był jednak w stanie posunąć się dalej. Kobiety z sieci ze swą sztuką zmieniania postaci były dla niego nowym terytorium i nie potrafił się zmusić do wkroczenia na nie, podobnie jak niektóre zwierzęta wyznaczają sobie rewiry myśliwskie albo godowe i nigdy poza nie nie wykraczają. Zauważyłem moment, w którym

lord Robert całkowicie odrzucił mnie, Rawleya i Nell, jakbyśmy nie stali przed nim w blasku szybko wschodzącego letniego słońca.

Wyciągnął rękę, wskazując na południowy zachód.

— Wracam ze swoimi ludźmi do Reginokracji. Wy i wasza trupa słabych na umyśle aktorów możecie robić, co chcecie. Nie będziemy już posuwać się waszym tempem. Mam obowiązki wobec swej władczyni, Jej Miłości królowej Stephanie, i wrócę do niej, by je wykonywać. — Zwrócił się ku swoim ludziom. — Pochowajcie poległych. Przed upływem godziny wymaszerujemy do domu.

Oddalił się zamaszystym krokiem. Jego ludzie wymienili oszołomione spojrzenia, a potem zerwali się, by wykonać jego rozkazy. Wyczuwałem ich ulgę, jak wiatr poruszający wysoką trawą.

— Trudno im będzie pogrzebać ciała w torfie — zauważył mój ojciec.

— Nie możesz go zabić, Rawley — rzekła Nell, zwracając się ku niemu.
— Nie wolno ci nawet o tym myśleć.

— Już wam podziękowałem za pomoc — warknął. — Możecie odejść.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Nell chciała pójść za nim, ale złapałem ją za ramię, obawiając się, że może znowu zmienić się w węża i zabić go na miejscu.

— Zaczekaj, Nell! Pozwól mi spróbować!

Przeszyła mnie wściekłym spojrzeniem, ale skinęła głową.

Dogoniłem ojca.

— Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać!

— O co chodzi, Roger? — zapytał, nie zwalniając kroku.

Złapałem go za rękaw i zmusiłem do zatrzymania się.

— Rawnie mówi, że zmierzamy do Hygryll. Po co?

— To nie twoja sprawa.

— Ja uważam, że moja.

Przyjrzał mi się, naprawdę mi się przyjrzał. Jego twarz, tak bardzo podobna do mojej, przybrała wyraz tak tajemniczy i skomplikowany, że pomyślałem o układankach, jakie widziałem na dworze królowej: szkatułka wewnątrz szkatułka, wewnątrz szkatułka, a wszystkie połączone delikatnymi drewnianymi dźwigniami, bez których całość by się rozsypała. W twarzy ojca widziałem — a przynajmniej wydawało mi się, że widzę, bo przecież sam również byłem częścią szkatulek i dźwigni — głęboki smutek skryty w poczuciu winy, skrytym w bezlitosnej determinacji osiągnięcia własnych celów własnymi środkami. A wszystko to zabarwione czymś widocznym w jego oczach, czymś, co miało lekki odcień obłędu.

— Po co wieziemy tego starca do Hygryll? — zapytałem raz jeszcze, bardziej wstrząśnięty, niż zamierzałem to okazać.

Nie odpowiedział. Oddalił się, zmierzając samotnie w stronę skały. Czuję, że stojąca za mną Nell śledzi go spojrzeniem.

Lord Robert zostawił nam dwa wozy, w tym ten, na którym transportowano Zwiastuna, ale w niczym to nam nie pomogło, ponieważ zabrał wszystkie konie. Gdy się przekonał, że nie zdoła pochować poległych żołnierzy w sprężystym torfie, reszta armii załadowała owinięte w koce ciała na dwa pozostałe wozy, do których zaprzężono wszystkie cztery konie. Kuce niosły ich zapasy. Odprowadzaliśmy spojrzeniem ludzi lorda Roberta, maszerujących z powrotem do Reginokracji.

Jee odszedł z nimi.

— Muszę wracać do mojej pani — oznajmił mi.

— Wiem o tym — odparłem.

Maggie wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, ale powstrzymała się i pozwoliła jej opaść.

— Dziękuję ci, Jee — rzekła. — Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć.

— Gdy już wrócisz do domu, wyślij do mnie kuriera — odparł chłopiec. To było najdziwniejsze połączenie jego dawnej wierności z nowym dworskim życiem, z jakim się dotąd zetknąłem. Maggie uśmiechnęła się, skinęła głową i pocałowała go.

— Jee, odchodzisz z lordem Robertem? — wtrąciła się Rawnie.

— Tak. Muszę się z tobą pożegnać.

— I bardzo dobrze.

Oddaliła się z irytacją. Nie lubiła Jee, ponieważ spychał ją na dalszy plan. Przedtem z tego samego powodu czuła antypatię do mnie.

Usiedliśmy z Maggie w słońcu, po południowej stronie skały. Po przeciwnej, w cieniu wyniosłości, leżały kobiety z sieci, które niedawno

zamieniły się w węże. Dwie z nich umarły. Nie wiedziałem, co Nell i jej towarzyski zrobiły z ich ciałami. Reszta szybko odzyskiwała siły. Maggie zorganizowała dla nich prowiant i wodę. Charlotte zabrała Rawnie na poszukiwania jaj kuropatw, ale nie musiały się zbytnio oddalać.

Nie wiedziałem, gdzie jest mój ojciec. Nie było tu zbyt wielu miejsc, do których mógłby się udać. Ze wszystkich stron otaczało nas puste wrzosowisko. Ku północy grunt wznosił się nieco, w pozostałych kierunkach zaś był falisty i porośnięty karłowatą roślinnością. Gdzieś tam widziało się pośród niej szare głazy, skaliste wyniosłości oraz głębszą zielen bajor i trzęsawisk. W blasku porannego słońca nie poruszało się nic poza oddalającym się od nas oddziałem.

Jee wyciągnął rękę, wskazując na północ.

— Od granicy Reginokracji dzieli was najwyżej dzień drogi. Jeśli tam właśnie prowadzi was Rawley.

Nie tam nas prowadził, ale nie chciałem obciążać chłopca bardziej szczegółową wiedzą.

— Dziękuję. Do zobaczenia, Jee.

— Muszę wracać do mojej pani. Gdyby nie to, zostałbym tu, żeby wam pomóc.

— Wiem o tym, Jee. Bądź zdrow. Jeszcze się spotkamy.

Pobiegł przez wrzosowisko za ludźmi lorda Roberta, zręcznie trzymając się kęp oraz wyżej położonego gruntu. Odprowadzałem go wzrokiem, aż wreszcie zniknął nam z oczu razem ze wszystkimi.

Maggie wsunęła swą dłoń w moją.

— Nell nadal nie chce mi powiedzieć, gdzie jest Tom!

— Lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

— Jak możesz tak mówić, Roger?

W jej słowach brakowało jednak przekonania. Atak wojowników z Duszorośli wstrząsnął nią dogłębnie. Maggie była stworzona do małych, praktycznych, wypełnionych pracą światów, nad którymi mogła panować. Kuchnia. Gospoda. Jadłodajnia. Gospodarstwo rolne. Gdy chodziło o większe sprawy, nie traciła odwagi, ale brakowało jej pewności siebie. A przed chwilą widziała, czego potrafią dokonać kobiety z sieci. Potrafiły lepiej zadbać o bezpieczeństwo naszego dziecka niż rodzice uchodźcy albo bezlitosny dziadek.

Nasunęło mi się pytanie, czy Rawley w ogóle wie, że mamy z Maggie syna? Nie sądziłem, by tak było. Nell z pewnością by mu nie powiedziała.

Gdy tak siedziałem na wrzosowisku, zastanawiając się, co powinniśmy teraz zrobić, Nell wypadła biegiem zza skały i popędziła ku krytemu wozowi. Ujrawszy jej minę, natychmiast zrozumiałem, gdzie jest mój ojciec.

— Zostań tu! — poleciłem Maggie, która zawołała mnie, lecz choć raz za mną nie podążyła.

Nell skoczyła na skrzynię wozu i skryła się w namiocie. Wlazłem tam za nią najszybciej, jak potrafiłem. Na drugim końcu wozu mój ojciec przystawiał nóż do gardła śpiącego starca. Być może atak skłonił go do zmiany zdania albo zrobiła to Nell. Tak czy inaczej postanowił, że nie będzie czekać, aż dotrzemy do Hygryll. Nim kobieta zdążyła do niego dobiec, ciął nożem obwisłą szyję starca.

Nie było krwi. Ani rany. Nóż równie dobrze mógłby być zrobiony z powietrza.

Rawley i Nell gapili się na to ze zdumieniem. Twarz mojego ojca pobladła, przybierając kolor wyblakłego na słońcu płótna, które miał nad głową. Nell zadrżała.

— A więc udało im się — wyszeptała. — Widzisz, co uczyniliście, hisafie? — dodała po chwili.

— To nie nasza robota, kobieto — obruszył się mój ojciec. — Nie bądź głupia.

— To ty jesteś głupi, tak samo jak wszyscy mężczyźni, którym się wydaje, że skutki zabijania można naprawić dalszym zabijaniem. Gdyby twój syn nie sprowadził Umarłych z powrotem do krainy żywych, sieć bytu nie byłaby tak przeciążona. Gdybyście nie stworzyli tych psów, przechodząc w istoty obdarzone własną, odrębną naturą, sieć bytu nie byłaby tak przeciążona. Gdyby hisafowie nie przechodzili cieleśnie do krainy Umarłych, co również jest winą Rogera, sieć bytu nie byłaby tak przeciążona.

Odwrócił się ku niej, trzymając w ręce nóż. Skuliłem się trwożnie na widok jego miny.

— Nie ma żadnej „sieci” — oznajmił. — To tylko wymysł kobiet władających sztukami duszy, wizja, którą utworzyły w swych umysłach. My, hisafowie, znamy prawdę. Wiemy, że krainę żywych oddziela od krainy Umarłych mur, bariera. Wiemy to, ponieważ my i tylko my ją przekraczamy! Wasza wiedza to tylko domysły, podczas gdy nasza wywodzi się z doświadczenia. W murze powstał wyłom i jedyny sposób, by zapobiec dalszym zniszczeniom, to zgładzić tych, którzy są temu winni. Zanim wszyscy z nich staną się tacy jak on!

Mój ojciec po raz kolejny wskazał nożem na śpiącego Zwiastuna.

— Widzę, że twoja próba zabicia go zakończyła się sukcesem — stwierdziła Nell ociekającym sarkazmem głosem.

— Zakończy się.

— W jaki sposób?

Nie odpowiedział, ale z pewnością znała jego myśli lepiej ode mnie, odrzekła bowiem: — Nie zrobisz tego. Nie pozwolimy ci.

Rzucił nożem w podłogę. Ostrze wbiło się z drzeniem w drewno.

— Nie „pozwolicie” mi? A jak zamierzacie mnie powstrzymać? Znowu zamienicie się w węże, by mnie ukąsić? I może Rogera też? Czemu by nie Rawnie? Ona nie ma talentu do sztuk duszy, może więc wyrośnie na bojowniczkę o sprawę hisafów! Czemu by nie wyeliminować tej groźby już teraz? Twierdzicie, że brzydzicie się zabijaniem, ale przed chwilą wyeliminowałyście małą armię Duszoroślan!

— To było konieczne — odparła Nell. Skóra w zagłębieniu u podstawy jej szyi pulsowała szybko i intensywnie. Kobieta panowała nad sobą tylko maksymalnym wysiłkiem woli. To samo można było powiedzieć o Rawleyu.

— Zatem zabójstwa, które uważacie za konieczne, nie uszkadzają waszej „sieci”, ale te popełnione przez hisafów ją zniszczą. Bardzo logiczne.

— Tego nie powiedziałam. Oczywiście, że nadwerężyłyśmy sieć, ty półgłówku! Ale to nic w porównaniu z tym, co się stanie, jeśli wprowadzisz w życie swój szalony plan! Czy nie wystarczy, że Roger omal nie rozdarł całej sieci, zabijając Katharine? Dwa razy?

— A mimo to wasza sieć trwa dalej — zauważył mój ojciec. Skrzywił się, usłyszawszy imię mojej siostry, i to chyba rozjuszyło go jeszcze bardziej.

Nell zacisnęła pięści.

— Nic nie rozumiesz! Czy nie potrafisz zapomnieć na chwilę o swym wyobrażeniu „muru”, by pojąć głębszą prawdę?

— A czy ty nie potrafisz zapomnieć na chwilę o swych wyobrażeniach, by pojąć prawdę płynącą z doświadczenia?

Patrzyli sobie z wściekłością w oczy. Oboje zaciskali pięści. Sieć, mur, czy to była wojna wyobrażeń? A może dary mężczyzn ścierały się z talentami kobiet? A ja... sam nie wiedziałem, w co wierzę. Obie wizje wydawały mi się trafne i obie budziły mój lęk.

— Co właściwie zamierzasz uczynić w Hygryll, że budzi to w niej tak silny sprzeciw? — zapytałem Rawleya.

Oboje powoli zwrócili ku mnie głowy. Najwyraźniej zapomnieli o mojej obecności. Starzec dalej spał. Jego oddech pachniał środkiem nasennym i ciasny namiot wypełniała woń stęchlizny. Ciało Duszoroślanina stało się jeszcze bardziej bezwładne, jak zwykle u śpiących, a w jego pomarszczonych powiekach uwidaczniała się sieć niebieskich żyłek.

— Rawley — ciągnąłem, nie chcąc nazwać go „ojcem” — jak zamierzasz zamordować kogoś, kogo nie można zabić?

— Twój ojciec stworzył desperacki plan, Roger — odezwała się Nell, być może zwięszywszy we mnie sojusznika. — Desperacki, niebezpieczny i głupi. Wie, że sam nie zdoła zabić Zwiastuna ani w tej krainie, ani w tamtej. Nie posiada potrzebnej mocy, ale wierzy, że inni mogą nią dysponować. Że ci, którzy mieszkają w Hygryll, Duszoroślanie najbardziej zaawansowani w swych obmierzłych poszukiwaniach i najbliżsi osiągnięcia nieśmiertelności, potrafią nadal zabijać się nawzajem i być może nawet uśmiercić Zwiastuna. Innymi słowy, jedyne, co może zniszczyć moc, to więcej mocy. To właśnie taki sposób myślenia doprowadził do obecnej sytuacji!

Mój umysł starał się za nią nadążyć, nadać temu wszystkiemu jakiś sens.

— A... a czy to prawda? Czy ci, którzy mieszkają w Hygryll, są w stanie zabić starca?

Nell milczała.

— Jak widzisz, ona nie wie — odezwał się mój ojciec. — Prawda wygląda tak, że nikt nie może tego wiedzieć, dopóki nie spróbujemy. To

nasza największa nadzieja.

— To może zniszczyć nas wszystkich — sprzeciwiła się Nell pełnym desperacji głosem. To...

— Teraz mówisz „może”! A przed chwilą twierdziłaś, że zniszczy nas wszystkich!

Zignorowała go, zwracając się bezpośrednio do mnie.

— Nie wiemy tego. Nie istnieje żaden precedens. Jak mógłby istnieć? Ale zastanów się, Roger. Kiedy cisnąłeś siostrę w wir obserwatorów z Duszorośli, spodziewaliśmy się, że jej moc rozproszy się między nich. Tak się jednak nie stało. Zamiast tego Katharine przeniosła się do nienaturalnego psa. A kiedy zginęła ponownie zabita przez... przez tego zabłąkanego burka bagiennego na arenie w Galtryf, oczekiwaliśmy, że uwolniona moc rozerwie sieć bytu. Ona jednak rozproszyła się między obecnych tam Duszoroślan, ponieważ nauczyli się już ją absorbować. Opanowali też umiejętność wysysania z niemowląt *vivii*, którą wykorzystują, by zrównoważyć moc kradzioną z kręgów Umarłych. Tego również się nie spodziewaliśmy. W każdym z tych przypadków zachowano jednak równowagę mocy przepływającej między krainą żywych a krainą Umarłych. To, co proponuje Rawley, całkowicie zniszczy ową równowagę. Gdzie się podzieje ogromna, mroczna moc duszy otaczająca Zwiastuna? Nie może odpłynąć do żadnego z nas, bo mocy nie da się przekazywać między żywymi mężczyznami i kobietami. Zastanów się, Roger, dokąd ona odejdzie? I jak to wpłynie na sieć bytu?

— Wszystko to bzdury! — skwitował Rawley. — Niedotykalne jak światło bagiennego gazu. Zabijamy wrogów, a oni popadają w bezmyślny trans po drugiej stronie i ich „moc” znika. Nie mogą nam zagrozić. Moim obowiązkiem jest obrona Reginokracji i Ziemi Niczyjej. Zrobię wszystko, co będzie konieczne, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Usłyszałem w swym umyśle słowa królowej Caroline. *Zrobię wszystko, by być dobrą władczynią swej reginokracji, dla wspólnego dobra.* Być może wszyscy ci, którzy dowodzili, cechowali się tego typu sztywną determinacją, bo w przeciwnym razie nie mogliby sprawować swej funkcji. W tej chwili twarze Nell i Rawleya z pewnością wyglądały podobnie. Obie były surowymi maskami niewzruszonej pewności.

Tylko ja czułem się przygnieciony wątpliwościami.

— Ale jak zamierzasz przekonać Duszoroślan z Hygryll, żeby zabili Zwiastuna? — zapytałem ojca. — To ich wódz, a oni są wojownikami. Czy nie będą woleli sami zginąć, niż go zamordować?

Cisza.

— Powiedz mu, Rawley — odezwała się wreszcie Nell złośliwym tonem.

Ojciec spojrzał na mnie. Z jego twarzy nie zniknęła nieustępliwość.

— Torturowani ludzie zrobią wszystko, Roger — rzekł.

— Jesteś gotowy ich torturować?

— A jeśli to nie poskutkuje — odezwała się Nell — a sądzę, że tak właśnie się stanie, on i jego hisafowie będą torturowali dzieci Duszoroślan na ich oczach, aż wreszcie zgodzą się poświęcić życie Zwiastuna w zamian za ich życie.

Nie wiem, co wyrażała moja twarz, ale cokolwiek to było, skłoniło mojego ojca do wybuchu.

— Nie bądź taki miękki, Roger! Bractwo i Duszoroślanie skrzywdzili nasze dzieci, czyż nie tak? Widziałeś to na własne oczy! To jest wojna!

— A ty jesteś tylko wojownikiem, Rawley — stwierdziła Nell. — Nie jesteś mieczem. Nie posuwaj się za daleko, bo zniszczysz nas wszystkich!

— Próbuję wszystkich ocalić! A wy, kobiety z sieci, nasze tak zwane sojuszniczki, utrudniacie mi zadanie!

Nie mogłem już dłużej tego znieść. Opuściłem wóz i osunąłem się na ziemię przy jednym z kół. Gdyby Nell albo Rawley spróbowali za mną pójść, chyba pchnąłbym nożem każde z nich. Nie zrobili tego.

To więc była bezlitosność, którą widziałem w oczach ojca, i towarzyszący jej błysk szaleństwa. Czy naprawdę zrealizowałyby ten monstrualny plan? Torturowałyby dzieci po to, by manipulować ich rodzicami... nawet jeśli byli to rodzice z Wrzosowiska Duszorośli? Zrobiłyby to po to, by zmusić ich do zabicia Zwiastuna, nawet jeśli nie wiedział, czy to w ogóle możliwe ani jakie będą tego skutki?

A do czego byłaby zdolna się posunąć Nell i jej kobiety z sieci — równie zdeterminowane jak on — by go powstrzymać?

Gdyby Nell zabiła mojego ojca, jego ludzie i tak zrealizowałyby plan. Rawnie mówiła, że inni hisafowie często rozmawiali z tatą po opuszczeniu Galtryf, roznosząc jego rozkazy po trzech różnych ziemiach i dwóch krainach, wsparte „hasłem dnia”. Nie, zabicie Rawleya nie powstrzyma jego straszliwego planu. Nell z pewnością o tym wie działa. Podobnie jak Matka Chilton, przebywająca w dalekiej stolicy i kierująca własnymi operacjami.

Sieć bytu. Nie miałem pojęcia, czy to tylko fałszywe wyobrażenie, jak twierdził Rawley. Matka Chilton o niej wspominała, ale ona również niekiedy się myliła.

Dotarł do mnie jakiś dźwięk. To nie byli Rawley i Nell, nadal kłócący się na wozie. Ani Charlotte, Maggie i Rawnie, zbierające jagody poza zasięgiem mojego krzyku. Nie był to też nagły krzyk kuropatw, wypłoszonych z janowca i wzlatujących niemalże pionowo ku zachmurzonemu niebu. Nie, to były psy szczekające do siebie. Potem je zobaczyłem: szare jak niebo zwierzęta pędzące przez wrzosowisko. Nim zdążyłem zareagować, były przy mnie. Niosły w sobie hisafów, ale nie tych

z Bractwa, ponieważ mnie nie zaatakowały. Wskoczyły z gracją na skrzynię wozu i zniknęły w namiocie. Hisafowie przysłani po to, by bronić Rawleya przed Wrzosowiskiem Duszorośli. Albo przed kobietami sieci. Albo przed obiema tymi groźbami.

Rawnie, zwabiona przybyciem psów, upuściła swoje jagody i pobiegła w stronę wozu. Odwróciłem się do niej plecami i wpatrzyłem w koło, które miałem przed sobą. Zatrzymało się w małym bajorze i stopniowo zapadało coraz głębiej w trzęsawisko.

Rozebraliśmy wóz, ponieważ nie dało się wydobyć go z bagna. Zresztą i tak nie mieliśmy konia, który by go ciągnął. Z drewnianych boków wozu oraz tkaniny namiotu zrobiliśmy coś w rodzaju noszy i rzuciliśmy na nie starca. Niosłem go razem z Rawleyem. Nie był ciężki, składał się niemal wyłącznie z kości i z brody. Miałem tylko jedną rękę, ale jakoś sobie radziłem, przy pomocy Charlotte i Maggie. Rawnie szła obok nas, razem z trzema psami. Nell zniknęła, tak jak i inne kobiety z sieci.

Ruszyły naprzód, pod postacią zwierząt, z którymi dzieliły duszę, by przybyć do Hygryll przed nami? Po co?

Nawet Rawnie mówiła niewiele. Mogło to być skutkiem rozkazów ojca, jedyne go człowieka potrafiącego nad nią zapanować. A może w obecności Rawleya przestała wreszcie popisywać się hałaśliwą brawurą i stała się tym, co było naturalne w podobnych okolicznościach: przerażoną dziewczynką.

Z zachodu napłynęły chmury, grożące deszczem. Ostrożnie posuwaliśmy się naprzód przez niżej położone tereny, starając się omijać zielone plamy trzęsawisk. Było ich coraz mniej. Wspinaliśmy się powoli w górę, zmierzając ku Ziemi Niczyjej. Gleba z pewnością była tu żyzniejsza, jako że wszystko pokrywał dywan wrzosu. Fioletowe kwiaty o mocnych łodygach wyglądały pięknie, ale utrudniały wędrówkę. Od czasu do czasu widzieliśmy drzewa, sosnę albo karłowatą brzozę.

Ojciec zmuszał nas do tak forsownego marszu, że wreszcie Maggie się zbuntowała.

— Rawley, musimy się zatrzymać. Roger potrzebuje odpoczynku!

Obejrzał się na mnie.

— Chyba ma jeszcze sporo sił.

— Mam! — zapewniłem. Byłem zły na Maggie za to, że traktuje mnie jak inwalidę, i zdeterminowany nie okazywać słabości w obecności ojca. Rzeczywiście czułem się silniejszy, niżbym się spodziewał, choć bark mnie rozbolał od ciężaru noszy.

— Ale ja czuję się zmęczona! — oznajmiła Maggie i usiadła na kępie porośniętej ostrą trawą. Spojrzała znacząco na Charlotte, która zatrzymała się, niezdecydowana. Sprawiała wrażenie znużonej, być może w równym stopniu niepokojem, co wędrówką, ale nigdy nie sprzeciwiała się Rawleyowi. Czy moja matka była taka sama, miękka i uległa? Sądząc z tego, co pamiętałem, tak.

— No dobra — zgodził się Rawley. — Charlotte, mogłabyś dać nam coś do jedzenia?

Miała w plecaku żywność. Położyliśmy nosze na ziemi i zjedliśmy posiłek na szerokim, pustym wrzosowisku. Psy czekały z nadzieją na ochłapy. To było niesamowite, jakbyśmy byli na jakimś makabrycznym pikniku. U naszych stóp leżał starzec, który mógł być nieśmiertelny. Mój ojciec rozważał popełnienie najbardziej monstrualnej zbrodni, jaką potrafiłem sobie wyobrazić. Psy, które nie były psami, obserwowały nas zielonymi ślepiami. Wiatr gnał nad wrzosowiskiem szare chmury, ale prawdziwa burza szalała we mnie.

Gdy Maggie, Charlotte i Rownie poszły za kępę janowca, by opróżnić pęcherze, raz jeszcze zwróciłem się w stronę ojca.

— Dlaczego Hygryll?

Tym razem mi odpowiedział. Jego oczy nabrały twardszego wyrazu. Z jego surowej twarzy zapewne nigdy nie wyczytam bardziej skomplikowanych i bezradnych emocji.

— Już panujemy nad wioską — rzekł. — Jej mieszkańcy są naszymi jeńcami.

— Domyślałem się tego. W przeciwnym razie nie zmierzalibyśmy tam, nie mając żadnych obrońców poza trzema psami. Chodziło mi o to, dlaczego Duszoroślanie wybrali to odległe miejsce, by obdarować pierwszego człowieka życiem wiecznym?

— Nie wybierali go. To ono ich wybrało. Myślę, że już wiesz dlaczego.

— Dlatego, że tu się narodziła moja siostra. Czy raczej prawie się narodziła.

— Tak — zgodził się mój ojciec. Jego kamienna twarz wykrzywiła się na moment w grymasie bólu. — Łotr, który porwał twoją matkę, zabrał ją tam. Potem...

Przerwał, potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

Zatem z tym drugim mężczyzną w życiu mojej matki to było porwanie, a nie małżeństwo. I ojciec dowiedział się o tym za późno. A gdzie ja byłem? Zapewne odesłano mnie już do ciotki Jo. Nagle poczułem, że nie chcę się już więcej dowiadywać o historii rodziców. Ani teraz, ani nigdy. Są granice tego, co może znieść serce.

— Naprawdę chcesz to zrobić, Rawley? — zapytałem tylko.

Nawet jeśli zauważył, że zwracam się do niego po imieniu zamiast zwać go ojcem, niczego po sobie nie okazał.

— Tak. I ty również.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem. Nagle pojawiła się Rawnie, biegnąca ku nam przez wrzosa. Dwie kobiety podążały za nią w spokojniejszym

tempie. Zdążył tylko powiedzieć: — Jeśli w tej sprawie nie jesteś ze mną, jesteś przeciwko mnie, Roger. W tej wojnie nie ma miejsca na neutralność.

Nie odpowiedziałem mu.

Rawnie wpadła z rozpędem na ojca.

— Czy już jesteśmy prawie na miejscu, tato? Mama mówi, że tam, dokąd idziemy, są dzikie kuce! Czy to prawda?

Stała przed nim, pełna nadziei. Nawet Cecilia nie mogłaby być bardziej szczerą i niewinną. A więc to tak Rawnie nauczyła się grać, by zdobyć to, czego chciała. Twarz Rawleya złagodniała, wbrew jego woli.

— Być może — przyznał. — Ale teraz musimy ruszać, kotku.

Gdyby ten mężczyzna nie opuścił mojej matki, gdyby to on, a nie Hartah, mnie wychowywał, czy ja również nauczyłbym się lizusostwa i fałszywej, pełnej słodczy uległości, które jako jedyne mogły wpłynąć na jego kamienną wolę? Może i tak. Moje życie bardzo się różniło od życia Rawnie, ale oboje nauczyliśmy się jednego: jak przetrwać w sytuacji, gdy ktoś ma nad nami władzę. Ja przetrwałem Hartaha, królową Caroline, Soleka oraz Tareka. Co więcej, pokonałem ich wszystkich, nawet jeśli działałem na oślep.

Nie wiedziałem jednak, jak mógłbym pokonać ojca. Narastało we mnie przekonanie, że Rawley, kimkolwiek mógł być kiedyś, stał się tak zaabsorbowany swym celem, że zapomniał o cenie. Jak jednak mogłem powstrzymać jego i jego armię? Miałem siedemnaście lat i tylko jedną rękę.

Wreszcie, po kilku dniach, tuż przed dotarciem do Hygryll, dano mi plan. Nie stworzyłem go, lecz mi go dano i uczynił to ten, którego najmniej bym o to podejrzewał ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem.

Przede wszystkim, był Umarły.

— Znowu musimy odpocząć — oznajmiła stanowczo Maggie. — Charlotte nie da rady iść dalej.

Rawley spojrział na żonę.

— Charlotte?

— Dam... sobie... radę — wykrztusiła, choć nie ulegało wątpliwości, że nie da. Gdyby Rawley ją o to poprosił, spróbowałaby przejść przez otwarte morze, nie była jednak stworzona do tak wielkiego wysiłku. Pobladła tak bardzo, że zabrudzona skóra wokół jej oczu wyglądała jak popiół. Chwiała się na nogach. W porównaniu z nią Rawnie sprawiała wrażenie niezniszczalnej. Nawet Maggie, która przed niespełna miesiącem urodziła dziecko, na tle Charlotte wydawała się twarda jak kamień.

— Usiądź tu, Charlotte — rzekła Maggie. — Rawnie, daj jej wody z bukłaka. Rawley, z pewnością pół godziny opóźnienia nic nie zmieni. Bądź rozsądny!

Mój ojciec był jak najdalszy od rozsądku. Płonął w nim ogień jego monstualnej misji. Mimo to omiótł spojrzeniem cały horyzont, a potem skinął krótko głową.

— Ale tylko pół godziny.

Maggie posadziła Charlotte na kocu, a ta natychmiast zasnęła. Rawley odprowadził córkę na bok, by z nią porozmawiać na osobności. Wszystkie trzy psy poszły za nimi. Ja położyłem się na wielkiej kępie trawy.

— Coś cię bardzo gryzie, Roger — odezwała się Maggie.

— Tak.

— Powiedz mi, o co chodzi.

Sięgnąłem po jej rękę, ale słowa nie chciały nadejść. Jeśli ojciec zrealizuje swój plan, Maggie wkrótce sama wszystko zobaczy. Gdybym opowiedział jej o tym teraz, nie wiem, co by zrobiła. Nakrzyczała na Rawleya? Spróbowała suszyć mu głowę? To by nic nie dało. Dlatego powiedziałem jej nie tę prawdę, która zajmowała pierwsze miejsce w moim umyśle, lecz drugą, równie prawdziwą.

— Pragnę zobaczyć naszego syna.

Uwierzyła mi natychmiast, ponieważ dla niej była to pierwsza prawda.

— Wiem! Myślę o nim przez cały czas. Ale wierzę już, że dobrze się nim opiekują. Może wkrótce wszyscy troje będziemy razem.

Maggie, pełna nadziei i kochająca. A po chwili praktyczna i lubiąca się rządzić.

— Zastanawiałam się, co zrobimy, Roger. Gdy będzie już po wszystkim, możemy znaleźć chatę, jak w Applebridge, i znowu otworzyć gospodę. Możemy potrzebować roku pracy, by zaoszczędzić pieniądze, chyba że Jee przekona królową, by dała nam pożyczkę. Myślisz, że by to zrobiła? Pomyślałam sobie, że to mogłoby być gdzieś na północy, bliżej reginokracji Isabelle, bo tam...

Nie przestawała gadać. Słuchałem jej, ale niezbyt uważnie. To brzmienia jej głosu pragnąłem, nie jakichś sprecyzowanych planów na niepewną przyszłość. Szare chmury nad naszymi głowami przesuwały się powoli na wietrze. Głowa opadła mi na kępę trawy. Kończyny ciążyły mi ze zmęczenia, którego nie chciałem przyjąć do wiadomości. Jeszcze całkiem niedawno leżałem umierający. Głos Maggie ucichł i zasnąłem.

Nadszedł sen.

Nie przysłała go Matka Chilton ani Stephanie. Nie trafił do mnie za pośrednictwem mojego syna, który był przełącznikiem. Nie był to też jeden z przerażających koszmarów, jakie docierały kiedyś do mnie od Katharine, szalonej przyrodniej siostry, którą zamordowałem. To był zwyczajny sen, lecz mimo to jasny i klarowny, jak niekiedy zdarza się takim snom. Podobnie jak niektóre z nich, zaczął się jako wspomnienie, a potem przeszedł w coś innego.

Szedłem u boku Toma Jenkinsa, jedyne go przyjaciela, jakiego w życiu miałem, przez krainę Umarłych. Otaczała nas niesamowita nieruchomość owego miejsca, unosząca się tam mgła, kręgi Umarłych pogrążonych w bezmyślnym spokoju. Tom — odważny, beztroski, kochający życie Tom — po raz pierwszy w życiu napotkał coś, czego nie mogła zwyciężyć odwaga ani ale.

— Na co komu być Umarłym? Jeśli tylko siedzi się bez ruchu jak jakaś skała? Jeśli już o tym mowa — ciągnął Tom głosem przesyconym teraz gniewem i desperacją — na co komu być żywym, jeśli wszyscy kończymy tutaj? Ty, ja, George i wszyscy staniemy się bryłami siedzącymi w tym okropnym miejscu. Powiedz mi, Roger?

— Co mam ci powiedzieć?

— Na co to komu? Śmierć, a nawet życie? Po co się trudzić?

— Tom — odezwałem się cicho — czy nigdy przedtem nie myślałeś o takich sprawach?

— Pewnie, że nie! Zwykli ludzie o nich nie myślą. Myślą o polowaniu, uprawianiu ziemi, o kolacji, spaniu z kobietami i... o zwyczajnych rzeczach. Ale to wszystko kończy się tutaj! Żałuję, że mnie tu zabrałeś!

— Gdybym tego nie zrobił, Tarek by cię zabił, a wtedy i tak wylądowałbyś tutaj.

Tom jęknął. Dręczył go ból kogoś, kto nigdy nie sięgał myślą dalej niż najbliższa kolacja czy następna dziewczyna, a teraz został do tego zmuszony. Zawdzięczałem Tomowi życie i byłem mu winien lepsze traktowanie.

— Tom, to nie jest wszystko. Nie tutaj.

— A co jeszcze jest? Nie potrafisz mi odpowiedzieć! Nie ma nic więcej. Będziemy siedzieć jak bryły, a wszystko, co mamy wewnątrz, zniknie. Wolałbym w ogóle się nie narodzić.

— Nie. — Musiałem jakoś pocieszyć Toma, dać mu coś, czego pragnął.
— Me sądzę, by to był koniec, Tom. Ktoś bardzo mądry powiedział mi kiedyś, że Umarli czekają.

— Na co?

— Nie wiem. Tego mi nie powiedziano. Ale prędzej czy później nadejdzie coś więcej. Będziesz miał długie, ciekawe życie i mnóstwo dziewczyn. A gdy pewnego dnia umrzesz i trafisz tutaj, spędzisz tu tylko pewien czas, jak... jak...

— Jak w gospodzie podczas podróży?

— Tak jest.

— Ładna mi gospoda! — Prychnął pogardliwie i rozejrzał się wokół z niesmakiem, który jednak zaraz przerodził się w nadzieję. — Chcesz powiedzieć, że potem jest jakieś inne miejsce?

— Nie wiem — odpowiedziałem, nie chcąc go okłamywać.

— Ale myślisz, że tak?

— Nie wiem.

— Ale to możliwe?

— Tom, wszystko jest możliwe.

— A w tym innym miejscu mogę być wszystkie dobre rzeczy? Jedzenie, polowanie i dziewczyny?

Wybrałem bezpieczna odpowiedź.

— Nie wiem.

— Ale jak sądzisz...

— Nie wiem!

— Nie musisz krzyżeć. — Na dłuższą chwilę pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. — Chyba lepiej zapytam twoją matkę.

Wspomnienie, zmienione już przez te dwa ostatnie słowa, skończyło się i we śnie pojawiła się moja matka, taka, jak ją zapamiętałem. Była ubrana w lawendową suknię, a we włosach miała wstążki tego samego koloru. Weszła między mnie a Toma, ujmując dłonie nas obu. Jej ciepłe palce owinęły się wokół moich.

— Roger się martwi — stwierdził Tom.

Matka zwróciła się w moją stronę. Jej głos, choć słodki, brzmiał dziwnie chłodno i obojętnie, jak u starych kobiet, które udawało mi się niekiedy wydobyć z transu po drugiej stronie grobu.

— Szukasz w niewłaściwym miejscu, mój drogi Rogerze — rzekła. — Nie patrz na Rawleya, na Hygryll, na mnie ani nawet na Matkę Chilton. Patrz na miecz.

— Tak — zgodził się Tom. — Tak, do zaszczanej cholery!

— Obudź się! — zawołała Maggie i to jej ciepłe palce oplatały się teraz wokół moich zamiast palców matki. Jej zatroskana twarz pochylała się nade mną.

— Wstawaj, Roger, ruszamy w drogę — rzekł stojący za nią Rawley i oddalił się.

— Dasz radę wstać? — zapytała Maggie.

— Tak.

— Coś krzyczałeś, nie zrozumiałam co. Coś ci się śniło?

— Tak — powtórzyłem. Wstałem i pociągnąłem ją za sobą. To rzeczywiście był sen, nie żadne odwiedziny mojej matki czy kogokolwiek innego. Potrafiłem już to odróżnić. Jej obecność zrodziła się w moim umyśle, tak samo jak wspomnienie o Tomie Jenkiesie.

A teraz wiedziałem już, co zrobić, gdy dotrzemy do Hygryll.

Hygryll się nie zmieniło. Wyglądało tak samo jak podczas mojej pierwszej wizyty, gdy przyjęto mnie z honorami jako hisafa, a także drugiej, po paru latach, kiedy omal mnie nie zabito i nie pożarto. Wioska nadal składała się z okrągłych kamiennych chat, pozbawionych okien i częściowo nakrytych ziemią, zgrupowanych wokół płaskiej skały pośrodku. Pod butami czułem sprężysty torf, podobnie jak wtedy, a ze wszystkich stron otaczało mnie pofałdowane wrzosowisko, porośnięte janowcem, wrzosem oraz niskim mchem. Posępny krajobraz pstrzyły rozrzucone tu i ówdzie głązy.

Podkomendni Rawleya panowali nad Hygryll, ale nie tylko oni. Widziałem tu stanowczo zbyt wielu ludzi, by wszyscy mogli być hisafami. I to nie tylko mężczyzn. Gdy zbliżaliśmy się do wioski w towarzystwie pełniącego straż na obwodzie wartownika, wyszła nam na spotkanie Nell. Była piękna i niewzruszona jak zawsze, a jej zielone oczy wydawały się twarde jak kamień.

— Co ona tu robi? — zapytał Rawley, spoglądając gniewnie na wartownika, młodego chłopaka mniej więcej w moim wieku.

— O... o... ona jest... — wyjąkał.

— Wiem, kim ona jest.

— Jesteśmy sojusznikami, Rawley — odezwała się Nell. — Pamiętasz?

— Nie zdołacie mnie powstrzymać.

Nie odpowiedziała. Spojrzała mi w oczy. Gdy przyglądała mi się z uwagą, skinąłem leciutko głową. Tak.

Tak, przyłączę się do was.

Tak, zdradzę ojca.

Tak.

Nell nic po sobie nie okazała. Ciszę zakłócił pełen wyrzutu głos Maggie.

— Na słodkie niebo, Rawley, Charlotte musi odpocząć. I Roger też. Dokąd mogę ich zabrać, zanim zaczną padać?

Jednym z powodów, dla których kochałem Maggie, i to wcale nie najmniej ważnym, był fakt, że w ogóle nie bała się mojego ojca.

Podeszła do nas jakaś kobieta. Ku swemu zdumieniu poznałem ją. Była jedną z tych, które płakały i zawodziły pod młynem o brudnych oknach w ów straszliwy ranek, gdy widziałem hisafów z Bractwa wprowadzających niemowlęta w trans, a także oddychającego z trudem mężczyznę, który przed chwilą przestał zamieszkiwać w szarym psie. Nagle zrozumiałem: ludzie, którzy zdobyli Hygryll dla mojego ojca, pochodzili z Reginokracji i z Ziemi Niczyjej. Śmiertelny trans odebrał im dzieci albo przynajmniej pochodzili z wiosek, w których do tego doszło. Rawley zwerbował ich, by pomogli mu w walce z Bractwem. Lord Robert nawet nie próbował pomścić dzieci, przyłączyli się więc do banity, który coś w tej sprawie robił. Przeprowadzili ich tu kurierzy, kierujący się potwierdzonymi hasłami rozkazami Rawleya. Nawet strach przed postawieniem nogi na Wrzosowisku Duszorośli nie ugasił w nich nadziei na zemstę.

Gdyby moje dziecko wprowadzono w trans, mógłbym postąpić tak samo.

Kobieta mnie nie poznała. Być może nawet mnie wówczas nie zauważyła. Ujęła ramię Charlotte, na wpół ją podtrzymując.

— Chodź ze mną. Ty też, dziecko.

Rawnie, która nie znosiła, gdy zwano ją dzieckiem, skrzywiła się wściekle i otworzyła usta. Wystarczyło spojrzenie jej ojca, by je zamknęła i

poszła za Charlotte. Maggie poprowadziła mnie za nimi. Zerknąłem z ukosa na Nell, która skinęła leciutko głową, podobnie jak ja.

Kamienna chata wyglądała identycznie i była urządzona równie surowo jak ta, w której kiedyś zjadłem to, co oferowało mi Hygryll. Różniła się tylko tym, że była mniejsza. Wtedy w ustawionym pośrodku piecyku palił się ogień, do którego rzucano proszki o ostrej woni, wywołujące trans. Teraz, latem, piecyk był pusty. Kamienne ławy stały pod ścianami, a kosze i pakunki leżały pod nimi.

Kobieta wyjęła koce, rozłożyła je na ławie i pomogła Charlotte spocząć na nich. Wszystkie jej ruchy były nagłe i urywane, jakby dręczyło ją wielkie napięcie. Nie odzywała się ani słowem. Gdy tylko się oddaliła, Maggie pogrzebała w pozostałych koszach i wyjęła z nich jagody oraz twarde, płaski chleb, jaki piecze się na rozgrzanych kamieniach.

— Rawnie, czy nadal jesteś głodna? Zjedz to. Charlotte, czy mogłabyś też coś zjeść? Roger?

— Muszę pójść się odlać — odpowiedziałem nieelegancko, ale zgodnie z prawdą.

— Jak może ci się chcieć sikać, kiedy nic jeszcze nie piłeś? No dobra, zaczekamy tutaj. Charlotte? Parę kęsów chleba?

Zostawiłem je i wyszedłem na zewnątrz, odchylając skórzaną płachtę służącą jako drzwi. Tak jak na to liczyłem, na dworze nikogo nie było. Zapewne Rawley przedstawiał sytuację swym ludziom albo słuchał ich raportów w wielkim kamiennym budynku, który pamiętałem aż za dobrze. Nie poruszając się ani za szybko, ani nazbyt powoli, dotarłem do najbliższego olbrzymiego głazu. Starłem się wyglądać jak ktoś, kto chce załatwić potrzebę.

Nell czekała na mnie, na wpół ukryta w płytkiej rozpadlinie po drugiej stronie gigantycznego kamienia. Nie wiedziałem, czy dotarła tam jako wąż,

czy jako kobieta. To nie miało znaczenia. Wartownicy mojego ojca stali daleko na wrzosowisku, by uniemożliwić atak. Tu nikt nas nie widział.

— Przekonałeś Rawleya? — zapytała Nell. Kobiety z sieci nigdy nie traciły czasu na uprzejmości.

— Nie.

— Nadal zamierza zmusić słuchających rozkazów Zwiastuna Duszoroślan do zabicia go?

W jej głosie brzmiało oburzenie.

— Tak. Ale my go powstrzymamy.

Wlepiała we mnie spojrzenie.

— Naprawdę?

— Tak. — Chciałbym czuć pewność pobrzmiewającą w moim głosie. — Ale najpierw, Nell, opowiedz mi o tym, co nazywacie „mieczem”. Tylko szybko. Nie mamy czasu.

— Nie powinieneś nawet słyszeć o mieczu!

— Ale słyszałem. Myślę też, że go widziałem.

— To niemożliwe. — Potrząsnęła głową, ale jej zielone oczy, oczy Cecylii, oczy Fii, oczy starca, otworzyły się szerzej w zamyśleniu. — Nie. To niemożliwe.

Kobiety z sieci z jakiegoś powodu zawsze powtarzały mi, że się mylę.

— Widziałem go! Nie mamy czasu...

— Co twoim zdaniem widziałeś?

— To wydarzyło się wtedy, gdy sprowadziłem armię Niebieskich z krainy Umarłych. Gdy przechodziłem z nimi na drugą stronę, usłyszałem straszliwy dźwięk i... niebo się rozszczępiło. Coś wyłoniło się z rykiem z tego rozdarcia, coś jasnego i straszliwego. Nie widziałem tego wyraźnie. Ale to istniało naprawdę i ledwie zdołałem przed tym uciec. Ledwie zdołaliśmy. Czy to był miecz?

— Być może. Nie wiem.

Nell zapomniała języka w gębie! Była niezdecydowana! Nie miałem jednak czasu na okazanie zdziwienia.

— Czym jest miecz? Co on robi?

Spojrzała na mnie, odwróciła wzrok i przygryzła dolną wargę.

— Nie mamy nic oprócz domysłów — odpowiedziała po chwili. — Miecz... strzeże samej śmierci i w związku z tym zachowuje ostateczną równowagę. Nie znam nikogo, kto by go naprawdę widział. Są jednak raporty, bardzo stare opowieści pochodzące od hisafów z minionych lat. Gdy któryś z Umarłych zgromadzi wystarczająco wielką moc, miecz go zabiera.

— Zabiera? A co to znaczy?

— Nie wiemy! — wybuchnęła. Rozejrzałem się wokół, by się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. To było głupie, bo przecież widziałem tylko głaz, o który się opieraliśmy, oraz puste wrzosowisko. Nell splotła dłonie tak mocno, że odpłynęła z nich cała krew i zrobiły się zupełnie białe.

— W krainie żywych jedno uderzenie miecza może zamienić życie w śmierć. Jesteśmy przekonane, że w krainie Umarłych miecz zamienia śmierć w następne stadium życia. Wszystkie opowieści się zgadzają co do tego, że czasami krąg Umarłych, bardzo stary krąg, sądząc po ich archaicznych strojach, znika. Pojawia się światło i hałas, o których wspominałeś, szare niebo rozszczepia się, jakby pękł szew, i Umarli się dematerializują. Być może to nagroda za ich cierpliwość, ale my tak nie sądzimy. To raczej sposób na zachowanie całości sieci, utrzymanie równowagi mocy. Gdy krąg Umarłych zgromadzi jej zbyt wiele, trzeba ich zabrać z miejsca, gdzie przebywają, by nie doszło do głębokich zaburzeń w całej krainie. Wiesz coś na ten temat, Rogerze Kilbourne, bo kiedyś sam ją zakłóciłeś swą ingerencją!

To była prawda. Świetnie pamiętałem burze i trzęsienia ziemi, jakie spowodowałem w owym miejscu. Mój umysł analizował słowa Nell w poszukiwaniu pewnego punktu oparcia, czegoś, co mógłbym potwierdzić własnym doświadczeniem.

— A więc sądzicie, że gdy sprowadziłem armię Niebieskich z powrotem do krainy żywych, zaburzyłem równowagę krainy Umarłych tak mocno, że przywołałem ten miecz? Który przywrócił równowagę.

— Czy kiedy przeszedłeś tam po raz kolejny, do krainy Umarłych nie powrócił spokój?

Faktycznie powrócił. Sam to nieświadomie spowodowałem. Kiedyż jednak nie działałem nieświadomie?

Tym razem. Tu i teraz. Choć raz wpłynę na równowagę celowo, dzięki informacjom uzyskanym od Nell oraz snowi wywołanemu naiwnymi pytaniami Toma Jenkinsa.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach.

— Och, Rogerze Kilbourne, ryzykowałeś uszkodzenie samej sieci bytu!

— Wszyscy to robimy — odparłem. — W każdej chwili naszego życia.

Opuściła dłonie i przeszła mnie wściekłym spojrzeniem. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, zza głazu wyszła mała dziewczynka.

Miała najwyżej dwa lata i była odziana w prostą sukienkę z niebarwionej wełny. Stopy miała bose, ale we włosy wpleciono jej barwną wstążkę. Zobaczywszy nas, zatrzymała się z zaskoczeniem w zielonych oczach. Mała Duszoroślanka, dziecko Hygryll, jedna z tych, które mój ojciec zamierzał torturować na oczach ich wziętych do niewoli rodziców, by zmusić ich do wysłania starca do krainy Umarłych.

Manipulacja równowagą sieci.

Dziecko uśmiechnęło się do mnie.

Zza głazu wypadła kobieta.

— Tu jesteś, ty niegrzeczny dzieciaku!

To była ta sama kobieta z Reginokracji, która zaprowadziła Charlotte do kamiennej chaty. Bractwo odebrało jej dziecko i teraz kazano jej pilnować tej małej Duszoroślanki. Czy wiedziała, jaki los czekał jej podopieczną? Gdyby tak było, z pewnością nie potrafiłaby się nią opiekować. Nie mogła wiedzieć!

Zobaczyła mnie i zatrzymała się nagle z rumieńcem na twarzy.

— Och, jesteś synem Rawleya. Przedtem o tym nie wiedziałam. Wybacz, że ci przeszkadzam, panie. Dziewczynka mi uciekła. Chodź tu!

Złapała dziecko i oddaliła się z powrotem ku wiosce. Obok mnie nikogo nie było. Tylko mały, szary wąż zwinięty u podstawy skały.

— Nell, zmień się z powrotem — rzekłem cicho. — Mam plan i pilne zadanie dla ciebie.

Najważniejszy był czas. Ale przecież tak jest zawsze. Czas, by żyć pełnią życia, zanim zabierze nas śmierć. Albo, w tym przypadku, by sporządzić narkotyki, zanim śmierć zabierze nieprzyjaciela.

— Nie mogę tego zrobić — oznajmiła Nell. — Nie mam potrzebnych składników. Miodu, tartej mąki ani...

— W takim razie nie rób ciasteczek! Nie możesz podać tego środka w jakiejś innej formie? Choćby nawet w wodzie?

— Poczuj smak.

— Zatem w jagodach! Mamy ich trochę w chacie. Widziałem je.

— Być może — przyznała Nell. Odszukała wzrokiem moje oczy i wyczytałem z jej spojrzenia coś, czego nigdy dotąd nie widziałem u żadnej kobiety z sieci: zwątpienie w siebie. Często — bardzo często! — okazywały brak wiary we mnie, w królowe, w hisafów, ale nigdy w siebie. — Och, Roger, chyba zabraknie nam czasu. Jeśli Rawley zamierza rozpocząć te... tortury natychmiast...

— Dopilnuję, by tego nie zrobił — zapowiedziałem złowrogim tonem.
— Czy masz ze sobą potrzebne narkotyki?

— Tak.

— W takim razie powiedz Maggie i Rawnie, żeby przyszły do mnie, a potem wykonaj całą robotę w chacie.

Charlotte nie będzie jej przeszkadzała ani zadawała pytań. Trochę się bała Nell. Co jednak miałem zrobić z dwiema pozostałymi? Gdy wyszły z chaty, kierując się ku mnie, podjąłem już decyzję.

— Posłuchaj — rzekłem konspiracyjnym szeptem do Rawnie. — Mam plan ucieczki.

Podeszła bardzo blisko, mimo że w zasięgu wzroku nikogo nie było. Jej oczy błyszczały.

— Ucieczki? — zapytała Maggie. — Przecież nie jesteśmy tu więźniami!

— Jeszcze nie — odparłem. — Ale kto wie, co się może wydarzyć? Myślę, że rozsądnie byłoby przygotować sobie drogę ucieczki, na wypadek, gdyby okazała się konieczna. Posłuchaj uważnie, Rawnie. Przed chwilą widziałem na wrzosowisku stado kuców. Nie są dzikie, ponieważ mają założone uzdy. Na pewno należą do mieszkańców Hygryll. W jakiś sposób wydostały się na wolność, ale nie odeszły daleko. Dopiero co schowały się za najbliższą skałą. Bardzo dobrze radzisz sobie z końmi... Maggie, czy wiedziałaś, że Rawnie ukradła konia i dojechała na nim z Galtryf aż do Reginokracji? Rawnie, potrzebujemy tych kuców, a przynajmniej kilku z nich. Gdybyś zdołała zwabić do siebie przewodnika stada, złapać go i...

— Zrobię to! — zawołała.

— Postradałeś zmysły? — zapytała w tej samej chwili Maggie.

— Potrafię to zrobić! — zapewniła ją dziewczynka.

— Roger, chcesz wysłać dziecko na wrzosowisko, podczas gdy może dojść do kolejnego ataku? Po to, by ścigało kuce, których z pewnością nie złapie?

— Właśnie, że złapie! — oburzyła się Rawnie. Piegi na jej twarzy zaznaczyły się niebezpiecznie. — Nie jestem dzieckiem! Mam jedenaście lat!

— Maggie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Widziałaś ciasny pierścień wartowników, których Rawley rozstawił na wrzosowisku wokół Hygryll. I są też psy. Wewnątrz tego kręgu Rawnie będzie tak samo bezpieczna jak w wiosce. Może nawet bardziej, bo jeśli dojdzie do ataku, jego celem stanie się Hygryll. Poza tym, na wrzosowisku mniej zobaczy.

Maggie wiedziała, co miałem na myśli, nawet jeśli Rawnie nie mogła się tego domyślić. Zresztą dziewczynki nikt by już nie powstrzymał.

— Widziałam w chacie sznur! — zawołała i pobiegła do niej. Maggie odgarnęła z czoła jasne loki i spojrzała na mnie.

— Roger, nadal nie sądzę...

— Miej ją na oku, Maggie. Nie chcę, żeby tu była, gdy... gdy Rawley wprowadzi w życie swój plan.

Pobladła.

— Nadal zamierza to uczynić? Teraz?

— Nie wiem. Ale nie chcę, żeby Rawnie była w zasięgu słuchu.

Po chwili Maggie skinęła głową.

— Być może uda mi się ją utrzymać po drugiej stronie skały. Och, Roger, gdyby to był nasz Tom...

— Idźcie już — przerwałem jej, gdy Rawnie wróciła do nas biegiem, niosąc sznur. Maggie zawsze potrafiła nazwać po imieniu twarde prawdy. Bywały chwile, gdy wolałbym, by tak nie było. Postara się, by Rawnie była daleko od Hygryll, podczas gdy Nell będzie pracowała. Niestrudzona

dziewczynka przez długi czas nie zaprzestanie poszukiwań wymyślonych przeze mnie kuców.

Gdy obie oddaliły się już w kierunku najbliższej skały, zjrzałem do mrocznego wnętrza okrągłej chaty. Charlotte spała na kamiennej ławie, a Nell siedziała na podłodze w blasku płonącego sitowia, które umieściła w uchwycie na łukowatej ścianie. Wokół niej leżały małe paczuszki z proszkiem, które z pewnością dotąd ukrywała w sukni.

— Opuść płachtę, Roger — warknęła. — I stań na straży, żeby nikt nie wszedł do środka!

Opuściłem płachtę, ale nie stanąłem na straży. Musiałem jakoś odwrócić uwagę ojca. Po drugiej stronie otwartego placu tworzącego środek osady znajdowała się największa chata w Hygryll. Kiedyś zaprowadzono mnie tam na posiłek...

Nie myśl o tym.

Gdy jednak mijalem wielki, płaski kamień ulokowany pośrodku kręgu chat, trudno mi było powstrzymać wspomnienia. Kręgi Umarłych z wirami pośrodku. Krąg chat z kamieniem ofiarnym pośrodku. Ja, Maggie i nasz syn pośrodku tej wojny, w którą nieświadomie się zamieszałem.

Rawley wyszedł z największej chaty w tej samej chwili, gdy do niej podszedłem. Jego ludzie podążali za nim, cisi i napięci. Kilku z nich zerknęło w stronę chaty, w której pogrążona w żałobie kobieta strzegła co najmniej jednego niewinnego dziecka. Jeden hisaf, najmłodszy, mrugał, próbując usunąć łzy z oczu.

— Roger — rzekł ojciec twardym tonem. — Wracaj do chaty i wypocznij.

— Już wypocząłem. Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.

— Nie skłonisz mnie do zmiany zdania.

— Nie zamierzam nawet próbować. Chodzi mi o coś innego. O Charlotte.

Jego twarz zmarszczyła się z niepokoju.

— Źle się czuje? To coś gorszego niż tylko zmęczenie?

— Śpi spokojnie — zapewniłem, nie chcąc, by wpadł do chaty, zanim Nell skończy.

— W takim razie porozmawiam z tobą później.

Skręcił, by mnie ominąć. Zastąpiłem mu drogę. Wyciągnął rękę i odepchnął mnie na bok. To chyba był moment, gdy nienawidziłem go najbardziej. Porzucił moją matkę i mnie, przynajmniej dwukrotnie wysłał mnie na niebezpieczną misję, a teraz rozważał popełnienie czynu tak straszliwego, że wzdrygałem się przed samą myślą o nim. A mimo to najbardziej rozwścieczył mnie ten lekceważący gest. „Nie masz znaczenia, zejź mi z drogi”. Oto przykład na to, że naszym uczuciom brak proporcji i równowagi.

Równowaga. To ona zawsze była kluczem.

— Rawley — odezwałem się, jak zwykle nie mogąc się zdobyć na to, by nazwać go „ojcem”. — Mam informację, która może wpłynąć na to, co zamierzasz uczynić. Charlotte dowiedziała się o tym w Galtryf, od Jagona, a teraz powiedziała mnie. To ma kluczowe znaczenie!

Zatrzymał się.

— Od Jagona?

— Tak. Nie była pewna, czy powinna ci o tym powiedzieć, więc zapytała mnie w chacie, zanim zasnęła.

Na twarzy Rawleya pojawiło się niezdecydowanie.

Z chaty wyszli dwaj kolejni mężczyźni. Zapewne wszyscy byli hisafami, a ci, którzy stali na straży, by bronić Hygryll przed atakiem, byli ludźmi, których zwerbował w Reginokracji. Czterech, pięciu, sześciu hisafów —

niezbyt wielu, a jeden z nich był jeszcze prawie chłopcem. Dobrze! To znaczyło, że reszta sił Rawleya jest rozproszona po Reginokracji i Ziemi Niczyjej, gdzie gra swą rolę w tajnym konflikcie, na czymkolwiek mogłaby ona polegać.

— Zaraz wrócę — oznajmił Rawley, oglądając się przez ramię. — Zaczekajcie na mnie pod więzieniem.

Mężczyźni skinęli głowami i ruszyli ku najdalej położonej kamiennej chacie. A więc to tam przetrzymywano Zwiastuna, razem z mieszkańcami Hygryll, którzy pozostali przy życiu po zdobyciu wioski przez Rawleya. Z pewnością dysponowali wielką mocą, ukradzioną Umarłym, ale nie dorównywała ona jeszcze mocy Zwiastuna. I nic im nie pomogła, gdy odebrano im dzieci.

— Czego dowiedziała się Charlotte od Jagona? — zapytał Rawley.

— Nie tutaj — odparłem i ruszyłem ku wielkiemu głazowi, za którym przedtem rozmawiałem z Nell. Oddech uwiązał mi w gardle. Czy ojciec pójdzie za mną? Zrobił to.

Dwie minuty zużyte na dojście do głazu.

— Roger! Powiedz mi wreszcie!

— To dla mnie trudne. — Starłem się wyglądać jak człowiek borykający się z bolesnymi prawdami. Och, gdybym tylko miał zdolności aktorskie Leo! — Charlotte powiedziała... powiedziała...

— Co powiedziała?

— Próbuję sobie przypomnieć dokładne brzmienie jej słów.

— Nie musi być dokładne! Po prostu mi powiedz!

— To było wtedy, gdy Charlotte i Rawnie wyprowadzono na dziedziniec w ruinach, żeby się przespacerowały. Charlotte codziennie wyprowadzano z celi pod nadzorem Leo albo którejś z kobiet z Duszorośli. Rawnie miała więcej swobody, ponieważ Leo...

— Roger — przerwał mi niskim głosem o groźnym brzmieniu.

— Próbuję ci o tym opowiedzieć! Jago przechodził obok i powiedział do niej: „To już nie są tylko psy”.

Twarz Rawleya nagle się zmieniła. Przeszył mnie ostrym spojrzeniem.

— To wydarzyło się jeszcze przed tym, nim zamieszkałeś w burku bagiennym?

— Tak.

— A czy ktoś z Bractwa, na przykład Leo, wiedział, że planujesz podobny czyn?

— Skąd mam wiedzieć, co wiedział Leo?

— Ale ty mu o tym nie powiedziałaś?

— Pewnie, że nie!

Czy miał mnie za głupiego? Najwyraźniej tak.

— Co jeszcze powiedział Jago Charlotte?

— Nie wiem. Możesz ją o to zapytać.

— Zrobię to. Natychmiast. Czemu mi o tym nie powiedziałaś przedtem? Jeśli Jagonowi chodziło o to, że Bractwo uczy się tego, co ty zrobiłaś... Ale dlaczego miałyby mówić o tym Charlotte?

— Nie wiem — odparłem zgodnie z prawdą.

— To rzeczywiście ma kluczowe znaczenie, Roger, ale jeśli... Co ona robi?

Mówił o Rawnie, która wybiegła pędem zza wielkiego głazu, trzymając w ręce sznur. Wzruszyłem ramionami.

— To pewnie jakaś zabawa.

— No cóż, tak blisko od wioski jest bezpiecznie. Może lepiej, żeby nie widziała...

Przerwał, nie patrząc mi w oczy. Czy Nell miała czas na dokończenie przygotowań? I jak mam namówić Rawleya do spożycia narkotyku?

— Idę porozmawiać z Charlotte — oznajmił nagle. Skinął na swych ludzi, każąc im poczekać tam, gdzie stali. Czyżbym zauważył ulgę w jego twarzy? Być może nawet on ucieszył się z wymówki, która pozwoliła mu odwlec torturowanie Duszoroślan?

— Jeśli Bractwo rzeczywiście uczy się... — zacząłem, desperacko próbując powstrzymać go jak najdłużej.

— Muszę się dowiedzieć, co dokładnie powiedziała Charlotte. Może źle to zrozumiała. Albo ty to źle zrozumiałeś.

— To zawsze jest możliwe — przyznałem, ale on już szedł w stronę kamiennej chaty, w której spała Charlotte. Podążyłem za nim. Jeśli Nell jeszcze nie skończyła...

Skończyła. To nie były ciasteczka jak te, które wprawiły mnie kiedyś w oszołomienie i uczyniły podatnym na sugestię, wskutek czego przespałem się z Fią. To nie był eliksir, dzięki któremu patrzyłem kiedyś, jak pałą królową Caroline na stosie, i nie rozumiałem, co widzę. To były po prostu jagody z wrzosowiska, ułożone na prostym kamiennym talerzu. Nell zniknęła. Jagody wydzielały aromat silniejszy i słodszy niż zwykle, były też bardziej czerwone, jakby nadal były świeże i pokrywała je rosa, lśniąca w świetle poranka.

Rawley je zignorował. Pochylił się nad Charlotte, nadal śpiącą na kamiennej ławie. Leżała na plecach, z głową wspartą na splecionych dłoniach, w pozie całkowitej bezbronności. W migotliwym świetle zapalonego przez Nell sitowia zauważyłem, że twarz mojego ojca złagodniała. Wzruszyła go bezradność kobiety i jej zależność od niego. Pomyślałem o tym, jak bardzo Charlotte różni się od Maggie. Po raz kolejny ucieszyłem się, że mam tę drugą.

— Charlotte? Kochanie?

Otworzyła oczy i chwyciła go mocno. Co jej się śniło?

— Wszystko w porządku, kochanie, jestem tutaj. Muszę cię zapytać o coś, co Jago powiedział ci w Galtryf.

— Jago? On nigdy...

Pokiwałem energicznie głową, spoglądając nad ramieniem odwróconego do mnie plecami ojca. Powodzenie mojego planu zależało od tego, czy ta łagodna kobieta zechce okłamać męża i czy ów bezlitosny mężczyzna będzie miał apetyt na jagody. Wykonałem gest symbolizujący błaganie.

Charlotte była bojaźliwa, ale nie głupia. Wiedziała też, co zaplanował Roger. Powiedziała jej o tym Maggie, zawsze rozdająca prawdę jak karty do gry.

— ...nie mówił mi zbyt wiele — dokończyła Charlotte lekko tylko załamującym się głosem, — To było na dziedzińcu zamku, kiedy wyszłaś na spacer — nie ustępował Rawley. — Jago powiedział: „To już nie są tylko psy” albo coś w tym rodzaju. Pamiętasz?

Ponownie pokiwałem z zapałem głową.

— Tak, tak, pamiętam — zgodziła się Charlotte. W jej oczach pojawiła się panika.

— Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło. Co do słowa. To bardzo ważne.

— T...tak.

Udałem, że jem jagody, i wskazałem na ojca.

— Powiedział... powiedział... próbuję to sobie przypomnieć, Rawley. O, popatrz! Jagody! Jestem bardzo głodna, a ty?

— Nie. Spróbuj to sobie przypomnieć, Charlotte.

— No więc, powiedział to o... o psach, tak jak wspominałeś. Pozwól mi się zastanowić...

Nie miała pojęcia, co powiedzieć dalej, a nie miała talentów improwizatorskich Maggie, nie wspominając już o Rawnie. Zapewne chcąc

przeciągnąć sprawę, sięgnęła po jagody i nim zdążyłem ją powstrzymać, wzięła sobie wielką garść i zaczęła jeść.

— Och, są takie smaczne! Proszę, zjedz trochę, Rawley!

— Charlotte. — Choć jego głos nie był ostry niczym trzaśnięcie bicia, jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną albo z córką, pobrzmiwała w nim nuta niecierpliwości. To jeszcze bardziej skonsternowało Charlotte. Skuliła się trwożnie przed jego niezadowoleniem i spojrzała na mnie. W jej oczach pojawiły się łzy. Zobaczył je.

— Och, w porządku. Jeśli sprawi ci to przyjemność.

Wziął w garść resztę jagód i wsypał je sobie do ust.

Gdy Fia, a po niej Matka Chilton, podały mi narkotyk, środek zadziałał szybko. Tak przynajmniej sądziłem. Oba wspomnienia zmieniły się dla mnie w zamazaną plamę, choć pamiętałem halucynacje. Płonące pęki sitowia i sosnowe gałęzie to się powiększały, to kurczyły, podobnie jak Tom Jenkins. Płomienie zdawały się tańczyć na białych ramionach Fii, nadając im różową, złotą i pomarańczową barwę. Prosiła, żebym jej coś obiecał, a ja wydyszałem: „Co tylko zechcesz”, podobnie jak zrobiłbym wszystko, czego by ode mnie chciała Matka Chilton, kiedy podała mi narkotyk. Ale Rawley zjadł tylko połowę dawki.

— Jak ty dziwnie wyglądasz! — zawołała Charlotte. — Twoja broda płonie... Nie, ty nie masz brody...

Zachichotała.

W posępnym, słabo oświetlonym kamiennym domostwie jej chichot był szokujący jak krzyk. Rawley wstał i popatrzył na nią z góry. Ale on również zaczynał już odczuwać działanie narkotyku. Potrząsnął głową, próbując skupić wzrok. Cokolwiek widział, nic na ten temat nie mówił. Ogromnym wysiłkiem woli zwrócił głowę w moją stronę.

— Roger... to ty... — Przerwał. Sprawiał wrażenie, że nie jest pewien, jak mam na imię. — To ty... — odezwał się wreszcie. — Jagody... Nell...

Sięgnął po nóż, który miał u pasa. Choć miałem tylko jedną rękę, zabrałem mu go z łatwością. Wszystkie jego ruchy były spowolnione i niezgrabne.

— Nell? — powtórzyła Charlotte. — Myślisz, że jest ładniejsza ode mnie?

To również sobie przypominałem. Narkotyk uwalniał od zahamowań. Ci, którzy go połknęli, mówili głośno o wszystkim, co im leżało na sercu. Liczyłem na to.

— Rawley? — dopytywała się Charlotte. — Czy Nell jest ładniejsza ode mnie?

Nie odpowiadał. Gapił się tylko na mnie z oszołomieniem.

— A Katharine? Czy kochałeś ją bardziej ode mnie?

Katharine. Nie mówiła o mojej szalonej siostrze, lecz o matce. Owo pytanie z pewnością już od dawna czaiło się w umyśle Charlotte, ale nigdy nie zadałaby go na głos, gdyby nie jagody Nell. Rawley nie odpowiadał. Całą zmaconą uwagę skupił na mnie. Musiał stać się tak samo podatny na sugestię jak jego żona. Wszystko od tego zależało.

— Ojciec — rzekłem, zmuszając się do wypowiedzenia tego słowa. — Usiądź. Tutaj, na ławie.

Zrobił to, potykając się po drodze. Leżąca obok Charlotte usiadła z wysiłkiem, a potem oparła się o Rawleya. Wyglądali jak para skonsternowanych dzieci. To właśnie znieczuliło moje serce. Dzieci. To, co Rawley zamierzał im zrobić.

— Twoi ludzie, Rawley — powiedziałem, stając nad nim. — Czekają na ciebie na dworze.

— Moi ludzie — mruknął, kiwając głową. — Tak, moi ludzie.

Charlotte, której najgłębszych obaw nie ukojono, rozplakała się bezgłośnie. Po jej bladych policzkach spływały łzy.

— Tak jest, twoi ludzie — powtórzyłem najbardziej autorytatywnym tonem, na jaki było mnie stać. — Czekają na twoje rozkazy. Jak brzmi hasło dnia, Rawley?

— Hasło dnia...

— Tak jest, hasło dnia. Dla twoich ludzi. Jak ono brzmi?

— Nie...

— Jak?

Nic nie mówił. Jego twarz zwróciła się ku mnie w oświetlonym blaskiem płonącego sitowia półmroku. Zniknęła z niej część zmieszania. Rawley ze wszystkich sił walczył z wpływem narkotyku. Zaczął wstawać, ale zaraz osunął się na ławę.

Złapałem go jedyną dłonią za bark.

— Hasło dnia! Jak ono brzmi?

— Tam nie ma żadnych bagiennych kuców! — krzyknął ktoś za moimi plecami. Rawnie wtargnęła do chaty i walnęła mnie mocno w ramię. — Skłamałeś, Roger! Skłamałeś!

— Podalesz mi narkotyk — odezwał się Rawley ze zdumieniem w głosie. Charlotte skryła twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre.

A mój wspaniały plan rozplynął się niczym poranna mgła nad wrzosowiskiem.

Rawnie przestała mnie bić i wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Jej rodzice siedzieli obok siebie na ławie. Matka płakała, a ojciec był oszołomiony. Na jej twarzy pojawił się strach. Tych dwoje ludzi utrzymywało jej świat w całości. Ale Rawnie nie na darmo była córką swego ojca. A Nell uczyła jej wiedzy o roślinach. Spojrzała na kamienną miskę splamioną nienaturalnie jaskrawym jagodowym sokiem, potem na swego zwykle nieposkromionego ojca, a na koniec na mnie.

— Podalesz im coś niedobrego! — zawołała.

— Rawnie, wyjdź stąd — rozkazałem. — Zradź mi dzisiejsze hasło — zażądałem od Rawleya, starając się ukryć desperację.

— Co im podalesz? — nie ustępowała Rawnie. — Skąd wiedziałeś, jak to przyrządzić? Gdzie jest Nell?

— Tutaj — odpowiedziała kobieta z sieci, wyłaniając się z zacienionego kąta, w którym się ukrywała jako... czym tam właściwie była. W tej samej chwili do chaty wpadła Maggie. Była zdyszana i miała zasepioną minę.

— Rawnie! Ty okropny dzieciaku, nie możesz tak po prostu...

Maggie umilkła i rozejrzała się wokół ze zdumieniem, próbując zrozumieć niezwykłą scenę, którą ujrzała.

— Podalesz mi... narkotyk — powtórzył Rawley. Mięśnie jego twarzy nadal były bezwładne, ale spojrzenie stawało się już skupione. Było twardsze i bardziej niewzruszone niż największy głaz na Wrzosowisku Duszorośli. Wstał z ławy. Potknął się, ale odzyskał równowagę. A potem rzucił się na mnie, zaciskając dłonie na moim gardle. Gdyby był w pełni sobą, wysłałby mnie na stałe do krainy Umarłych. Albo gdyby był w pełni

sobą, nie zaatakowałby mnie w ogóle. On jednak był tylko w połowie pod wpływem jagód i miał za mało siły w rękach, żeby mnie zabić. Maggie i Nell odciągnęły go ode mnie. Potem Maggie zdzieliła go w głowę kamienną miską na jagody i zwałił się na ziemi.

— Rawley! — krzyknęła Charlotte.

— Tato!

— On chciał... — tłumaczyła się Maggie. — Ja tylko... Skrzywdził Rogera!

Ale to Nell uklękła obok Rawleya, uchyliła jego powieki, pomacała nadgarstek i szyję długimi palcami, a wreszcie przystawiła ucho do piersi.

— Będzie żył — orzekła w tej samej chwili, gdy Rawley otworzył oczy. Maggie wzięła się już w garść.

— Rawnie, daj mi ten sznur. Związę go. Nie, Rawnie, zostaw mnie w spokoju. On zaatakował Rogera!

— Nie waż się związać taty!

— Rawnie — odezwała się Nell. W jej głosie zabrzmiała nuta autorytetu, której ja nie byłem w stanie przywołać. — Przestań. To tylko na czas, dopóki nie minie działanie narkotyku. Nie chciałybyś, żeby zrobił krzywdę sobie albo komuś innemu, prawda?

— Ale dlaczego musiała to zrobić? Nie, to Roger podał mu ten narkotyk! Roger, znowu cię nienawidzę!

Kopnęła mnie mocno w goleń.

Charlotte pod wpływem spożytej przez siebie porcji jagód osunęła się bokiem na ławę i zasnęła. To również pamiętałem. Być może z Rawleyem będzie tak samo. Z pewnością zrobił się teraz spokojny. Nie odzywał się ani słowem, podczas gdy Maggie krępowała go kawałkiem sznura tak długim, że wystarczyłby do spętania dzika. Rawnie nadrabiała jednak milczenie obojga rodziców, szarpiąc się w uścisku Nell i wrzeszcząc na mnie.

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? Tata próbuje nas uratować. Już nas uratował, bo przyprowadził nas tutaj, gdzie jest bezpiecznie i... Dlaczego? Czy aż tak bardzo mu zazdrościsz, bo jest potężny i dobry, a do tego ma dwie ręce, a ty jesteś kaleką? O to chodzi, tak? Nie możesz stać się tym, kim on jest, ani mieć tego, co on ma, i... i... wcale nie chcesz poznać hasła dnia! Wiem, że nie chcesz! To wszystko tylko zazdrość i... Udowodnię ci, że nie miałeś dobrego powodu, by związać tatę i podać mu narkotyki! Nie miałeś, ty paskudny Rogerze! Udowodnię ci to! Powiem ci hasło! Tata przekazał je rano swym kapitanom, nie wiedząc, że go podsłuchuję! Nie, nie zdradzę ci go! Jesteś okropnym potworem! Nic ci już nigdy nie powiem! Masz za swoje!

Nell wciągnęła nagle powietrze w płuca i puściła dziewczynkę.

— Znasz hasło, które Rawley podał dziś swoim hisafom? Podaj mi je.

— Co tu się dzieje? — zapytała Maggie, spoglądając na mnie.

Nell nie traciła czasu na dyskusję. Zniknęła i na jej miejscu pojawił się szary, śmiercionośny wąż, pełznący w stronę Rawnie.

Dziewczynka wycofała się z krzykiem do kąta. Wykazałem się szybkim refleksem, mówiąc: — Ona to robi, Rawnie. Ukąsi cię. Widziałeś, co się stało na wrzosowisku.

— Dzisiejsze hasło brzmi „Hartah”! — zawołała dziewczynka.

Hartah. Brutalny przybrany wujek, który wychowywał mnie razem z ciotką Jo. Jakie wypaczone motywy — poczucie winy albo gniew — skłoniły Rawleya do wybrania takiego hasła? Na moment ujrzałem przed sobą Hartaha, takiego, jakim był na kamienistej plaży owego dnia, gdy morscy rozbójnicy doprowadzili do katastrofy „Frances Ormund”. Z jego przetłuszczonych włosów spływał deszcz, na twarzy malował się upiorny triumf, a nóż był czerwony od krwi marynarzy, których przed chwilą zabił.

Odepchnąłem od siebie ten obraz i ujrzałem łkającą Rawnie, złamaną — nareszcie — przez strach, gniew i zdradę Nell.

Zatem miałem wygrać dzięki terroryzowaniu dzieci. Tak samo jak mój ojciec.

Nie mieliśmy wiele czasu. Ludzie Rawleya, czekający na niego pod chatą, w której przetrzymywano uwięzionych członków starszyny Wrzosowiska Duszorośli, w końcu poczują się znużeni i pójdą poszukać swego wodza. Musieliśmy być gotowi. Pięciu albo sześciu mężczyzn w Hygryll, ale cała armia hisafów rozszana na terenie Reginokracji oraz Ziemi Niczyjej. Zamierzałem wykorzystać wszystkich.

— Zgaś światło — poleciłem Nell. — Musimy im utrudnić zadanie. A kiedy uderzycie, czy możecie... czy możecie...

Nie znałem odpowiednich słów.

— Nie umrą — zapewniła Nell. Wróciła do ludzkiej postaci i na jej widok poraził mnie szok. Mimo że wąż był zwierzęciem, z którym dzieliła duszę, tak częste przechodzenie z jednej postaci w drugą kosztowało ją bardzo wiele. Na jej twarzy malowało się skrajne wyczerpanie, a dłonie drżały. „Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne”.

— Powiedz mi, co tu się dzieje? — zażądała Maggie, wspierając ręce na biodrach.

— To znaczy, że twoje kobiety potrafią regulować ilość jadu? — zapytałem Nell. — I gdzie one są?

— Tak. I nie zobaczysz ich, dopóki to nie będzie konieczne.

— Roger!

— Maggie, nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć — odparłem z desperacją w głosie. — Proszę, zaufaj mi w tej sprawie. Zwiąż i zaknebluj Rawnie tak, żeby nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Proszę, kochanie!

Rawnie natychmiast krzyknęła i rzuciła się ku drzwiom. Maggie złapała ją, wyciągnęła chustkę z kieszeni w swym stroju — w fartuchu, w rękawie czy gdzie indziej, nie wiem gdzie — i wepchnęła ją dziewczynce do ust. Potem wzięliśmy sznur przeznaczony dla nieistniejących bagiennych kuców i owinęliśmy go wokół szarpiącego się ciała Rawnie, unieruchamiając jej ręce i nogi. Opierała się, ale wiedziałem, jak bardzo silna jest Maggie. Zawsze o tym wiedziałem. Polegałem na jej sile.

— Roger, lepiej mi to wszystko wytłumacz.

— Zrobię to, Maggie. Już niedługo.

Oczy mojego ojca wpatrywały się w nas z oszołomioną, bezsilną nienawiścią. Były ostatnim, co zobaczyłem, zanim zgasł płomień sitowia.

Potem czekaliśmy. Wydawało się, że trwa to długo, ale zapewne nie minęło więcej niż dziesięć minut. Maggie, Nell i ja nic nie mówiliśmy, a Rawley, Charlotte i Rawnie nie mogli tego robić. Słyszałem, że Nell oddycha z trudem, ale nie można było nic na to poradzić. Potrzebowałem jej.

Na zewnątrz kamiennej chaty rozległy się głosy.

Pierwszy człowiek Rawleya uniósł płachtę i wszedł do środka, wydając z siebie ciche, nieartykułowane okrzyki na widok panującej tam ciemności. Nim jego oczy zdążyły do niej przywyknąć, pojawił się mały szary wąż i ugryzł go w rękę. Ledwie zdążył krzyknąć, zanim upadł.

Usłyszawszy jego krzyk, czterej pozostali wpadli do środka. I każdy po kolei padł, ale tym razem nie widziałem węży. Wkrótce było po wszystkim. Płachta nadal falowała, gdy ostatnia z mrocznych postaci znieruchomiła. Obok hisafów leżały trzy kobiety z sieci.

Maggie sięgnęła po sitowie, a potem po drugie. Gapiłem się na leżące na ziemi ciała. Nell pochyliła głowę, dysząc jeszcze głośniejsze.

— Nie powiedziałaś... nie ostrzegłaś mnie... — zaprotestowałem.

— Pytałeś... czy mężczyźni przeżyją. O nas... nie pytałeś.

— Ale przedtem... na wrzosowisku, kiedy ugryzły ludzi z Bractwa...

— Myślałeś — odpowiedziała z nagłą gwałtownością — że... mogą to robić bez końca? Ledwie zdołałam... tylko dwóm pozostało wystarczająco wiele sił... Wiedziały, że nie przeżyją. Lepiej, żeby twój plan się udał, Rogerze Kilbourne!

Jeśli się uda, to dzięki niej. Nie powiedziałem tego. Zalewał mnie smutek z powodu trzech kolejnych śmierci, które spowodowałem, nie miałem jednak czasu na żal. Ani na myślenie o Rawnie. Maggie się nią zajmie, podobnie jak Charlotte i Rawleyem. Mogłem zaufać jej kompetencji.

— Roger! — zawołała do mnie z groźbą w głosie.

— Niedługo. Mam jeszcze coś do zrobienia. Proszę, Maggie.

Bez słowa pomogłem wstać Nell, która była jeszcze słabsza, niż mi się zdawało, a potem opuściłem chatę, by zmienić równowagę świata.

Nadeszła wichura, przynosząc ze sobą deszcz. To nie była burza, po prostu zwyczajna kapryśna pogoda na wrzosowisku. Szare chmury wisiały nisko na niebie. Pomogłem Nell wrócić pod osłonę wielkiego głazu, w miejscu położonym najdalej od Hygryll. W niektórych chatach siedzieli dalsi rekruci mojego ojca, pilnujący Zwiastuna oraz dzieci z Duszorośli. Nie chciałem, by nas zauważyli.

„Dokąd odchodzą?” — pytały mnie Stephanie i Matka Chilton w moich niejasnych snach. Teraz już wiedziałem, o co im chodziło. I znałem odpowiedź.

Nell osunęła się w skalną szczelinę. Oddychała ciężko, jej zielone oczy były ogromne, a twarz zmęczona. Zdawałem sobie sprawę, że nade wszystko pragnie zasnąć, podobnie jak ja po powrocie z ciała burka bagiennego, ale wiedziałem też, że tego nie zrobi. Jeszcze nie.

— Jesteś gotowa?

— Tak.

Spróbowała się do mnie uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Nie potrzebowałem jednak jej uśmiechów, a tylko jej odwagi oraz daru. Ta kobieta władająca sztukami duszy, którą poznałem dopiero przed dwoma tygodniami, której nawet nie lubiłem, która tak bardzo przypominała Cecilie, miała stać mi się bliższa niż ktokolwiek pośród żywych, nawet Maggie. Czy ja byłem gotowy?

To nie miało znaczenia. Nadszedł czas. Ująłem jej zimną dłoń.

Zamknęła oczy. Nad naszą szczeliną wiatr niósł strugi deszczu. W szarym świetle widziałem jej blade, półprzezroczyste powieki poznaczone niebieskimi żyłkami, a także intensywne ruchy gałek ocznych pod spodem. Koncentrowała się, być może mocniej niż kiedykolwiek w życiu. Dzięki temu aktowi woli mogła zgromadzić niewielkie siły, jakie jeszcze jej pozostały. Próbowwała dotrzeć do mojego niedawno narodzonego syna.

Ja nie byłem w stanie tego zrobić. Sny przesyłane przez Matkę Chilton i Stephanie docierały do mnie za pośrednictwem łącznika, jakim był mały Tom. Dlatego były tak zamazane, choć z upływem dni stawały się coraz bardziej wyraziste, w miarę jak dziecko uczyło się postrzegać otaczający świat. Nigdy jednak nie udało mi się zainicjować kontaktu za pośrednictwem Toma. Nie byłem kobietą z sieci i sztuki duszy były przede mną zamknięte. To dotyczyło również niewidzialnej, widmowej sieci snów. Mogłem je odbierać, ale nie potrafiłem ich wysłać.

W przeciwieństwie do Nell. Jej chude ciało nagle zadrżało, tak gwałtownie, że uderzyła barkiem o skałę. Wziąłem ją w ramiona i przytuliłem, jakby była Cecilia, jakby była Maggie, jakby była moim synem.

— Dotrzyj do Stephanie — zażądałem niepotrzebnie, bo oczywiście wszystko jej wytłumaczyłem już przedtem. — Potrzebujemy małej królowej!

Nell nie traciła cennej energii na odpowiadanie mi. Równie dobrze mógłbym się nie odzywać. Znieruchomiała jednak całkowicie w moich ramionach. Nigdy w życiu nie spotkałem się z tak nagłym bezruchem.

Wiadomość trzeba było wysłać za pośrednictwem Stephanie. Gdy przebywaliśmy w wysokich górach na zachodzie, z armią Tareka, księżniczka miała moc zabijania w snach, niewyszkoloną i śmiertelnie groźną. Musiała znajdować się blisko ofiary i moja szalona przyrodnia siostra wykorzystwała tę zdolność, by uczynić sześciolletnią dziewczynkę morderczynią. Ja nie zmuszę Stephanie do popełnienia zabójstwa, nawet gdyby było to możliwe. Niemniej tylko za pośrednictwem jej mocy, ukształtowanej obecnie przez Matkę Chilton, mogłem połączyć się z synem i dzięki niemu uczynić to, co było konieczne. Nell poruszyła ustami. Otworzyła oczy.

— Roger... — wykrztusiła z wysiłkiem. Nagły podmuch niosącej deszcz wicheru omal nie zagłuszył tego słowa.

— Trzymaj się, Nell! Powiedz Stephanie, żeby wysłała za pośrednictwem mojego syna wiadomość do wszystkich hisafów mojego ojca jednocześnie. Wszystkich. On potrafi tego dokonać. Mój chłopczyk potrafi...

Ale czy rzeczywiście? Cały ten desperacki plan wydał mi się nagle czystym szaleństwem. Opierał się na dwojgu dzieciach, a jedno z nich było niemowlęciem. Nie wiedziałem nawet, czy Matka Chilton jest w tej chwili ze Stephanie, czy księżniczka wszystko zrozumie i czy hisafowie mojego ojca wykonają niezwykle rozkaz, przekazany w tak osobliwy sposób...

— Hasło dnia! — rzekłem z naciskiem do Nell. — Musisz się upewnić, że Stephanie przekaże im hasło dnia!

Jej pobladłe wargi skrzywiły się nieco, ale nie miała czasu na zawracanie sobie głowy moimi obawami. Byłem twórcą tego planu, ale jak architekt budujący pałac musiałem zlecić jego wykonanie innym. „Dokąd odchodzą?” Wszystkie te dzieci, których moc, których *vivię*, kradło Bractwo, by zrównoważyć tę, którą Wrzosowisko Duszorośli zagabiło Umarłym. Równowaga sieci mocy była bardzo chwiejna. Niszczono ciała Umarłych, by ich moc mogła przepłynąć do mężczyzn i kobiet z Wrzosowiska Duszorośli, przebywających w krainie żywych. Ale wtedy w krainie Umarłych dochodziło do zachwiania równowagi, którą przywracano dzięki *vivii* dzieci. Ale gdzie ją kierowano?

Do ciemności, którą było Galtryf po drugiej stronie. Ciemności, która uniemożliwiała tam używanie sztuk duszy. Ciemności, którą widziałem w krainie Umarłych, z bezpiecznej odległości. Zauważyłem też w owym mroku zamazane migotliwe plamki srebrnego blasku — ukradzioną dzieciom siłę życiową, podtrzymującą równowagę sieci.

Usta Nell uformowały hasło mojego ojca: *Hartah*. Wiatr zmienił kierunek, chlustając deszczem w jej wyniszczoną twarz. Przesunąłem się pod skałę, by osłonić ją na miarę swych możliwości. Co widziała? Co robiła Stephanie?

I nagle to poczułem. We własnym umyśle. Ja również byłem hisafem i Stephanie mogła do mnie dotrzeć za pośrednictwem Toma.

Najpierw zamazane kolory, ale bardziej wyraziste niż poprzednio. Dostrzegłem gładzone drewno — bok kołyski? Pochylała się nade mną jakaś kobieta, za blisko, bym mógł ją widzieć. Czułem tylko ciepło i uspokajający zapach. Kołyska i kobieta zniknęły. Zobaczyłem Stephanie. Poczulem swe chude, drobne ciało zamknięte w obcym dla mnie, twardym

gorsecie, który jednak z jakiegoś powodu wydawał się znajomy. Usłyszałem szelest swych spódnic. Poczułem dotknięcie twardej dłoni. Wiedziałem, że to dłoń Jee. Zalała mnie fala zaskoczenia i strachu. Poczułem, że moje usta otwierają się na kształt litery „O”! Potem to wszystko zniknęło i znowu byłem Rogerem Kilbourne'em, a w moim umyśle rozbrzmiewały słowa tak jasne i wyraźne, jakby wypowiadał mi je prosto do ucha sam naczelny wódz. Nie sposób byłoby odgadnąć, że stworzoną przez Nell wizję przekazuje mała królowa za pośrednictwem niemowlęcia, które nic z niej nie rozumie, podobnie jak akwedukt nie pojmuje spływającej nim wody.

— Rawley przekazuje wam ten rozkaz za pośrednictwem kobiet z sieci, które w końcu zdecydowały się pomóc nam w walce z Bractwem. Hasło dnia brzmi „Hartah”. Oto, co musicie natychmiast zrobić.

Szorstki, władczy ton mógł z łatwością pochodzić od mojego ojca, choć w rzeczywistości stworzyła go ostatkiem sił Nell. Gdybym był jednym z hisafów Rawleya, natychmiast wykonałbym rozkaz.

Deszcz zelżał. Mój umysł ogarnęła pustka. Opuściłem wzrok i zobaczyłem, że Nell nie żyje.

Nie wiem, jak długo siedziałem w chłodzie i wilgoci, obejmując jej ciało. W końcu odnalazła mnie Maggie, zwykle tak bardzo zazdrosna o inne kobiety. Tym razem jednak zrozumiała różnicę. Wzięła ciało Nell w swe silne ramiona, a potem położyła je na mchu i torfie. Uświadomiłem sobie, że deszcz przestał siąpić.

— Roger — odezwała się z delikatnością, którą widziałem u niej rzadko, ale zawsze wtedy, gdy to było ważne. — Co ty uczyniłeś?

— To jeszcze się nie stało — odparłem, nim sobie uświadomiłem, że cokolwiek powiem.

Uklękła obok i ujęła moją dłoń.

— Co muszę zrobić, żeby ci pomóc?

— Nic — odpowiedziałem, ale Maggie nie była zdolna do bezczynności. Pomogła mi wstać. Omal się nie przewróciłem od zbyt długiego siedzenia w ciasnej szczelinie. Zaprowadziła mnie do kolejnej kamiennej chaty, w której na szczęście nie było nikogo. Wyjęła koc spod ławy i rozłożyła go na niej. Popchnęła mnie na kamienną powierzchnię i owinęła tkaniną. Nawet nie zauważyłem, że drzę z zimna.

— Teraz wszystko mi opowiedz — zażądała. — Nie minie wiele czasu, nim pozostali ludzie Rawleya go uwolnią.

Nadal jednak nie byłem w stanie nic powiedzieć. Słowa nie chciały nadejść. Byłem zbyt wycieńczony, za bardzo pełen wątpliwości. Jakie miałem prawo sądzić, że ten szalony plan się uda? Tylko dlatego, że kiedyś uczyniłem... kiedyś widziałem...

Nie mogłem tu zostać. Musiałem się dowiedzieć. Czy Nell i mnie się udało? Czy była szansa? Płonałem z ciekawości. Musiałem zobaczyć, co się dzieje. Nie tutaj, ale w tym drugim królestwie, które miało znaczenie.

— Maggie... proszę... zaczekaj. Proszę.

Porzuciłem ją i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Byłem w krainie Umarłych, pośród niskich wzgórz, gdzie po drugiej stronie leżało Hygryll. Wokół mnie unosiła się mgła. Cieszyłem się z tego. Podejmowałem ryzyko, licząc na to, że hisafowie z Bractwa nie czekają

tam, gotowi pojmać każdego, kto przejdzie z krainy żywych. Niebezpieczeństwo nie było jednak tak wielkie jak jeszcze wczoraj. Jeśli plan, który stworzyliśmy z Nell, działał, Bractwo miało na głowie inne problemy.

Wypatrzyłem we mgle głaz, po tej stronie równie wielki, jak po tamtej, gdzie jeszcze niedawno trzymałem w ramionach Nell. Dotarłem do niego i ruszyłem na północny zachód. Wiedziałem, dokąd idę. Byłem tam już przedtem. Wkrótce dotarłem do wielkiego kręgu Umarłych, tego samego, który widziałem po śmierci Cecylii. Największego z kręgów, tego, w którego środku nie było wiru. Zamiast tego siedziała tam moja matka, pogrążona w bezmyślnym transie Umarłych, a jej lawendową suknię z jakichś niewytłumaczalnych powodów plamiła świeża krew.

Krąg zniknął. I moja matka też.

Omam nie zakrzyknąłem na głos. Czy Wrzosowisko Duszorośli ją zabrało — unicestwiło po to, by wyssać moc z jeszcze jednej osoby? Jeśli tak, nigdy się o tym nie dowiem. W takim przypadku nie istniałaby nigdzie. Jej szansa na wieczność zniknęłaby po to, by zaspokoić monstrualne pożądanie ludzi takich jak Zwiastun, którzy pragnęli żyć wiecznie.

Nie byłem w stanie tego znieść. Ale może wcale jej nie unicestwiono, a jedynie przeniesiono? Może nawet zrobił to mój ojciec...

Nagle pobiegłem na oślep przez mgłę, szukając matki. Nie dbałem o to, kto może mnie zobaczyć. Moje stopy nie zostawiały śladu na szarej trawie. Biegałem to tu, to tam, bez żadnego planu. Jak długo to trwało? Nie wiedziałem. Czas, podobnie jak odległość, po drugiej stronie grobu wygląda inaczej. Nie sposób go ocenić, bo nigdy nie robi się jaśniej ani ciemniej, nigdy nie wschodzi słońce. Czas może się tu rozciągać albo kurczyć.

W końcu dotarłem do miejsca, gdzie mgła stawała się rzadsza: ciemne obłoki ustąpiły miejsca bladym, unoszącym się na wietrze kosmykom. Widziałem tu lepiej.

Gdybym wrócił teraz do krainy żywych, mógłbym się przekonać, że mój ojciec już odzyskał wolność. Ludzie Rawleya, zmęczeni czekaniem na niego w więziennej chacie, z pewnością pójda go poszukać. Znajdą go związanego, razem z Charlotte i Rawnie, w chacie, w której rzekomo miałem spać. Mnie jednak nie znajdą, dopóki nie przekonam się, bez ingerencji Rawleya, co osiągnęliśmy z Nell. I czy w ogóle coś osiągnęliśmy.

Dlatego szedłem na północ, a przynajmniej w kierunku, który byłby północą w krainie żywych, zmierzając ku granicy Ziemi Niczyjej. Trwało to długo. Tą samą trasą wędrowałem z Cecilia, a potem z Tomem Jenkinsem. Nie zmieniła się zbytnio.

Ale czas się zmienił. Po drugiej stronie musiało upłynąć go więcej, ponieważ wkrótce po tym, jak opuściłem wrzosowisko, docierając do sosnowo-brzozowych lasów Ziemi Niczyjej, zobaczyłem, że się zaczęło.

Coś nagle zmaterializowało się obok mnie. Czterej mężczyźni, wszyscy dźwigający zawiniątka. Jeden z nich natychmiast przekazał swoje brzemie sąsiadowi i złapał mnie.

— Mam go!

— Jestem Roger Kilbourne! — zaprotestowałem. — Syn Rawleya!

To ich powstrzymało. Nie znałem żadnego z tej czwórki. Ten, który mnie złapał, obrócił mnie twarzą ku sobie i przyjrzał mi się uważnie.

— Możliwe — przyznał. — Widzę podobieństwo. Ale może to tylko przypadek.

— Wiem, co robicie — zapewniłem. — Z tymi dziećmi. Rawley wysłał wiadomość za pośrednictwem kobiet z sieci. Hasło brzmi „Hartah”!

— Aha, wie to — potwierdził inny hisaf i mężczyzna mnie puścił.

Nieśli śpiące niemowlęta. Nie, nie śpiące. Pogrążone w transie. Trzej hisafowie dźwigali po dwojgu dzieci, a ten, który mnie złapał, jedno. Teraz położono je bezceremonialnie na innym, zakrywając mu twarz. To jednak nie miało znaczenia. Tych dzieci nie można było udusić ani zabić w żaden inny sposób.

Hisafowie położyli niemowlęta na ziemi. Kiedy się pochyłali, zauważyłem niesmak na twarzy najmłodszego z nich, który był jeszcze prawie chłopcem.

— Czy byłeś z Rawleyem, kiedy wysłał ten rozkaz, dwa dni temu?

Dwa dni temu. Czas rzeczywiście skurczył się po tej stronie. Jaka odpowiedź będzie najbezpieczniejsza?

— Przebywałem w Hygryll, tak jest, ale nie byłem z nim w owej chwili.

— A co chciał w ten sposób osiągnąć? To nie ma sensu!

Wszyscy czterej łypali na mnie spode łba, ignorując pogrążone w transie niemowlęta, leżące u ich stóp. Wzruszyłem ramionami.

— Nie powiedział mi tego.

— To znaczy, że nic nie wiesz?

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem coś, czego mój ojciec nie wiedział, w przeciwieństwie do Bractwa. Bractwo rozumiało sieć bytu. Rawley — jak powiedziała Nell — dał się zaślepić swej sztywnej wizji wyłomu w fortyfikacjach dzielących żywych od Umarłych. Jago, Zwiastun, a nawet pechowy, próżny Leo rozumieli ideę równowagi między mocami życia i śmierci. Ja jednak wiedziałem — lepiej niż większość ludzi! — że nie tylko *vivia* dusz, lecz również materialne ciała mogą zmienić tę równowagę.

Dowiedziałem się tego, gdy przeniosłem z krainy Umarłych Gacka, Cecilię oraz armię Niebieskich. Popełniona przeze mnie kradzież ciał, które powinny się znajdować po drugiej stronie grobu, doprowadziła do

potężnych zaburzeń, które omal nie spowodowały zagłady całej krainy Umarłych.

A teraz hisafowie mojego ojca — nieświadomi tego wszystkiego — przynosili na drugą stronę ciała niemowląt. Miałem nadzieję, że one również zakłócą równowagę.

W całej Reginokracji i na Ziemi Niczyjej wszyscy hisafowie przynosili pogrążone w transie niemowlęta na drugą stronę grobu. Kradli je nocą z chat i z dworów, a być może nawet z samej Glorii, materializując się wewnątrz domostw z równą łatwością jak członkowie Bractwa, którzy czynili to przedtem. Tak wiele dzieci odebrano pogrążonym w żałobie rodzicom. Odebrano, a potem ułożono w kręgach na ziemi, puste i bezmyślne jak prawdziwi Umarli. Ich małe ciała równoważyły moc duszy wysłaną do mrocznej chmury spowijającej Galtryf w krainie Umarłych, która z kolei równoważyła moc odebraną Umarłym i przekazaną żywym mężczyznom i kobietom z Wrzosowiska Duszorośli. Delikatna równowaga. Sieć bytu.

Którą teraz celowo rozrywałem.

Mój umysł wypełnił nagle obraz pajęczej sieci z chaty Johna Małego. Przed wieloma miesiącami widziałem, jak wpadła w nią niedawno narodzona myszka. Zwierzątko szarpało się, rozciągając nić, aż wreszcie dzieci Johna złapały całą sieć i zniszczyły ją kompletnie.

— Zadałem ci pytanie, młody Rawleyu — warknął hisaf.

— Mam na imię Roger!

— Nieważne. Zadałem ci pytanie. Co robi twój ojciec?

— Już ci mówiłem, że nie wiem.

Mężczyzna podszedł bliżej.

— Nie wierzę ci. Byłeś w Hygryll razem z nim, a my tam zmierzaliśmy, gdy ta wiadomość wtargnęła do naszych głów.

Hisaf zadrżał mimo woli. Widziałem, że jest bardzo z tego niezadowolony. Najwyraźniej uważał drzenie za oznakę słabości. Ja jednak pamiętałem straszliwe sny, jakie przysyłała mi szalona siostra, świetnie więc rozumiałem jego reakcję. Gdy zdarzyło mi się to po raz pierwszy, nie tylko byłem przerażony i oszołomiony, lecz również czułem się jak ofiara inwazji. Ktoś obcy sforsował mury obronne mojego umysłu.

Najmłodszy hisaf przepchnął się ku mnie, nadeptując na rączkę jednemu z pogrążonych w transie niemowląt. Wiedziałem jednak, że dziecko nic nie poczuło.

— Jeśli kłamie, wyciągnijmy z niego prawdę! — zawołał chłopak. — Tutaj albo tam!

Uniósł pięść.

— Przestań — odezwał się mężczyzna, który mnie za trzymał. — Wydano nam rozkazy, Hal. Nie dotykaj go.

— Ale on... — chłopak nagle się zatrzymał.

Wszystko się zatrzymało.

Jak można to zauważyć, jeśli w milczącej krainie nagle zapadnie jeszcze głębsza cisza? Wszyscy jednak spostrzegliśmy nagłą, głęboką pauzę przesycającą samo powietrze. Oddech uwiązł mi w gardle. Potem ziemia zatrzęsała się pod nami i upadłem na ziemię. Rozległ się ogłuszający trzask, jakby tuż obok uderzył piorun. Nie było jednak błyskawicy. Ktoś krzyknął. Najmłodszy hisaf zniknął, uciekając z powrotem do krainy żywych. Po chwili trzej pozostali podążyli za nim.

Ja zostałem. Chciałem zobaczyć... musiałem się dowiedzieć. Nie mogłem zebrać wszystkich siedmiu niemowląt, nie było na to czasu, a ja miałem tylko jedną rękę. Złapałem jednak dwoje najbliższych, chwytając za jakieś części ich ciałek. Nie miałem pojęcia jakie. Ziemia znowu zatrzęsała się gwałtownie, podrzucając nas wszystkich w górę. Rozległ się kolejny

głośny trzask i niebo się rozszczepiło. Coś wyłoniło się z rykiem z wielkiego rozdarcia, coś, czego nie widziałem naprawdę, ale czułem to w drzeniu wszystkich kości i dzwonieniu wszystkich zębów. Coś niewiarygodnie jasnego i straszliwego...

Miecz.

Nie zobaczyłem go naprawdę. Przeszedłem na drugą stronę, przyciskając do siebie dwoje niemowląt, i zmaterializowałem się nieopodal osady złożonej z drewnianych chat. Pozostali hisafowie leżeli, drżąc, na ziemi. Dwaj krzyczeli coś od rzeczy i ludzie wypadli z chat, biegnąc ku nim w strugach ciepłego deszczu.

Ja nie krzyczałem ani nie próbowałem wstać, by zobaczyć, kto ku mnie pędzi. Spojrzałem na dwoje niemowląt leżących koło mnie oraz na pięć pozostałych spoczywających na mokrej ziemi. Cała siódemka krzyczała ze strachu i z powodu wilgoci, miotła się, wrzeszczała i żyła, żyła, żyła.

— Alice!

— Dick!

— Peter!

Uniosłem głowę, usłyszawszy to ostatnie imię, ale nie chodziło o Petera Jednorękiego. Jedno z dzieci nazywało się Peter. Jego matka złapała wrzeszczące niemowlę i objęła je kurczowo. Była zwiędłą staruchą, zniszczoną przez trudną egzystencję w przeraźliwie ubogiej wiosce, ale nawet królowa Caroline nie wyglądała tak pięknie w swej radości.

Ludzie biegali, krzyczeli, kłębili się, tulili odzyskane dzieci. Złapał mnie jakiś mężczyzna. Bezzębny i brodaty, zbudowany tak potężnie, że omal nie wyrwał mi ręki z barku. Mówił z wiejskim akcentem, tak silnym, że ledwie go rozumiałem.

— Co żeście zrobili? Co się stało?

Jak mu to wytłumaczyć? Nie potrafiłem tego zrobić. Dlatego zaserwowałem mu najprostsze z możliwych kłamstw. W końcu już przedtem dobrze mi się przysłużyło.

— Czarownice wyprowadziły wasze dzieci z transu, a my je wam przynieśliśmy.

Byliśmy bohaterami. Staruszki padały na kolana i całowały nas po rękach. Ludziom mojego ojca wcale nie podobało się to bardziej niż mnie. Byli zbyt wstrząśnięci, by się radować. Wymamrotali jakieś słowa, których nikt nie rozumiał, i z determinacją spróbowali oddalić się wąską, ledwie widoczną ścieżką odchodzącą od wioski. Ich przywódca nasunął się pewien pomysł.

— Mamy jeszcze inne dzieci do uratowania — rzucił, oglądając się przez ramię. To pozwoliło nam odzyskać wolność.

Gdy pograniczna osada wreszcie zniknęła nam z oczu, hisafowie zwrócili się ku mnie.

— Co się wydarzyło, młody Kilbourne? Nie próbuj nas okłamywać jak tych wieśniaków. Co zrobił Rawley?

Co zrobił Rawley? Rawley, nie ja! Do ust podeszły mi pełne pasji słowa, ale najwyraźniej w ostatnich latach nauczyłem się trochę rozsądku, ponieważ je przełknąłem. To była dla mnie droga wyjścia. Jeśli chciałem zniknąć wszystkim z oczu, razem z Maggie i naszym synem, nie mogłem przypisywać sobie zasługi za uratowanie dzieci. Nie mogłem wspominać o małym Tomie. Nie mogłem nikomu wyjaśniać, co się wydarzyło w krainie Umarłych.

A co właściwie się tam wydarzyło?

Nagle poczułem, że muszę to wiedzieć. Ta jasna i straszliwa rzecz, która rozdarła niebo... miecz...

— Nie wiem, co zrobił mój ojciec — odpowiedziałem hisafom. — Nie zdradza swych planów nikomu, nawet mnie. — To było podobne do Rawleya. — Wiem tylko, że chciał, by jak najwięcej pograżonych w transie niemowląt jednocześnie przeniesiono na drugą stronę i by zrobiono to jak najszybciej. Zmierzałem do chaty, w której było takie dziecko, gdy... gdy to się wydarzyło. Nie wiem nic więcej.

Obserwowałem, jak zastanawiają się nad moją historią, ważąc każde słowo, aż wreszcie ją zaakceptowali.

— W takim razie wrócimy do Hygryll i zapytamy Rawleya — stwierdził przywódca. Jego twarz pociemniała. — Nadal musimy się jakoś pozbyć tego starca?

Czy rzeczywiście? Tego również musiałem się dowiedzieć. Ale jeszcze nie teraz. Płonałem z niecierpliwości, by przejść na drugą stronę i zobaczyć, co się wydarzyło w krainie Umarłych. Czy ci mężczyźni nigdy sobie nie pójdą?

— Możesz wyruszyć z nami do Hygryll, młody Kilbourne — oznajmił przywódca.

Młodzieniec łypnął na mnie ze złością, a potem opuścił wzrok, żebym nic nie zauważył. Łatwo go było przejrzeć. Był zazdrosny o mnie, faworyzowanego dziedzica Rawleya Kilbourne'a. Nic nie wiedział, głupi głąb.

— Ojciec kazał mi pójść do ściśle określonej chaty. Myślę, że muszę to zrobić, choćby tylko po to, by się przekonać, czy to, co wydarzyło się tutaj, spotkało również pozostałe dzieci.

— Aha, to ma sens — zgodził się przywódca. — Tak czy inaczej, Rawley może nam powiedzieć więcej. Bezpiecznej podróży, młody Kilbourne.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Pozostali podążyli za nim.

Ja jednak chciałem oddać Nell to, co jej się należało.

Nell i wszystkim kobietom z sieci, które oddały życie, by umożliwić to odkupienie.

— Wiem coś jeszcze! Mój ojciec jest wdzięczny kobietom władającym sztukami duszy za współpracę! Powiedział mi, że cokolwiek się wydarzy, będzie zależało od nich!

Najmłodszy hisaf odwrócił się i raz jeszcze łypnął na mnie spode łba.

Gdy zniknęli między drzewami, ugryzłem się mocno w język i przeszedłem na drugą stronę.

Ciemność...

Chłód...

Ziemia wypełniająca mi usta...

Robaki w moich oczach...

Gleba więżąca moje odarte z ciała ręce i nogi...

Spokój. Cisza. Żadnego śladu zaburzeń czy mgły. A także jasnego i straszliwego miecza. Drzewa, nieruchome i niewyraźne, nie szumiały mi nad głową.

Po tej stronie nie było ścieżki, ale wróciłem między drzewami w miejsce, gdzie w krainie żywych znajdowała się osada. Byli tu Umarli. Zapewne rodziny mieszkały w tej kotlinie już od bardzo dawna. Siedzieli spokojnie, samotnie, a w jednym przypadku w małym kręgu. Ich głów nie spowijała mgła, żadne wiry nie kradły mocy nagromadzonej przez ich czekające długo dusze.

„Nie mamy nic oprócz domysłów” — powiedziała mi kiedyś Nell, z wielką niechęcią dzieląc się nawet przypuszczeniami kobiet z sieci. — „Miecz strzeże samej śmierci, zachowuje całość sieci. Przywraca

równowagę mocy, gdy w krainie Umarłych dochodzi do zbyt poważnych zaburzeń”.

A ja zakłóciłem tę równowagę tak głęboko, jak tylko mogłem. I miecz ją naprawił. Śmierć obroniła to, co do niej należało, choćby i z opóźnieniem.

Od Hygryll dzielił mnie dzień drogi. Musiałem często odpoczywać. Dręczył mnie głód, mimo że znajdowałem po drodze korzonki i jagody, a od czasu do czasu również przeoczone przez wiewiórki orzechy. Nie zatrzymywałem się, by zastawiać sidła, a zresztą i tak nigdy nie byłem w tym za dobry. Gdy zapadła ciemność, nadal nie dotarłem do celu. Spędziłem okropną noc na deszczu, skulony pod wysoką skałą.

Gdy dotarłem do Hygryll, wszyscy szykowali się już do odejścia. W zbudowanej z kamienia wiosce pozostało zaledwie kilka osób. Kilka objuczonych kuców stało przy płaskim kamieniu, na którym kiedyś leżałem związany, czekając, aż mnie zamordują. Nadal nie mogłem powstrzymać drżenia na jego widok. Nagle jednak ujrzałem biegnącą ku mnie Maggie i drżenie minęło.

— Roger!

Rzuciła mi się w ramiona. Oboje straciliśmy równowagę i zwaliliśmy się na wilgotną torfową glebę. To nie było ponowne spotkanie godne bohaterów, ale nie przejmowaliśmy się tym. Nie liczyło się nic poza tym, że była ze mną, trzymałem w ramionach jej słodkie ciało, a jej jasne, zmierzwione włosy wpychały mi się do ust. Wyplułem je i pociągnąłem Maggie w górę, stawiając ją na nogi.

— Tom? — wyszeptałem jej do ucha.

— Nie wiem. Nie ma kogo zapytać.

Nie ma kogo zapytać. Oczywiście. Nell nie żyła. Ale dlaczego Matka Chilton albo Stephanie nie próbowały mnie uspokoić, zapewnić, że nam obojgu się udało, a z Tomem wszystko w porządku?

Nagle zalał mnie strach, tak silny, że zrobiło mi się najpierw zimno, a potem gorąco. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałem — co, jeśli jednocześnie wysłanie tak wielu wizji do tak licznych hisafów zaszkodziło Tomowi w równie straszliwy sposób jak Nell i dziewczynom z sieci? Co, jeśli wygrywając wojnę z Wrzosowiskiem Duszorośli, wyrządziłem krzywdę własnemu synowi? Co, jeśli Tom teraz...

Moje dziecko, którego nigdy nie widziałem. Jeśli zginął z mojej ręki...

— O co chodzi? — zapytała Maggie. — Dlaczego serce ci tak wali? Roger... czy to Tom? Co zrobiłeś?

— To nic — uspokoiłem ją. — Nie mam żadnych wieści o Tomie. Naprawdę, Maggie. Powiedziałbym ci, gdybym je miał. Wiem tyle samo co ty. Dokąd wyruszamy? Te kuce są gotowe do drogi? Gdzie jest Rawley?

— Wyjechał wczoraj ze wszystkimi swoimi ludźmi. Pograżone w transie dzieci wróciły do życia... ale o tym już wiedziałeś, prawda? Widzę to w twojej twarzy.

— A starzec?

Spojrzała mi w oczy.

— Nie żyje. Znaleziono go martwego w kamiennej chacie. Na jego ciele nie było żadnego znaku. To było jeszcze przed tym, nim do Rawleya zaczęły napływać meldunki o wracających do życia niemowlętach. A ja czekałam! Na ciebie, na wieści o naszym dziecku, na kogoś, kto mi to wszystko wytłumaczy!

Każda inna kobieta, postawiona w obliczu tak silnej niepewności i strachu, zalałaby się łzami. Maggie łypała tylko na mnie i zaciskała pięści. Znowu wziąłem ją w ramiona.

— Miałaś rację, że czekałaś... — Jakby miała inny wybór! — Jestem pewien, że Matka Chilton wyśle do nas kobietę z sieci z wieściami o Tomie. Wojna z Wrzosowiskiem Duszorośli się skończyła. Teraz udamy się...

Dokąd? Nie miałem dokąd jej zabrać. Nie miałem domu ani pieniędzy. Nie wiedziałem też, gdzie mój syn kładzie do snu swą małą główkę. Dla mnie wojna jeszcze się nie skończyła.

— Roger! — To była Rawnie. Wypadła z okrągłej kamiennej chaty, gnając ku kucom. — Wróciłeś! Gdzie byłeś? Słyszałeś wieści? Wybaczam ci, że mnie związałeś. Tata mi wyjaśnił, dlaczego to było konieczne. Nell też bym wybaczyła, ale ona nie żyje.

To ją otrzeźwiło. Ku mojemu zdumieniu dłużej niż na mgnienie oka. W oczach Rawnie pojawiło się coś mrocznego, czego nigdy przedtem tam nie widziałem. To nie był strach, ponieważ nadal nie była w stanie odczuwać go dłużej niż przez krótką chwilę. Widziałem tam jednak smutek. Widziała i doświadczyła zbyt wiele jak na małą dziewczynkę.

— Roger — odezwała się Rawnie. — Myślisz, że Nell jest szczęśliwa w krainie Umarłych?

Nikt nie chciał zostać w Hygryll. Przez resztę dnia wędrowaliśmy na północ, a wieczorem rozbiliśmy obóz na wrzosowisku. Było nas może ze dwa tuziny: Rawnie, bardzo poblada Charlotte, Maggie i ja oraz grupa ludzi z Reginokracji. Nie widziałem kobiety, która straciła dziecko, a potem opiekowała się małymi Duszoroślanami, których mój ojciec zamierzał torturować. Zapytałem o nią Maggie.

— Gdy tylko nadeszły wiadomości o tym, że pogrążone w transie dzieci wracają do życia, opuściła Hygryll z pierwszą grupą ludzi Rawleya, żeby wrócić do swego maleństwa — wyjaśniła mi tonem sugerującym, że powinienem był się tego domyślić. — Większość rodziców tak postąpiła.

— A co z dziećmi z Wrzosowiska Duszorośli, które Rawley więził w Hygryll?

— Przed tobą zjawiała się grupka kobiet z Wrzosowiska. To były obdarte staruszki, nikt nie mógłby uznać ich za zagrożenie. Błagały o dzieci i

oczywiście oddałam je im.

Oddała je im. Z łatwością potrafiłem to sobie wyobrazić: Rawley i jego ludzie odeszli, a oszołomiona Charlotte nie była pewna, czego chciałby jej mąż, Maggie przejęła więc kierownictwo. Nie wątpiłem, że z chęcią oddała dzieci, a choć cały czas myślała o własnym, nie roniła łez ani nie traciła nadziei. Nie moja Maggie. Teraz liczyła na najlepsze. Czułem to w uścisku jej dłoni. A gdyby wydarzyło się najgorsze, temu również stawi czoło.

Siedzieliśmy wokół ogromnego ogniska, w którym płonął torf. Jego blask padał na Wrzosowisko Duszorośli, jakby chciał oznajmić niebu, że wojna się skończyła i zwyciężyliśmy. Niemniej granice obozu nadal patrolowały szare psy na spółkę ze stojącymi na warcie mężczyznami. Nie oczekiwałem ataku. Hisafowie z Bractwa mogą ścigać Rawleya, aby dokonać na nim zemsty, ale z pewnością wiedzieli, że tu go nie ma. A jeśli nie mogli go uwięzić, Charlotte i Rawnie na nic im się nie przydadzą.

A ja? Nie miałem pojęcia, czy wiedzieli, gdzie jestem. Zresztą w Bractwie z pewnością zapanował chaos. Przegrali wojnę, nieśmiertelność wyrwano im z rąk. A za wszystko to obciążą winą Rawleya, nie mnie. Jeśli zdołają zebrać swą uciekającą grupę i przeprowadzić atak, jego celem zapewne będzie mój ojciec, nie ja.

Zjadłem coś po raz pierwszy od blisko dwóch dni. Głód i niewyspanie pozbawiły mnie energii, ale było coś, co musiałem zrobić najpierw. Upewniwszy się, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, postanowiłem się na nie narazić. Podobnie jak pragnąłem się przekonać, czy miecz przywrócił ład w krainie Umarłych, to również było coś, co uważałem za konieczne. Musiałem się dowiedzieć.

Ale Maggie mi nie pozwoliła. Czekala zbyt długo.

— Chodź ze mną, Roger.

— Nie ma teraz czasu...

— Jest! Chodź!

Temu tonowi nie sposób było się sprzeciwić. Ująłem ją za rękę i powlekliśmy się pod skalną wyniosłość. Maggie pociągnęła mnie w dół i oboje usiedliśmy, wsparci plecami o zimny kamień. Objąłem ją.

— Nie, Roger, nie będzie całowania. Nie teraz. Opowiedz mi!

— Co mam ci opowiedzieć?

— Wszystko. Wszystko, co przemilczałeś od chwili naszego spotkania.

Jej głos załamał się na słowie „przemilczałeś”, przechodząc w ton przypominający łkanie. To mnie zniszczyło. To pragnienie, by wreszcie zaufać, być znanym, kochać. Potrzebowałem wiele czasu, by do tego dojrzeć. Dlatego dałem jej to, o co prosiła: wszystko. Opowiedziałem jej o matce, ciotce Jo i Hartahu. O zatopieniu „Frances Ormund”, o pani Conyers i Cecilii. Wszystko o Cecilii. A potem o Matce Chilton, królowej Caroline, Tomie Jenkinsie, Tareku, synu Soleka, i lady Margaret. Wszystko, czego się dowiedziałem od Alysse, kobiety myszy, i Nell. A na koniec wszystko o tym, co uczyniłem, by przywrócić równowagę między żywymi a Umarłymi, między tym królestwem a tamtym, o Galtryf i o mieczu. Zataiłem tylko jedno: rolę, jaką odegrał w tym nasz syn, i prawdę o tym, kim był. Mówiłem, aż rozboleła mnie gardło, a blask ogniska padający na wrzosay zmienił się w czerwonawą łunę, ledwie widoczną w mroku.

Czy Maggie w to uwierzyła? Być może nie we wszystko, z uwagi na swój wrodzony sceptycyzm. Wysłuchiła mnie jednak bez słowa, a gdy wreszcie skończyłem, pocałowała mnie lekko, nadal się nie odzywając.

— Maggie...

— Nie. Nie teraz. Starczy już rozmów. Pora spać.

Wróciliśmy do ogniska. Wszyscy poza wartownikami już spali. Gdy Maggie również uległa znużeniu, oddaliłem się od niej i wróciłem pod

skąłę. Wartownikowi wskazałem gestem, że potrzebuję chwili prywatności za kępą janowca. Skinął głową.

Gdy zostałem sam w cieniach, ugryzłem się w język i przeszedłem na drugą stronę.

W krainie żywych noc, a w krainie Umarłych niekończący się dzień, szary i spokojny. W tym cichym miejscu wszystko wyglądało tak, jak powinno. Kilku Umarłych, których minąłem, również zachowywało się jak należy. Czekali na to, co było im przeznaczone. Jeśli miał coś z tym wspólnego miecz, wiedziałem, że nie ujrzę tego na własne oczy, dopóki w odległej przyszłości nie nadejdzie mój czas.

Nie byłem obciążony bagażem, kucami ani Rawnie, droga powrotna do Hygryll nie trwała więc długo. Okrągłe, kamienne chaty zniknęły, ale wielki, płaski kamień był na miejscu. Siedział na nim Zwiastun.

Zbliżyłem się ostrożnie, ale właściwie dlaczego miałbym się go bać? Był teraz tylko kolejnym Umarłym, ten starzec, który pragnął żyć wiecznie dzięki unicestwianiu dusz innych. Nie towarzyszył mu nikt z Bractwa, jeśli ta grupa w ogóle jeszcze istniała. Na nic już się im nie przyda. Siedział spokojnie, a jego szeroko otwarte zielone oczy nic nie widziały. Minąłem go obojętnie, jakby był głazem albo drzewem.

Co spodziewałem się ujrzeć, zbliżając się do kręgu Umarłych, który przedtem otaczał moją matkę? Najbardziej bałem się tego, że nadal jej tu nie ma, że stała się kolejną ofiarą Wrzosowiska Duszorośli. Tak nie było. Niemniej ogromny krąg złożony z pięćdziesięciu Umarłych zniknął, a moja matka siedziała na spokojnym wrzosowisku obok tylko jednego Umarłego. Mgła się rozproszyła i nawet z oddali dostrzegłem lawendowy odcień sukni. Nie, ta druga postać to nie był Umarły. Wstała. Poczulem nagły ucisk w sercu. Skrytobójca z Bractwa?

To był mój ojciec.

— Roger — rzekł bezbarwnym tonem.

— Co tu robisz?

Usłyszałem brutalność w swym głosie, ale nie żałowałem jej.

— Dziwi cię, że tu przyszedłem?

— Bardzo.

Zareagował gniewem. To była typowa dla niego obrona.

— Nic nie rozumiesz.

— Rozumiem, że ją porzuciłeś. I mnie też.

— Kiedyś już ci to tłumaczyłem, ale zrobię to jeszcze raz, bo zachowujesz się jak naburmuszony chłopiec, a chłopcom wszystko trzeba powtarzać. Opuściłem was oboje dla waszego bezpieczeństwa. Nie wiedziałem; że w ten sposób stanie się mniej bezpieczna ani że ciotka Jo zabierze cię, nim zdołam cię odnaleźć.

Z pewnością to Rawley zabrał stąd przedtem moją matkę i zaniósł w bezpieczne miejsce. Dlatego nie mogłem jej znaleźć. Ta świadomość nie zmniejszyła mojego gniewu (dlaczego nie wpadłem na to, by zrobić to samo?). Patrzyliśmy sobie w oczy na pustym wrzosowisku jak dwa psy bojowe albo burki bagienne. Był silniejszy ode mnie i miał dwie ręce. Jeśli dojdzie do wymiany ciosów...

Nie doszło. Mój ojciec nie wytrzymał. Ukrył twarz w dłoniach, ale nie wcześniej, nim zdążyłem zobaczyć łzy, które zaraz usunął mruganiem.

— Kochałem ją, ty kompletny durniu — rzekł cicho. — Zawsze będę ją kochał.

Choć widziałem, że to prawda, towarzyszący mi przez całe życie gniew nie mógł zniknąć tak szybko. Nadal pragnąłem zadać mu ból.

— Naprawdę? — zapytałem. — A czy Charlotte o tym wie?

Łzy zniknęły. Rawley łypnął na mnie spode łba, ale dobrze panował nad sobą.

— Wielu rzeczy na temat miłości jeszcze nie rozumiesz, Roger. Mam nadzieję, że pewnego dnia się ich nauczysz.

— Pewnie. Przy odrobinie szczęścia mogę się stać podobny do ciebie.

Jego blady uśmiezek sprowadził mnie do poziomu dziecka. Znowu narosła we mnie furia, ale jego następne słowa rozbroiły ją całkowicie. Być może to właśnie było jego zamiarem.

— Powiedziałem wszystkim, że to ja zakończyłem wojnę z Duszoroślą, że zwycięstwo było moją zasługą. Zrobiłem to dlatego, że niektórzy członkowie Bractwa albo Duszoroślanie mogą jeszcze nie być gotowi dać za wygraną. Teraz będą szukali zemsty na mnie, nie na tobie. Będziesz mógł żyć bezpiecznie z Maggie i z moim wnukiem.

— Jak... jak się dowiedziałeś... — wydyszałem.

— Nieważne jak. Nikt inny nie wie. Bądź zdrow, Roger.

Zniknął, wracając do krainy żywych.

Gniew minął, ustępując miejsca pustce wypełniającej mi serce. Wszystkie te pełne goryczy i złości spotkania, a ja nadal nie wiedziałem, kim naprawdę jest Rawley Kilbourne. Bezlitosny wojownik gorejący chęcią zemsty. Kochający mąż dwóch kobiet. Porzucał, zdradzał, ratował i bronił.

Uklęknąłem i dotknąłem twarzy matki. Wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałem z dzieciństwa. Niemalże czułem, jak bierze mnie w ramiona, niemalże słyszałem, jak mi śpiewa. To już nie wróci, ale wyglądała spokojnie, a na jej sukni nie było już świeżej krwi. Na cokolwiek czekała, nic nie zakłócało jej oczekiwania. Pocałowałem jej nieczuły policzek.

— Żegnaj, mamó. Czekaj spokojnie.

Przeszedłem do krainy żywych, wiedząc, że po raz ostatni widziałem oboje rodziców.

Kiedy wróciłem do obozu, było już po świcie. Maggie jeszcze spała, ale pozostali jedli śniadanie albo karmili kuce. Ktoś śpiewał.

To była Rawnie. Nigdy przedtem nie słyszałem, by śpiewała. Głos dobywający się z jej chudego, piegowatego gardła brzmiał zaskakująco czysto i słodko. Ktoś grał na lutni i przy tym akompaniamencie dziewczynka śpiewała smętną piosnkę Leo.

Nawet gdy zbiegniesz na wzgórze,

Nie umkniesz przede mną, miła.

Twe serce, najdroższa, jest moje,

Choćbyś kształt jego zmieniła.

Nigdy, ach nigdy nie przestanę

Podążać za tobą, kochanie.

I zawsze będę dla ciebie

Jak ogar, co ściga łanię.

Uczyń co zechcesz i możesz,

Zastosuj sztuczki ci znane.

Ja zawsze będę dla ciebie

Jak ogar, co ściga łanię.

Słowa wywarły na mnie inne wrażenie niż wtedy, gdy usłyszałem je z ust Leo. Przykucnąłem obok Maggie i położyłem jedyną dłoń na jej ramieniu. Obudziła się i uśmiechnęła do mnie. Odwzajemniłem uśmiech. Nie chciałem umknąć ani nie pragnąłem przestać za nią podążać, by szukać

czegokolwiek więcej niż jej wierne serce i mój niedawno narodzony syn. I nigdy już ich nie opuściłem.

Nadal dręczył mnie strach o Stephanie. Od czasu, gdy miecz przywrócił równowagę w krainie Umarłych, nie przesłała mi żadnej wizji. Czy zachorowała z powodu tak wielkiego wysiłku włożonego w sztuki duszy? Miała tylko siedem lat. Nell była dorosłą kobietą, a przeciążenie kosztowało ją życie. Matka Chilton również nie przysyłała mi snów.

Nie spałem przez całą noc i podczas następnego dnia potykałem się co chwila, na wpół przytomny. Na szczęście szybko się zatrzymaliśmy, tuż za granicą między Wrzosowiskiem Duszorośli a Ziemią Niczyją. Zasnąłem natychmiast i nadszedł sen. Był jednak tak niewyraźny, że kiedy się obudziłem, nie mogłem być pewien, czy to nie jedynie wytwór wyobraźni zrodzony z mojego desperackiego pragnienia, sen o śnie: *Rozdygotana spirala szarości, bez miejsc i kolorów. Postać, które uważałem za kobietę wyłącznie ze względu na wysoki głos, choć nawet tego nie mogłem być pewien. Jedno słowo: „Zaczekaj”*. Obudziłem się.

Zaczekaj! A co robiłem oprócz czekania — i jak często byłem na nie skazany przedtem? Czekałem na lorda Roberta, czekałem, aż odzyskam siły po zamieszkiwaniu w burku bagiennym, czekałem na przybycie do Hygryll, czekałem, aż ujrzę syna, czekałem na chwilę, gdy miecz przywróci porządek w krainie Umarłych! Całe moje życie składało się z czekania, przerywanego jedynie chwilami desperackiej, pełnej przerażenia aktywności.

Czekałem, czując ulgę. Sen z pewnością przekazano mi za pośrednictwem małego Toma, a to znaczyło, że chłopczyk żyje. Z tą ulgą łączył się jednak dodatkowy strach. Czy wizja była tak słaba dlatego, że

Toma, podobnie jak kobiety z sieci, od których pochodziła, osłabił wysiłek? W jego przypadku trudno było nawet mówić o „wysiłku”: był jak akwedukt, którym płynie woda, nie wymagając żadnego wkładu z jego strony. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Ale nawet akwedukt może się zawalić pod wpływem nagłego potopu.

Maggie nic o tym wszystkim nie wiedziała. Ale ona nigdy o niczym nie zapominała. Nieraz już przeklinałem tę jej cechę i dzisiaj również miałem powody, by czuć się nią zaniepokojony.

— Roger — odezwała się, gdy znowu ruszyliśmy na północ. — Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Czy martwisz się o Toma?

— Czemu miałbym się o niego martwić?

— Kiedyś mnie o coś zapytałeś — odparła z namysłem. — Chciałeś się dowiedzieć, czy on „pojawia się i znika”. Zapytałbyś o to tylko wtedy, gdybyś myślał, że on jest... taki jak ty. Ale on nigdy nie zniknął. Nie jest hisafem, prawda?

— Nie jest.

Cieszyłem się, że mogę jej odpowiedzieć szczerze. Miałem nadzieję, że nie będzie już zadawała dalszych pytań. Ale wtedy nie byłaby Maggie.

— Nie potrafi przejść do... wiesz dokąd?

— Nie potrafi.

— A czy może robić to, co Matka Chilton? I te inne kobiety? Och, Roger, czy on jest... czarownikiem?

Usłyszałem lęk w jej głosie.

— Nie — odpowiedziałem, ponownie zgodnie z prawdą. — Nie jest taki jak kobiety z sieci.

— To gdzie on jest?

— Wkrótce nam powiedzą.

— Skąd o tym wiesz? Dostałeś od nich wiadomość?

— Tylko polecenie czekania. Ale jestem pewien, że Matka Chilton wkrótce prześle nam coś więcej.

Wcale nie byłem tego pewien.

Późnym popołudniem nawet Rawnie poczuła się zmęczona. Ktoś wsadził ją na jednego z jucznych kuców i wydawało się, że zasnęła na jego grzbiecie. Najwyraźniej jednak tak się nie stało, bo mając głowę wyżej, pierwsza zauważyła zbliżających się jeźdźców.

— Żołnierze! Żołnierze w dolinie! Jadą tu na koniach!

Mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem i wyciągnęli broń: noże, miecze, a nawet kilka strzelb. Wytężałem słuch, spodziewając się strzałów, wypatrując jednocześnie miejsca, gdzie mógłbym ukryć Maggie. To jednak nie okazało się konieczne. Jeźdźcy byli odziani w fiolet armii lorda Roberta, a ich kapitan zeskoczył z konia, nim jeszcze całkiem się zatrzymał.

— Roger Kilbourne?

— To ja.

— Wzywają cię do pałacu w Glorii.

Popatrzyliśmy na siebie nawzajem. Ja byłem obdarty, zmęczony, chudy, rozczochrany i nie myłem się stanowczo zbyt długo. On był dobrze odżywiony i ogolony, nosił nową fioletową bluzę i buty z cholewami. Jego napierśnik i hełm lśniły w blasku słońca. Ale to na jego twarzy malowała się ostrożność, a nawet strach. Nie podobały mu się rozkazy, które mu wydano, i nie uśmiechała mu się perspektywa spotkania z nadnaturalną istotą, za jaką mnie uważał.

— Kto mnie wzywa? — zapytałem.

— Lord regent i wódz naczelny Robert Hopewell, działający w imieniu Jej Miłości królowej Stephanie.

— A dlaczego lord Robert pragnie mnie widzieć w Glorii?

— Wykonuję jego rozkazy — odparł sztywno. Nie wydamę od niego więcej informacji, nawet jeśli je posiadał. — Polecił mi jak najszybciej dostarczyć cię do Glorii. Wsiadaj na konia.

Przyprowadzili zapasowego wierzchowca, wielkie zwierzę o kasztanowej maści. Jeden z żołnierzy zsiadł, przyprowadził mi konia i złączył dłonie, bym postawił na nich stopę.

Cofnąłem się.

— Nie jeżdżę konno.

— Nie jeździsz konno? — zdumiał się kapitan, jakbym mu oznajmił, że nie potrafię oddychać.

— Tak, nie jeżdżę! — powtórzyłem.

— Jeśli Roger pojedzie, będę mu towarzyszyła oznajmiła w tej samej chwili Maggie.

Kapitan spojrział na nią z góry z głębokim niesmakiem.

— Kim jesteś?

— To moja żona — odpowiedziałem.

Maggie wydała z siebie cichy, pełen zadowolenia dźwięk.

— Nie wydano mi żadnych rozkazów dotyczących twojej żony — oznajmił kapitan. — Wsiadaj, Rogerze Kilbourne. Na pewno umiesz jeździć chociaż trochę.

— Nie — zaprzeczyłem. — Jeździłem na osłach, poruszających się powolnym inochodem, a raz na koniu, za plecami kuriera królowej. Ale siedzieć samemu na wielkim koniu... A jeśli Maggie usiądzie za mną, z pewnością ją również zrzucę na ziemię, jeśli spadnę. A spadnę niewątpliwie.

Kapitan westchnął.

— Posadź go za Starkingtonem — rozkazał żołnierzowi, który nadal trzymał splecione dłonie.

Inny żołnierz, zapewne Starkington, nagle przybrał niemiłe zaskoczoną minę.

— A co z moją żoną? — zapytałem. — Nigdzie bez niej nie pojedę.

— Może pojechać za Everettem — warknął kapitan, postawiony wobec perspektywy szarpania się z człowiekiem wezwanym przez królową i związania go albo niewykonania rozkazów.

Dwaj jeźdźcy podjechali do pierwszego żołnierza, który podsadził najpierw mnie, a potem Maggie, umieszczając nas za plecami towarzyszy. Mój koń się spłoszył i objąłem mocno Starkingtona w pasie. Maggie uparła się, że musi zabrać plecak i przytroczono go do siodła. Rawnie zeskoczyła z kuca i podbiegła do nas.

— Ja też chcę pojechać!

Kapitan nawet nie raczył jej zauważyć. Zawrócił wierzchowca i skinął na swych ludzi, nakazując im podążyć za sobą. Ruszyliśmy w drogę.

— Ja też chcę pojechać! — wrzasnęła Rawnie. To było ostatnie, co usłyszałem przed odjazdem. — Roger, znowu cię nienawidzę!

Po dwóch dniach dotarliśmy do Glorii.

Ponownie, tak samo jak trzy lata temu, widok stołecznego miasta wypełnił mnie bojaźnią. Wznosiło się na swej wyspie na rzece, widoczne jako wysokie kamienne mury, nad którymi górowała tylko jedna wieża pałacowa. Stałem kiedyś na jej szczycie albo tuż pod nim, z królową Caroline, z Matką Chilton, bądź też mając za towarzystwo jedynie własny ból i strach. Wtedy na wieży powiewała zielona chorągiew królowej Caroline, teraz zaś na wietrze łopotała fioletowa flaga Stephanie.

Nasze konie wjechały do środka szerokim mostem wschodnim. Ich kopyta głośno stukały o kamienie. Minęły wąski, hałaśliwy pierścień miasta i dotarły do bram pałacu. Gdy te otworzyły się przed nami, podobnie jak kiedyś znalazłem się na cichym, czystym, opustoszałym dziedzińcu.

Maggie pierwsza zsiadła z konia.

— Nie pójdziemy się spotkać z królową, dopóki się nie wykapiemy!

— Moje rozkazy... — zaczął kapitan.

— Zapomnij o rozkazach! Myślisz, że królowa chce nas zobaczyć, kiedy będziemy brudni i śmierdzący po podróży? Znam...

— Królowa nie chce się z tobą spotkać, pani Kilbourne. Wysłała tylko po twojego męża.

— ...drogę do łaźni dla służby i Roger też — dokończyła Maggie, jakby kapitan w ogóle się nie odezwał. — Oboje potrzebujemy czystego ubrania.

Everett, żołnierz, za którym jechała Maggie, zsiadł z konia i złapał ją za rękę. Sprawiał wrażenie, że z chęcią by ją powstrzymał, zamknął w celi albo po prostu się jej pozbył, ale kapitan machnął ze znużeniem dłonią i żołnierz puścił Maggie. Ruszyła w stronę łaźni dla kobiet.

— Wkrótce spotkamy się w tym miejscu, Roger — rzuciła krótko.

Everett nie potrafił się oprzeć pokusie zadrwienia ze mnie.

— Czy ona zawsze za ciebie decyduje, Kilbourne?

— Tylko wtedy, gdy mam do czynienia z hołotą — odparłem z uśmiechem.

Mogłem sobie pozwolić na bezczelność, ponieważ dotarliśmy już do pałacu i byłem pod opieką królowej, której reginokrację ocaliłem. Stephanie o tym wiedziała, nawet jeśli ten głąb nie wiedział.

Wykąpałem się, ogoliłem i uczesałem za długie włosy. Paż przyniósł mi świeżo wyprasowaną fioletową bluzę, nogawice oraz buty wypastowane tak, że mogłem się w nich przejrzeć. Czysty strój na równie czystym ciele wydawał mi się czymś niemal zdumiewającym. Minęło już tak wiele czasu! Gdy czekałem na Maggie na dziedzińcu dla żołnierzy, żaden z kręcących się tam służących nawet na mnie nie spojrział. Nawet jeśli pamiętali błazna

królowej Rogera, nie byłem już do niego podobny. I nic w tym dziwnego, bo przecież nim nie byłem.

Kobiety potrzebują więcej czasu, by się wykąpać i ubrać, niż mężczyźni. Wreszcie Maggie się zjawiała. Jej jasne włosy opadały w czystych lokach, a zgrabną sylwetkę okrywał strój noszony przez wiejskie dziewczęta: pożyczony biały fartuch, ciasno zawiązany czarny gorset oraz wełniana spódnica założona na pasiastą halkę. Była młoda i ładna, w niczym nie przypominała kobiety, która przeżyła niewolę w Galtryf. Przechodzący obok żołnierz obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

Nim jednak zdążyłem jej powiedzieć, jaka jest piękna, przez wewnętrzną bramę wpadł Jee i pobiegł ku mnie po bruku. Z jego twarzy łatwo było wyczytać, że stało się coś bardzo niedobrego.

— Roger! Musisz przyjść!

— Już idę. Co się stało, Jee? Czy księżniczka... to znaczy królowa...

— Będzie żyła. Ale musisz przyjść!

Maggie podbiegła do chłopca i uściskała go. Trwało to krótko. Zaraz złapał ją za rękę i poprowadził nas pędem przed siebie. Jee nigdy nie był zbyt rozmowny i teraz też nic nie mówił. O dziwo, Maggie również nie. Rozprostowała w biegu barki, jakby przygotowywała się do walki.

Minęliśmy salę tronową. Jej wielkie, rzeźbione drzwi były zamknięte. Biegliśmy naprzód. Słudzy wciskali się w ściany, gdy ich mijaliśmy, ale jednocześnie łypali na nas spode łba. Jee znali, ale kim było tych dwoje parweniuszy? Potem dotarliśmy do komnat królowej, które znałem aż za dobrze. Jee skinął dłonią i wartownicy usunęli się na bok. Zatem był kimś więcej niż paż, kimś, kim sam siebie uczynił: jedenastoletnim obrońcą, towarzyszem zabaw i przyjacielem królowej. Co sądził o tym lord Robert?

Komnata audiencyjna była pusta, tak samo jak sala tronowa. Dalej była komnata zewnętrzna, w której grupka dam dworu siedziała z poważnymi

minami na ławach albo stołkach, zajęta szyciem. To nie były gadatliwe motyle z czasów królowej Caroline, lecz starsze kobiety, opiekuńcze i zasadnicze, pomijając dwie małe dziewczynki, bawiące się w kocią kołyskę w otworze okiennym. Za nią znajdowała się prywatna komnata, gdzie dwóch mężczyzn siedziało za wielkim dębowym stołem, pijąc wino. Jednym z nich był lord Robert, drugim zaś nadworny lekarz, który zarządzał pokojem dziecięcym, gdy jeszcze mieszkała w nim Stephanie i jej bracia.

Lord Robert wstał, spoglądając na mnie bez śladu ciepła.

— A więc przybyłeś, Roger.

— Wysłano po mnie, mój lordzie.

To była głupia odpowiedź. Z pewnością o tym wiedział. W końcu sprowadzili mnie tu jego żołnierze.

— Jej Miłość pragnie się z tobą zobaczyć.

Coś poruszyło się w jego oczach i przez chwilę niemal się nad nim litowałem. Z pewnością niełatwo było władać jako regent siedmioletniej królowej, słuchającej przede wszystkim jedenastoletniego paza, a po nim starej kobiety, którą lord Robert — w końcu niebędący głupcem — musiał podejrzewać o „czary”. A teraz wróciłem na dwór królowej ja — chłopak, który pierwszy zapoznał z czarami młodocianą królową, a także uczynił coś — nie wiadomo co! — by ocalić pogrążone w transie dzieci z Reginokracji. Nie, pozycja lorda Roberta nie mogła być łatwa.

— Idź więc — dodał twardym tonem. — Ale ty tu zostaniesz, moja pani!

Maggie otworzyła usta, by się sprzeciwić, ale zaraz je zamknęła. Była w tym pałacu pomocą kuchenną. Mogła się sprzeciwiać żołnierzom — w końcu jej brat był jednym z nich i armia nie budziła w niej bojaźni — ale sprzeciwianie się lordowi protektorowi i naczelnemu wodzowi to było coś

całkiem innego. Spuściła wzrok, dygnęła płytko z niechęcią i usiadła na stołku wskazanym przez lorda Roberta.

Jee poprowadził mnie do sypialni królowej. Nigdy przedtem nie widziałem tego pomieszczenia.

Wyglądało osobliwie — w połowie komnata panującej monarchini, a w połowie pokój dziecinny. Bogate gobeliny na ścianach. Dębowe kufry na wysoki połysk, stoły nakryte haftowanymi obrusami. Na podwyższeniu stało ogromne łoże z rzeźbionym wezłowiem oraz fioletowymi zasłonami. Było puste. W jednym z kątów ulokowano dwa wysuwane łóżka, oddzielone od siebie niskim stolikiem zasypanym lalkami oraz drewnianymi zabawkami. Na niskim stołku siedziała kobieta ubrana jak opiekunka do dzieci, a nad jednym z łóżek pochylała się masywna dama dworu o biuście rozciągającym fioletowy brokat.

— Zjedz trochę, Wasza Miłość — prosiła gruba kobieta.

— Nie chcę tego! — odpowiedział jej marudny głos chorego dziecka.

— Pani — odezwał się Jee i głos się zmienił.

— Jee! Czy... Och, Roger!

Otyła kobieta odsunęła się i zobaczyłem oba łóżka. W jednym leżała królowa Stephanie. Jej chuda, drobna buzia lśniła z zadowolenia, pomimo podkrążonych oczu. Dziewczynka miała na sobie białą koszulę nocną z jakiegoś drogiego materiału, a jej ciemne, zwisające w strąkach włosy okrywała również biała szlafmyca. W drugim łóżku spała zwiędła staruszka, której w pierwszej chwili nie poznałem. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to Matka Chilton.

Stephanie spróbowała usiąść, ale była w stanie to zrobić tylko przy pomocy damy dworu. Uświadomiłem sobie, że jest naprawdę poważnie chora. Opadłem na jedno kolano i pochyliłem głowę.

— Wasza Miłość.

— Och, wstawaj, Roger! — odparła dziewczynka. — Zostaw nas, lady Elizabeth — dodała, zwracając się do fioletowej damy.

Lady Elizabeth zmarszczyła brwi.

— Wasza Miłość, lord Robert powiedział...

— A ja powiedziałam, żebyś nas zostawiła — powtórzyła Stephanie. Tym razem nie sposób byłoby nie zauważyć władczego tonu. W końcu była córką swej matki i dziedziczką onieśmielającej babci. Była też jednak dzieckiem. Zerknęła na opiekunkę, której nie odesłała. Uniosłem głowę, by przyjrzeć się kobiecie. Odwzajemniła ze spokojem moje spojrzenie. Jej jasnoszare oczy powiedziały mi wszystko, co musiałem wiedzieć. To była jedna z kobiet z sieci.

Lady Elizabeth wyszła, sztywno unosząc głowę. Stephanie uśmiechnęła się do mnie.

— To siostra lorda Roberta i jestem na nią skazana. Ale nie jest zła. Roger... przybyłeś.

— Zawsze przybędę, gdy tylko mnie wezwiesz, Wasza Miłość.

— Usiądź. Przy Philippie możemy rozmawiać. To jedna z nas. Ale... ja nie chcę.

Usiadłem na stołku przy jej łóżku. Jee nadal stał w jego nogach.

— Nie chcesz rozmawiać przy Philippie? — zapytałem.

— Nie! Nie o to...

Dopadł ją atak kaszlu. Philippa wstała, wyjęła fiolkę z fałdów sukni i podsunęła ją do ust Stephanie. Dziewczynka z zapalem wypła zawartość. Przypomniałem sobie medykamenty, które podawały mi Matka Chilton oraz Fia, a także ten, który Nell podsunęła Rawleyowi. Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Do jakiego stopnia Philippa panowała nad Stephanie?

Ale eliksir powstrzymał tylko kaszel. Mała królowa oparła się o poduszkę i zamknęła oczy.

— Wasza Miłość, jesteście bardzo chora — odezwałem się.

— Tylko wycieńczona. I nie chcę już więcej tego robić.

— Czego, Wasza Miłość? Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz.

— Musiałam. Ty mnie zmusiłeś! Ty i... — Obrzuciła lęklwym spojrzeniem sąsiednie łóżko. — Matka Chilton. A nawet ty, Jee. Wiesz, że tak było! I ty też, Philipppo!

Jee miał przygnębioną minę. Nagle przypomniałem sobie scenę sprzed czterech dni. Siedzieliśmy z Nell w Hygryll, kuląc się na deszczu, a Jee, matka Chilton i jej pomocnica Philippa wydawali Stephanie polecenia, popędzali ją i naciskali na nią. Musiała to zrobić dla Reginokracji. Czy nie chciała pomóc tym biednym, pogrążonym w transie dzieciom? Mogła to zrobić, jeśli tylko spróbuje... a Stephanie — która była jeszcze dzieckiem, a do tego zawsze nieco chorowitym — wyteżyła wszystkie siły w swym kruchym ciele, wkładając w to całe swe nieukształtowane umiejętności władania sztukami duszy, aż do granic wytrzymałości. Nell dała z siebie więcej i kosztowało ją to życie, Stephanie zaś cierpiała ból i chorobę, a teraz nie chciała mieć nic wspólnego z sztukami duszy.

A Matka Chilton? Zerknąłem na drugie łóżko, by się upewnić, że kobieta jeszcze oddycha. Ona również zapłaciła wysoką cenę. „Za wszystko trzeba płacić, Rogerze Kilbourne. Kiedy wreszcie się tego nauczysz?”

Z pewnością się nauczyłem. Ale królowa Stephanie miała dopiero siedem lat.

— Dlatego mnie tu wezwałaś? — zapytałem z delikatnością w głosie. — Bo nie chcesz już więcej tego robić?

— Tak! Powiedz im, Roger! Ciebie wszyscy słuchają!

Gapiłem się ze zdumieniem na swą monarchinię. Znała jednak tylko niewielką część mojej opowieści i z jej punktu widzenia była to prawda. Wydawałem rozkazy Jee i Tomowi Jenkinsowi, przechytryłem Tareka i

dzięki temu zabrałem Stephanie z jego obozu, a potem pokonałem — tak przynajmniej to dla niej wyglądało — ścigających nas hisafów. To była wizja dziecka. Stephanie była dzieckiem i królową jednocześnie. Dlatego wezwała jedyną osobę, która jej zdaniem mogła rozkazywać całemu światu, nadać mu taką postać, jakiej pragnęła. Pomyślałem o nieustannie wydającej mi polecenia Maggie i omal się nie uśmiechnąłem.

— Powinnaś mi o tym powiedzieć, dziecko — odezwał się inny głos. Matka Chilton otworzyła oczy.

Stephanie natychmiast pochyliła głowę.

— Przepraszam, psze pani.

Psze pani. Tak dzieci królowych zwracały się do swych guwernantek. Ale słowo „guwernantka” nie za dobrze opisywało związek łączący Matkę Chilton z małą królową. Żadne słowo nie byłoby odpowiednie.

— Ale ja nie chcę! — wybuchnęła znowu Stephanie.

— W takim razie nie będziesz — odparła Matka Chilton.

— Naprawdę? Ale myślałam... myślałam...

— Nikt już nie będzie cię musiał prosić o to, byś zrobiła użytek ze swego talentu. Czy sama kiedyś o to poprosisz, to już zupełnie inna sprawa.

To jednak było zbyt skomplikowane dla Stephanie, która uśmiechnęła się radośnie, wspierając głowę na poduszce. Matka Chilton skierowała spojrzenie na mnie i po raz kolejny poczułem szok na widok jej zapadniętych, zaropiałych oczu oraz zwiotczącego, niewiarygodnie starego lica. Kiedy widziałem ją po raz pierwszy, trzy i pół roku temu, wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Jej głos zachował jednak siłę. Jakiemu eliksirowi to zawdzięczała i czy udawała, że śpi, już od chwili, gdy wszedłem do komnaty?

— Rogerze Kilbourne. Chcesz zapytać o swego syna. Wszystko z nim w porządku. Łącznik nie płaci takiej ceny jak wysyłający wizje.

Zalała mnie ulga, tak silna, że poczułem jej smak na języku, słodki i mocny jak młode wino.

— Philippa wyśle kogoś z tobą, byś mógł do niego pójść. Gdzie Maggie?

— W prywatnej komnacie.

Kiedyś Matka Chilton by to wiedziała.

— Tutaj? Powiedziałeś jej, kim jest wasze dziecko?

— Nie.

— To dobrze. Nie rób tego.

Dostrzegłem swoją szansę.

— Nie zrobię. Ale, Matko Chilton, chciałbym dołączyć do księżniczki Stephanie i poprosić, by kobiety parające się sztukami duszy nigdy już nie wykorzystywały mojego syna. Wojna z Wrzosowiskiem Duszorośli się skończyła. Zwyciężyliśmy. Wy zwyciężyście. Nie wykorzystujcie go więcej.

— Nie ma takiej potrzeby — odparła Matka Chilton.

— Nie o to mi chodziło. Chciałem, żebyście już nigdy...

— Nie ma takiej potrzeby — powtórzyła Matka Chilton i zamknęła oczy.

— Matko Chilton! Powiedziałem...

— Przestań — odezwała się Philippa. To było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała. — Ona nic już nie powie.

— Ale...

— Dość już tego.

Zerknąłem na Philippę, a potem na Matkę Chilton. Jak mogłem wykrzykiwać rozkazy do chorej staruszki? Zresztą ta chora staruszka nie zwróci na moje słowa więcej uwagi, niż gdybym był kamieniem. Zawsze tak było.

Pełną gniewu ciszę przerwał Jee.

— Pani, masz nagrodę dla Rogera.

Stephanie, która podczas mojej pełnej emocji wymiany zdań z Matką Chilton sprawiała wrażenie wystraszonej, znowu się uśmiechnęła.

— Mało co bym zapomniała! Jee, pomóż mi.

— Tak jest, pani.

Podszedł do łóżka Stephanie, pomógł dziewczynce usiąść i postawił jej bosc stopy na podłodze. Philippa się nie sprzeciwiała. Widząc pełną szacunku czułość, z jaką Jee traktował Stephanie, uświadomiłem sobie, że mała królowa rzeczywiście jest jego „panią” i zawsze nią pozostanie. Co się wydarzy, gdy już przestaną być dziećmi? To będzie zależało od jej siły woli oraz jego zdolności przetrwania dworskich intryg. Nie potrafiłem przewidzieć ich przyszłości. Nie mogłem nawet przepowiedzieć własnej. Jee oddalił się od siedzącej niepewnie na skraju łóżka Stephanie. Podszedł do ściany komnaty i zdjął z niej miecz o wielkiej, wysadzonej klejnotami rękojeści. Stephanie mogła go unieść tylko dzięki pomocy chłopca.

— Ukłęknij, Roger... — rzekła. — Dobrze. Pasuję cię na rycerza, sir Rogerze Kilbourne!

To był absurd. Jee musiał zdawać sobie sprawę, że ceremonia odprawiona potajemnie przez małą dziewczynkę nie ma realnego znaczenia. Philippa rozumiała to z całą pewnością. Mimo to Stephanie uśmiechnęła się do mnie radośnie, a ja pochyliłem głowę, myśląc o tym, jak bardzo będzie się śmiała Maggie, gdy jej o tym opowiem. Czułem się też jednak rozczarowany. Gdy Stephanie wspomniała o „nagrodzie”, liczyłem na coś bardziej materialnego.

Jee, który wychował się w twardych warunkach, gdzie pieniądze na życie liczyły się bardziej niż hipotetyczne tytuły, uśmiechnął się do mnie.

— A ta druga rzecz, pani? — rzekł do Stephanie, pomagając jej się położyć.

— Jaka druga? Ach, prawda. Przynieś to, Jee!

Wyjął z kieszeni klucz i to bardziej niż cokolwiek innego przekonało mnie, że ma wielki wpływ na małą królową. Czy jedenastoletek był w stanie zwyciężyć w walce o władzę z lordem Robertem Hopewellem, gdyby miało do niej dojść? Miałem nadzieję, że nie dojdzie. Jee wsunął klucz w zamek jednego z bogato zdobionych kufrów, wyciągnął ze środka ciężki płócienny mieszek i wręczył mi go.

— Otwórz go, Roger! — zawołała radośnie Stephanie.

Monety. Złote i srebrne, a także miedziane grosze. Stephanie władała od niespełna sześciu miesięcy, a przez większość tego czasu w Reginokracji panował chaos. Nie było jeszcze czasu wybić nowych pieniędzy. Na wszystkich monetach widniał piękny, czysty profil jej matki, królowej Caroline.

— Dziękuję... dziękuję... — wyjąkałem. — Nie wiem, co powiedzieć, Wasza Miłość.

— Kocham cię, Roger — oznajmiła królowa. — Ale chyba czuję się już zmęczona.

Wyglądała na zmęczoną. Philippa wstała.

— Odprowadzę Rogera.

Stephanie nie odpowiedziała. Miała Jee.

— Do zobaczenia, Wasza Miłość — rzekłem, klękając.

Potem podszedłem do drugiego łóżka i pochyliłem się nad nim. — Do zobaczenia, Matko Chilton.

Ona również mi nie odpowiedziała, ale jej oczy poruszyły się pod powiekami, cienkimi i delikatnymi jak skrzydełka ważki.

— Czy ona umiera? — zapytałem cicho, gdy Philippa wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwi.

— Jej czas nadchodzi — odparła. — To już nie potrwa długo. Nie martw się tak, Rogerze Kilbourne, i nie oplakuj jej. Matka Chilton jest gotowa.

Na co? Na to, by siedzieć spokojnie i bezmyślnie w krainie Umarłych? I co potem? Nie zapytałem jednak o to. Nawet jeśli Philippa znała odpowiedź, nie podzieliłaby się nią ze mną.

— Zabierz Maggie i pójďte razem do gospody „Pod Trójskrzydłym Gołębkiem”, nieopodal zachodniej bramy miasta. Zjawi się ktoś, kto zaprowadzi was do syna.

Philippa ponownie skierowała uwagę na swe podopieczne.

— Do zobaczenia, sir Rogerze! — zawołała z łóżka mała królowa i zachichotała.

Wróciłem do czekającej w prywatnej komnacie Maggie. Tęga kobieta w fioletowym stroju, lady Elizabeth, przeszła obok mnie, krzywiąc usta w grymasie niezadowolenia i wysoko unosząc liczne podbródki. Maggie łypnęła ze złością na jej oddalające się plecy. Postanowiłem, że nie powiem jej, iż — przynajmniej w oczach Stephanie — jest teraz lady Maggie. Mogłaby zacząć wydawać rozkazy pałacowej gwardii.

Pieniądze od Stephanie ciążyły mi w kieszeni. Mała królowa uwolniła się od swych trosk i ja również. A przynajmniej uwolnię się od nich, gdy już odzyskam syna.

EPILOG

— Roger! Roger!

Maggie wychodzi z kuchni, trzymając w ręce brudną szmatę. Za nią do głównej sali napływają zachwycające wonie. Siedzę tam samotnie, popijając ale. Wkrótce zaczną się zjawiać późnopołudniowi klienci. Za oknami pada późnojesienny deszcz. Niebawem nadejdzie zima.

— Co znowu, Maggie? — pytam, spoglądając na nią z czystą przyjemnością. Maggie wygląda pięknie. To zawsze było prawdą, ale sześć miesięcy dobrego jedzenia i czystych sukni poprawiło jeszcze jej urodę. Jasne loki związała fioletową wstążką, a jej twarz jest zaczerwieniona od panującego w kuchni gorąca.

— Popatrz na tę brudną szmatę! Ta dziewczyna chciała wycierać nią kufle! Zwolnię ją, Roger.

— Nie powinnaś tego robić — sprzeciwia się inny głos. W drzwiach stoi postać, trzymająca w ramionach Toma. — Margery nie wycierałaby tą szmatą kufli, tylko podłogę.

— Wycierałaby!

— Nieprawda. Pytałaś ją?

— Ta — odzywa się Tom, wyciągając do mnie ręce. A może po prostu chcę, żeby ta bełkotliwa sylaba brzmiała „ta.

— Daj mi go, Joan — mówię i Joan Campford upuszcza mi go na kolana. Chłopczyk natychmiast sięga po kufel ale. Przesuwam naczynie na stole poza jego zasięg. Krzywi maleńką buzię, więc przysuwam z powrotem kufel, który Tom natychmiast wylewa na siebie i na mnie.

Nie potrafię być ojcem. Rawley i Hartah byli jedynymi „ojcami”, jakich znałem, i wolałbym uciąć sobie drugą rękę, niż zachowywać się tak jak oni. Tom, który zmienił się teraz w mokrą, radosną bryłę siedzącą mi na kolanach, jest mi niezmiernie drogi. Jego rzadkie, delikatne włoski, jasne jak u Maggie i grożące tym, że zaczną się kręcić, gdy tylko zrobi się ich więcej, łaskoczą mnie w nos. Przytulam chłopca. Wciągam w płuca jego słodki, niemowlęcy zapach, otaczam ramieniem tłusty brzusek. Tom rozlewa więcej ale.

Tymczasem trwa kłótnia o pomywaczkę Margery.

— Jutro ją zwolnię — upiera się Maggie.

— To decyzja dla pana — odpowiada Joan.

Maggie nie próbuje podważyć tego argumentu.

— Nie mogę mieć brudnej kuchni. Klienci przychodzą tu dla jedzenia, dobrej obsługi i czystości!

— Połowa naszych klientów śmierdzi po miesiącach spędzonych na morzu tak bardzo, że nawet nie zauważa czystości!

— A podobno jesteś praczką! — oskarża ją Maggie.

— Nie teraz. Teraz jestem opiekunką do dziecka — odpowiada Joan.

Obie kobiety świetnie się bawią. Za chwilę Margery — która nie jest bojaźliwą, sterroryzowaną służką, lecz krzepką portową dziewczyną, świetnie potrafiącą się bronić — wypadnie z kuchni, by przyłączyć się do kłótni. Spór będzie trwał aż do chwili, gdy zjawi się pierwszy klient, żądając ale. Wszystkie kobiety wrócą wtedy do pracy, zapominając o brudnej szmacie. Margery nie zostanie zwolniona. Maggie odprawiła trzy pomywaczki, nim wreszcie znalazła taką, która potrafiła się przeciwstawić jej i Joan. Ceni Margery wysoko i kłóci się z nią zażarcie.

A to znaczy, że nie musi kłócić się ze mną. Dnie i noce, które ze sobą spędzamy, są spokojne i słodkie. To nie było prawdą w pierwszych

tygodniach po tym, jak kobieta z sieci odnalazła nas w gospodzie „Pod Trójskrzydłym Gołębiem”. Natychmiast poznałem, kim ona jest, choć Maggie niczego się nie domyślała. Uświadomiłem sobie, że Matka Chilton, a teraz Philippa, rozmieściły w mieście oraz w pałacu mnóstwo kobiet władających sztukami duszy. Lord Robert nie miał pojęcia, jak wielką częścią jego reginokracji rządzi ów parlament cieni.

Kobieta zaprowadziła nas do odległej o kilka mil wioski, gdzie mieszkała Joan Campford, opiekująca się naszym małym synkiem jak własnym dzieckiem. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie było nikogo — a przynajmniej nikogo wśród żywych — komu zaufałym bardziej. Spędziliśmy w tej chacie miesiąc, a potem wyruszyliśmy na wschód, na wybrzeże. Joan nam towarzyszyła jako opiekunka małego Toma. Maggie nie mogłaby się czuć szczęśliwa, mieszkając w chacie zarządzanej przez inną kobietę. Musiała kierować, organizować, tworzyć. A ja nadal się obawiałem, że tak blisko Glorii ktoś może mnie rozpoznać.

Tak oto, dzięki pieniądzom od Stephanie, dotarliśmy wygodnie aż na wybrzeże, gdzie kupiliśmy dwie chaty, stojące obok siebie. W jednej mieszkamy, drugą zaś Maggie przerobiła na gospodę „Pod Czerwonym Dzikim”, najlepszą w całym nadmorskim mieście. Przez padający za oknem deszcz widzę port, do którego nieustannie zawijają statki przywożące towary z Benili, z Gorwen oraz z kilkunastu innych egzotycznych portów. Kierowanie dobrze prosperującą gospodą jest czymś zupełnie innym od pracy w naszej ubogiej piwiarni w Applebridge. Tutaj ciągle spotyka się nowych, interesujących ludzi, ciągle coś się dzieje. I nie ma owiec.

Kłótnia o brudną szmatę, sprawiająca tak wiele przyjemności wszystkim trzem uczestniczkom, cichnie, gdy Maggie zwraca uwagę na Toma.

— Wylał na siebie ale! Joan, czemu go nie pilnujesz!

— Odrobina ale nie zaszkodzi dziecku — odpowiada Joan i podnosi Toma z moich kolan. — Daj mi go, Roger.

Chłopczyk trzyma się mnie jeszcze przez chwilę, ale potem zauważa deszcz za oknem, lśniący w blasku ognia palącego się na kominku.

— Ta! — woła, wyciągając pulchną piąstkę ku szybie.

Joan zabiera dziecko, by przebrać je w czyste ubranko, ja zaś wycieram mokrą od ale bluzę kontrowersyjną szmatą, która wcale nie wydaje mi się brudna.

Jestem szczęśliwy, nawet jeśli wiem, że tylko „pomimo”. Pomimo śmierci Toma Jenkinsa, Matki Chilton, lady Margaret, Alysse i Nell. Pomimo utraty ręki. Pomimo pogłosek o wojnie, jako że Tarek, syn Soleka, syna Taryna, nadal podaje się za męża królowej Stephanie. Być może szczęście zawsze jest „pomimo”. Nie mogę być tego pewien.

— Roger, przynieść ci coś? — pyta Maggie.

Potrząsam głową i uśmiecham się do niej. Jedno wiem na pewno: nigdy już nie przejdę na drugą stronę. Nie ma takiej potrzeby. Wszystko, czego pragnę, jest tutaj.

Drzwi się otwierają i wstaję, by przywitać pierwszego gościa dzisiejszego wieczoru.

KONIEC!!!

BĘDZIE MUSIAŁ URATOWAĆ ŚWIAT. RAZ JESZCZE.

Roger mierzył się już z królowymi, barbarzyńcami, duchami, a nawet całymi armiami. Pozostało mu tylko jedno wyzwanie: tajemniczy mieszkańcy Duszorośli i ich nieczne plany zdobycia dominacji nad Krainą Umarłych. Duszoroślanie w końcu dokonali odkrycia, nad którym pracowali przez wieki – poznali tajemnicę nieśmiertelności. Okazało się jednak, że jej cena jest straszliwa. Roger musi być gotowy do walki. Niestety, jego przyjaciele są w niewoli, a on nadal nie odkrył swych prawdziwych mocy. Uratować może go tylko legendarny miecz...

Jasny i straszliwy miecz – trzeci i ostatni tom *Kronik Duszorośli* – to cechująca się wartką akcją opowieść, pełna interesujących postaci, emocji i czyhających na bohaterów niebezpieczeństw.

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

www.zysk.com.pl

ISBN 978-83-7785-167-8



9 788377 851678

Cena detaliczna

34,90 zł

(w tym 5% VAT)

Patronat medialny:



POLTERGEIST
POLTER.PL

